ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVI. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXI.

TOM I. — ZESZYT III.

Marzec.

WARSZAWA.

1891.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

Zeszyt niniejszy zawiera arkuszy 14.

Druk ukończono dnia 7 marca 1891 r.



NOWE EPIZODY

Z OSTATNICH LAT ŻYCIA
JMci PANA JANA CHRYZOSTOMA z GOSŁAWIC

PASKA.

Spór o autentyczność tak saméj postaci Jana Paska, jako i wydanych po raz pierwszy, staraniem Edwarda Raczyńskiego w roku 1836-ym jego „Pamiętników“, dziś jest już przedawniony.

Zrósł się Pasek do tego stopnia z dziejami krajowemi drugiéj połowy XVII-go wieku; tak znakomicie postać owego wojaka, rycerza, zawadyaki, oratora i hreczkosieja odzwierciedla charakter epoki Jana Kazimierza, Michała Korybuta i Jana Sobieskiego; tak dalece jest ona konieczną do zrozumienia obyczajów rycerstwa i ziemiaństwa ówczesnego; że, gdyby nawet w rzeczywistości nie była istniała — to, dla pełności obrazu minionéj epoki, intuicyjnie stworzyćby ją należało...

Każda literatura, posiadając w skarbcu swoim perłę takiéj wartości, jak autobiografia człowieka, który, zaletami swemi i wadami, zarobił sobie na tytuł najdoskonalszego typu rodzajowego butnéj i bitnéj warstwy narodu z przed półtrzecia wieku, słusznie mogłaby się nią chlubić i do najcenniejszych swoich zaliczać okazów.

Nie można twierdzić, aby pod względem pieczołowitości i drobiazgowości wydań „Pamiętników Paska“, literatura polska miała sobie coś do zarzucenia.

Z pomiędzy niepraktykowanie licznych, jak na nasze ubogie wydawnicze stosunki, przedruków arcydzieła Paska, wydania Lachowi-

cza z rękopisu cesarskiéj biblioteki w Petersburgu (1843 i 1853 r.) i ostatnie, Lwowskie z r. 1877, opracowane przez d-ra Węclewskiego, nic do życzenia w téj mierze nie pozostawiają.

Istnieją piękne plansze rysunków Lewickiego, przedstawiające obrazowo najdramatyczniejsze sceny „Pamiętników“ (1850), istnieją wcale udatne obrazki, pomysłu Antoniego Zaleskiego, pomieszczone w popularném wydaniu autobiografii pamiętnikarza (Gebethner i Wolff, 1882 r.); istnieją cenne rozbiory pamiętników pod historycznym, literackim, a nawet stylowym względem, a z pomiędzy nich najwspanialszy ich rozbiór, dokonany przez Mickiewicza w prelekcyach z 21 i 28 grudnia 1841 roku [1]).

Podniesione swego czasu przez niedowiarków zarzuty, godzące na wiarogodność „Pamiętników Paska“ i to ze strony najznamienitszych literackich powag (M. Wiszniewski) pobudziły badaczy do poszukiwań, mających na celu stwierdzenie autentyczności ich bohatéra i pod tym również względem literatura może wykazać poczet cennych historycznych i biograficznych danych.

Przedewszystkiém ś. p. Antoni Waga wykrył swego czasu w dziele naturalisty Gabryela Rzączyńskiego: *Historia naturalis curiosa* (Sandomierz, 1721) opis owéj głośnéj wydry pana Paska, darowanéj w r. 1680 Sobieskiemu, o któréj tak charakterystyczne w „Pamiętnikach“ mieszczą się szczegóły.

Następnie Julian Bartoszewicz w artykule pod tyt. „Nowe dowody autentyczności kroniki Paska“, drukowanym w r. 1852 w Nr. 256 ówczesnego „Dziennika Warszawskiego“ i w tomie I-ym Dodatków do „Pamiątek historycznych“ Święckiego (str. 389—391), wyliczył kilka biograficznych, ciekawych faktów z rękopiśmiennych resztek wojewody witebskiego, Chrapowickiego, dowodzących, że Pasek istotnie w latach 1660 i 1662 bawił na Litwie, gdzie Czarniecki i Paweł Sapieha staczali boje.

Po Bartoszewiczu, Aleksander hr. Przezdziecki w „Gazecie Codziennéj“ z r. 1853 w Nr. 223 przytoczył wyjątki z fascykułów wsi Smogorzewa, odnoszących się do rodziny Pasków, a nadto w „Książce

---

[1]) Niepodobna dosadniéj nad autora „Pana Tadeusza“ określić świetnego stylu Paska. „Żeby tak pisać — mówi Mickiewicz — trzeba było żyć podobnież życiem pełném czynności i przygód: trzeba było nawet miéć strój ówczesny. Gdyby kto chciał zrobić wydanie rytownicze jego dzieła, zamiast przecinków i kropek, nieużytecznych w piśmie, gdzie nie masz ani okresów, ani peryodów książkowych, powinienby wymyśléć jakieś znaki, pokazujące np. że w tém miejscu mówca pokręcił sobie wąsa: w tém porwał się do szabli: bo takie poruszenia zastępowały słowa, wyrażały myśli...“

zbiorowéj“ ofiarowanéj w r. 1862-im K. Wł. Wójcickiemu zamieścił „Dokumenta oryginalne“, tyczące się sporów sąsiedzkich między Paskiem a Wolskim, jakie w latach 1691 i 1695 toczyły się przed urzędami starościńskiemi.

Do pomocy owym szczegółom przybyło „odkrycie“ przez Bartoszewicza w „Pamiętnikach Krzysztofa Zawiszy“ (1862, str. 112) pewnych danych odnoszących się do naszego bohatéra, żyjącego jakoby jeszcze w roku 1702-im, we wsi Cisowie, czemu przeczy notatka ks. Wład. Siarkowskiego, zamieszczona w „Pamiętniku Kieleckim“ z roku 1874-go, dowodząca, że już w r. 1701-ym nasz Pasek do liczby żyjących nie należał.

Nie zwrócił wszakże na ów szczegół uwagi dr. Węclewski w najlepszém z dotychczasowych wydań Paska (1877 r.), gdyż przyjąwszy za pewnik twierdzenia Bartoszewicza i Przezdzieckiego, uczynił naszego Paska dzierżawcą Cisowa i powoławszy się na błędne dane „Encyklopedyi Orgelbranda“ (T. XX-ty, str. 432) dopatrzył się udziału Paska w *pactach conventach* z Augustem II-im, jakoby w r. 1699 przezeń podpisanych.

Następują w dalszym szeregu luźne przyczynki do życiorysu pamiętnikarza w „Bibliotece Warszawskiéj“ z r. 1877 (t. IV, 327), gdzie podznaczony literą *R.* autor, podaje *fac simile* podpisu Jana Paska i w „Ateneum“ z r. 1878 (t. III, 171—177), gdzie Feliks Rybarski, podnosząc doniosłość notatki ks. Siarkowskiego, przywodzi ciekawe dokumenta rodzinne Pasków z r. 1675 i wykrywa, że nasz Jan Pasek był komornikiem proszowskim, o czém dotąd nie wiedziano.

W roku 1879-ym Bronisław Chlebowski zamieścił w szeregu artykułów w „Tygodniku Ilustrowanym“ (Nr. 164—172) pięknie napisany rozbiór „Pamiętników“ Paska, lecz żadnych nowych biograficznych szczegółów w nim nie podał.

W tymże samym roku również w „Tygodniku Ilustrowanym“ (Nr. 191) Adam Chodyński bardzo trafnie ocenił niewiarogodność przypuszczenia Bartoszewicza, na wzmiance Zawiszy o Pasku opartego.

W roku wreszcie 1884-ym Biegeleisen w artykule „Rozbiór krytyczny Pamiętników Paska“, zamieszczonym w „Przewodniku literackim i naukowym Lwowskim“ trafnie ocenił błędność niektórych epizodów wojennych przez bohatéra naszego opowiedzianych i błędy te, na podstawie współczesnych, wiarogodnych źródeł, sprostował. Temi wszystkiemi pracami, skądinąd wielce pożytecznemi, wypełnił się całkowity materyał informacyjny o Janie Chryzostomie z Goslawic, ze źródeł książkowych i archiwalnych zaczerpnięty, a powtarza-

ny jednostajnie we wszystkich literackich kompendyach i encyklopedycznych zbiorach, o Pasku wzmiankujących.

Nie wydało mi się zadowalniającém i odpowiedniém doniosłości postaci bohatéra „Pamiętników“, takie luźne i fragmentaryczne uzupełnianie wiadomości o Pasku na podstawie krytycznéj analizy jego literackiéj spuścizny i odkryć trafunkowych.

Zdało mi się, że na zasadzie logicznego wnioskowania, wyprowadzonego z faktów znanych i rzeczywistych o faktach możliwych, dojść będzie można do zaokrąglenia téj części „Pamiętników“, która, że tak powiem, namacalnie niejako, podaje nam koniuszczek nitki, aby za jéj kierownictwem dojść do kłębka prawdy i do odkryć, tym razem niezbitych, urzędowych i stanowczych.

Dziwném mi się zdawało, iż pisarze, którzy niezaprzeczone w kierunku wykrycia wiadomości postronnych o Janie Pasku położyli zasługi, zatrzymali się w połowie drogi i nie poszli dalej ścieżynką, która ich do pożądanego celu doprowadzić mogła...

Tę ścieżynkę właśnie, tę wytyczną drogę do krainy faktów rzeczywistych, uzupełniających życiorys pamiętnikarza i zaokrąglających go w sposób wysoce charakterystyczny, a nawet i dramatyczny, wykreślił badaczom sam JMć pan Pasek w ... kropkach, kończących jego autobiografię.

Idąc właśnie za śladem owych kropek, dotarłem wreszcie do rdzenia prawdy i obecnie staję przed wielbicielami Paska, z obfitym, względnie biorąc, materyałem źródłowym, otwiérającym dla poznania ostatnich lat życia bohatéra i zaściankowych stosunków jego otoczenia, rozległe, a nowe horyzonty...

* *
*

Wiadomo, że „Pamiętniki“ Paska kończą się na roku 1688-ym i urywają na scenie rozmowy między Janem III-im a marszałkiem trybunału, wojewodą, Janem Pieniążkiem, w któréj król, powodując się prośbami Paska, zaleca marszałkowi, aby w sprawie, uformowanéj margrabiemu pińczowskiemu, z powodu krzywd wyrządzonych naszemu pamiętnikarzowi, sprawiedliwość bezwzględna wymierzoną została.

Świetna ta scena zakłopotania margrabiego na widok Paska wchodzącego do izby poselskiéj, rozmowy Paska z królem, żarcików Sobieskiego z afektów Marysieński do pana margrabiego, który należał do najmilszych jéj partnerów w grze karcianéj—cały ów, niezrównanéj piękności obrazek rodzajowy, do tego stopnia wydał się współczesnym nieprawdopodobnym i zręcznie jakoby przez wydawcę „Pa-

miętnika“ Paska dorobionym, że kiedy już nawet wątpliwości co do autentyczności „Pamiętnika“ ustały, jeszcze byli pisarze, którzy jego koniec za „sfałszowany“ poczytywali [1]).

„Niewiadomo, jak się owa sprawa z margrabią pińczowskim zakończyła“... temi słowy kończą się stereotypowo niemal wszystkie obszerniejsze i krótsze wzmianki o „Pamiętnikach“ Paska. Niewiadomość wszelako w téj mierze ustąpiłaby miejsca dokładnéj informacyi, gdyby zamiast poprzestawać na zaznaczeniu samego faktu sprawy między Paskiem a margrabią pińczowskim, uznano za właściwe zwrócić się wprost do źródła, gdzie ta informacya bezwątpienia znaleśćby się musiała.

Z chwilą ukazania się przedruku rękopisu „Pamiętników“, w bibliotece cesarskiéj w Petersburgu przechowywanego, a kończącego się wzmiankowaną powyżéj sceną rozmowy między królem a marszałkiem trybunału, jaką obejmuje wydanie Raczyńskiego, nie mogło już być najmniejszéj wątpliwości, że scena ta jest autentyczną, że jest ona pióra samego Paska, nie zaś późniejszych wydawców, że tém samém mieści w sobie fakt rzeczywisty.

W uprzedzających ową scenę rozdziałach kroniki Paska, są kilkakrotne wzmianki o sporach z margrabią pińczowskim, z powodu dzierżawy dóbr Olszówki; są rozmaite aluzye do sprawy, jaka już wówczas, gdy Pasek na sejm do Grodna się był udał, przed kratkami trybunału lubelskiego się agitowała.

Nie ulegało zatém wątpliwości, że jeśli jéj osądzenie „nieodwłoczne i sprawiedliwe“ zaleconém zostało z majestatu tronu królewskiego przewodniczącemu sądu; toć o rezultatach owéj sprawy muszą głosić księgi wyroków trybunalskich lubelskich z ówczesnéj epoki i że te księgi dokładnéj kwerendzie poddać należało...

Ta metoda właśnie doprowadziła mnie do pożądanego celu. Nietylko doprowadziła do bogatego źródła wiadomości o przebiegu sprawy między margrabią Myszkowskim a panem Paskiem, ale nawet pozwoliła szczęśliwie dotrzéć do wątka innéj jeszcze, ciekawszéj sprawy naszego pamiętnikarza, z Wolskim przewiedzionéj, skutkiem któréj, JMci pan Pasek, jako przekonany o pogwałcenie spokoju i bezpieczeństwa publicznego, skazany został ostatecznym dekretem trybunału koronnego na karę banicyi wieczystéj i że, ten dekret, w roku 1700-ym w wykonanie wprowadzony, stanowi ostatni ślad życiowéj wędrówki naszego Paska, ostatni kamień kresowy, o który tak romantyczne i pełne przygód jego życie, doszczętnie się rozbiło.

---

[1]) J. I. Kraszewski: „Studya liter.“ (str. 142).

I.

Pasek na roli.—Konkury. — Pan komornik Rawski. — W Krakowskiém. — Spór z Chełmskim.—Objęcie dzierżawy Olszówki i Brześć.—Ordynacya Myszkowskich. — Wielopolscy.—Stanisław Myszkowski ordynat. — Niechęć Paska ku niemu. — Śmierć ordynata.—Jego następca Józef Władysław Myszkowski. — Spór z opieką o rachunki.—Eksmisya Paska z Olszówki.—Dobrowolny areszt pani Paskowéj.

Z chwilą objęcia tronu Rzpltéj przez Jana Sobieskiego, ustąpił nasz Pasek z widowni spraw publicznych i zapragnąwszy spokoju domowego i cichego kąta osiadł najprzód w Rawskiém, gdzie głosem obywateli do honorowego urzędu komornika ziemskiego [1]) i posła powołanym został, a następnie zaczął na wsze strony konkurować o rękę nie tyle dostatniéj, ile rządnéj i gospodarnéj posesyonatki. Staraniem krewnych i sąsiadów ożenił się z wdową Anną Łącką, dożywotniczką Smogorzewa i dzierżawczynią Olszówki w Krakowskiém i przeniósł się w tę okolicę, powołany niebawem, choć nie bez walki z zaściankowemi uprzedzeniami, do takiegoż jak w Rawskiém urzędu, komornika granicznego ziemi krakowskiéj.

Spełniło się też dawno żywione życzenie osiwiałego w bojach rycerza, iż po latach trudów, walk, niebezpieczeństw i awantur mógł, mówiąc słowami śpiewaka „Pana Tadeusza“:

...w domu zamieszkać, na ojczystéj roli,
I służyć w jeździe, która wojuje szaraki,
Albo w piechocie, która nosi broń na ptaki,
Nie znać innych prócz kosy i sierpa rynsztunków.

Ze wszystkich dzierżaw, jakie kolejno obejmował, dzierżawa dóbr Olszówki i Brześć, do ordynacyi Myszkowskich należących, najwięcéj mu się uśmiechała [2]).

---

[1]) Komornik ziemski według dawnych praw polskich, nie miał znaczenia dzisiejszego wykonawcy wyroku sądowego, lecz była to persona, dygnitarz przy naczelniku pewnéj władzy wyższéj. Sądzili komornicy niekiedy sprawy mniejszéj wagi w zastępstwie sędziego lub podsędka. Za Kazimierza W. komornik krakowski był nawet urzędnikiem uprzywilejowanym, miał znaczenie wyższe od podkomorzego. Te atrybucye już w XVI wieku ustały. Pozostał jedynie komornik podkomorski, granicznym zwykle nazywany.

[2]) Olszówka, wieś i folwark obecnie w powiecie jędrzejowskim, gminie Wodzisław, położona w parafii Mieronice. Według „Lib. benef.“ Długosza (II, 86, 88) Olszówka należała do parafii Mieronice jeszcze w XIV w., jak o tém świadczy akt ponownéj fundacyi parafii Mieronice z r. 1439. Za Długosza mieszkała tu drobna szlachta: Stanisław Olszowski, Jan Gamba, Piotr Radzeszowski, Mikołaj Momot, Mikołaj Bełzowski. „Słow. geogr. ziem. pols.“, VII, 512. Brzeście, wieś w pow. jędrzejowskim, gm. Wodzisław, par. Mieronice. „Ibid.“, I, 404.

Po skończeniu się arendy Olszówki, trzymanéj przez wdowę Łącką, objął téż dobra oboźny chełmski, lecz Pasek w roku 1671 zawarł tymczasową z margrabią Myszkowskim umowę i spłaciwszy na zaspokojenie długów ordynackich kwotę 21,000 złotych polskich, oczekiwał spokojnie w Skrzypiowie ekspiracyi dzierżawy Chełmskiego, by módz ją potém objąć w swoje posiadanie.

„Skoro te lata wyszły—pisze Pasek — począł mi (Chełmski) odpowiadać, żeby mię był odstraszył od tego kontraktu. Ja tedy układam się z panem kasztelanem bełzkim (Myszkowskim) odjeżdżającym na sejm do Warszawy, żeby on rozkazał, aby mi dobra oddano, jak dzień ekspiracyi kontraktu przyjdzie. On więc zaleca odjeżdżając, żeby jak czas przyjdzie, żona jego zajechała i mnie dobra oddała. Tak się téż stało. Lubo wrota zamykano, upilnowaliśmy jednak tak, że kiedy chłopów puszczano do młocki, skoczyło kilku konnych i przytrzymali wrót, ażebyśmy powjeżdżali i tym sposobem oddano mi dobra i gromady.“

Zastajemy tedy pana Paska na dzierżawie Olszówki i Brześć w roku 1677, a ponieważ stosunek dzierżawcy do ordynata Myszkowskiego jest koniecznym dla zrozumienia przebiegu zajść następnych, które dały powód Paskowi do odwołania się do opieki króla i sądów, nie będzie przeto od rzeczy, przypomnieć w tém miejscu główniejsze fakta z historyi ordynacyi Myszkowskiéj, z przed epoki przejścia jéj do rodziny Wielopolskich.

W chwili objęcia dzierżawcy Olszówki i Brześć przez naszego Paska, ordynatem był Stanisław margrabia Myszkowski, potomek Zygmunta, wielkiego marszałka koronnego, który w r. 1596 od papieża Klemensa VIII otrzymał margrabstwo i przez księcia Mantuańskiego do herbu Gonzaga dopuszczony został.

W roku 1601, kiedy Piotr Myszkowski utworzył z dóbr Książa i przyległości ordynacyę i darował ją bratu swemu, wielkiemu marszałkowi koronnemu Zygmuntowi, ten, przyłączywszy do klucza Myszkowskiego Pińczów, utworzył margrabstwo, czyli ordynacyę Pińczowską.

Po śmierci syna ordynata w r. 1658, ordynacya przeszła do Franciszka Myszkowskiego, kasztelana bełzkiego, z linii starszéj, a następnie, kolejno przechodziła do jego synów: Stanisława i Józefa, a gdy ten ostatni bezpotomnie zeszedł z tego świata, ordynacya Pinczowska po córkach przeszła do Wielopolskich i w ich rodzinie dotąd pozostaje.

Ordynat Stanisław margrabia Myszkowski nie cieszył się zbytnią w oczach pana Paska estymą. „Był to—pisze Pasek rubasznie—

panie Boże mu odpuść, człowiek chytry, nie szczery, słowa nie dotrzymujący, nieprawdą się bawiący; kiedy co zełgał, jakby się najlepiéj najadł...“

Trudno osądzić czyli taka dorywcza i stronna opinia Paska o margrabi Stanisławie była zasadną. Stosunki pieniężne między dzierżawcą a ordynatem od dawna już zawiązane, pożyczka poważnéj kwoty 21 tysięcy złotych przez Paska na spłatę dóbr ordynackich udzielona, obawa utracenia dzierżawy po ekspiracyi jéj siedmiolecia i możliwe niezaspokojenie tego długu tenutą dzierżawną, wszystko to Paska nie bardzo w afektach do ordynata umacniało.

Na domiar złego, w r. 1685, to jest, właśnie w chwili, gdy owa dzierzawa Olszówki i Brześć wyekspirowała, ordynat Stanisław Myszkowski bawiąc w Lublinie na deputacyi trybunalskiéj, nagle zmarł, a ordynacyę, z powodu zejścia następcy jéj, Kazimierza, czasowo w opiekę Janowi Aleksandrowi z Mirowa marg. Myszkowskiemu oddaną, objął ostatecznie Józef Władysław, margrabia Myszkowski, ożeniony z Anną Mohilanką, wdową po Czarnkowskim, człowiek, zdaniem Paska, nie lepszego od zmarłego brata swego charakteru.

„Rozumiałem—pisze Pasek—że następca, Józef, będzie inakszéj kategoryi, bo się widział stateczny i dobréj natury; ale widzę, takiem się zawiódł na nadziei, jak owa żaba, co Pana Boga prosiła o lepszego pana, a coraz to jeden po drugim gorszy następował.“

Nadzieje, o jakich Pasek wspomina, polegały na tém, że wobec niespłaconego jeszcze długu, nowy ordynat utrzyma swego wierzyciela na dawnéj dzierżawie i że pozwoli mu dochodami z téj dzierżawy pokryć wydatki, jakie na melioracye w gospodarstwo włożył.

Przy objęciu ordynacyi przez Józefa Myszkowskiego, stryj jego i opiekun, Jan Aleksander z Mirowa Myszkowski, stwierdzili w urzędzie Nowokorczyńskim wszystkie zaległości ordynackie i przy téj sposobności, nowy ordynat miał jakoby stwierdzić Paskowi prolongatę kontraktu dzierżawnego, na dalszy okres, do czasu pokrycia długu, dzierżawną tenutą.

Tak przynajmniéj przedstawiała się początkowo sprawa z punktu widzenia naszego pamiętnikarza, gdy nadspodziewanie ordynat Myszkowski dał służbie rozkaz wyeksmitowania pana Paska wraz z rodziną z Olszówki i Brześć.

Rozkaz ten spadł jak grom na skłopotaną głowę pana Jana.

Widząc jedyny ratunek w rozprawieniu się drogą sądową z ordynatem Myszkowskim i w zyskaniu tym sposobem na czasie, dopóki przy notorycznéj przewlekłości ówczesnego postępowania sądowego, spór o rachunki i należności wzajemne zdecydowany nie zostanie, po-

stanowił tymczasowo Pasek nie ruszać się z dzierżawy i zmusić margrabiego do czynów przemocy, któreby dały asumpt do podniesienia wielkiego larum przed bracią szlachtą na sejmikach i na najbliższym sejmie grodzieńskim.

Jakoż, przeniósłszy się sam do Madziarowa, pozostawił Pasek żonę swoją w Olszówce, a gdy służba margrabiego usiłowała ją stamtąd wyparować, zamknęła się rezolutna pani Paskowa ze swoją służebną w dworku folwarcznym, krzycząc w niebogłosy, że jest „niby-to — jak sam Pasek poufnie w kronice z roku 1688 zeznaje — uwięziona, choć oniby jéj byli radzi i płot rozgrodzili, gdyby była chciała wyjechać“.

II.

Kanclerz wielki Jan Wielopolski, starosta krakowski, pozywa przed swój urząd ordynata Myszkowskiego.—Skarga Paska. — Pożyczka nie spłacona. — Najazd na Olszówkę i Brzeście. — Zajęcie przymusowe dworu. — Termin w urzędzie starościńskim.

Urząd starościński krakowski pełnił w r. 1687 Jan z Pieskowéj Skały, hrabia na Żywcu, Wielopolski, kanclerz wielki koronny, żonaty z margrabianką d'Arquien, rodzoną siostrą królowéj Marysieńki.

Pomimo schorzałego wieku i niemocy tak wielkiéj, że go hajducy w krześle po pokoju nosili i pomimo bliskiéj koligacyi z ordynatami Myszkowskimi, nie mógł Wielopolski z charakteru swego, jako starosta, pominąć bez uwzględnienia skargi Jana Paska przeciw ordynatowi Pińczowskiemu o gwałty w Olszówce przezeń jakoby spełnione, wytoczonéj i w dniu 24 marca 1687 r. wydany został po margrabiego Pińczowskiego pozew do stawienia się w urzędzie krakowskim, osnowy, w główniejszych punktach, następującéj:

„Jan z Pieskowéj Skały, hrabia na Żywcu Wielopolski, wielki kanclerz koronny, wojewoda krakowski, nowotarski i bocheński starosta: rozkazujemy z urzędu tobie, jaśnie oświecony Józefie Władysławie z Mirowa Myszkowski, margrabio pińczowski i kasztelanie bełzki, ze wszystkich dóbr twoich, mocą władzy królewskiéj i naszéj starościńskiéj, jaką obecnie pełnimy, abyś przed nami i naszym starościńskim krakowskim urzędem w terminie, spraw spornych w grodzie krakowskim, w dniu 24 marca 1687 odbyć się mającym, lub w najbliższym, na wypadek przeszkody, terminie, stawił się osobiście na instancyę instygatora urzędu naszego i ze skargi urodzonego Jana z Gosławic Paska, komornika ziemskiego powiatu księzkiego i mając na względzie prawa koronne odpowiedział na wezwanie powoda w sprawie następującéj:

„Prawa i konstytucye koronne nie dla innego celu ustanowione zostały, jak tylko dla tego, aby jeden drugiego nie krzywdził, oddawał mu to, co mu się należy, nie tamował możności korzystania z przysługujących mu praw, a choćby się i uważał za najpotężniejszego—żadnéj przemocy na drugim nie wywiérał. Ty zaś, jaśnie oświecony margrabio, nie mając baczenia na to, że skarżący zawarł był z jaśnie oświeconym Janem Aleksandrem z Mirowa Myszkowskim, kasztelanem bełzkim, stryjem twoim i opiekunem i z Katarzyną z Ostrorogów małżonkami, umowę, w przedmiocie dzierżawy dóbr Olszówka i Brzeście, w województwie krakowskiém, powiecie księzkim położonych, w roku 1679, na lat siedm po sobie następujących, a obok tego, bez względu na pobraną, na poczet poprzedniéj dzierżawy, kwotę 3,000 złotych na rok 1681 i inną kwotę 3,000 złotych polskich, z dóbr powyższych potrąconą i temuż skarżącemu, z inną następną kwotą 600 złotych polskich przez powołanych kasztelanów bełzkich, podpisami i pieczęczami potwierdzoną, z obowiązkiem zapłaty, pod warunkami nie ustania dzierżawy nawet po jéj ekspiracyi, aż do całkowitego zaspokojenia długu; należności powyższéj po śmierci kasztelanów bełzkich i twego poprzednika, z dóbr powyższych nie zapłaciłeś.

„Domaga się przeto skarżący, Jan Chryzostom z Gosławic Pasek, potrącenia tych należności z następnych lat dzierżawy i powrotu wydatków łożonych na melioracyę dóbr i spłaconych poddanym kwot, co wszystko razem sumę około 10 tysięcy złotych stanowić może i będzie w następnych terminach udowodnioném.

„Co więcéj, osobiście nawet, oraz prześwietny twój niegdy poprzednik, wspólnie ze stryjem i opiekunem twoim, przy zdawaniu rachunków z opieki nad dobrami ordynackiemi i dziedzicznemi w urzędzie Nowo Korczyńskim, stwierdziliście wszystkie powyższe umowy tak dzierżawne jako i obligacyjne i rękojemcze, przyczém otrzymaliście od skarżącego jeszcze dodatkową kwotę 1000 złotych polskich w r. 1686, któréj zaspokojenie z dóbr powyższych wraz z innemi należnościami, dobrą wiarą i słowem rycerskiém (*verbo militari*) stwierdzone zostało.

„Z tém wszystkiém, nie zaspokoiwszy skarżącego wbrew obowiązującym prawom o bezpieczeństwie publiczném dóbr szlacheckich, z jakiego bądź tytułu posiadaczom przysługujących, święcie zachowywanemi być winnym i nie obawiając się kar, za gwałty przeciwko takim prawom spełnione, ustanowionych, lecz z jawną wzgardą i ubliżeniem takimże prawom; nie mając baczenia na wniesione do dóbr pomienionych przez powoda majątki, rozmyślnie poważyłeś się, margrabio, dnia 14 marca, tylko co ubiegłego, wysłać dworzan swoich szlachtę:

Starczewskiego i Rogalińskiego z wieloma innymi służebnymi swymi w liczbie dziesięciu ludzi dobrze bronią i pociskami zaopatrzonych, do pomienionych dóbr Olszówka i Brzeście, w posiadaniu skarżącego będących i zawładnąć niemi przemocą.

„Ci przeto podwładni tobie słudzy uzbrojeni rozliczną bronią i pociskami, spełniając twoje rozkazy, przedewszystkiém z niezwykłym rozmachem (*impetu*) i gwałtownością wpadli do dworu wzmiankowanych dóbr Olszówka i chcieli nim zawładnąć, lecz gdy skarżący broniąc się kontraktem wzmiankowanym i innemi prawami sobie do pomienionych dóbr służącemi, dostępu im do dworu wzbronił, wówczas napastnicy wypadłszy z tego dworu zajęli chatę niejakiego pracowitego Sebastyana Matysa, wójta pomienionych dóbr, zawładnęli nią przemocą i oblegli.

„Po zajęciu owéj chaty zwołali do siebie siłą i przemocą z rozmaitych wiosek poddanych i zapowiedzieli im, aby odtąd posłuszeństwo skarżącemu wypowiedzieli i tym sposobem, dobra, wraz z poddanymi obudwu wsi (za wyłączeniem jedynie dworu, w którym, urodzona Anna z Remiszowic, żona skarżącego w najwyższém uciemiężeniu pozostaje) i ich posłuszeństwem, w twoje posiadanie przemocą oddali i takowe posiadają dotychczas, czeladź dworską od żony skarżącego do siebie ściągnęli, zapowiedziawszy jéj aby odtąd jéj nie słuchali, żywności wszelkiéj i drwa do paliwa jéj, odmawiają, głodem i utrapieniem nękają, straż do dworu przystawiwszy, żonę skarżącego z jedyną służebną więżą i udręczeniami różnemi uciskają, rozzuchwalają poddanych do spełniania kradzieży w dworze i gumnach, przez co na wielkie szkody skarżącego narażają, które w oddzielnéj drodze udowodnione zostaną.

„Takowemi postępkami, wykroczyłeś przeciw obowiązującym prawom, naruszyłeś spokój i bezpieczeństwo publiczne, zawładnąłeś dobrami skarżącemu przysługującemi i uwięziłeś żonę jego, za co podlegasz karom przez prawo postanowionym. W tym téż celu wzywam cię, abyś zwróciwszy przedewszystkiém posiadanie dóbr skarżącemu, zwolniwszy żonę jego z więzienia i wynagrodziwszy mu przyczynioną szkodę i spełniwszy to co z porządku sprawy wypadnie, stawił się w terminie powyżéj naznaczonym i przyniósł za sobą obronę. Dan w grodzie krakowskim 24 marca 1687 roku [1].“

---

[1]) Decr. Tribun. Lublin. Lib. 390 fol. 100 sq.

III.

Relacya woźnego.—Pasek i palestrant Szydłowski.—Kara starościńska wyrzeczona przeciw ordynatowi Myszkowskiemu.— Niespełnienie intromisyi Paska do dóbr.— Wyrok banicyi. — Banicya prosta i wieczysta. — Jéj prawne znaczenie.—Kondemnata.—Infamia.—List bezpieczeństwa. — Ordynat apeluje do trybunału.—Żądanie dylacyi.—Napad Tatarów.—Zwłoka.—Sejm w Grodnie 1688 r.

W terminie pozwem określonym stawiły się przed urzędem starościńskim strony interesowane, Jan Chryzostom z Gosławic Pasek, osobiście, zaś margrabia Myszkowski przez palestranta Piotra Szydłowskiego.

Po przywołaniu sprawy i wysłuchaniu wniosków stron, urząd mając na uwadze, że ile się z relacyi woźnego generalnego, Hyacynta Krzemińskiego w dniu 6 maja 1687 r. sporządzonéj, wykazało, intromisya Paska do dóbr Olszówka i Brzeście przez pozwanego odmówioną została, dla tego uznając tę odmowę za niepoddanie się dekretowi skazał pozwanego margrabiego Myszkowskiego na wieczystą banicyę (*poenam perpetuae bannitionis*).

Od dekretu tego założona została przez margrabiego apelacya do trybunału koronnego w Lublinie.

Dla dokładniejszego zrozumienia procedury sądowéj, o któréj tu mowa, wyjaśnić należy, że w sprawach o zawładnięcie posesyi i w wypadkach zwłoce nie ulegających, urząd starościński mocen był, przed rozpoznaniem *meritum* t. j. treści sprawy w głównéj jéj osnowie, nakazać przedewszystkiém przywrócenie rzeczy do pierwotnego stanu t. j. np. o ile przedmiotem sporu było zawładnięcie dobrami, miał prawo nakazać, aby wyzuty posiadacz był przed wyrokiem stanowczym na nowo do dóbr swoich wprowadzony. Takowe postanowienie w niczém nie przesądzało rezultatu saméj sprawy, gdyż po rozstrząśnieniu zasad obron wzajemnych, mógł sąd uznać faktyczną eksmisyę posiadacza dóbr za usprawiedliwioną i nakazać z mocy swego urzędu wykonanie jéj sądowe.

Ponieważ w danym wypadku margrabia nie zastosował się do dekretu *in possessorio* postanowionego, dla tego jako odmawiający posłuszeństwa sądowi na karę banicyi skazany został.

Banicya według dawnych praw polskich oznaczała karę za nieposłuszeństwo okazane postanowieniom urzędów.

Skazanych na banicyę miał prawo starosta imać i sadzać w wieży, dopóki dekretowi nie uczynią zadość.

Po wyrzeczeniu banicyi, gdy następował dekret ponowny potę-

piający, drogą opozycyi lub apelacyi ferowany, występowała *manu armata* cała szlachta województwa a po zajęciu dóbr skazanego, starosta egzekwował z nich kary, przezyski i wadya z dochodów.

Wolno było stronie od wyroku banicyjnego apelować do trybunału o zły przewód procesu (*de male obtento decreto*), a gdy to użyte nie zostało, pozostawała banicya wieczysta, która wszakże już i przy pierwszém osądzeniu wyrzekaną być mogła.

Następstwem banicyi była kara wieży, pozbawienie skazanego możności stawania w sądach, spełniania funkcyi obywatelskich.

Wyrokom zaocznym towarzyszyła zwykle kondemnata z następstwami banicyi, lecz drogą opozycyi, lub apelacyi, skutki jéj umarzały się, dopóki nie następowała kondemnata druga, z banicyą, tym razem wieczystą.

W sprawach większéj wagi, w przestępstwach przeciw majestatowi, w zbrodniach, obok banicyi, istniała i *infamia*, która dawała prawo chwytania obwinionego i karania go gardłem.

W banicyi cywilnéj, uważanéj jako kara za nieposłuszeństwo sądowi, nie było utraty czci obywatelskiéj i dla tego skazany mógł pełnić aż do ostatecznego dekretu czynności posła, dygnitarza. W banicyi ferowanéj w sprawach karnych, wywołaniec uważanym był za zmarłego cywilnie (*civiliter mortuus*).

Zakładając apelacyę od wyroku banicyjnego, skazany wyjednywał sobie w kancelaryi glejt, t. j. list bezpieczeństwa, a to dla uniknięcia uwięzienia jakiemuby musiał uledz z mocy dekretu pierwotnego. List ten, przy wyroku następnym, kondemnatę znoszącym lub zatwierdzającym, był przez sąd uchylany.

Te zasady postępowania sądowego dawnego prawa polskiego wystarczą nam do zrozumienia dalszego przebiegu sprawy Paska.

Sprawa tedy drogą apelacyi od dekretu starościńskiego banicyjnego przez ordynata Myszkowskiego wywołanéj, przeszła do trybunału koronnego w Lublinie.

W terminie jéj przywołania stawił się Jan Chryzostom Pasek, osobiście, ze strony zaś margrabiego stawił się palestrant Antoni Jasiński i wniósł przedewszystkiem żądanie (ekscepcyę) odroczenia sprawy.

Motywem tego żądania było wydalenie się margrabiego na czas dłuższy z dóbr ordynackich i sprawy wojenne, jakiemi był wówczas zajęty. Było to bowiem właśnie w epoce nowego najazdu Tatarów na Polskę, gdy Bek Murza wypadłszy z Kamieńca pod Zbaraż, niszczył ogniem i mieczem złoczowskie dobra króla.

Zdaje się, że w podjętéj przeciw Kamieńcowi wyprawie, prowa-

dzonéj przez królewicza Jakóba, brał udział ordynat, lub téż pośpieszył do Żółkwi, bronić dóbr królewskich od spustoszenia.

Trybunał mając na względzie, że pozwany Myszkowski zajęty jest sprawami wojennemi (*in opere belli*), przychylił się do żądania obrońcy jego i żądanéj dylacyi udzielił do upływu dwutygodniowego terminu od rozpuszczenia obozu (*ad duas septimanas post solutionem castrorum*).

W terminie 5 sierpnia 1687 na nowo przywołaną została w trybunale lubelskim sprawa Paska, lecz i tym razem z uwagi na żądanie margrabiego i na potrzeby Rzplitéj (*attente statu moderno et necessitate Reipublicae*) trybunał nowéj w osądzeniu sprawy dopuścił zwłoki.

Tymczasem zbiérał się sejm w Grodnie, na dzień 26 stycznia 1688 r. wyznaczony, po trzyletniéj od r. 1685 przerwie. Na nim rozegrać się miały intrygi stronnictw: francuskiego i rakuskiego o przewagę w zamierzonych przez Sobieskiego planach monarchicznych. Na sejmie tym znaleść się mieli i kanclerz Wielopolski, który banicyą dotknął Myszkowskiego i stał obecnie na czele tajnego spisku przeciw własnemu królewskiemu szwagrowi. Miał być na sejmie i Myszkowski, by z królową Marysieńką przy stoliku karcianym układać plany intryg politycznych. Znalazł się na sejmie i nasz Jan Pasek delegowany przez sejmik celem przeprowadzenia „artykułów“, jakie z jego inicyatywy uchwalone zostały, a głównie, dla podniesienia larum przeciw Myszkowskiemu o gwałty w Olszówce jakoby spełnione i dla wyjednania u króla instancyi za sobą przed marszałkiem trybunału, który na najbliższéj kadencyi sprawie jego z Myszkowskim miał przewodniczyć.

IV.

Ustęp z pamiętników Paska. — Spotkanie na sejmie z ordynatem Myszkowskim.— Przemowa Paska do króla.— Instancya oboźnego Chełmskiego. — Królowa Marysieńka.—Jéj rady.—Obietnice Sobieskiego.— Zalecenie sprawy Paska marszałkowi trybunału.

Musimy w tém miejscu ustąpić głosu samemu Paskowi i przywłaszczyć sobie cały ów ustęp z kroniki jego z roku 1688, aby tém lepiéj zrozumiéć dalszy tok wypadków i zaokrąglić opowiadanie szczegółami naturę sprawy i charakter działających w niéj osób, obrazowo uwydatniającemi.

„Stanąłem—pisze Pasek -- w Grodnie 1 marca, zażywszy złych i okrutnie grudnych dróg. Posłowie nasi krakowscy, osobliwie moi konfidenci i pan Lanckoroński, starosta stobnicki, mówią mi wpraw-

dzie: „Chcesz rujnować margrabię“ (bo też i on za promocyą pana strażnika stanął był posłem z Sandomierskiego, a posłem niewinnym, gdyż i gęby między ludźmi nie rozdziawił, tylko siedział jako lalek (puhacz) wytrzeszczywszy oczy i na innych zapatrując się, a więcéj pilnując kart; z czego u królowéj i dworskich miał łaskę, bo często obłowili się na nim [1]). „Ponieważ niemasz na nim kondemnaty“.

Odpowiedziałem:

-- „Tém samém mam, że jest ciemięzcą szlachty i wydziercą majątków“.

„Wpół tedy margrabia zdechł, obaczywszy mię w izbie poselskiéj. Sami jego kolegowie widząc tę konfuzyę mówili do mnie:

— Dla Boga! dla pana margrabi trzeba wódki ożywiającéj; pozbawisz nas posła dobrego; za nic izba poselska nie będzie stała bez niego...

Tymczasem obrady sejmowe tamują się na prywatnych urazach pana Słuszki, hetmana polnego litewskiego z panem Dąbrowskim, posłem województwa wileńskiego [1]). Ja, mając dobrych przyjaciól radę, żeby nie wprzód izbie poselskiéj opowiadać krzywdę swoją (gdzie miało być srogie w téj sprawie oburzenie i już się byli potężnie przygotowali) ale królowi uskarżyć się i zjednać sobie przychylność, tak tedy czynię: staram się o audencyą, którą otrzymawszy w naznaczonym czasie, mówię do króla tak:

— „Jako ukrzywdzony syn przed ojcem, najpoufaléj w swoich żali się dolegliwościach, tak i my, życzliwi W. K. Mości pana miłościwego poddani, mając sobie za ojca ojczyzny naszéj, chowamy na ostateczną ucieczkę łaskę pańską, i W. K. Mości p. miłościwego protekcyą, do któréj że ja z poddańską udaję się pokornie submisyą, przepraszam naprzód pana mego mił. majestat, że mi prywatnemu przychodzi pańskie poważne i wielu ojczyzny kłopotami zatrudnione turbować ucho; jednak nie moja w tém wina, ale tych, którzy mając swego dosyć, chciwe na cudze zbiory zaostrzyli apetyty. Byłem żołnierzem nie dorywczo, ale ciągle służąc, przesłużyłem kwiat wieku, nie żałując zdrowia i fortuny. Mam świadki blizny i moich towarzyszów broni, których jeszcze wielu widzę w kole rycerskiém i w senacie przy boku W. K. M., pana mego miłościwego. Nie poczuwam się w żadnym takim postępku, za który dobra konfiskują i nie winienem

[1]) Spór, o którym tu Pasek wzmiankuje, dotyczył rugów t. j. sprawdzenia prawności wyborów, zakwestyonowano bowiem obiór Dąbrowskiego chorążego i posła wileńskiego. Popierał nieprawność tego wyboru Józef Bogusław Słuszka, kasztelan wileński, stronnik królowéj. Dąbrowski opuścił sejm z protestem i przygotował jego zerwanie. Szujski: Dzieje IV, 106.

też nikomu nic. JMci Pan margrabia pińczowski samowolnie wziął mi substancyą i prawie, rzec mogę, ostatek nieprzesłużonéj na usłudze téj Rzpltéj sztuki chleba ojczystéj. Nie wykroczyłem przeciw umowie, ponieważ przepisaną kwotę dawałem na arendę, co jest starodawnym zwyczajem upoważnione; dawałem nie na prywatne wydatki, ale na spłacenie dawnych margrabskich długów, zaraz prawie po ustanowieniu margrabstwa zostawionych, o czém kontrakt uczy; dawałem prawemu opiekunowi, stryjowi rodzonemu, który wyrachował się z tych pieniędzy odemnie wziętych sukcesorowi i kwit z opieki otrzymał z potwierdzeniem kontraktów i zapewnieniem pretensyi naszych. Nie wiem tedy, za co z dzierżawy mię wygnano, pieniędzy nie oddawszy i to co było wziąwszy i ruchomości przez naprawione osoby, tak rzec mogę, łupiestwem pozbawiwszy. Boli mię, Najjaśniejszy Królu, Panie mój miłościwy, strata ubogiéj substancyi, ale i to nie mniéj boli, że bez towarzysza smutku sam siebie tylko widzę na tym celu nieszczęśliwości, bo wszyscy kredytorowie, jedni pieniędzmi są już zaspokojeni, drudzy dotąd zostają w posesyi, mnie tylko jednego, nie wiem z jakiéj przyczyny, taka ichmościów spotkała łaska, że nie przestają godzić na ubogą substancyą bez żadnéj przyczyny, ale z saméj tylko przeciwko osobie méj zawziętości."

„Słuchał król pilnie, a skorom skończył, rzecze:

— Trzebaby na to odpowiedzieć z Pisma świętego i przytoczyć prawo i proroków. Od czegoż trybunał, od czegoż inne sądy, tylko żeby każdemu należyta sprawiedliwość, choćby z największego pana czyniona była, ale kiedy się to i o nasze uszy odbija, z wielką chęcią starać się będziemy, żeby się takie bezprawie nie działo.

„Było przy tém w pokoju ludzi kilkunastu z senatu i z posłów.

Rzekł król do oboźnego koronnego Chełmskiego [1]).

— Waszeć tam bliski sąsiad, co to za sprawa?

Odpowie Chełmski:

— Toć wiem, miłościwy panie, że szlachcic dał substancyą i był zawsze nie jak dzierżawcą, ale jak poczciwym podskarbim, bo w każdych najcięższych potrzebach do niego najpoufaléj od innych był rekurs, gdyż czasem sto złotych przenocowało w jego domu, kiedy ze Gdańska powrócił, bo zaraz miano o nim pocztę, nie dano się i ucieszyć pieniędzmi, pisano mu tytuł: „Dobrodzieju" afektem jego i uczyn-

---

[1]) Węclewski w wydaniu „Pam. Paska" mianuje owego Chełmskiego Marcyanem. Zdaje się wszakże. że to był Andrzéj Chełmski, towarzysz wypraw wojennych Sobieskiego, pogromca Tatarów pod Niedoborem. L. Hubert w „Encykl. Orgelbr.", V, 211.

nością zaszczycano się między ludźmi. Ale kiedy wracać, albo w dalszą posesyą majętności puścić, nie miło im było to słuchać. Zgoła, dwaj możniejsi uwzięli się na biédnego szlachcica, żeby go substancyi przez zwłóczenie sprawy [1]) pozbawić i wyniszczyć; słowem, w niwecz obrócić tego, który dla domu ich czynił dosyć, a nawet aż nadto. Siłaby o tém mówić; po prostu z nikim się dobrze nie obejdą; ze mną samym o też dobra, które także trzymałem po bracie moim, jakie wzniecili hałasy, wiadomo jest W. K. Mci, Panu memu Miłościwemu, w jakie mnie wciągnęli kłótnie i koszta. Bóg widzi, żem więcéj wydał na prawa, niżeli mi Olszówka przez te sześć lat dzierżawy mojéj uczyniła, lubobym ci mógł, wspomniawszy dawniejsze zdarzenia wymówić do osoby, zguba twoja... ale żem chrześcianin, urągać mi się z cudzego nieszczęścia nie godzi, to tylko mówię, że i w téj... będzie jako ze mną, albo i gorzéj... będą go niszczyć... żeby się kłaniał, prosił o swoje własne pieniądze, które on z ochotą dawał, a potém dadzą mu, co zechcą, bo taka u nich moda. Krótko mówiąc, wielkie w téj ordynacyi dzieją się nieprzyzwoitości; wypada ją albo znieść, albo ją do należytego składu przyprowadzić, bo z téj ordynacyi ani Bogu świéczki, jako mówią, ani komu innemu ożoga; to brzemię włożyło prawo na głowy antecesorów Waszéj Królewskiéj Mości, które teraz na osobę samego W. K. Mości i Rzpltéj spływa. Należy tedy dopomódz uciśnionemu, jako temu, który w oczach W. K. Mości wszelakie w téj ojczyznie zasłużył względy, i teraz zasługuje on, jako swoją osobą, tak i przez swoich krewnych. Oto i teraz synowiec jego, a towarzysz z pod chorągwi mojéj, przed lat półtora w niewolę wzięty, powrócił trzy dni temu z Krymu, zasadziwszy tam na swojém miejscu towarzysza, żeby tém prędzéj mógł się starać o okup i już w części dobry stryj jednego znacznego kupił mu Tatara u pana Gołyńskiego, porucznika; drugi Tatar, o którego kazano mu się postarać, żeby go za siebie wyzwolił, tego a nie innego, jest między więźniami W. K. Mości; suplikuje ten niewolnik do majestatu W. K. Mości i ja moję za nim wnoszę instancyą, jako za dobrym żołnierzem i towarzyszem niepoślednim, który jest tu za drzwiami.“

Rzecze król:

— Wołać go tu!

W dalszym ciągu urwanego w tém miejscu, lub też być może uszkodzonego rękopisu „Pamiętników“ Paska następuje opis sceny

---

[1]) Aluzya do dwukrotnych dylacyi, zyskanych przez obrońcę margrabiego w trybunale.

danego Markowi Matczyńskiemu przez króla zlecenia, aby wydano w zamian za synowca Paska pożądanego Tatara.

„Do mnie zaś—pisze pamiętnikarz—obróciwszy się, mówi:

— Waść w krzywdzie swojéj ukontentowanie otrzymasz!

„Znowu oboźny koronny rzekł:

— Miłościwy Panie, zabiéra się tu w téj okazyi na wielki rozruch w kole rycerskiém, bo są z kilku województw artykuły, oraz i z mego sejmiku, żeby się przy tém oponować i produkować to w obec stanów.

Odpowié król:

— Wiemy o tém, ale znajdziemy sposób, że się to uspokoi bez wielkiego zawichrzenia.“

Do mnie rzecze:

— „Waść bądź dobréj nadziei, jako ten, który zarabiasz sobie na należyte w téj ojczyznie respekty; będziesz zaspokojony.“

A w tém zaraz przede drzwiami już ubranego i czekającego Dominikana wysłuchawszy mszy, poszedł do senatu i zasiadł.

„To się działo 15-go marca. Sejm się począł nachylać do zerwania. Król zmartwiony temi niezgodami oraz i nowiną tą, że orda porobiła szkody w krajach ruskich, a osobliwie w jego włościach. Nie śmiałem mu się narażać, bo czasem i senatora już próg przestępującego nazad wrócono. Tak więc tylko nawiasem nadsłuchiwałem, upatrując pogodnego czasu.

Bo tak z panami trzeba zawsze.

Jednak stawałem mu na oku, żeby mię widział. — Kiwnął na mnie król i poszedł do okna. Rzecze tedy:

— Mówiłem z panem margrabią w téj sprawie dosyć rzetelnie, a on stanowczo zaprzecza, żeby co był winien, na stryja się odwołuje, że stryj brał, stryj niechaj płaci.

Jam powiedział:

— Stryj brał, stryj ze mną umowę zawarł jako opiekun, ale na rzecz synowców, na spłacenie długów ich, o czém nauczy kontrakt.“

Ozwie się królowa:

— Obejdź się waść dobrze z panem margrabią.

Ja odpowiadam na to:

— Mościa królowo! Wasza Królewska Mość racz tak perswadować krzywdę czyniącemu, nie ukrzywdzonemu.“

Rzecze znowu: „Dobryć on człowiek.“

Rzekę znowu:

— „Człowiek dobry, ale postępki złe.“

Król na to skrzywiwszy nos, uśmiechnął się trochę.

— Marysieńku! Da Waści za to kinala (waleta czerwiennego). (Za to przymawiał, że to z nią w karty grywał).

Trochę się królowa zasępiła i poszła na stronę.

Jak odeszła, aż król mówi:

— Daj jeno pokój, niechno go okrzykną w poselskiéj izbie, będzie on tańszy...

Kazał mi tedy u siebie król być po obiedzie, a w tém wsiadł w karetę i pojechał do Karmelitów.

„Przychodzę tedy do króla po południu, jako mi kazał, aż on mówi:

— Poparłaby cię była izba poselska, ale Tokarzewski sejm zerwał; zahukaliby byli margrabię na śmierć twoi Mazurowie, bo ja już wiem, którzy się na niego ostrzyli, i my dopomoglibyśmy byli z boku; teraz już trzeba z innéj beczki zacząć. Jest tu, jak słyszę, na zamku pan wojewoda sieradzki, który jest marszałkiem trybunalskim, każę go tu do siebie zawołać i zalecę mu tę sprawę, żeby nieodwłocznie i sprawiedliwie sądzona była.“

Kazał mi tedy poczekać, a po niego posłał. Przyszedł. Rzecze mu król:

— Mospanie wojewodo, mamy tu człowieka ukrzywdzonego (wskazał na mnie), szlachcica i żołnierza nam dawno znajomego, który od możniejszych ciemiężony żąda sprawiedliwości. Ma bliską sprawę w regestrze trybunalskim: zaczém zalecam respektowi Waści i sprawę i człowieka, jako dobrze zasłużonego ojczyźnie i proszę za nim, żeby był w krzywdzie ukontentowany.“

Wojewoda rzecze:

— Miłościwy królu! Człowieka tego znam bardzo dobrze, bośmy razem w wojsku i na sejmiku wiele lat z sobą przebyli, krzywdę téż jego i sprawę wiem, żebym nie zaprzedał sumienia, choćbym osądził, inkwizycyi nie czytając: tém bardziéj kiedy tu majestatu W. K. Mości zachodzi powaga.“

V.

Termin w trybunale. — Dekret zaoczny przeciw margrabiemu Myszkowskiemu. — Śmierć starosty Wielopolskiego. — Zjazd starościński na grunt Olszówki i Brześć. —Aleksander Feliks, pan na Lipiu.—Protest rządcy dóbr ordynackich. — Wstrzymanie egzekucyi.—Apelacya.—Odroczenie terminu.—Skarga poddanych. — Nowe gwałty w Olszówce.—Wypędzenie pani Paskowéj.—Termin w trybunale.—Obrona ordynata.—Zniesienie kondemnaty.

Dnia 2 maja 1689 r. nastąpił ostateczny termin osądzenia sprawy Paska z margrabią Myszkowskim.

Na żądanie powoda, woźny Marcin Nadolski, przyzwawszy stronę pozwaną czterokrotném na cztery strony przywołaniem, stwierdził jéj nieobecność, skutkiem czego trybunał w dalszém osądzeniu sprawy, przez udzieloną dylacyę w biegu swoim wstrzymanéj, po uznaniu zaoczności wezwanego na termin, a niestawającego margrabiego Myszkowskiego, decyzyą urzędu starościńskiego, od któréj zaszła apelacya, jako prawnie i legalnie postanowioną w całéj rozciągłości zatwierdził. Niezależnie od tego, w saméj istocie sprawy, zobowiązał pozwanego margrabiego do intromisyi Jana Paska do dóbr, z których został wyeksmitowany, w ciągu czterech tygodni od daty wyroku, lub w terminie, jaki się w téj mierze dla powoda dogodnym okaże, pod rygorem kary banicyi wieczystéj, a nadto przyznał Paskowi prawo do poszukiwania szkód i strat eksmisyą spowodowanych, oraz do udeterminowania cyfry należności z mocy dokumentów obligacyjnych i niedotrzymania umowy dzierżawnéj, powstałéj, również pod rygorem banicyi wieczystéj, która to kara zastosowaną być miała i na wypadek nie wynagrodzenia powodowi zrządzonych szkód, skutkiem nowych gwałtów w trakcie postępowania sądowego spełnionych [1]).

W wykonaniu tego dekretu wydał trybunał woźnemu rozkaz do publicznego ogłoszenia jego osnowy, a jednocześnie polecił starostom właściwym dopilnowanie spełnienia we wszystkich punktach ferowanego dekretu, z zagrożeniem tymże urzędom karą banicyi na wypadek opieszałości lub zaniedbania.

Jednocześnie prawie, gdy się agitowała przed sądem w Lublinie sprawa Paska, Jan Wielopolski, kanclerz wielki, stanął przed sądem

---

[1]) In principali negotio, super motionem ad judicium Tribunalitium admissam, Judicium praesens Ordinarium Generale Tribunalis Regni Lublinense, in contumaciam suprascriptae Partis citatae ad Judicium praesens per Ministerialem modo quo supra vocatae et non comparentis, sententiam Officii illius Castrensis Capitanealis Cracoviensis a qua pro judiciis praesentibus appellatum est, uti juridice et legitime latam approbat, confirmat et ratificat. Nihilominus in ulteriori causae praesentis tractu, eadem suprascripta Pars Actorea superius nominatam Partem citatam ad hoc idem Judicium modo quo supra denuo vocatam et non comparentem in lucro reinductionis in bona expulsa ratione quorum res est, ab Actu praesenti in quatuor septimanis seu tunc dum a Parte actorea tempore captato oportuno requisita fuerit aut in vim reinductionis in lucro solutionis summarum tam ex contractu ratione bonorum Olszowka et Brzeście conscripto, quam et recognitionibus manualibus emanantium, Partique Actoreae serventium nec non ex defalcis liquidatis provenientium et pro reparatione bonorum ac iuvaminibus subditorum erogatarum una cum provisionibus ab eisdem summis ab actu expulsionis computandis, ratione quorum res est in instanti sub poena banitionis perpetuae, quae decernitur, additur ministerialis ad publicandam et remittitur causa pro executione etc. Wyr. tryb. lub., ks. 390, str. 102 i nast.

ostatecznym, a dziedzictwo po nim objął syn, Franciszek, pierwszy z Wielopolskich margrabia Myszkowski, żonaty z Anną Lubomirską, córką Hieronima, hetmana [1]).

Dnia 20 czerwca 1689 roku, na żądanie Jana Paska, przybył na grunt dóbr Olszówka i Brzeście, z mocy danego przez Aleksandra Feliksa, hrabiego na Lipiu, Lipskiego, rawskiego, inowłodzkiego i rzeczyckiego starostę, podstarości Adam Stanisław z Trzcinnéj Trzciński, sędzia grodowy [2]) i w obecności Paska, przed zapartemi wrotami dóbr pomienionych ufundował swoją jurysdykcyę.

Obecnymi przy téj czynności urzędowéj byli szlachta: Remigian Badowski i Kazimierz Kurowski.

Gdy woźny Jan Żebrowski obwieścił publicznie o przystąpieniu do czynności intromisyi, stawił się Stefan Proszeński, rządca dóbr ordynackich i bez względu na powagę urzędu starościńskiego, halabardą (*malleo adunco*) zatamował buntowniczo egzekucyę dekretu (*executionem rebelliter impugnavit*).

W obec tego protestu, podstarości Trzciński, mając na uwadze, że wrota dóbr obstawione zostały poddanymi margrabiego i że bez użycia przemocy niepodobna będzie dokonać intromisyi, od czynności odstąpił i strony celem dalszego w téj sprawie postępowania (*pro ulteriori partis jurevictae convictione*) do trybunału odesłał, z naznaczeniem im terminu do osądzenia sporu z rejestru spraw wojskowych (*ex militari regestro*).

W dniu 29 lipca 1689 r. trybunał, po zaoczném rozstrząśnieniu sporu, ferował przeciw margrabiemu kondemnatę, lecz na skutek zobopólnych żądań Jana Paska i obrońcy margrabiego wstrzymał jéj ogłoszenie aż do ponownego osądzenia sporu z najbliższego rejestru spraw ruskich [3]).

W trakcie tego postępowania do trybunału lubelskiego wniesioną została nowa sprawa z odwołania się od dekretu starościńskiego, postanowionego ze skargi Jana Paska i dwóch poddanych: Jan-

---

[1]) Jul. Bartoszewicz w „Pamiąt. hist." Święckiego, t. II, str. 532.

[2]) Święcki, II, 228.

[3]) Tandem partes praenominatae utraeque sistendo publicationem praemissae condemnationis ac loco currendi Aresti Actorea nimirum Generosus Pasek personaliter, citata vero scilicet Magn. Myszkowski per generosum Stephanum Niekrasiewicz terminum praesentem de mutuo sui et judicii praesentis consensu hinc ab actu praesenti ad Palatinum Kijoviae Regestri simplicis praeciso aresto proxime venturo et amputata dilatione exempta ac omnibus in universum diffugiis et protestationibus, dilationibus, experimenti pro se ferentis que scribunt, differunt et limitant. Wyr. Lubels., 390, str. 947.

kowskiego i Szkotka przeciw margrabiemu Myszkowskiemu i rządcy jego dóbr, Prószyńskiemu o nowe gwałty w dobrach Olszówka i Brzeście spełnione.

Według osnowy skargi, pozwani wpadli do dworu i w nieobecności ustanowionego przez Paska dozorcy Wacława Żmijowskiego, nocą wyjęli drzwi i okna mieszkania, meble wyrzucili na dziedziniec, panią Paskową z jéj służebną wypędzili i byliby zabili poddanego Jankowskiego, gdyby ten nie był się na dach schronił.

Urząd starościński wezwał margrabiego przed swój sąd, a gdy pozwany nie stawił się, odebrał przysięgę na wiarogodność zeznań świadków, co do zarzuconych w skardze czynów, lecz w saméj sprawie nie stanowiąc dekretu, odesłał strony do trybunału po osądzenie.

Trybunał w połączeniu skargi poprzedniéj z ostatnią przystąpił przedewszystkiém do ocenienia sporu ze strony margrabiego Myszkowskiego, podniesionego o niekompetencyę skargi w kwestyi intromisyi Paska do dóbr Olszówka i Brzeście. Według praw i statutów ordynacyi, dobra Pińczowskie nie mogły być obciążane żadnemi sumami i długami, poszukiwanie zatém należności z tychże dóbr, drogą ich zajęcia sprzeciwiałoby się tym statutom.

Trybunał, mając to na uwadze w rozsądzeniu sporu *de incompetentia actionis* Paska, w niczém nie derogując ordynackim statutom, dekretem swym z d. 7 października 1689 r. ferowanym, postanowił przedewszystkiém kondescencyę (zjazd) na grunt dóbr Olszówka i Brzeście, i zalecił urzędowi starościńskiemu przeprowadzić badanie świadków na fakt i ilość zrządzonych szkód, ustanowić kalkulacyę pobranych przez Paska na poczet swéj należności dochodów, ustanowić tę cyfrę według słusznego i sprawiedliwego jéj ocenienia (*ex aequo et justo*) i nadał moc staroście zasądzenia téj kwoty, jakaby z obliczenia wypadła, bez wprowadzenia go do dóbr, co, żadną miarą, w obec statutów ordynacyi Pińczowskiéj, uskutecznioném byćby nie mogło (*obstante praemissa ordinatione nullatenus subsequi potest*).

Stanowiąc swój przedstanowczy dekret, trybunał nadał staroście prawo niezważania na apelacye stron, jakieby w trakcie i z powodu nastąpić mających czynności założone być mogły, natomiast apelacye te przyjąć i po ukończonéj czynności w opieczętowanym pakiecie trybunałowi do ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy przesłać.

W końcu, trybunał, z uwagi na niepoddanie się margrabiego dekretowi, skazał go na uiszczenie vadium starościńskiego, co, gdy uskutecznioném zostało, wyrzeczone przeciw niemu kondemnaty zniósł i unieważnił (*condemnationes super illo obtentas cassat et annihilat*) [1]).

---

[1]) Wyr. lubel., t. 391, str. 377.

VI.

Zjazd sądowy w Olszówce.—Podstarości Jan Firley Konarski. — Obecność szlachty.—Pasek wyłącza swego pasierba Krzysztofa od świadczenia.—Protest ordynata.—Przysięga deferowana Paskowi.—Wybiegi prawne. — Wyłączenia świadków. —Sejmik w Opatowie.—Odroczenie terminu. — Protesta i reprotestacye. — Nowy zjazd starościński.—Nieobecność ordynata.—Rachunki z dzierżawy.—Apelacya. — Dekret trybunału. — Pasek otrzymuje wynagrodzenie po wykonaniu przysięgi. — Za obrazę ordynata skazany na wieżę.

30-go listopada 1689 r. odbył się naznaczony przez trybunał zjazd sądowy na gruncie wsi Olszówka i Brzeście, pod powagą urzędu starościńskiego nowokorczyńskiego i sandeckiego, w osobach: Jana z Konar Firleya Konarskiego, podstarościego, i Franciszka z Kamocina Kamockiego, pisarza sandeckiego i w obecności Jana Chryzostoma Paska, Józefa margrabiego Myszkowskiego, oraz przyzwanych do atentowania czynności zjazdu: Rafała Sarbiewskiego, starosty Korycińskiego Zygmunta Oraczewskiego, Krzysztofa Łąckiego, pasierba pana Paska, Dyonizego Sasimowskiego, Wawrzyńca Jeziorowskiego.

Woźny Stanisław Royski z Wodzisławia obwieścił akt ufundowania jurysdykcyi, lecz z powodu zachodu słońca, czynność odłożoną została do dnia następnego.

Notujemy tu wszelkie owe czynności, napozór drobne, lecz charakteryzujące postępowanie sądowe ubiegłéj epoki niezmiernie formalistyczne, ale oparte ściśle na wzorach dawnych rzymskich, które w częstych odwłokach czynności pozostawiało stronom możność i obowiązek ścisłego przestrzegania swych praw, a zarazem i czuwało nad każdym krokiem urzędu delegowanego, by woli sądu zadość się stało.

1-go grudnia 1689 r. w obecności stron interesowanych urząd starościński zważywszy, że celem rozpoznania obustronnych pretensyi, Paska—o gwałty w dobrach spełnione i margrabiego — o zniszczenie dóbr Paskowi zarzucone, dowód z badania świadków przez trybunał za odpowiedni uznany został, dlatego wezwane zostały strony do przedstawienia świadków w dniu następnym.

W tym terminie Pasek przedstawił, że dopuszczonego do zeznań pasierba swego, Krzysztofa Łąckiego, z uwagi na węzeł miłości synowskiéj względem matki swéj, pani Paskowéj, od zeznań tych uwalnia i natomiast innego przyjaciela w jego miejsce przedstawić deklaruje.

Margrabia Myszkowski ekscepcyi téj nie przyjął i zażądawszy stawienia się Krzysztofa Łąckiego, innych świadków w jego miejsce proponowanych odrzucił.

Urząd starościński, mając na uwadze przepis prawa, naznaczył Paskowi przysięgę na fakt, że Krzysztof Łącki według praw boskich istotnie od świadczenia w téj sprawie wyłączony być może (*Quia Gener. Łącki ad praesens est infirmus vera infirmitate a Deo praemissa nec ad connotationem functionis suae comparere potest*).

Na owe postanowienie Pasek nie zgodził się, lecz od niego apelacyę do trybunału założył.

Urząd starościński, mając na uwadze, że apelacye wszelkie, stosownie do dekretu trybunału, jedynie od stanowczéj decyzyi urzędu założone być mogły, apelacyi téj nie przyjął, przeciwko czemu Pasek zaprotestował, a urząd starościński przeciwko téj protestacyi reprotestował się i termin dalszych czynności do dnia następnego odroczył.

Nazajutrz wszakże stawił się do zeznań Krzysztof Łącki i z tego względu urząd starościński Paska od przysięgi uwolnił.

Stawienie się Łąckiego było jedynie fortelem, gdyż przedewszystkiém zarzucił, iż od świadczenia musi być wyłączony, gdyż jest w procesie z margrabią Myszkowskim o sumę 600 florenów, do dokumentu własnoręczego przez tego ostatniego pożyczoną i niezapłaconą. Zaproponował więc Łącki innego w swoje miejsce świadka, na co margrabia Myszkowski znowu nie przystał i zażądał od Krzysztofa Łąckiego złożenia zeznań.

Urząd starościński żądanie margrabiego uwzględnił, poczém znowu nastąpiła ze strony Paska apelacya, odrzucenie jéj przez podstarościego, protestacya i reprotestacya. Termin odroczony do dnia następnego.

W terminie tym nastąpiła ze strony Paska ekscepcya przeciwko świadkowi Guteter, przez margrabiego powołanemu, a to z powodu nienawiści jakoby do powoda żywionéj, jak również ekscepcya wyłączenia od świadczenia niejakiego Wolskiego i Miciarskiego, tego ostatniego—z powodu złéj sławy, jakiéj używał.

Urząd starościński jedynie ekscepcyę co do Miciarskiego uwzględnił, inne zaś odrzucił, z temiż samemi, jak wyżéj, zastrzeżeniami.

W terminie następnym znowu margrabia zażądał odroczenia czynności, lecz i to żądanie podstarości od[illegible]ł, przy zwykłym akompaniamencie protestów i reprotestacyi stron.

Wreszcie 6 grudnia 1689 r. i Pasek zażądał odroczenia terminu, z powodu nadchodzącego sejmiku w Opatowie, na którym, jak przytoczył, obecnym być musi.

Tym razem urząd starościński żądanie to uwzględnił i termin do nowego zjazdu na dzień 10 stycznia 1690 r. wyznaczył.

Termin ów, Pasek uznał za zbyt wczesny i od wyznaczenia takowego apelował, lecz apelacya jego nie została uwzględnioną.

W dniu zatém 10 stycznia 1690 r. jako w terminie z limity wyznaczonym, przybył na grunt wsi Olszówka i Brzeście podstarości Jordan z Zakliczyna z pisarzem Kamockim i przez woźnego Rojskiego z Wodzisławia ufundowali jurysdykcyę przed zamkniętemi i strzeżonemi przez poddanych ordynackich wrotami.

Margrabia Myszkowski w terminie tym nie stawił się, a gdy Jan Pasek oświadczył gotowość złożenia rachunków z dzierżawy i domagał się wykonania dekretu trybunalskiego, urząd starościński mając na uwadze, że nieobecnością swoją i niezłożeniem dowodów wzajemnych, margrabia Myszkowski okazał jawne nieposłuszeństwo dekretowi trybunalskiemu, dla tego, wstrzymawszy dalszą czynność, odesłał podstarości strony do trybunału, celem ostatecznego sprawy zdecydowania i postanowienia kar prawem ustanowionych.

Termin ten przypadł w trybunale lubelskim dopiéro po upływie kilku miesięcy i dnia 18 października 1690 r. odbyła się ostateczna między stronami rozprawa.

W osądzeniu kwestyi przedwstępnych trybunał przedewszystkiem z powodu niestawiennictwa margrabiego w terminie przez urząd starościński do inkwizycyi wyznaczonym, skazał margrabiego na uiszczenie wadyum starościńskiego, a następnie, wziąwszy pod uwagę wyprowadzone przez Paska w urzędzie nowokorczyńskim badanie ze świadków na fakt, że wielu z pomiędzy poddanych wsi Olszówka i Brzeście z namowy rządzców ordynackich przeszło do innych dóbr margrabiego, przez co szkoda dzierżawcy zrządzoną została, mając nadto na względzie, że ilość tychże szkód odpowiedniemu umiarkowaniu ze strony sądu uledz winna, a co do reszty winien Pasek przysięgą stwierdzić rzeczywistość poniesionych szkód i nakładów na melioracyę dóbr uskutecznionych, dla tego trybunał nakazał Paskowi wykonać natychmiast wobec Stanisława Gwoździowskiego, pleni[illegible]tenta margrabiego, przysięgę do wysokości jedynie sześciu tysięcy florenów polskich.

Przysięgę tę Pasek wykonał [1]) poczém trybunał sumę sześć tysięcy florenów Janowi P[illegible]kowi od margrabiego zasądził, z zagroże-

---

[1]) Quod quidem juramentum idem Generosus Pasek rothisante sibi ministeriali nobili Andrea Tyralski ad attentationem Generosi Stanislai Gozdziewski plenipotentis ejusdem Illustris et Magnifici Marchionis super summam sex millium pro damnis juvaminibus defalca et sumptibus in reparationem errogatis per judicium praesens reductam et moderatam in facie ejusdem judicio praestitit. Wyr. Lub. 394 fol. 585.

niem karą banicyi na wypadek nieuiszczenia jéj nazajutrz po święcie Trzech Króli 1691 roku.

W dalszém zaś osądzeniu sprawy, mając na uwadze, że z ekspiracyą siedmiolecia dzierżawy dóbr Olszówka i Brzeście, dalszy pobyt Paska z rodziną w tychże dobrach był bezprawnym i że margrabia miał wszelką zasadę do ekspulsyi Jana Paska z tychże dóbr, dla tego, z powołaniem się na ordynackie prawa nie dopuszczające obok tego intromisyi do dóbr, trybunał uznał zasadność obrony margrabiego co do niekompetencyi skargi Jana Paska i w tym punkcie skarżącego z żądaniem intromisyi, jako bezzasadném, oddalił.

Mając wreszcie na względzie, że Pasek w skardze swéj dopuścił się słów ubliżających honorowi margrabiego i że za czyn taki odpowiednią karę ponieść winien, postanowił trybunał, aby Jan Chryzostom Pasek, po upływie czterech tygodni od daty dekretu, uległ siedmiodniowéj karze wieży w urzędzie nowokorczyńskim a po odsiedzeniu kary, wadyum starościńskie zapłacił [1]).

Wreszcie przywracając naruszony honor margrabiego, trybunał zniósł i unieważnił wszelkie ubliżające panu Pińczowskiemu czynności, za niebyłe i nieistniejące je uznawszy [2]).

W ten sposób zakończyła się sprawa Paska z margrabią Pińczowskim, a zakończyła, z prawnego punktu widzenia, sprawiedliwie, gdyż z pamiętników widoczna, że z upływem roku 1688 utracił był Pasek wszelkie do dzierżawy dóbr Olszówka i Brzeście prawa [3]) i dalszy jego pobyt w tych dobrach był samowolném przekroczeniem i umowy i statutów ordynacyi Pinczowskiéj, które tego rodzaju przymusowéj intromisyi osób postronnych do posiadania dóbr ordynackich nie dopuszczały.

Wyrok ten i z tego względu na uznanie zasługuje, że mimo tak

---

[1]) Quoniam Generosus Pasek verbis injuriosis omni protestatione et citatione contentis honorem Illustris et Magnifici Marchionis circumscribere et aggravare temere praesumpsit, proinde judicium praesens eundem punibilem esse adinvenit et decernit quatenus hunc suum eluendo progressum turrim Castri Neocorcinensis hinc ab actu praesenti in quatuor septimanis proximis subest, eandemque sessionem turricam per spatium unius septimanis contineat et expleat. Wyr. Lub. V. 394, str. 585.

[2]) Judicium providendo integritati intaminati honoris Illustris et Magnifici Marchionis protestationem eandem tum et quosvis laesivis subsecutos actus tollit et cassat, et pro eliminatis declarat, nihilque honori et integerrimae aestimationi ejusdem Illustris et Magnifici Marchionis nocere debere declarat. Ibid.

[3]) „Rok pański 1687 zacząłem tamże w Olszówce, gdzie już mi kończyła się arenda t. j. jedenasty rok dzierżawy mojéj. Wywoziłem tedy rzeczy po troszę do Madziarowa“.

wysokiéj instancyi, jaką król osobiście za Paskiem do trybunału uczynił, powodował się komplet sądzący jedynie wymaganiami prawa i słuszności i wydał dekret, który prawom obustronnym w zupełności uczynił zadosyć.

VII.

Dzierżawa Ucieszkowa i Górnéj Woli.—Pasek na sejmie elekcyjnym.—Sprostowanie dat.— Błędna hypoteza Bartoszewicza. — Stanisław Pasek z Cisowa. — Spory z Wolskim.—Kradzież koni.— Najazd Paska na Żegocin. — Protestacye w grodzie Nowokorczyńskim. — Pasek wyzywa Wolskiego na pojedynek. — Sprawa karna przeciw Paskowi. — Nieszczęśliwy koniec polowania.— Zasadzka Paska na myśliwych.—Napad. — Pasek zmusza Jana Rusinowskiego do zjedzenia zająca na surowo.—Zbawienne lekarstwo.—Sprawa w urzędzie starościńskim.— Połączenie skarg w trybunale lubelskim. — Dekret ostateczny. — Pasek skazany na wywołanie z kraju.

Ostatnie wiadomości o sprawach żywota imci pana Jana Chryzostoma z Gosławic Paska, sięgają według dokumentów odnalezionych w fascykułach czarkowskich przez Aleksandra Przezdzieckiego — lat 1691 i 1695 t. j. pobytu naszego bohatéra w charakterze dzierżawcy Ucieszkowa, dóbr królewskich, nieopodal od Nowego Miasta Korczyna położonych.

Do tych wiadomości, dodać należy i notatkę Niesieckiego o udziale Paska w podpisaniu *pactów conventów* z Augustem II.

Na wiarę słów Niesieckiego, powtarzano dotychczas w biografiach Paska ów fakt ciekawy, dowodzący, iż pamiętnikarz do sędziwego wieku zachował energię i ruchliwość, biorąc udział w politycznych sprawach narodu.

Łatwo wszakże było datę ową sprawdzić źródłowo, gdyż istotnie, między podpisami na ugodzie elekcyjnéj z dnia 27 czerwca 1697 [1]), zawartéj między stanami Rzplitéj a posłem i pełnomocnikiem Augusta II, Jakóbem baronem Flemingiem, figuruje podpis i Jana z Gosławic Paska, komornika ziemskiego krakowskiego (*Vol. leg.* VI, str. 26). Oddzielnie zaś, na akcie oznajmienia nowo-obranego króla na sejmie elekcyjnym między Warszawą a Wolą, figuruje brat stryjeczny naszego pamiętnikarza, Stanisław z Gosławic Pasek, chorąży imci pana oboźnego koronnego (*Vol. leg. Ohr.* V. 462), którego, oczy-

[1]) Sprostowała słusznie tę datę, zamiast daty 1699, przyjmowanéj dotychczas przez biografów Paska, redakcya „Ateneum“ w dopisku do art. Rybarskiego r. 1878 t. III, str. 173.

wiście Julian Bartoszewicz znalazłszy w pamiętnikach Zawiszy, wziął za Jana Paska żyjącego jakoby jeszcze w r. 1702.

Na podstawie dokumentów odszukanych w archiwum głównem Królestwa, jestem w możności wypełnić ostatnie lata życia naszego pamiętnikarza faktami i datami wiarogodnemi i uzupełnić fascykuły czarkowskie Przezdzieckiego, nietylko epilogiem sprawy, któréj te dokumenta stanowią niejako prolog, lecz nawet zdjąć z obwinionego niesłusznie imci Wojciecha Wolskiego nazwę dokuczliwego sąsiada, jaką go Przezdziecki obciążył.

Po opuszczeniu Olszówki i Brześć, Pasek dzierżawił czas niejaki Madziarów, lecz już w roku 1691 widzimy go na dzierżawie dwóch wiosek królewskich: Ucieszkowa i Górnéj Woli, nieopodal od Nowego Miasta Korczyna sytuowanych, którą to dzierżawę prawdopodobnie w zamian za niepomyślny rezultat procesu z margrabią Myszkowskim, od opiekuna swego Jana III sobie wyjednał.

Dziedzicem sąsiednich wsi: Żegocina, Zagajowa, Hinkowa i Piotrówki był Wojciech z Dobruchowa Wolski, łowczy owrucki.

Stosunki sąsiedzkie między Paskiem i Wolskim widocznie nie były dobre, gdyż już od r. 1691 rozpoczyna się między nimi szereg rekryminacyi o nadużycia wzajemne, zadokumentowane w aktach grodu Korczyńskiego.

27 czerwca r. 1691 wnosi Pasek przeciwko Wolskiemu protestacyę, iż, gdy mając w podejrzeniu niejakiego Więcka, zwanego Wnukiem, że mu wyprowadził ze stajni dwa konie, wartości sześciuset złotych, pragnął okazać dziedzicowi Wolskiemu ślady po zroszonéj łące, prowadzące do chałupy Wnuka, tenże Wolski w gniewie miał jakoby poduszczyć poddanych wsi Żegocina do gwałtów przeciw Paskowi i słudze tegoż Krzysztofowi Dębowskiemu, których napadłszy, słowami i czynem zbezczeszczono. Dębowskiego bowiem kijem poturbowali srodze, zbili i poranili; gdy zaś zażądano wydania Wnuka, odmówiono im tego i nowych krzywd przyczyniono [1]).

Nie czekał Pasek następstw swojego protestu oblatowanego w grodzie, gdyż sam postanowił sobie wymierzyć sprawiedliwość.

Jakoż, 24 czerwca 1692 roku, zgromadziwszy liczny tłum poddanych swoich, najechał Pasek przed zachodem słońca na dobra Wolskiego, Piotrówka i dopadłszy do chałupy Wnuka, srodze tegoż poranił a łowczego owruckiego wyzwał na pojedynek (*in duellum lege vetitum provocavit*) [2]).

---

[1]) Przezdziecki: w książce K. Wł. Wójcickiego, str. 157.

[2]) Decr. Tribun. Lubl. Lib. 412, fol. 884.

Wywiązały się z tego dwie sprawy karne przeciw Janowi z Gosławic Paskowi i jego słudze Krzysztofowi Dębowskiemu uformowane, w których, na skargę Wojciecha Wolskiego i pracowitego Wnuka, urząd starościński Nowego Miasta Korczyna, po wezwaniu oskarżonych naznaczył przedewszystkiém Wolskiemu przysięgę na wiarogodność przyzwanych przezeń dla stwierdzenia popełnionych gwałtów świadków.

Ze strony Paska stawił się patron Ludwik Rudnicki i od decyzyi starosty odwołał się w drodze apelacyi do trybunału lubelskiego.

W trakcie, gdy sprawa ta wisiała przez nikogo nie popierana na wokandzie lubelskiéj, zaszedł fakt nowy niechęci sąsiedzkich między Wolskim i Paskiem.

Stosownie do osnowy protestu przed Janem z Konar Firlejem Konarskim, podstarościm i sędzią grodowym nowo-korczyńskim, przez Paska zadyktowanego, w dniu 30 września 1695 roku, Wojciech Wolski miał jakoby wysłać swoich poddanych: Bartłomieja Naganowskiego, Jana Gorawskiego i Jana Rusinowskiego pod pozorem polowania na grunta wsi Ucieszkowa i ci wysłańcy mieli jakoby pola prosem i owsem obsiane stratować, co w oddzielnéj relacyi woźny sławetny Bartłomiéj Wawrzeńczyk ze Stopnicy, zeznaniem swojém stwierdził [1]).

I w tym wypadku postanowił sobie nasz Pasek wymierzyć sprawiedliwość doraźną.

Według słów pozwu przed urząd starościński wniesionego, w dniu 10 listopada 1695, Jan z Gosławic Pasek, nie obawiając się następstw kar za naruszenie spokoju i bezpieczeństwa publicznego ustanowionych, lecz zdwajając krzywdy wyrządzane ustawicznie łowczemu owruckiemu, Wolskiemu, poważył się, w czasie, gdy wysłani na polowanie słudzy szli przez pola swego dziedzica i kierowali się ku polom Stróżyckim, by tam skromnie i spokojnie (*pacifice et modestissime)* polować, spełnić swoje złośliwe zamiary i tym celem, wlazł po drabinie na dach dworu w Ucieszkowie wraz ze swoją służbą i tam czatował na przybycie myśliwych z psami.

Zobaczywszy ich, napadł na nich znienacka, na drodze publicznéj, i ludzi spokojnych, nieobawiających się zasadzki, otoczył i strzelać do nich zaczął (*bombardas explodere*), powalił ich następnie na ziemię, sznurami skrępował, nogami skopał, kijami obił i do dworu swego przemocą uprowadził.

Tém jeszcze niezaspokojony, lekceważąc bojaźń bożą i miłość

---

[1]) Książka zbiorowa K. W. Wójcickiego, str. 157.

bliźniego (*postposito timore Divino atque delectione proximi*) nie mając żadnego baczenia na naturę ludzką (*nullo habito respectu humanae naturae*) rozszarpał zająca, skarżącym odebranego, na dwie części i, z obrazą praw ludzkich i boskich, jedną część porzucił na pożarcie psom myśliwskim, a drugą, bijąc, policzkując i tratując, powalonego Rusinowskiego, na surowo (*crude*) zjeść przymusił. Rusinowski, ocalając życie swoje, w dniu postnym (*die consecrato jejunio*) tę niesłychaną i niepraktykowaną potrawę (*ferculum*) spożył, od czego ciężko natychmiast zachorował i bliskim już był śmierci (*vitam cum morte in instanti commutasset*) gdyby nie Pasek, widząc go już w niebezpieczeństwie utraty życia (*in ultimo periculo vitae*) nie dał mu na zwymiotowanie *calliadum cremati*... (gorzałki gorącéj?)

W uzupełnieniu nadużyć spełnionych, psy gończe łowczego owruckiego przemocą u siebie zatrzymał i wydania ich odmówił.

Urząd Starościński przyjąwszy skargę Wojciecha Wolskiego, Jana Gorajskiego i Macieja Rusinowskiego, wyznaczył Paskowi termin do stawienia się, lecz gdy zamiast Paska stawił się plenipotent jego Dyonizy Sasimowski, naznaczoną została stronom skarżącym przysięga na fakt, że świadków do stwierdzenia powyższego czynu nie podmówili, a po jéj wykonaniu, gdy ze strony patrona Sasimowskiego założoną została apelacya, urząd starościński strony do trybunału odesłał, z wyznaczeniem dla osądzenia sprawy terminu peremptoryjnego [1]).

Tymczasem, w dniu 23 września 1689 roku, przypadła w trybunale lubelskim sprawa apelacyjna Paska od decyzyj urzędu starościńskiego w sprawach Wolskiego i Wnuka o najazd na dobra Żegocin, wyzwanie na pojedynek i gwałty ferowanych.

Przywołany czterokrotnie przez woźnego Jakóba Niesiańskiego, Jan Pasek nie stawił się, skutkiem czego trybunał ferował przeciw niemu wyrok banicyi wieczystéj i skazał na koszta, do których wyegzekwowania, pod rygorem infamii, z dóbr skazanego, starostów właściwych delegował [2]).

Dnia 10 października 1698 r. zjechał na grunt dóbr Górna Wola, do starostwa Wiślickiego należących, w posiadaniu Jana z Gosławic Paska, komornika ziemskiego krakowskiego będących, Jan z Konar Firley Konarski, celem wykonania powołanego dekretu.

Ufundowawszy przez woźnego Józefa Łukaszewskiego jurisdykcyę, w obecności szlachty: plenipotenta Wolskiego Stanisława

---

[1]) Wyr. Tryb. Lub. Ks. 417, str, 550—552.

[2]) Wyr. Tryb. Lub. Ks. 412, str. 884, 885.

Mroczkowskiego, Wojciecha Grzemnickiego, Marcina Nadolskiego (sługi pana Paska), Jana Turskiego i Michała Chwalskiego, miał już przystąpić do egzekucyi, gdy w tém miejscu stawił się szlachetny Marcin Nadolski i zamknąwszy drzwi do dworu oświadczył: że dobra Górna Wola, jako królewskie nie podlegają egzekucyi, skutkiem czego czynność zatamował [1]). Urząd starościński spór ten do trybunału po rozsądzeniu odesłał.

Tymczasem powrócił pan Pasek z sejmu elekcyjnego do swoich dóbr, gdy w dniu 23 czerwca 1700 roku przypadł termin osądzenia wszelkich wiszących przeciw niemu na wokandzie trybunalskiéj spraw.

Ustanowiony przez Paska patron Jakób Brodzicki, za zgodą łowczego Wolskiego, uprosił trybunał o odroczenie sprawy na dwa tygodnie, poczém 21 lipca 1700 roku zapadły we wszystkich trzech sprawach pana Paska o najazd na dobra Żegocin, wyzwanie Wolskiego na pojedynek, poranienie Wnuka i przymuszenie Rusinowskiego do zjedzenia zająca na surowo, dwa jednozgodne dekrety trybunału, orzekające finalnie przeciwko Janowi Chryzostomi Paskowi karę banicyi wieczystéj i infamii z nałożeniem nań kosztów całego przewodu sądowego [2]).

Nie mógł się Pasek innego rezultatu spodziéwać i dlatego wcześnie już wyniósł się był z Górnéj Woli i Ucieszkowa do dóbr Niedzieliska, na trakcie ku Radłowu w biskupstwie krakowskiém położonych [3]), lecz i tutaj dosięgło go ramię władz starościńskich.

Dnia 2 sierpnia 1700 roku urząd nowokorczyński zjechał na grunt tychże dóbr i w obecności samego pokonanego prawem Jana Paska, chciał przystąpić do ostatecznego wykonania dekretu z dóbr pomienionych, jakoby przez Paska z mocy kontraktu ze Stanisławem Wereszczyńskim zawartego, posiadanych, lecz gdy Jan Pilecki, wójt tameczny, oświadczył, że dobra te dotychczas nie przeszły w posiadanie Paska, lecz zawsze są w posiadaniu Wereszczyńskiego, urząd starościński celem ocenienia tego sporu strony do trybunału odesłał.

W dniu 10 września 1700 roku nikt z wezwanych nie stawił się i trybunał ostatecznie wydał starostom rozkaz wykonania przeciw Paskowi dekretu banicyjnego bez dalszéj mitręgi (*pro ultimaria forti finali ac indilata de bonis citatae jurevictae partis facienda et peragenda debitoque juris ordine extenuenda executione*) [4]).

---

[1]) Wyr. Lub. Ks. 417, str 548, 549.

[2]) Wyr. Lub. Ks. 417, str. 549, 550, 551, 552.

[3]) Niedzieliska wieś, obecnie w okręgu celnym pow. brzeskiego w Galicyi nad równiną nadwiską leżąca. „Słow. geogr.“, VII, 63.

[4]) Wyr. Lub. Ks. 418, str. 763—765.

VIII.

Epilog żywota Paska.—Na obczyznie. — Śmierć na wygnaniu. — Zapis Krzysztofa Łąckiego.—Przerwa pamiętników Paska.—Wywody i zakończenie.

Przytoczone powyżéj dokumenty archiwalne doprowadzają dzieje żywota JMci pana Paska do takiéj granicy, że po za nią, prawdopodobnie, odkrycia nowych wiadomości o sprawach naszego bohatéra z ostatnich lat jego życia spodziéwać się nie można i nie należy [1]).

Wyrzeczona ostatecznym wyrokiem trybunału kara banicyi, odjęła Paskowi na zawsze możność pobytu w krajach Rzpltéj, a śmierć Sobieskiego, jedynego opiekuna pamiętnikarza, zatamowała na zawsze środki uchylenia téj kary drogą uchwały sejmowéj. Epilog taki, dla samego bohatéra nad wyraz bolesny, z artystycznego punktu widzenia zamyka bujny jego, awanturniczy, pełen przygód i fantazyi żywot klamrą harmonijnie spajającą wszelkie dotychczasowych jego działań ogniwa.

Było to niejako fatalizmem Paska, iż rozbijając się po szerokim świecie, pojedynkując nieustannie, usuwając bez skrupułu na stronę przeciwników, musiał ostatecznie skończyć jako banita.

Ta krew gorąca stanowiła niejako właściwość całego rodu Pasków, gdyż, jak podaje Rybarski, i Stanisław Pasek, rezydent Cisowa, ów „haniebnie poczciwy i wesoły szlachcic“ Zawiszy, doczekał się za spełnione gwałty, takiegoż samego losu.

Prawdopodobnie jednak banicya Stanisława Paska, wyrzeczona nań dekretem z r. 1692 była jedynie czasową, i zmienioną być musiała następnie nowym dekretem, w przeciwnym bowiem razie nie zastałby go Krzysztof Zawisza w r. 1702 w towarzystwie „pięknych *quidem* niewiast“ wesoło się bawiącego w Cisowie.

Śmierć Jana Paska musiała nastąpić niewątpliwie w roku 1700, t. j. w roku ostatecznego wykonania dekretu banicyjnego.

Dowodzi tego faktu ogłoszony w „Pamiętniku kieleckim“ z roku 1874 przez księdza Władysława Siarkowskiego dokument, zabezpieczający w r. 1700 imieniem pasierba naszego bohatéra, Krzysztofa Łąckiego, na rzecz plebana Pilczyckiego, JMci księdza Jędrzeja Olszewicza legat złotych pięćset, z przeznaczeniem prowizyi od téj sumy

---

[1]) Odrębny epizod sporów Paska przewiedzionych o dobra Rączki w latach 1672 i nast. ogłoszę w przyszłości na podstawie źródeł urzędowych.

na wypominki za duszę JMć pana Jana Paska, komornika ziemskiego krakowskiego i pani Anny z Romiszowic *secundi voti* Paskowéj, zmarłéj w dniu 15 marca 1696 r. i pochowanéj w kościele parafialnym Pilczyckim [1]).

Dokładne oznaczenie daty śmierci pani Paskowéj i miejsca jéj pochowania, a pominięcie tych dat przy nazwisku Jana Paska, dowodzi, że po wyrzeczonéj banicyi pamiętnikarz nasz opuścił kraj na zawsze, zaprzepaścił się i zmarł na obczyznie.

Komu wiadome z prawodawstwa dawnéj Rzpltéj fatalne skutki, jakie ferowana ostatecznym dekretem karnym banicya dla skazanego za sobą pociągała, ten ani na chwilę nie zawaha się uznać, że po skazaniu, jakie dotknęło w r. 1700-ym naszego pamiętnikarza, nie mógł on dłużéj nietylko w Cisowie, ale w jakimbądź zakątku Rzpltéj rezydować, i że, chroniąc k o ś c i swoje przed ramieniem ścigających go urzędów starościńskich, musiał porzucić dobytek swój i rodzinną ziemię i zaprzepaścić się gdzieś w obcym kraju, skąd go już sąd najwyższy przed kratki swoje mógł powołać...

Taki finał żywota Paska stanowi zarazem komentarz dla wyjaśnienia powodu przerwania pamiętników na epizodzie wstępnym procesu z margrabią pinczowskim.

Niewątpliwie podałby Pasek przebieg dalszy téj sprawy, jeśli uważał za właściwe tak drobiazgowo opisać jéj początek. Widzieliśmy jednak, że od roku 1688 Pasek nader czynne w trybunale i w starostwie Nowokorczyńskiém prowadził życie, że był na nieustannych zjazdach, na sejmikach, na sejmie elekcyjnym, że się przerzucał z dzierżawy do dzierżawy, ze Smogorzewa do Olszówki i Brześć, do Madziarowa, do Górnéj Woli, do Ucieszkowa, do Niedzielisk.

Takie życie nie usposabiało do roboty literackiéj, do tego jowialnego i rubasznego stylu, który takim urokiem niewysłowionym zdobi „Pamiętniki.“

Mógł Pasek rozpocząć swoje pamiętniki w latach późniejszych, po usunięciu się z pola spraw wojennych, lecz nie mógł ich ukończyć w epoce, gdy sędziwa jego i skłopotana głowa co chwila narażaną była na rygory starościńskich i trybunalskich dekretów i spokojnego kąta wytchnienia już nie znajdowała.

Nie mogąc bawić się piórem, puszczał się nasz pamiętnikarz na pole czynu, a że niespokojny jego temperament potrzebował ciągłego podniecania, znajdował przeto zadośćuczynienie w swarach z sąsiada-

[1]) Art. Rybarskiego w „Ateneum“ z r. 1878, t. III, str. 172.

mi, margrabią Myszkowskim i panem Wolskim, wynajdując środki pomsty w najazdach, gwałtach i czysto fantazyjnych środkach dokuczania przeciwnikom.

I w tych objawach animuszu i gorącości krwi zdradza się temperament bujny, ognisty, starca Paska, jakim się odznaczał w chwilach, gdy się certował o pierwszeństwo w ścięciu łba Szwedowi, lub gdy obuchem walił w piersi przeciwnika, gdy się pojedynkował z Jasińskim, toczył sprawę gardłową z Gorzkowskim, gdy poskramiał łupiestwa bandy Muraszki, gdy policzkował Mazepę, lub strzelał do Francuzów, odprawujących w Warszawie *theatrum*, gdy będąc śmiertelnie chory zrywał się z łoża boleści i ruszał w drogę do Gdańska.

Wydałoby się dziwném i sprzeczném z dziejami całego żywota pana Paska, gdybyśmy go widzieli na łożu, oddającego ostatnie tchnienie w otoczeniu rodziny, jakby patryarchę, który spędził swój żywot na rozpamiętywaniach...

Jan Chryzostom z Gosławic Pasek, jako banita, odpowiada w fantazyi naszéj temu ideałowi, jakiśmy sobie o owym rycerzu, zawadyace, oratorze, pieniaczu i paliwodzie wypieścili i w niczém nie osłabia tego zaciekawienia, jakie w nas życiem swojém, czynami swemi i niezrównanemi pamiętnikami obudził i w następnych pokoleniach budzić niewątpliwie nie przestanie.

Alexander Kraushar.





FRANCYA PRZY KOŃCU 1890 ROKU.

BILANS POLITYCZNY, EKONOMICZNY i SPOŁECZNY.

Kartki niniejsze nie mają być, w zamiarze piszącego, ani kalendarzem wypadków, należących do historyi ubiegłego roku, ani zbiorem statystycznych danych, odnoszących się do téj doby. Wypadki przytomne są jeszcze pamięci czytelników, statystyka zaś, w dzisiejszym stanie téj nauki, zdaje się nam przedstawiać tyle pewności w obrazowaniu zjawisk ekonomicznych lub społecznych, ile meteorologia w przewidywaniu pogody. Panującą pozostaje tutaj stara formuła kalendarzowa: „stronami deszcz, stronami pogoda". Statystyka uczy nas, iż produkcya pszenicy w Stanach Zjednoczonych zmniejsza się stale od r. 1881; świéżo zaś czytaliśmy cyfry, podług których tegoroczne zbiory w Rosyi europejskiéj przewyższają przeciętną z ostatnich lat kilku. Nie tłómaczy to wcale szlachcicowi naszemu z pod Włocławka, czy z pod Lublina, dla czego sprzedaje on po pięć rubli z kopiejkami swoją pszenicę i dla czego jego sześciokonna maszyna wymłaca tylko ośm do dziesięciu korcy dziennie, zamiast dwudziestu.

Jedném słowem nie mam zamiaru wdawać się w szczegóły. Jedne są zbyt bliskie jeszcze i pozostają własnością kuryerków; drugie wymagają zbyt subtelnéj analizy i należą do przyszłego historyka. Chodzi mi o ogólną charakterystykę mijającego oto momentu w dziejach wielkiego zachodniego społeczeństwa. Moment był ciekawy, a społeczeństwo to, przedstawia osobliwie i wyjątkowo poniekąd ciekawy przedmiot badań. W szerszych niż gdzieindziéj ramach, samodzielna gra czynników życiowych rozwija się tutaj z większą niż

gdziekolwiekbądź swobodą. Zaznaczenie pomiędzy temi czynnikami tych, których rola zdaje mi się najwybitniejszą w zakresie politycznego, ekonomicznego i społecznego życia, i określenie téj roli; nakreślenie niby równoległoboku sił w dynamicznym systemacie, którego natężenie i kierunek stanowią o losach wielkiego narodu i zaznaczenie, w przybliżeniu, możliwéj wypadkowéj, — oto obecne moje zadanie.

I.

Pod względem politycznym, uderza przedewszystkiém oko i dopomina się o zarejestrowanie ubytek, pozorny przynajmniéj, jednego czynnika, należącego do téj sfery. Brakuje jednéj linii w równoległoboku; linii, która oznaczała niegdyś opozycyę monarchiczną w walce z republikańskim porządkiém rzeczy. Była to nawet więcéj niż opozycya. Była to rewolucya wymierzona przeciwko panującemu porządkowi, jak nabite działo, i brzemienna wszelkiemi możliwemi narzędziami zniszczenia, zacząwszy od sojuszu z żywiolami niechętnemi wszelkiemu porządkowi społecznemu, a skończywszy na wojnie domowéj. Była chwila, przed niedawnym czasem, w któréj zdawało się, że działo wystrzeli i Bóg wié, jakie poczyni spustoszenia. Ale czy spaliło na panewce, czy nie znalazł się nikt dość odważny do pociągnięcia za sznurek, dość, że tylko dużo dymu się narobiło. Gdy zaś dym opadł, tam gdzie dopiéro co stały liczne hufce sprzymierzonych przeciwko rzeczypospolitéj zapaśników, zobaczono dwie samotne postacie. Jedna, jakby wycięta z ilustracyi, w któréj genialny Doré przekazał nam wizerunek nieśmiertelnego hiszpańskiego rycerza, zapatrzona na coś w przestrzeni, na wiatrak, na cień cwałującego konia o długiéj, ziemię zamiatającéj grzywie, czy na jakieś inne podobne widmo, machające wielkiemi rękoma i wołające: „*S'il n'en reste qu'un je serai celui-là!*“ Druga jak gdyby naszkicowana ołówkiem Gavarni'ego z heroi-komicznego zastępu tuzinkowych gwardzistów, obnoszących między 1815 a 1849 rokiem legendę napoleońską, wąsata, buńczuczna, ale mimo tego i najwidoczniéj, srodze zakłopotana, oglądająca się w prawo i w lewo, i powtarzająca słabnącym głosem: „Niech żyje... nie wiem kto!...“

Obecnie i to widowisko znikło. P. Deroulède pojechał na wyspę Jersey, i nie wiadomo kiedy i czy powróci. P. de Cassagnac zaś— Cassagnac *ipse*—oświadczył gotowość pojednania się z rzeczpospolitą. Podał projekt kapitulacyi. Rzeczpospolita nie mogła wyglądać zupełniejszego tryumfu. P. de Casagnac, bonapartysta z urodzenia

i z zawodu, gotowym niegdyś się mienił do przyjęcia służby u Hrabiego Paryża przez nienawiść panującego porządku. Dziś przyjąłby fartuch z rąk pana de Freycinet. Kogoż więcéj albo czego obawiaćby się miał panujący porządek?

Jednak przypatrzyć się trzeba bliżéj temu nowemu układowi stosunków.

Pan de Cassagnac nie kapitulował bezwarunkowo. Postawił owszem dwa warunki. Nie obiecał kochać rzplitéj, ale obiecał z n o s i ć j ą, j e ż e l i z e c h c e o n a u c z y n i ć s i ę z n o ś n ą d l a n i e g o i d l a j e g o p r z y j a c i ó ł. Czego zaś trzeba dla osiągnięcia tego założenia? Trzeba dwóch rzeczy:

1) zniesienia inaugurowanego przez rzplitą systematu wychowania publicznego;

2) cofnięcia praw, które uczyniły służbę wojskową obowiązującą dla seminarzystów.

Jak to wygląda?

Wygląda to mniéj więcéj tak, jak gdyby, przypuszczając nowe śmiertelne zapasy między Niemcami a Francyą i zupełne zwycięstwo téj ostatniéj, zwyciężone Niemcy zaproponowały pokój, pod warunkiem, aby nie było mowy o zwrocie Alzacyi i Lotaryngii, ani o wypłaceniu jakiéjkolwiek kontrybucyi wojennéj.

Ależ o to chodziło właśnie i o to toczyła się wojna!

Otóż i między panem de Cassagnac a rzeczpospolitą chodziło właśnie, i tylko, i od początku do końca, o to— czego p. de Cassagnac żąda obecnie od zwycięskiéj rzeczypospolitéj. I dla tego tryumf téj ostatniéj nie jest może tak zupełny jeszcze, jakby się z pozoru zdawać mogło. Walka, która toczyła się w téj stronie, nie była nigdy walką między zaimprowizowaną w roku 1871 formą ustroju politycznego a jakąkolwiek formą monarchiczną. Nigdy; ani na chwilę. Brakowało do tego bardzo wielu rzeczy.

Brakowało najpierw monarchy, kandydata do tronu. Hrabia Chambord był doskonałym kandydatem na papieża — a i to przed Leonem XIII. Hrabia Paryża byłby idealnym prezydentem rzplitéj. Poznano się na tém w Stanach Zjednoczonych. Księcia Napoleona natura stworzyła na wieczystego rewolucyonistę, a młody książę Wiktor okazał znakomite zdolności jako następca tronu w rodzaju księcia Walii. Gdybyż tylko miał matkę siedzącą na tronie! Przez chwilę zdało się strapionym monarchistom, że znaleźli poszukiwany przedmiot, osobę, którąby można posadzić na złoconém krześle pod baldachimem, i któraby nie wzięła tego sprzętu za ambonę, albo za trybunę, albo za huśtawkę, albo za wolterowski fotel do wygodnéj

drzémki. Radość była ogromna, alo krótkotrwała. Pokazało się, że ów młody przedstawiciel królewskiego rodu „uciekający przed bezczynnością bodaj do więzienia“, uciekał — przed narzeczoną. Znalazł sposób *fin de siècle* wyplątania się z matrymonialnych więzów, które mu zbrzydły, i wrócenia do huśtawki.

Ale brakowało także monarchistów. Niejaki hrabia de Vanssay, mieszkający w Wersalu, wyjawił niedawno tajemnicę dwutygodniowego pobytu hr. Chambord pod jego dachem, w r. 1873, podczas gdy opodal, w łonie zgromadzenia narodowego, rozstrzygały się losy jego monarchii. Naglony przez swoich przyjaciół o powrót do kraju, upewniany, iż, byle stanął na ziemi ojczystéj, znajdzie całą armię gotową do wyruszenia za nim w pole i do poprowadzenia go na tron, zapragnął królewski wygnaniec przekonać się naocznie o tém, jak rzeczy stoją i obejrzéć ową siłę zbrojną, czekającą na jego rozkazy. Przyjechał, i po dwutygodniowych oględzinach, powrócił do Frohsdorfu. Myślę do téj pory, iż zrobił dobrze, i mam do tego poważne powody. Nawet osobiste. Było to także w 1873 roku. Po dobrém śniadaniu w jednéj z bulwarowych restauracyi, siedzieliśmy w kilku przyjaciół, rozprawiając gorąco o najbliższych konjunkturach politycznych: ja, dwóch czy trzech paryżan i trzech czy czterech przybyszów z prowincyi. Wszyscy, oprócz mnie, zapaleni legitymiści, i wszyscy pełni najlepszéj otuchy, mimo odwlekającego się ciągle spełnienia ich nadziei. Tym razem bowiem oczekiwanie nie miało być już długie. Nadeszła oczywiście pora wielkich wypadków. Zeszłego zresztą tygodnia Najświętsza Panna pokazała się — po raz dziesiąty czy któryś—w jakiejś wiosce bretońskiéj, i zapowiedziała— po raz dziesiąty także — rychły wjazd prawego króla do swojéj stolicy. Niektórzy widzieli nawet białego konia (tym razem koń był biały), którego dosiąść miał monarcha. W domach dobrze myślących zarządzono z tego powodu post dwutygodniowy, z suchotami w każdą środę. Brakowało tylko, w danéj chwili, małego *coup de main*, dla wymiecenia republikańskich śmieci. Ale od tego był generał ze swojém wojskiem.

— Jaki generał? z jakiém wojskiém?

— Jakto? nie wiész! A to paradne! Powinieneś wiedzieć. Powinieneś nawet, Bogiem a prawdą, być z nami. Słuchaj, zaprowadzimy cię do generała i wpiszemy cię do kadrów— ma się rozumiéć do oficerskich. Będziesz w sztabie, jak my wszyscy.

— Ależ nie mam pojęcia o komendzie!

— To nic nie szkodzi. Masz krew w żyłach, to i dosyć.

Mistyfikowano mnie oczywiście. Aby więc położyć koniec żartowi, rzekłem rezolutnie:

— Chodźmy do generała.

Kwadransem później znalazłem się w izbie przedstawiającéj wygląd pospolitego biura z rzędami pudeł tekturowych, sięgających pod sufit. Przy stole dwóch ichmościów pracowało nad stosem papierów. Po chwili wszedł mężczyzna w sile wieku, o żołnierskiéj postawie, z twarzą energiczną, przypominającą spopularyzowane owocześnie i sympatyczne rysy generała de Charette. Ręce trzymał w kieszeniach, a w ustach pospolitą fajkę (*brule-gueule*) o krótkim cybuszku. Zdawało się, iż dopiéro co wrócił z jakiegoś obozowiska, albo właśnie się tam wybierał.

— *Le général!*

Zmierzył mnie szybko wzrokiem, przywitał uprzejmie, wydał półgłosem jakiś do mnie widocznie odnoszący się rozkaz jednemu z zatrudnionych przy stole ichmościów i wyszedł.

— *Ça y est!* — oświadczył uroczystym tonem jeden z moich towarzyszów, i zabraliśmy się do wyjścia.

Mistyfikacya przybierała nieprzewidziane przezemnie rozmiary. Ale było to, jak powiedziałem wyżéj, po dobrém śniadaniu i w otoczeniu dobrych przyjaciół, z którymi niezbyt dawno jeszcze siadywałem na ławie szkolnéj. Za tych więc okoliczności sprawą, po kilku tygodniach byłem już zapomniał o całéj téj przygodzie, gdy nazwisko generała de Charette, wygłoszone w jednym z salonów przedmieściowych przez kamerdynera, stojącego przy drzwiach, zwróciło moją uwagę. Był to on sam, ten, którego widziałem w owém biurze o tekturowych pudełkach. Tylko bez fajki w ustach. Przypuściłem z razu, że mnie nie poznał, dość obojętnie bowiem odpowiedział na mój ukłon. Tém większe też było moje zadziwienie, gdy przechodząc nieco późniéj koło mnie, rzucił mi nieznacznie te słowa:

— *Vous aurez bien tôt sans doute de mes nouvelles.*

I znowu minęło kilka tygodni, po których jednego wieczora, a raczéj jednéj nocy, zwaliła się do mojéj skromnéj kawalerskiéj kwatery trójca niespodziewanych gości. Byli to moi znajomi z prowincyi. Radość promieniała z ich twarzy.

— Wiesz? Wybiła godzina. Czy otrzymałeś sygnał? Nie? To otrzymasz jutro albo pojutrze. *On* jest w Wersalu!

— Jaki sygnał?

— Bilet wizytowy generała. To znak umówiony, po którym masz być w pogotowiu. Ruszymy do Wersalu, rozpędzimy tych trutniów ze zgromadzenia narodowego i wrócimy z *Nim* do Paryża.

Dziś jeszcze potrzebuję wzmocnić ufność, jaką żywię do mojéj przytomności umysłu i do swojéj pamięci, aby przekonać samego siebie o tém, że te wspomnienia nie odnoszą się do jakichciś sennych widziadeł, czy do wrażeń wyniesionych z jakiejś offenbachowskiéj operetki. Ale zachowałem bilet wizytowy generała, który dostał się istotnie do rąk moich w przewidzianym czasie. I nie przyśnił mi się z pewnością doskonały, choć dla większéj liczby biesiadników goryczą zaprawiony obiad w gościnnym domu hr. de Vanssay, na którym to obiedzie skończyła się projektowana wyprawa. Hrabia Chambord opuścił był już Wersal i Francyę kilkoma dniami pierwéj, po rozpatrzeniu się w rozporządzalnych kadrach swojéj armii. I powtarzam: zdaje mi się, że zrobił dobrze.

A jednak w owych kadrach mieścił się jeszcze ostatni kontyngens prawdziwych monarchistów z krwi i ducha. Hrabia Paryża i takiéj nawet armii nie miał nigdy na swoje rozkazy. Z tych sztabowców generała de Charette, których znałem, jeden służy dziś Don-Carlosowi, drugi zgłosił się do mnie przed dwoma czy trzema latami, jako marszałek dworu, czy minister spraw zagranicznych, jego królewskiéj wysokości księcia Normandyi — Naundorffa. Reszta zapomniała już podobno o wszelkiéj służbie. W ciągu świeżéj, na tle bulanżystowskiego *qui pro quo* przeprowadzonéj kampanii, monarchia znalazła jednego tylko poplecznika gotowego do wszelkich usług i do wszelkich hazardów — w osobie pana Artura Mayera. A i ten przesiadł się niebawem na innego konia. Nie zdoławszy narzucić Francyi tych rządów, które ją uszczęśliwić miały, obejrzał się za innném narzędziem narodowéj pomyślności — i trafił na pana Mary-Renaud. P. Mary-Renaud, poseł z prawicy i dyrektor banku państwowego (*Banque d'Etat—sic!*), płacił 30% osobom powierzającym mu swoje fundusze i wnosił 300 franków dziennie do kasy dziennika „*Gaulois*“ za każdodzienną reklamę, czynioną jego finansowym przedsięwzięciom. Trwało to coś dziewięć czy więcéj miesięcy, po upływie którego to czasu p. Mary-Renaud siadł do brukselskiego czy innego pociągu, i nie pokazał się więcéj.

Aby jakikolwiek monarcha mógł otrzymać koronę a wielki naród przeznaczoną sobie formę bytu z rąk pospolitych rzezimieszków téj kategoryi, o tém myśléć chyba nie można, nawet przy końcu XIX stulecia. Ale też, wracając do postawionego wyżéj założenia, nie o to chodziło i nie o to chodzi dziś jeszcze.

O co chodziło i o co chodzi, to zostało wypowiedziane przed kilkunastu już laty przez jedynego męża stanu, któremu 3-a rzeczpospolita wystawiła pomnik, i słusznie, on jeden bowiem wcielić potrafił

w siebie jéj ducha i dźwignąć się do intuicyjnego być może (bo u niego wszystko było intuicyą), ale jasnego sformułowania jéj przeznaczeń. Sławny frazes: „*Le cléricalisme voilà l'ennemi!*“ był zaiste czém innéni w ustach Gambetty, niż prostém hasłem wojennén, zaimprowizowaném na placu boju śród zgiełku morderczych zapasów. Było to słowo wielkiego programu, który narzucił się republikańskiemu porządkowi z dniem jego ustalenia się, którego nie wyrzekł się on dotąd, i którego nie wyrzeknie się prawdopodobnie jutro. Jutro bowiem, tak jak wczoraj, stanowić on będzie jego jedyną racyą bytu.

Każdy nowy, czy odnowiony, porządek polityczny i społeczny potrzebuje przynieść z sobą jakiś nowy, czy odnowiony wątek, niby lejt-motyw inaugurowanego przez się, czy wskrzeszonego nastroju politycznego i społecznego. Rządy restauracyjne wskrzesiły swojego czasu część przynajmniéj staréj monarchicznéj tradycyi, aż rozpędzone w tym kierunku, stoczyły się do przepaści. Monarchia lipcowa obmyśliła formułę zwycięskiéj plutokracyi: *enrichissez vous!* Drugie cesarstwo pchnięte zostało dziejowym fatalizmem do pokuszenia się o objęcie w spadku po pierwszém i utwierdzenie, w orężnym z Europą zatargu, politycznéj w Europie hegemonii. Po Sedańskim pogromie, śród znękanego materyalnie i moralnie, wycieńczonego i rozprzężonego społeczeństwa, trzecia rzplta nie mogła myśléć o niczém podobném. Instynkt zachowawczy jednak wskazywał jéj potrzebę obmyślenia, dla otwiérającego się przed nią zawodu, jakiéjś żywotnéj treści, a warunki dziejowego rozwoju, nad któremi nie miejsce zastanawiać się tutaj, podsunęły jéj tę treść w programie sformułowanym przez wielkiego trybuna, w walce o wyzwolenie społeczeństwa z więzów kościelnéj hierarchii i duchownego nad umysłami i duszami panowania. Historya téj walki jest historyą 3-éj rzpltéj. Kolejne zapasy téj ostatniéj z odnawiającemi się ciągle przeciwnikami są tylko epizodami jednego i tego samego wielkiego pojedynku z jednym i tym samym przeciwnikiem, zmieniającym szyk, rynsztunek i barwy na proporcu. Legitymizm, orleanizm, porządek moralny, bulanżyzm były to tylko narzędzia wojenne. I dlatego p. de Cassagnac może wyrzec się hr. Paryża, tak jak był się wyrzekł Napoleonidów, ale nie wyrzeka się—seminarzystów. I dlatego walka nie zdaje mi się skończoną, ani bliską końca. Dzień jutrzejszy odnowi ją prawdopodobnie w innéj formie. W kraju, gdzie żołnierz bez chwały i bez zasług mógł stać się przez dwa lata bożyszczem mas, nie trudno będzie o nową chorągiewkę.

A kardynał Lavigerie? Kardynał Lavigerie jest wielkim dostojnikiem kościoła i wielkim działaczem kościelnéj propagandy —

w Afryce. Kardynał Lavigerie jest biskupem Algieru i Kartaginy, nie zaś Paryża, czy Marsylii, a to ma całkiem odmienne znaczenie. Francya tutejsza i Francya kolonialna, to są dwie Francye. Gambetta, który wszystko rozumiał, choć umiał niewiele, zrozumiał to dobrze, mówiąc, że „anty-klerykalizm nie jest artykułem na eksport.“ Państwo i kościół są tu, we Francyi, dwoma potęgami, które od wieków już, od czasów Ryszeliego, jeżeli nie wcześniéj jeszcze, plecami się do siebie obróciły i poszły każda swoją drogą. Tam, w Afryce czy w Azyi, obie mają tylko jedną drogę. Tutaj, odosobnione w odrębnych sferach swojéj działalności, spotykają się one tylko w zakresie publicznego nauczania, i walczą na tém polu, i walczyć muszą, i walczyć będą, dopóki jedna z nich nie odniesie stanowczéj przewagi. Tam spotkanie jest ciągłém, nieuniknioném na każdém kroku i walka staje się niemożliwą dla obu Kardynał Lavigerie, który był swojego czasu legitymistą, dopóki był we Francyi, i więcéj zapalonym i więcéj wojowniczym, i więcéj przedsiębiorczym od innych, bo miał zawsze temperament gorący, kardynał Lavigerie nie dowiedział się podobno nawet w Afryce o tém, że bulanżyzm istnieje. Bo bulanżyzm, w którego zawodzie czarne sutanny odegrały wybitną, jeżeli nawet nie kierowniczą rolę, nie był także artykułem na eksport. Kardynał Lavigerie nie jest na afrykańskiém wybrzeżu tylko głową kościelnéj hierarchii i naczelnym pasterzem dusz, jest on także, od Algieru do Tunisu, szefem i kierownikiem kolonialnych, rolniczo-przemysłowych przedsiębiorstw, które zajmują tysiące rąk i obracają setkami milionów. Natura pchała go do takich przeznaczeń. Przed laty, będąc skromnym biskupem w Nancy, otwiérał on zakład dla studentów uczęszczających na miejscowy uniwersytet. Była to oryginalna instytucya, trzymająca pośrednie miejsce między klasztorem a knajpą. Pomysł miał wątpliwą wartość i wywdzięczał się wątpliwemi, bądź moralnemi, bądź materyalnemi rezultatami, ale zapowiadał odrębne umysłowe dążności. Dziś, mnożące się pod kierunkiem kardynała zakłady „Białych ojców“ afrykańskich, pośredniczą także, z lepszym podobno skutkiem, między cichą sferą kontemplacyjnego życia, a ruchliwą sferą warsztatów...

Ale to wszystko nie ma żadnego możliwego zastosowania we Francyi saméj.

Bez orleanizmu więc i bez bulanżyzmu, tak jak pierwéj bez legityzmu i prawie bez bonapartyzmu, sytuacya pozostaje tutaj tą samą; z tą jednak różnicą, że panujący porządek stwierdził raz jeden jeszcze swoję siłę, i nietylko rozbroił swojego przeciwnika, ale utrudnił mu dalsze uzbrojenia, wyrzekając się zbyt skrajnych dążności, które

mu dawały pierwéj broń do ręki. Co znowu stało się następstwem naturalnéj kombinacyi, która wprowadziła większość radykalnych, rewolucyjnych żywiołów z ich specyficznemi skłonnościami, narowami i tendencyami, do uzbrojonego przeciwko rzpltéj obozu. Mówimy, iż kombinacya ta była naturalną, ponieważ każdy obóz, występujący przeciwko instytucyom, mającym za sobą (zwłaszcza tu we Francyi) dwadzieścia lat istnienia, musi być *eo ipso* rewolucyjnym. I na odwrót, instytucye te, przez to samo, że dbają o zachowanie własnego bytu, są w rzeczy saméj zachowawczemi. Trzecia rzplta jest już dziś zachowawczą, podług przepowiedni Thiers'a, choć może nie zupełnie po jego myśli. Jest nią o tyle, o ile na to pozwala jéj zasadniczy program, i być nią bardziéj nie może w tym kierunku. Świeże rozprawy w izbach i odnowione tryumfy zapomnianego Brissona przeciwko kongregacyom wykazały to wymownie. Trzecia rzplta nie pójdzie do Canossy; ale poszła już z panem de Freycinet do Akademii francuskiéj. To także coś znaczy.

II.

W dniu 10-ym stycznia, w drugim tygodniu rozpoczynającego się roku, otwartemi zostaną podpisy na nową 870-milionową pożyczkę 3-éj rzpltéj. Fakt to wybitny w ekonomicznych dziejach tego okresu. Pożyczka ta, długo odraczana, wielokrotnie zaprzeczana, stała się nareszcie rzeczywistością i koniecznością nieuchronną—na przekór wszelkim parlamentowym oświadczeniom i wyborczym protestacyom. Po dwudziestoletnim pokoju, kraj ten, najbogatszy może w Europie, nie jest w stanie sprostać swoim wydatkom bez peryodycznego odwoływania się do kredytu publicznego. W tym względzie wszystkie republikańskie ideały oszczędnego, z tradycyą monarchicznéj rozrzutności zrywającego gospodarstwa, rozbijają się o kategoryczne: *non possumus*, w formie nieubłaganego, niczém zażegnać się nie dającego deficytu. W języku urzędowym wprawdzie, nowa ta pożyczka nie nosi nazwy pożyczki. Jest to tylko konsolidacya krótkoterminowych skarbowych zobowiązań; zastąpienie jednego już istniejącego długu drugim długiem, mniéj uciążliwym. Towarzyszy zaś téj operacyi wielka reforma finansowa, która wskazuje właściwy charakter mającéj się dokonać emisyi, charakter likwidacyjnego obrachunku, zamykającego stanowczo otwartą od lat dwudziestu księgę pożyczek. Tą reformą jest zniesienie dotychczasowego budżetu nadzwyczajnego i wcielenie należących doń, a, wedle możności, ograniczonych wydatków do odpowiednich rubryk w wydatkach zwy-

czajnych. Budżet opracowany na rok 1891-szy jest budżetem jednolitym.

Wielka reforma ani słowa, i obiecująca—na papierze. Ale i tu przypatrzéć się trzeba rzeczom bliżéj. Otóż najpierw, nawet na papierze, cyfry tego ujednostajnionego budżetu nie odpowiadają zbliska jego pozornym założeniom. Składa się on z samych zwyczajnych wydatków, ale tych zwyczajnych wydatków nie równoważą same zwyczajne dochody. Widać bowiem, po stronie czynnéj, cyfrę 27,174,981 fr., która pochodzi z innego źródła, z „wyjątkowych rozporządzalności", podług urzędowéj eufemistyki, inaczéj mówiąc— z pożyczki. Drobna to zapewne kwota, stosunkowo, nie mniéj przeto jéj obecność jest charakterystyczna. Bez téj, jakkolwiek małéj, podpory, budżet 1891 roku nie stałby na nogach. Ale na tém nie koniec. Historya wszystkich, bez wyjątku, budżetów 3-éj rzpltéj uczy nas, że ostateczny ich bilans odbiegał zawsze bardzo daleko od ich preliminarzy. Sprowadzały zaś te następstwa dodatkowe kredyty, stale uchwalane w ciągu roku dla sprostania ujawniającym się stale dodatkowym potrzebom. Trafiała się zawsze jakaś konieczność powiększenia lub przekształcenia istniejących uzbrojeń, za przyczyną podjętych w sąsiedztwie powiększeń lub przekształceń, albo zasilenia wystawionéj na szwank gałęzi narodowego przemysłu; albo po prostu nawet dogodzenia partykularnym interesom reprezentowanym przez tę lub ową grupę polityczną. Na wniosek rządu, czasem bez takiego wniosku, czasem nawet wbrew wnioskom i napomnieniom pochodzącym z téj strony, strona bierna bieżącego budżetu obciążała się tym sposobem nieprzewidzianém brzemieniem dziesiątek, czy nawet setek milionów; poczém rzeczą skarbu było dać sobie radę z tym ciężarem. Skarb dawał sobie radę tak czy owak. Kiedy nie mógł inaczéj, uciekał się do krótkoterminowych zobowiązań, o których spłacenie chodzi obecnie — za pomocą pożyczki. I tak rzeczy szły z roku na rok. Aby rok rozpoczynający się obecnie odbiedz miał w tym względzie od tradycyi, przekazanéj przez lata poprzednie, trudno spodziéwać się. Témbardziéj, że likwidacya dawniejszych bieżących rachunków otwiéra właśnie wrota przyszłym niespodziankom. Spłacone bony skarbowe ustępują przez to miejsca innym, i tak daléj, aż do nowéj likwidacyi, to jest do nowéj pożyczki.

W tym względzie nie masz tutaj, między ludźmi poważniéj na rzeczy patrzącymi, żadnéj różnicy zdań i żadnéj iluzyi. Różnemi są natomiast konkluzye wyciągane z tych stosunków, odnośnie do ekonomicznéj przyszłości kraju wprowadzonego na taki gościniec, bez możmożności wydobycia się zeń na inną drogę. Zdaniem jednych, gości-

niec ten jest drogą do nieuniknionego bankructwa, do bankructwa panującego porządku politycznego, albo nawet samego społeczeństwa. Ma się rozumieć, w przekonaniu (mniéj lub więcéj szczerém) nieprzyjaciół 3-éj rzpltéj, bankructwo grozi jéj jednéj tylko, krajowi zaś jedynie o tyle, o ile zechce on zachować obecne swoje rządy. Rządy monarchiczne położyłyby odrazu koniec téj rujnującéj gospodarce finansowéj. Jakim sposobem? Zmieniając systemat, którego ta gospodarka jest następstwem. Rzeczpospolita kosztuje drożéj niż jakakolwiek monarchia, bo robi mnóstwo rzeczy, których nie robiły monarchie i robi je źle. Wydatek jest wielki, zysk mały, albo żaden. Rzeczpospolita wybudowała np. i utrzymuje mnóstwo szkół, które po większéj części stoją pustkami, o ile zaś nie stoją pustkami, o tyle przyczyniają się do wytworzenia wykształconego proletaryatu, który staje się plagą społeczeństwa, zbiorowiskiem malkontentów, awanturników, albo gorzéj jeszcze Eyraud'ów i Marchandon'ów. Aby sobie radzić z tym niebezpiecznym żywiołem zmuszoną jest rzeczpospolita pomnażać rozporządzalne w jéj rękach posady, więc podwajać, a nawet potrajać liczbę urzędników w biurach, więc rzucać się w przemysłowe przedsiębiorstwa, więc powiększać nakłady, które pozostają bezowocnemi. Jest to błędne koło, i rzeczywista przyczyna budżetowych niedostatków.

Ma się rozumiéć także, obrońcy panującego porządku nie uznają słuszności tych uwag, i znajdują wymowny przeciwko nim argument w samym rozkładzie ciężarów finansowych, do których się one odnoszą. Oto np. w budżecie, obecnie wprowadzonym na porządek dzienny, cyfra ogólnych wydatków wynosi olbrzymią sumę 3,164,881,549 fr.; ale w téj cyfrze właściwe wydatki administracyjne, odpowiadające potrzebom gospodarstwa krajowego, przedstawiają zaledwie jedną piątą ogólnego rozchodu: 648,638,416 fr. Tyle i nie więcéj kosztują pod rządami rzplitéj handel i przemysł, roboty publiczne, zarząd sztuk pięknych, rolnictwo, poczty, telegrafy, finanse, władze państwowe, kolonialne biura—i wychowanie publiczne. Niechby więc nawet inne rządy jakiekolwiek potrafiły ująć cośkolwiek z téj piątéj części ogólnego każdorocznego rozchodu skarbowego. Byłaby to w każdym razie drobnostka, w obec reszty, z któréj nie może być mowy o ujęciu, pod jakiemikolwiek rządami, jednego centyma. Z czego bowiem składa się ta reszta? Z odsetek płaconych wierzycielom państwa: 1,271,745,385 fr. Te przecież obowiązują rząd każdy! Z wydatków na armię: 675,729,040 fr. i na marynarkę: 209,563,781 fr. Tych uszczuplić nie podjąłby się chyba hrabia Paryża! Pozostaje 337,516,427 fr. na koszta poboru podatków i dochodów publicznych, i saldo: 21,688,500 fr. na pokrycie uvertów i niedoborów.

Jeżeli więc Francya rujnuje się w rzeczy samej, tedy za przykładem innych, bynajmniej nie-republikańskich państw w Europie, ulega tylko dziejowemu fatalizmowi, pchającemu ją razem z niemi do otchłani, której zmierzyć okiem niepodobna. Jest to w ramach całego życia europejskiego ogólny kryzys, którego nazwą może być: proces rozkładowy, a kresem upadek staréj naszéj cywilizacyi, marnującéj pracę swoję i dorobek minionych pokoleń na nieprodukcyjne nakłady, w obec zwycięskiéj konkurencyi nowych światów.

Dwoisty ten sposób widzenia rzeczy ma jedną wspólną cechę, którą jest wspólny pesymizm obu spierających się z sobą poglądów. Wspomnieć jednak godzi się jeszcze o innych hypotezach, do których daje powód określona wyżéj sytuacya, a które, przynajmniéj w pojęciu swoich zwolenników, przedstawiają sens mniéj ujemny. Podług jednéj z tych hypotez, to, na co patrzymy obecnie, w zakresie ogólno-europejskich stosunków ekonomicznych i finansowych, nie byłoby koniecznem przygotowaniem jakiegoś kataklizmu społecznego same ruiny zostawić mającego po sobie, ale raczéj prostą fazę powolnéj ewolucyi, zmierzającéj do radykalnego, ale niekoniecznie zabójczego przeto, przekształcenia organizacyi społecznéj. Za sprawą różnorodnych czynników dziejowych, nowożytne państwa europejskie stały się niby pompami tłoczącemi i ssącemi, których potęgujące się ciągle działanie pochłania coraz większy procent ogólnego zarobku i dorobku społecznéj pracy i społecznego kapitału. We Francyi saméj, skapitalizowana w ten sposób przez państwo część fortuny publicznéj, wynosi obecnie w przybliżeniu 50 miliardów: około 27,5 miliardów w rentach stanowiących dług publiczny; około 2,5 miliardów (2,683,595,803 fr. w dniu 31-ym grudnia 1889 r.) w depozytach państwowych kas oszczędności; i około 20 miliardów w dobrach, monopolach i przedsiębiorstwach przemysłowych, eksploatowanych bezpośrednio przez państwo, których dochód w preliminarzu budżetowym na rok 1891 sięga 746,379,451 fr. Wszystkie zaś dane wskazują, iż rozwinięta na téj drodze absorbcyjna działalność machiny państwowéj nie zatrzyma się. Przymuszone do ciągłego zadłużania się i do ciągłego odkrywania nowych środków dochodowych, dla sprostania przyjmowanym przez się zobowiązaniom, państwo nietylko pompować będzie daléj rozporządzalny kapitał społeczny, ale przymuszonem zostanie do coraz szerszego zagarniania samych źródeł społecznéj wytwórczości. Do posiadanych już przez nie monopolów przyłączą się inne. Po telegrafach i pocztach, koleje; po przemyśle tabacznym, przemysł wódczany; późniéj zapewne cukrownictwo, i z kolei wszystkie gałęzie krajowego gospodarstwa przejdą w jego ręce. Przewidzieć więc daje się

czas, w którym, tu we Francyi i gdzieindziéj, państwo pozostanie jedynym kapitalistą i jedynym właścicielem, — a wtedy urzeczywistnioną się okaże wielka utopia, pieszczona od wieków w paradoksalnych z pozoru marzeniach samotnych myślicieli, i wielki zatarg między kapitałem a pracą, wstrząsający podwalinami dzisiejszéj organizacyi społecznéj, weźmie koniec.

Inaczéj mówiąc, słowo socyalistycznego *credo* nowych i prastastarych czasów, od Platona do Karola Marx'a, nie zapominając o Morusie, stanie się ciałem.

A oto druga hypoteza, wskazująca inną drogę do tego samego mniéj więcéj celu. Obok stałego powiększania się długu publicznego, to jest skapitalizowanéj w rękach państwa fortuny publicznéj, charakterystyczném zjawiskiem bieżącéj epoki jest także stałe obniżanie się stopy procentowéj we wszystkich krajach. A przeto możliwym jest także do przewidzenia ostateczny kres tego zniżkowego ruchu, po za którym, tracąc wszelką wydajność, kapitał pozbawi się wszelkiéj wartości. Tém samém wytwórczość społeczna, gnieciona przekazywanym jéj z pokolenia na pokolenia i piętrzącym się na jéj barkach ciężarem, odzyska sprężystość i energię sił swoich, i walka żywiołów, tocząca się w jéj łonie, zażegnaną zostanie także — przez zneutralizowanie jednego żywiołu.

Są tu bardzo poważne i trzeźwe umysły, nawet w sferze fachowego ekonomicznego, czy finansowego uzdolnienia i praktycznéj w tym kierunku działalności, którym ostatnie te hypotezy poufałemi się stały. Rozumowania i rachuby oparte na ich podstawie, odnajdują się nierzadko w ustach giełdowego spekulanta, albo przemysłowca. Dlatego téż dałem im tutaj miejsce. Zresztą bowiem znajduję w przyswojeniu ich własnemu umysłowi trudności wielkie.

A najpierw, sytuacya obecna, bądź finansowa, bądź ekonomiczna w ogólności, nie zdaje mi się, w tutejszym zwłaszcza kraju, nakłonioną ani do żadnego przewidzieć się już teraz dającego przewrotu istniejących społecznych stosunków, ani do żadnéj bliskiéj czy odległéj nawet, ale nieuchronnéj katastrofy. Skarb tutejszy, tak jak wszystkie mniéj więcéj skarby w Europie, zadłużył się wprawdzie mocno i zadłuża się jeszcze i żyć nie może, w dzisiejszym składzie okoliczności, bez dalszego zadłużania się; ale jest to stara historya tutaj i gdzieindziéj.

„Nowa choroba rozprzestrzeniła się w Europie, opanowała naszych monarchów i zniewala ich do utrzymania nierozsądnéj liczby wojsk... Skoro tylko które państwo powiększy swoją siłę wojenną, inne natychmiast naśladują je w tym względzie, tak że nie ma stąd

żadnego zysku, prócz zobopólnéj winy. Każdy monarcha trzyma pod bronią tyle wojsk, ileby ich mógł mieć, gdyby niebezpieczeństwo istotne zagrażało jego ludom, i ten stan wysilenia wszystkich przeciwko wszystkim nazywa się pokojem.“

Kto to pisze? Jakiś spółczesny nam publicysta, kreślący obraz „zbrojnego pokoju“, którego dobrodziejstwami cieszy się Europa od lat dwudziestu? Nie. Słowa są Monteskiusza w księdze XIII-éj, rozdziale XVII-ym „Ducha Praw.“ Owoczesna Europa, Europa z pierwszéj połowy XVIII-go wieku, mało, jak widzimy, różni się od dzisiejszéj. Skąd wynika, że Europa owoczesna żyje już także systematem pożyczek. We Francyi Ludwik XIV-ty zostawił, umiérając, 2,600,000,000 fr. długu. Dług ten umorzył się w znacznéj części pod rządami jego spadkobierców drogą najprostszą, — kategoryczną odmową wypłaty. Jednak w połowie XVIII-go stulecia odsetki płacone przez skarb wierzycielom państwa wynoszą jeszcze 63,865,722 fr., i wzrastają ciągle, za przyczyną nowego peryodycznego odwoływania się do kredytu publicznego. W Anglii tak samo, i w Austryi, i w Rosyi nawet, z dniem, w którym państwo to wciągniętém zostaje na widownię wielko-europejskiego życia politycznego. W roku 1796-ym, w chwili śmierci Katarzyny II-éj, rachunek banknotów wypuszczonych podczas jéj panowania wynosi 137,700,000 rs., rachunek zaś pożyczek, zaciągniętych w kraju i zagranicą, 126,196,556 rs. [1]). Wyjątek stanowią Prusy pod rządami Fryderyka II. Ten nie pożycza, ani też nie wypuszcza asygnatów i z 17-tu milionami talarów rocznego dochodu, dobytemi z najuboższego kraju w Europie, utrzymuje 160,000 żołnierza, gromadzi zapasowy fundusz 60 milionów. Jest to arcydzieło chwilowe osobistego geniuszu. W roku 1795-ym, w dziewięć lat po zgonie wielkiego monarchy, fundusz zapasowy znikł i zastąpiony został 24 milionami talarów długu. Po pokoju Bazylejskim z biedą wytargował Struensee we Frankfurcie premiową-loteryjną pożyczkę w sumie pięciu milionów florenów, która nie okazuje się jeszcze wystarczającą dla zaspokojenia domowych nawet potrzeb bieżących, cóż dopiéro dla utrzymania się na wyżynie wielkiéj europejskiéj roli [1]). Jedynym prawdziwym i stałym wyjątkiem w owoczesnéj Europie jest Polska, która nie ma długów, ale też nie ma wojska.

Owóż sąsiadujące z nią, zbrojące się i na swe uzbrojenia rujnu-

---

[1]) Bloch, „Finanse Rosyi“, I, 25—44.

[2]) Ob. Waliszewskiego, „Polska i Europa w drugiéj połowie XVIII wieku, str. 158—161.

jące się jakoby państwa, nietylko nie ubożeją, ale rosną owszem w zamożność i dobrobyt. Najwięcéj zadłużone, jak Francya i Anglia, największe czynią postępy w tym kierunku. Czém się to dzieje? Zapewne ogólném natężeniem sił społecznych, w téj walce o byt, która jest może koniecznym warunkiem życia naszego i rozwoju na téj ziemi. Owóż jeszcze wszystko przemawiać się zdaje za wnioskiem, iż ta sama koléj ujemnych z pozoru założeń, a dodatnich w rzeczywistości rezultatów powtarza się za dni naszych. We Francyi zwłaszcza jest to widocznem. Wymownéj w tym względzie wskazówki dostarcza świéżo ogłoszony bilans wspomnianych wyżéj kas oszczędności za rok 1889-ty. Od roku 1882-go wprawdzie, za sprawą ogólno-europejskiego przesilenia ekonomicznego, pewien zastój objawił się w ruchu funduszów napływających do tego wielkiego zbiornika. Jednak całość wkładów jednorocznych, która wynosiła w roku 1881-ym 448,886,207 fr., sięga w roku 1889-ym zdwojonéj prawie cyfry 765,554,407 fr. Olbrzymiéj téj sumie odpowiada wprawdzie poważna suma 664,827,390 fr. wycofanego jednocześnie kapitału. Ale dowodzi to tylko wielkiéj intesywności w obrotach, z których wywiązuje się kapitalizowany w ten sposób dorobek społeczny. Miliony, a nawet jak dziś miliardy, należące do tego departamentu fortuny publicznéj, stanowią właśnie, w większéj połowie, kapitał obrotowy najmniéj zamożnych stosunkowo klas społecznych, którego część tylko, odpowiadającą osiągniętéj przewyżce dochodów i zysków nad wydatkami i nakładami, kapitalizuje się ostatecznie i powiększa fundusz rezerwowy, gromadzący się w kasach. Mówimy: „fundusz rezerwowy“; albowiem nawet dla tych klas społecznych, które tworzą stałą klientelę kas oszczędności, kasy te są, tu we Francyi, najpewniejszą tylko, ale bynajmniéj nie jedyną l o k a t ą kapitalizowanego grosiwa. Kładzie się tu chętnie grosz zapasowy, niezbędny na czarną godzinę, ale kupuje się także chętnie i, czasem niestety zbyt ryzykownie, rozmaite akcye i obligacye przemysłowych przedsiębiorstw. Olbrzymi krach Panamski nazwany został „krachem odźwiernych paryskich.“ Dlatego nawet podobno nie wywołał on żadnego prawie wstrząśnienia na rynku pieniężnym, że dotknięte nim przeważnie zostały dolne ludowe warstwy. Wypróżniły się bawełniane pończochy, gdzieś w niedostępnych dla oka kryjówkach — i już zapewne zapełniły się znowu od téj pory mrówczą pracą i heroicznemi wysileniami ich właścicieli.

Ta mrówcza praca, ta drobiazgowa skrzętność i ta cząstkowa zamożność mas stanowi właśnie, w dzisiejszéj Francyi, zjawisko, dzięki któremu kraj ten może patrzyć w przyszłość pewniejszém, niż inne, okiem. Kiedy w Anglii rozpadają się kolosalne fortuny poje-

dyńczych milionerów w obec rozszerzającego się proletaryatu, rosną tutaj miliony małych względnie, ale liczbą swoją potężnych fortun. Liczba książeczek wydanych przez kasy oszczędności pod datą 31 grudnia 1889 r. wynosiła 5,538,638. Czyli że kapitalistami, bez mała, są wszyscy ojcowie rodzin w tym kraju!

Jaką jest ogólna cyfra kapitału rozproszonego tym sposobem na wszystkich piętrach społecznego gmachu, tego domyślać się nie chcę. Statystycy mówią o 300-tu miliardach. W każdym razie wnoszę z wszystkich wyżéj wskazanych, a wątpliwości żadnéj nie podlegających danych, iż przyrost tego kapitału szybszy jest od wzrostu ciążącéj na nim hypoteki państwowych zobowiązań, a tém samém ani wyczerpanie tego kapitału, to jest bankructwo, ani jego pochłonięcie to jest skapitalizowanie fortuny publicznéj w rękach państwa, nie zdaje mi się, w odległéj nawet przyszłości, ewentualnością prawdopodobną.

Co się zaś tyczy zniżkowego ruchu w skali procentów, sądzę, iż obawy wywołane tém zjawiskiem tutaj i gdzieindziéj, oraz wnioski zeń wyprowadzane, którym dałem wyżéj echo, wynikają z niedostatecznéj znajomości zasad stwierdzonych przez naukę ekonomii i doświadczeń, dostarczonych przez historyę. Bo i tu mamy do czynienia ze staremi dziejami. Niewątpliwie, wbrew wnioskowi, do którego skłaniał się Ricardo [1]), istnieje między obfitością kapitałów a ich oprocentowaniem zależność konieczna; ale tak konieczną i ścisłą jest właśnie ta zależność, że jest ona wzajemną, i że o ile napływ kapitałów obniża stopę procentową, o tyle obniżanie się stopy procentowéj tamuje napływ kapitałów. I to w sposób bardzo prosty. Celem wszelkiéj oszczędności, to jest wszelkiego kapitalizowania, może być tylko zysk (którego obietnicę daje grosz oszczędzony), to jest procent od kapitału. W miarę, jak ten zysk zmniejsza się, zmniejszać się musi także pochopność do ofiar przezeń wywołanych, to jest oszczędność, to jest kapitalizowanie. Tym sposobem wytwarza się i utrzymuje się między dwoma czynnikami pewna równowaga. Równowaga ta byłaby nawet stałą i wieczystą, gdyby oba czynniki nie były zawisłemi od innych jeszcze drugostronnych wpływów, za których sprawą ich stosunek ulegać może i ulega rozmaitym odstępstwom od naturalnéj normy. Może np. wielkiemu ubóstwu kapitałów towarzyszyć bardzo niskie ich oprocentowanie i na odwrót obfitość pieniędzy spotykać się z wysoką skalą procentów. Historya wié o przykładach tego rodzaju. Po ro-

---

[1]) „Effects of accumulation on profits“. Rozdz. XXI.

ku 1812-ym np. tu, we Francyi, nie mogło być mowy zapewne o żadnéj obfitości środków pieniężnych. Prawdopodobnie nie były one nigdy, w dziejach tego kraju, wyczerpanemi do tego stopnia. Jednak nigdy ani pierwéj, ani późniéj, stopa procentowa nie stanęła na tak niskim poziomie? Dlaczego? Dlatego że, jak pisze J. B. Say [1]), „długa i niszcząca wojna, ogromne podatki, rujnujące przywileje, handlowe obroty, podejmowane przez rząd sam, arbitralne zmiany w taryfach celnych, konfiskaty, prześladowania i w ogóle systemat administracyjny nacechowany chciwością i brakiem względności dla obywateli, wszystkie te przyczyny uczyniły każde przemysłowe przedsiebiorstwo uciążliwém, hazardownem i rujnującém".

Coś podobnego powtarza się zapewne obecnie, za sprawą jeżeli nie tych samych to analogicznych poniekąd przyczyn, jako to ogromnéj cyfry nieprodukcyjnych nakładów i chwilowego zapewne tylko, ale dotkliwego niedostatku środków odpowiednich dla produkcyjnego zużytkowania innych rozporządzalności. Jak to wskazaném zostało wyżéj, z trzech przeszło miliardów wyciąganych każdorocznie przez skarb tutejszy z kieszeni kontrybuentów, cztery piąte przypadają na rzecz wydatków zgoła jałowych. Skądinąd handel i przemysł cierpią i tutaj, choć w mniejszym niż gdzieindziéj stopniu, na ogólną chorobę, któréj można dać dowolnie nazwę nadprodukcyi, albo braku odpowiedniego zbytu. Dotychczasowe rynki w Europie czy w Ameryce przeładowanemi się okazały; nowych zaś nie zdążyła jeszcze przysposobić polityka kolonialna—ten środek ratunku *in extremis* narzucony wszystkim społeczeństwom europejskim. Jeżeli jaki jednak kraj w Europie, to po Anglii Francya obiecywać sobie może najprędszą z téj strony i najskuteczniejszą pomoc. Trafnym instynktem wiedziona, nie dała się ona wyprzedzić w pościgu, do którego za jéj śladem wyruszyli niebawem wszyscy jéj sąsiedzi. Wbrew małodusznym lub krótkowidzącym protestacyom tych i owych, zajęła w Afryce, w Azyi i Oceanii potężne stanowisko. Z Algieryą i Tunetanią, z Antylami i Gujaną, z Indo-Chinami i Nową-Kaledonią, z trzema milionami kilometrów kwadratowych, objętych w posiadanie i obejmujących 30 milionów mieszkańców, stała się ona drugą kolonialną potęgą na kuli ziemskiéj.

I dla tego, na przekór wszelkim pesymistycznym horoskopom, zbyt łatwy tutaj i szeroki znajdującym obieg, zbyt skwapliwie gdzieindziéj przyjmowanym za dobrą monetę, bilans tegoroczny 3-éj rzplitéj nie zamyka się w oczach moich, przynajmniéj pod względem finansowym i ekonomicznym, pod nadto smutną wróżbą.

---

[1]) „Traité d'Economie Politique", Księga II. Rozdz. 8.

III.

Widzę natomiast inną stronę w tutejszych stosunkach społecznych, która, zdaje mi się, że daje powód do daleko więcéj usprawiedliwionych obaw. Wiedzę po za materyalnemi czynnikami bytu i rozwoju w tym od natury tak hojnie pod tym względem, tak wyjątkowo hojnie wyposażonym kraju, inny czynnik, którego spotęgowana w ostatnich czasach rola wydaje mi się osobliwie niebezpieczną. Tym czynnikiem jest właśnie—p e s y m i z m ów, z którego objawami spotykać się przychodzi na każdym kroku, w zetknięciu z tutejszym światem. Wyrosł on nakształt chwastu, śród zatrzymanéj chwilowo w naturalnym swym wzroście i rozkwicie, omdlonéj i wycieńczonéj wegetacyi społecznéj, rozkrzewił się i wybujał w gruncie przysposobionym przez straszne rozczarowania i niepamiętne w dziejach klęski, i przygłusza oto młode posiewy. Łamie się jeszcze z jego dławiącym uściskiem krewki temperament narodowy, ale ulega zbyt często w téj tragicznéj walce.

W jednym z klubów stołecznych byłem niedawno świadkiem sceny następującéj. Siedział przy stole oficer sztabowy, jeden z najzdolniejszych podobno i najlepsze dających nadzieje. Siedział posępny i milczący, nie mieszając się do rozmowy. Aby go ożywić i wyciągnąć z zadumy, zaczepiono wojskowe kwestye. Napróżno. Milczał ciągle, aż w końcu machnął niecierpliwie ręką i zawołał: głupstwo to wszystko! Proch bez dymu, karabiny Lebel'a, armaty de Bange'a, głupstwo! Bez tego wszystkiego Niemcy w puch nas rozbiją — siłą rachuby i pracy. Nie umiemy rachować, nie umiemy pracować, i nie nauczymy się nigdy. W roku 1871 nie było jednego między nami, ani jednego, którýby wiedział ile potrzeba czasu na to, aby dziesięć tysięcy ludzi przeszło przez most na rzece. Nie raz jeden, ale razy dziesięć siadałem na koń z pułkiem o czwartéj z rana i czekałem do czwartéj z południa o głodzie, chłodzie i słocie na rozkaz do marszu. Rozkaz nie przychodził, bo nie było wolnéj drogi do przejścia.

— Hum! jeżeli tak będzie z przyszłą mobilizacyą—wtrącił tutaj półgłosem ktoś z obecnych.

Ale sztabowiec dokończyć mu nie dał. Twarz jego ożywiła się nagle, oczy zajaśniały ogniem.

— To co innego — zawołał. — Nasz plan mobilizacyi teraźniejszéj, to arcydzieło! Wszystko obliczone do sekundy. Wszystko przewidziane — do kropli deszczu, która wpadnie piechurowi za koł-

nierz. Żaden Niemiec nie zrobi lepiéj. Wątpię nawet, aby tak zrobić potrafił. Bo na to nie dosyć pióra, atramentu i tuzina grzbietów pochylonych nad zielonem suknem. Trzeba natchnienia, trzeba jasnowidzącego rzutu oka w ciemną zagadkę przyszłości, trzeba nawet dowcipu, a to rzecz nasza przecie! — no i pracy oczywiście, ależ od lat dwudziestu nie siedzimy z założonemi rękami!...

— Brawo generale, a więc...

Sztabowiec zaciął raptownie usta i ściągnął brwi. Stało się, jak gdyby jakiś mroźny podmuch owiał jego szlachetne, myślące czoło.

— A więc jestem stary głupiec — mruknął niechętnie.

I już słowa nie można było dobyć z niego.

W bieżącym roku, choroba, takiemi zdradzająca się symptomatami, znalazła nowy pokarm. Zrobiono odkrycie, zwiastujące klęskę gorszą od wszystkich tych, dla odwrócenia których opasano północno-wschodnią granicę żelaznym murem. Znaleziono w samych progach domowych narzędzia zniszczenia gotujące zagładę imieniowi francuskiemu. Francya wyludnia się! Albo przynajmniéj ludność jéj nie wzrasta w tym samym co gdzieindziéj stosunku. Oznaczyć się już daje czas, w którym naprzeciwko 100 milionów Anglików i 150 milionów Niemców, ostanie się zaledwie 30 do 40 milionów Francuzów. Łatwo przewidzieć jakim będzie wtedy los tych ostatnich.

Jak zmora na piersiach siadła na duszach tutejszych ta myśl złowroga z towarzyszącemi jéj komentarzami na temat nieuniknionego końca staréj, wyczerpującéj się rasy. Policzonemi zostały dni wielkiego narodu, który niedawno jeszcze rościł pretensyę do kierowania losami Europy. Dla wskazania kresu położonego jego przeznaczeniom, wystarczającém się stało proste równanie matematyczne, oparte na statystycznych danych. Schyłek 1890 roku zapadł w mrok pognębiającego wrażenia, wywołanego temi ponuremi rachubami.

I tu oczywiście zapomniano poradzić się historyi, albo innych nauk, mających związek z socyologią. Nie zastanowiono się nad tém w jaki sposób Niemcy dadzą sobie kiedyś radę z wyżywieniem 150 milionowéj ludności, skoro 40-milionowa ludność obecnie posiadana przez nie, nie znajduje już dostatecznego pokarmu na ojczystéj ziemi i emigruje peryodycznie do Ameryki. Podobno nawet nie rozpatrzono się dostatecznie w cyfrach samych dostarczonych przez statystykę. Statystyka chce wprawdzie aby liczba urodzeń w Prusach przewyższała o kilkadziesiąt procent liczbę urodzeń we Francyi. Zaczém na 10,000 mieszkańców jest w Prusach 1,510 dzieci niżéj pięciu lat, we

Francyi zaś tylko 929 [1]). Ale z tego samego źródła dowiadujemy się, iż na 10,000 mieszkańców jest w Prusach 3,611 ludzi dorosłych, we Francyi zaś 4,752, o 25 procent przeszło więcéj. Dla czego? Dla tego zapewne, że nadmiar ludności, przepełnienie w niedających się dowolnie rozszerzać ramach danéj organizacyi społecznéj, natłok w zawodach, niedostatek w środkach utrzymania, nie są warunkami sprzyjającemi wzrostowi rośliny ludzkiéj, i że, jak mówi p. Maurycy Block: „nie chodzi o przyjście na świat, ale o życie“, a miejsca nie masz do woli dla wszystkich.

Według statystycznych danych zawsze, zastój w przyroście ludności jest we Francyi zjawiskiem dość już dawném. Sięga on początków bieżącego wieku i objawia się głównie w zmniejszonéj liczbie urodzeń, które z 32 na 1,000 mieszkańców zeszły podobno do 23, i z 1 miliona na rok do 937,000. Towarzyszą mu jednak, według tych samych danych, dwa zjawiska następujące: równoległe zmniejszanie się śmiertelności i wzmaganie się ogólnéj zamożności, zwłaszcza w okolicach, w których procent urodzeń najwięcéj się obniżył. Istnieje prawdopobnie między temi zjawiskami związek naturalny. Czyli, że ubytek ludności, jeżeli jest złém sam przez się, pociąga za sobą następstwa, albo jest następstwem przyczyn, które są dobrodziejstwami. Temu układowi stosunków społecznych zawdzięcza niewątpliwie Francya dzisiejsza dobrobyt, szerzéj tutaj, niż gdziekolwiekbądź rozpowszechniony, i pokój wewnętrzny lepiéj zabezpieczony, niż gdzieindziéj. Pauperyzm nie istnieje tutaj, a Gambetta wiedział i tym razem co mówił, mówiąc, że w tym kraju są kwestye socyalne, ale niemasz socyalizmu. Robotnik tutejszy albo pracuje na wydział czy od sztuki, a wtedy pracuje ciężko czasem, ale zarabia bardzo dużo (w Paryżu np. od 10 do 30 fr. dziennie); albo pracuje na godziny, a wtedy zarabia dosyć, lecz bez wielkiego wysiłku. Przypatrywałem się temi czasy tu w Paryżu, odświeżaniu znajoméj kamienicy. Roboty, które trwać miały sześć tygodni, trwały okrągłe pół roku. Sami malarze potrzebowali coś trzech miesięcy. Prawda, że osobliwym był ich sposób pracowania. Przychodzili o 7-éj rano, a o 9-éj szli już do bliskiéj winiarni na poczęstunek. O 11-éj następowała nowa przerwa i rozpoczynał się koncert. Wszyscy *peintres en bâtiments* tutejsi są śpiewakami. Należy to do tradycyi. Śpiewają prawie ciągle przy robocie a w przestankach koncertują na dobre. Organizują chóry, albo nawet śpiewają wyjątki z operetek z akompaniamentem.

---

[1]) Ob. artykuł p Maurycego Block w „Revue des deux Mondes“ z 15 październ. 1882 r. p. t.: „Une crise latente“.

orkiestry. Są bowiem pomiędzy nimi tacy, którzy naśladują dęte instrumenta i smyczki do złudzenia. Koncert trwał tedy pół godziny, a miedziaki i srebrne nawet sztuki monety sypały się z wszystkich piętr kamienicy. Było za co zjeść dobre śniadanie. Jakoż śniadano do 1-éj, a o 5-éj rozpoczynano drugi koncert przedobiedni. Praca w takich warunkach nie jest chyba ciężarem, dla zrzucenia którego miałoby się ochotę wypowiadać wojnę społeczeństwu. Prawda, że ci *peintres en bâtiments* są artystami. Ale tu ladajaki robotnik jest artystą.

Wyjątek stanowią poniekąd robotnicy zatrudnieni w kopalniach. Ale tu odnajdują się właśnie nieuniknione następstwa przeludnienia.

Okolice, w których rozwinął się przemysł górniczy, przeludnione są. Robocza ludność miejscowa znaleśćby mogła gdzieindziéj mniéj uciążliwe i lepiéj wynagradzane zajęcie, chociażby na roli, ale nie chce. Siła przyzwyczajenia przywiązuje ją do kopalni, która daje jéj nędzny zarobek; nędza albo przynajmniéj brak dobrobytu sprzyja, z mocy ogólnego prawa, szybkiemu jéj rozplenianiu się, a to ostatnie wpływa znowu na utrzymanie niskiéj skali zarobków.

Czy zaś ubytek ludności jest sam przez się złém w jakimkolwiek sensie, i to podlega zakwestyonowaniu. Przewaga siły liczebnéj stała się wprawdzie za dni naszych przedmiotem czci osobliwéj. Uświęciły ją tu, we Francyi, polityczne reformy podwyższające już w 1848 roku z 220,000 do 9 milionów cyfrę wyborczego kontyngensu; wojenne zaś instytucye, do których przykład Niemiec pociągnął inne narody, składają jéj w całéj Europie drogie ofiary. Ale fetyszyzm to tylko chwilowy, któremu jutro kłam zada, tak jak mu kłam zadaje doświadczenie wszystkich minionych wieków. Od czasów Grecyi i Persyi, od czasów rzymskiéj hegemonii nad ujarzmionym światem, cała historya nasza, o ile ją znamy, jest historyą zwycięskich mniejszości. I dzisiejsze stanowisko Prus samych w Europie dostarcza właśnie jeszcze jednego przykładu takiego zwycięstwa!

Ubytek kilku tysięcy czy nawet kilku milionów rąk jest drobnostką w nieskończenie złożonym bilansie sił społecznych. Odkąd świat światem, cyfrę naczelną tego bilansu stanowiły zawsze czynniki moralne. W téj rubryce téż ubytek każdy dotkliwym się stać może i niepowetowanym — a do takiego właśnie ubytku zmierza chorobliwe bezsprzecznie nakłonienie się umysłów do ujemnego na własne przeznaczenia poglądu, pesymizm czepiający się to téj to owéj strony społecznych stosunków, dla odkrycia w niéj powodu do rozpaczania o przyszłości. Ta rozprzestrzeniająca się, choć dotąd wyższe tylko sfery ogarniająca choroba, to jedyna ciemna prawdziwie strona w sto-

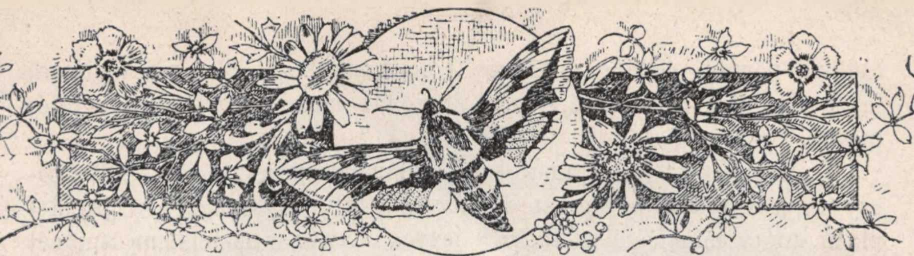
sunkach tutejszych. Zastanawiać się nad jéj źródłem nie mogę, ani podejmować szczegółowéj analizy jéj objawów. Prawdopodobnie jest ona naleciałością obcą, coś niby gastrycznem cierpieniem po niedojrzałym owocu zerwanym z sąsiedniego drzewa i źle strawionym. *Schopenhauer fecit* — Schopenhauer, którego na tysiąc osób mówiących o nim tutaj, ani jedna nie czytała, nawet we francuskim przekładzie. To pewna, że nawet pod względem zaludnienia, wpływ takiego nastroju umysłowego musi oddziaływać w sposób paraliżujący i przyczyniać się do nadwérężenia naturalnéj równowagi między wytwórczemi czynnikami społeczeństwa. Na co przyczyniać się do utrwalenia rasy, która bądźcobądź skazana jest na zagładę? Na co powiększać liczbę potępionych spadkobierców beznadziejnego losu? I zapewne, na co pracować także, na co powiększać własną i wspólną narodową, materyalną i moralną ojcowiznę, dla któréj nie będzie potomności?

Życie z dnia na dzień i używanie dnia dzisiejszego bez oglądania się na jutro—oto konieczny wypadek takiego założenia.

Ale, raz jeszcze, przedmiot to zbyt rozległy i subtelny. Wrócimy może do niego innym razem. Na teraz i na zakończenie tych pobieżnych uwag, dodamy tylko naśladując wspomnianą wyżéj przepowiednię: Francya dzisiejsza pozbędzie się pesymizmu, a zachowa, albo odzyska, energię moralną, wiarę w siebie i samowiedzę sił swoich, i będzie wielką jak była — albo nie będzie.

X.





IRMA.

Gdy rozchodzili się raz pierwszy — sami nie wiedzieli właściwie dlaczego.

Byli bardzo młodzi i niedoświadczeni. Siebie rozumieli mało, życia nie znali wcale.

Jeżeli zresztą on obliczał się poniekąd sam z sobą i siłą uczuć, jakie przez niego działały, to znów ona nie czyniła tego całkiem, bo nie umiała.

Ona, imieniem Irmy ochrzczona, była istotą psychologicznie dość skomplikowaną.

Gorący, nawet namiętny temperament walczył w niéj z umysłem umiejącym sądzić trzeźwo, chłodno ważyć i zastanawiać się bacznie. Stąd wypływały sprzeczności między własnemi jéj chęciami i popędami, a postępkami. Często nie umiała przewidzieć rezultatu swoich czynów, nie wiedząc czemu pozwoli wziąć górę: sercu, rozumowi, czy nerwom, pod wrażeniem chwili. Żywa, z umysłem pojętnym i ruchliwym, rwała się wprost do wszystkiego, co szlachetne i podniosłe, i umiała w innych wzniecać zapał do piękna i dobra. A nie lubiąca uległości, ambitna i dumna, wyłamywała się chętnie, z pod ogólnie przyjętych formułek, niełatwo poddawała uczuciom, a tém mniéj przyznawała do nich otwarcie. Śmiechem pozbyła i pokryła nieraz przykrość i wzruszenie, które inne przyjęłyby z bijącém sercem, albo opłakały rzewnemi łzami. W obejściu w ogóle trzymała się nieco odpornie, zwłaszcza względem mężczyzn. Była bardzo piękna, nietylko regularnością rysów twarzy okolonéj złotym włosem, ale i doskonałością kształtów całéj postaci, harmonijnych jak poezya. Instynktem przeczuwała swą potęgę; dlatego téż przybierała pozór nieco wyniosły i chłodny, aby zaznaczać, że łatwą zdobyczą nie będzie i wolę swą

objawić potrafi, choćby chwilową i fantastyczną. Ten rys nadawał jéj cechę nieuchwytności, lubo stanowił może największy w niéj powab.

„Migotliwa“ jest, „nieujęta“ — mówiono powszechnie. Niektórzy przyrównywali ją wprost do morskiéj fali, błyszczącéj w promieniach słońca, migocącéj w blasku księżyca i nawet w noc ciemną lśniącéj własnym połyskiem. Do fali téj podobne były zwłaszcza jéj oczy duże, czarne, szeroko rozwarte, jakby dla wchłaniania bogactwa obrazów z zewnętrznego świata, a równocześnie oczy głębokie jak przepaść.

Wszystko to zatém stwarzało z niéj całość tak pod względem fizycznym, jak moralnym, niezmiernie zajmującą i ponętną.

Nic téż dziwnego, że wgryzła się w duszę Edwarda, w myśl, w krew, w serce jego, z całą mocą.

On miał w charakterze i usposobieniu rysy wprost z nią sprzeczne, obok niektórych uderzająco podobnych.

Inteligentny, do gruntu prawy i szlachetny, patrzył na życie zupełnie inaczéj, niż ona: umysłem jasnym, pozytywnym, wolnym od naleciałości i zaćmień fantazyi. Rzecz każdą rozpatrywał ze stron wielu, brał pod rozbiór trzeźwego rozsądku, na wagę nawet pewnéj praktyczności; co nie przeszkadzało, aby uczuciom przyznawał władzę, prawo bytu, wprost potęgę, jako jednemu z czynników rządzących organizmem człowieka, a więc życiem jednostki i losem społeczeństw.

Ale uczucia nie były dla niego błędnemi ognikami, błyskającemi to tu, to tam, ani kaprysami podrażnionych nerwów; nie były pyłem rozpraszającym się w salonach i życiu dla zabawki, zadowolenia próżności lub śmiechu. On rozumiał i uznawał tylko uczucia silne, głębokie i trwałe, zdolne do czynów i poświęceń, przenikające na wskroś całą istotę człowieka—bo takie tylko był gotów dawać.

Na punkcie ambicyi spotykali się najbliżéj; lecz w nim i ambicya była ujęta w karby i poddana rozumowi. Wola jego silna, także zdawała sobie jasno sprawę z dążeń i czynów; kiedy wola Irmy, nie lubiąca narzuconego jarzma, wyłamawszy się z pod zależności, często nie wiedziała co z sobą począć, jak się pokierować.

Za to jemu brakowało bujności jéj wyobraźni, daru inicyatywy i ruchliwości jéj umysłu. Ponieważ jednak miał w sobie wielką wrażliwość na piękno i zasób gotowości do czynu, więc szukał i potrzebował dla dopełnienia istoty, którаby rozniecała drzemiącą w nim fantazyę i była mu bodźcem.

Dlatego Irma—rzecby, wspaniałe zjawisko, ubarwione wszyst-

kiemi kolorami tęczy—pociągała go nieprzepartym urokiem, jak źródło światła, aż stała się do życia konieczną, jak samo słońce.

Znali się zaś od dzieci, i jako dość bliscy krewni, widywali często. Mieli tedy sposobność oddziaływania na siebie wzajemnie od wczesnych lat, wówczas gdy nie czuli nawet, że dzielone razem pustoty, figle i drobne troski dziecięce, nawiązują między nimi węzły nikłe, jak pajęczyna, ale jak ona, silniejsze w rzeczywistości, niż na pozór.

I nie wiedziéć, jak i kiedy powstała w Edwardzie miłość, którą pił poprostu przez ciągłe obcowanie z dziewczyną, bez świadomości, bez woli—z rosą, powietrzem i słońcem. A gdy znalazł ją w sobie i rozpoznał, miłość już wcale nie była dziecinną.

Piérwsze rozstanie na dłużéj przekonało go, jak przyrósł duszą i sercem do niebezpiecznéj towarzyszki zabaw.

Kończył gimnazyum, musiał wyjeżdżać na wyższe studya, a sama myśl o oddaleniu od niéj szarpnęła go bólem.

W pierwszéj chwili mniemał wprost, że rozstanie jest niepodobieństwem, i rozpacz go ogarniała w obec nieodwołalnéj konieczności. Wkrótce jednak przestał rozpaczać. Powstała w nim naraz siła nowa, a wielka, przetwarzająca cierpienie w rozkosz. Poczuł się mężczyzną, choć miał niespełna rok dwudziesty, i postanowił iść naprzód.

Dlaczego nie miał krzepić w sobie nadziei? Nie miał dążyć coraz wyżéj? A w oddaleniu szukać sposobności do pracy nad ukształceniem umysłu i serca, przez co mógłby stać się jéj przywiązania godnym.

— Stworzę z miłości méj olbrzymią siłę, która będzie musiała ją pokonać, ujarzmić i na zawsze uczynić moją — powtarzał w duchu, śmiałe rzucając plany.

I już nie wąpił, choć instynktownie czuł, że tryumf w téj sprawie nie łatwy.

Po przebytych tedy ostatnich egzaminach, wyjechał za granicę na studya inżynierskie, spodziewając się na téj drodze najprędzéj dojść przy stosunkach matki do samodzielnego stanowiska.

Pragnął w jak najkrótszym czasie ukończyć nauki. Był gotów po dwa kursa przechodzić na rok, gdyby się dało, byle co rychléj otrzymać dyplom i miéć z czém stanąć przed ukochaną.

Pospieszać musiał, niebezpieczeństwo groziło. Irma dorastała, konkurenci zjawiać się zaczęli, mógł go ktoś ubiedz i zabrać ją, zanim zdążyłby się odezwać. Milczał zaś, bo nie chciał przedwczesném wyznaniem ściągnąć zarzutu niedorzeczności i szaleństwa, który byłby nietylko dotknął jego miłość własną, ale i popsuł sprawę.

Ocalić położenie mogła tylko wzajemność Irmy, — a na to zgoła liczyć nie śmiał. Nigdy bowiem z ust jéj nie posłyszał słowa, które dałoby poznać, że wyróżnia go z pośród innych sercem. Ponieważ zaś widział i przyznawał sam, że tylko wyjątkowemi przymiotami i niezwykłą mocą uczucia można było podbić nieujętą naturę dziewczyny, więc naprzemian: albo przez podniecone ambicyę wpadał w gorączkę pracy, która miała go doprowadzić do upragnionego celu, albo w krańcowe zwątpienie we własne siły i w pomyślny rezultat trudów, jakie ponosił.

Zwłaszcza, gdy po dwu latach niebytności w kraju przyjechał na wakacye, i po paru widzeniach z Irmą powracać miał na studya, jak dawniéj, bez żadnego słowa zachęty z jéj strony, ani iskry goręt-széj życzliwości i nadziei—wpadł w okropne zniechęcenie i nie mógł się obronić moralnemu buntowi.

Sam uznał się raptem za głupca, szalonego, który gonił marę mniéj rzeczywistą, niż cień, co od ręki pada za światłem. Życie, jakie prowadził, wydało mu się idyotyzmem; dążenia, chorobliwém opętaniem.

Koledzy opuszczali wykłady, próżniaczyli się bezwstydnie, noce trawili przy kartach, dziewczętach i kieliszku — on ślęczał nad księgami, jak sumienny zakonnik w klasztorze.

Rzucił naraz ten system. Wydrwił swoją wstrzemięźliwość; wprost kopnął nogą całą naukę, zdeptał książki, wyszydził ideały swoje i zasady—i puścił się w wir zabaw i rozpusty, szukając oszołomienia i upojenia.

Ale miłość dla Irmy za głęboko tkwiła w jego sercu, by zamilknąć; łączyła się przytém ze szlachetniejszemi pierwiastkami jego duszy, które nie dały się również zatłumić do szczętu.

Po jednéj tedy nocy przetrwonionéj na hulance, gdy oczy nabrzmiałe niewyspaniem otworzył i spojrzał po pokoju ogołoconym ze sprzętów, które wyprzedał na długi—ocknął się, jak chory w gorączce w chwili powrotu do przytomności, i ze wstrętem wzdrygnął na samego siebie.

— Jestem osłem, bałwanem, nie zasługującym na miano człowieka—wołał w oburzeniu. — I to *mnie* dziś po nią sięgać i roić o jéj wzajemności? A cóżby powiedziała, widząc, jak ja się prowadzę?...

Rozmyślał godzin parę — i wstał wyczerpanym fizycznie, ale odrodzonym moralnie człowiekiem. Przesyt sprowadził niesmak i reakcyą.

Bez zwłoki pozrywał niegodne stosunki, raz na zawsze przestał

pić i grać w karty — i mimo kpin i żartów towarzyszy, powrócił do skromnego życia i pracy.

Miłość dla Irmy, jak słońce podczas uraganu przyćmiona, znów wypłynęła jasna, a nabrała po burzy i próbie więcéj ciepła i namiętnéj barwy. Edward wyraźniéj, niż przedtém, widział w wybranéj uosobienie wszystkich przymiotów ciała i duszy. I czuł, że kocha ją nietylko jak dobro i światło, które było mu drogie i potrzebne od lat najmłodszych ale i jako doskonale piękną dziewczynę. Odtwarzał w duchu każde jéj słowo, poruszenie, każdy rys jéj twarzy i postaci — i pieścił w myśli z osobna jéj usta świeże, cudne lica, oczy palące, jéj złote włosy i smukłą, wysoką kibić, i drobne ręce — i rozkoszował się wspomnieniem jéj dźwięcznego głosu, który brzmiał mu w uszach, jak słyszany wczoraj. Tęsknota ogarniała go niezmierna. Byłby chciał jednéj chwili przypaść do niéj i powiedzieć: ocaliłaś mnie. — Kocham cię, kocham nad życie!...

Tymczasem należało właśnie pilnie siedzieć i odzyskiwać czas stracony i zawcześnie wydane pieniądze.

— Dwóch miesięcy brakowało do rocznych egzaminów, Edward odkreślał już każdy dzień miniony, jak gdyby tém popychał czas, dzielący go od wyjazdu—gdy w tém odebrał wiadomość, że Irma wychodzi za mąż, robiąc naturalnie świetną partyę pod względem majątku, stanowiska i charakteru człowieka.

Własna matka doniosła mu o tém.

Edward był jedynym synem; miał tylko znacznie młodszą siostrę. Ojciec jego nie żył; rodzina była zubożała, ale nie zrzekająca się pewnych pretensyi do znaczenia w świecie. Na ożenieniu tedy syna matka budowała wszystko. A ponieważ instynktem odgadywała jego uczucia, które wcale nie odpowiadały układanym przez nią planom, więc była tak rada z obrotu rzeczy i wyrastającéj samo przez się zapory, że z całą pochopnością wysłała wiadomość o zaręczynach Irmy, aby co rychléj wytrzeźwić chłopca z mrzonek, jeśli je miał naprawdę.

Pomyliła się jednak wielce. Krok jéj wywarł wrażenie spadającego piorunu.

Wszystkie uczucia stopiły się naraz w Edwardzie, jak cynk pod wpływem elektrycznéj iskry: powstała w nim tylko niepohamowana potrzeba wyznania miłości, dopókąd nie będzie zapóźno.

Przestał rozumować, ważyć, lękać się hazardownego czynu, obawiać pośmiewiska lub upokorzenia; pragnął wprost wyrzucić z siebie to coś, co rozsadzało mu czaszkę i piersi — nie pytając, co będzie potém, co daléj—co mu pozostanie.

Dwa dni i dwie nocy chodził po swoim ciasnym pokoju. Nie jadł i nie spał—rwał się jak zwierz w klatce.

W końcu odzyskał o tyle spokój i moralną równowagę, że nakreślił plan działania. Wiedział, że mówić byłoby mu trudno, z nadmiaru wzruszenia. Postanowił zatém napisać do Irmy, — a potém natychmiast jechać, aby z jéj własnych ust usłyszéć odpowiedź.

I tak zrobił.

Przezwyciężył się, zapanował nad namiętnemi wyznaniami, a zawarł w liście historyą swego uczucia, obraz zmian i przewrotów moralnych, jakim podlegał i szczere wypowiedzenie zamiarów na przyszłość. Nie zataił również przez uczciwość tego, o czém dobrze wiedział, t. j. że matka będzie związkowi ich przeciwną. I nie kładł najmniejszego nacisku na wolę Irmy i postanowienia jéj, bo przez ambicyę nie byłby umiał wypraszać jéj wzajemności, a przez dumę nie byłby przyjmował uczuć danych z łaski. Pisał i odkrywał poprostu prawdę, w przekonaniu swojém spełniając tym sposobem obowiązek względem niéj i siebie.

...„Gdybym był nieszczęśliwym, lub co gorzéj ciebie widział niezadowoloną z życia i losu, wyrzucałbym sobie wiecznie milczenie i brak odwagi do stanowczego kroku—pisał.

„Jeśli jestem coś wart, zawdzięczam tobie. Padałem—wyratowałaś mnie. Wiem, że wpływem swym zdołasz nadal uszlachetniać mnie i udoskonalać; jak wiem niemniéj, że wybierzesz tylko człowieka godnego ciebie—i dlatego nie szczędziłem pracy nad urabianiem charakteru mego i umysłu, aby zasłużyć na twą miłość...

...„Kochałem cię od dziecka, nie wiedząc, jak nazwać uczucie, które mnie ku tobie popychało. Kocham dziś najlepszemi cząstkami duszy, i czuję i przekonany jestem, że całe życie kochać cię będę niezmiennie i chcieć starać się o twoje szczęście... Odpowiesz „tak“ — a muszą zniknąć dzielące nas przeszkody, musi ustąpić opór méj matki, a może i twojego ojca, w oczach którego — nie przeczę — że dziś przedstawiam za małą dla ciebie partyą. Odpowiesz „nie“ — a i tak całém życiem będę chciał dowieść, że byłbym godny ciebie, bo nie przestaniesz dla mnie być uosobieniem wszelkiego dobra na ziemi...“

W tych mniéj więcéj słowach wyraziwszy, co miał do powiedzenia, list wysłał wprost pod adresem Irmy. Drugi napisał do swojéj matki, donosząc, że przyjeżdża do kraju z powodów, które wytłómaczy za widzeniem.

Gdy wszystko postawił na kartę, zląkł się. Niepokój szalony ogarnął go, tém straszniejszy, że błądził w ciemności. Rozumem nie mógł wykombinować, jak postąpi Irma: — czy zerwie zamierzone mał-

żeństwo, czy nie. Na przeczuciach opiérać się nie śmiał; zresztą miał duszę zupełnie zmęczoną—nie wiedział, co myśli i czuje. Wpadał z jednéj ostateczności w drugą: to przewidywał zwycięstwo miłości, to drżał z trwogi.

Trzydzieści sześć godzin pędził koleją bez wytchnienia — w saméj rzeczy, po wyrok śmierci lub życia dla siebie.

A cóż działo się tymczasem z Irmą?

Ona — do chwili odebrania listu Edwarda, o miłości jego prawdziwie miała słabe pojęcie. Odgadywała tę miłość poniekąd sprytem kobiécym, ale głównie wówczas, gdy oboje niedorośli jeszcze, obchodzili się ze sobą nieco poufaléj. Potém nie chwytała żadnych dowodów potwierdzających przypuszczenia, a głównie mogących dać miarę siły i głębi uczucia, jakie rozbudziła. Edward bowiem zachowywał w obejściu ogromną ostrożność, odkąd poznał stan własnego serca.

Ponieważ zaś przez ostatnie lata Irma widywała go niewiele, a często bywała otaczaną przez mężczyzn młodych i starszych, którzy za obowiązek grzeczności i dobrego smaku uważali składanie jéj hołdów, więc rzecz prosta, mało poświęcała myśli nieobecnemu towarzyszowi zabaw.

Zresztą naturę miała za żywą i umysł za czynny, aby ulegać mogła oddalonym i niewyraźnie działającym wpływom. Ją co chwila porywała nowa idea, nowy jakiś pomysł. Chowana bez matki, która umarła wcześnie, niekrępowana przez ojca, który ją uwielbiał do słabości—rozporządzała sobą i czasem niezależnie, rozwijając przez brak hamulca samowolę i kapryśność usposobienia. Uprawiała tedy muzykę, studyowała języki, uczyła i obszywała ubogie dzieci; zgłębiała traktaty filozoficzne i społeczne; zajmowało ją bowiem wszystko, co działo się w szerokim świecie, każdy przewrót, każda kwestya dotycząca ogółu i ludzkości.

Prawda też, że wykształcenie zbawienny wpływ wywierało na nią, nadając kierunek i zajęcie rozbujałym myślom; ale z drugiéj strony i ono przyczyniało w niéj jeden jeszcze rys do ujęcia trudny. Więcéj zatém dobrego wyświadczał jéj chłodny rozsądek, który studził temperament, a wreszcie: możność i chęć panowania na sobą, ograniczająca w niéj do pewnego stopnia dar żywego odczuwania, czyli fizyczną i moralną wrażliwość.

Ale naodwrót, rzecz prosta, że przy skomplikowaniu tych danych natury—rezultaty jéj postępków nie wypadały częstokroć, jako

proste i uzasadnione następstwa pewnych czynników, lecz jak wyskoki nie wiedzieć na czém oparte.

Tak niespodziewanym dla niéj i dla innych faktem były właśnie jéj zaręczyny z pynem Romanem, dyrektorem jednéj z linii drogi żelaznéj w Warszawie.

Znała tego człowieka parę miesięcy.

On konkury odbywał pośpiesznie, bo przejazdy do dość odległego prowincyonalnego miasta były uciążliwe; ale starań o przypodobanie się nie szczędził. W rozmowach roztaczał zasoby wiadomości i dowcipu umiejętnie, bez przechwałek, a zawsze dla siebie korzystnie. Ponieważ przytém raz i drugi zdołał pobłażliwością pokonać drobne jéj fantazye, czém jéj zaimponował wielce, i ponieważ wiedziała, że ojciec bardzo sobie życzy tego związku, więc ostatecznie przyjęła pana dyrektora, nie mając właściwie powodu do odrzucenia.

Pan Roman zwolennik form i przepisów, najpierw oświadczył się ojcu. Irma wiedziała zatém z góry, że usłyszy ważne pytanie, i że ma dać odpowiedź przychylną.

W każdym jednak razie czekała téj chwili, jako rzeczy całkiem dla siebie nowéj, z ciekawością raczéj, niż ze wzruszeniem.

Ale jakiegoż doznała rozczarowania! Rzeczywistość wcale nie odpowiadała scenom stwarzanym przez jéj wyobraźnią, dla prostéj przyczyny, że uczucie wypowiadane nie było takiém, jakiego pragnęła, że zresztą w niéj saméj nie odzywała się miłość, którąby echo stanowiła dla wyznań.

— To tak wyglądają oświadczyny? to tak — myślała, słuchając przyszłego narzeczonego, który kategorycznie wypowiadał najpierw swoje uczucia, potém projekty na przyszłość, wreszcie obznajmiał ją z położeniem materyalném, dając poznać swoją zamożność, a cześć dla jéj piękności w ten sposób, jak gdyby mówił: oto ty, najwykwintniejszy przedmiot sztuki jaki znam, będziesz we właściwém otoczeniu: kobierców, aksamitu, bronzów, kwiatów, porcelany saskiéj... I nietylko będziesz błyszczéć w jednéj stolicy, ale w Paryżu, Wiedniu, Medyolanie, Rzymie...

Jakiś chłód nagle przejął dziewczynę, gdy mowy téj słuchała.

Nie podniosła spuszczonych oczu. Zmieszana, milcząca, zaledwie pozwoliła się pocałować w rękę i odeszła, skracając to pierwsze samnasam do *minimum*, odeszła szybko, z uczuciem smutku w sercu, wcale przedtém nieznaném.

Nie pozwoliła też urządzać ostentacyjnych zaręczyn, ani naznaczać dnia ślubu. Sama bowiem myśl, że u ołtarza miała skończyć się

cała ta historya, była dla niéj coraz niemożliwszą, zamiast coraz milszą.

Z narzeczonym stała niezmiennie na bardzo ceremonialnéj stopie, i w końcu wyjazd jego na parę tygodni za granicę przyjęła jako ulgę.

Czuła się nie swoja, zmęczona, smutna, jak ptak, który nogą uwiązł w sidle i skrzydła mogąc roztwierać do lotu, wyfrunąć i uciec już nie był zdolny.

Co pocznie, jak postąpi, czy w sieć i drugą nogę wciśnie i skrzydła i głowę, czy téż starga pęta i uleci — nie wiedziała.

Sama tylko postrzegała, że nie śmieje się po dawnemu, że zamyśla się często jak człowiek, który nie widzi jasno przed sobą drogi i oczekuje czegoś, choćby nadzwyczajnego, co rozświetliłoby mózg, albo pchnęło w tę lub ową stronę.

Był dzień kwietniowy, pogodny i ciepły.

Wiosna owego roku tak wcześnie rozbudziła naturę, że drzewa już w pełni okrywały się kwiatem, łąki zielenią, a powietrze przesiąkłe było rozkoszną wonią i świeżością.

Irma siedziała w ganku od strony ogrodu sama i zamyślona, jak najczęściéj od dnia zaręczyn.

Miała przy sobie książkę i robotę, ale co chwila jedno i drugie odkładała na bok. Aż w końcu niezadowolona, niecierpliwa, wrzuciła wszystko razem w koszyk, i wzrok zapuściwszy w ogród, usłany białemi płatkami kwiatów, machinalnie przesuwała po palcu szeroką obrączkę z dużym szafirem.

— Ja narzeczoną!—powtarzała po raz setny ze zdziwieniem.

Tak inaczéj przedstawiała sobie tę epokę życia, że nie mogła pogodzić się z zawodem, jaki ją spotkał.

Myślała zawsze, że jest to epoka najmilsza, pełna uroku, upojenia, idealnego szczęścia i miłości, obejmującéj nietylko jeden przedmiot, ale cały świat. A tymczasem, choć wiosna oczy rozweselała blaskiem słońca, do uszu cisnęła tysiączne odgłosy tajemnych szeptów i szmerów, a lica łechtała ciepłym powiewem, — w niéj serce było martwe.

Cztery tygodnie upływało od chwili wyjazdu pana Romana, nie cierpiała nad jego nieobecnością; co więcéj, nie czuła nawet braku jego osoby, gdy powróciła do zwykłych zajęć i rozrywek.

Bo i w czém tak dalece ten brak miał ją dotykać? Że nie dostawała codzień świeżych kwiatów i cukierków i nie słyszała opowiadań przygód z podróży? Że nie prowadzono jéj ciągle do teatru i nie

obiecywano zawczasu cudów, jakie zobaczy kiedyś w dalekim świecie? Ależ to były rzeczy, bez których mogła doskonale obejść się całe życie, lub których mógł jéj dostarczyć każdy inny mężczyzna, równie dobrze jak ten, wybrany na przyszłego małżonka.

Więc cóż było, i czy nigdy zmienić się nie miało?

— A, może za krótko się znamy — pomyślała.—Za mało rozmawiamy w sposób poufny, który dałby możność wtajemniczania się wzajemnie w rysy charakteru, usposobienie, poglądy i upodobania.

— Zobaczymy tedy — zadecydowała w końcu i wzięła napowrót książkę do ręki, aby odeprzéć czytaniem natrętne myśli.

Po chwili zjawił się przed nią służący z listem.

Była to pora południowa, w któréj przynoszono dzienniki i korespondencye z poczty, a w któréj ojciec Irmy przebywał za domem.

List za rewersem obcą ręką do niéj adresowany, zadziwił ją i zelektryzował.

— Co to być mogło? Czyżby pan Roman?...

Śpiesznie pobiegła do pokoju, pokwitowała z odbioru i powracając na ganek, rozerwała kopertę.

— Cztery strony arkusza zapisane ściśle?!...

Spojrzała na wstęp, na koniec, i oblała się rumieńcem.

— Edward pisał do niéj? Cóż się stało?

Już pierwsze słowa dały jéj poznać charakter listu, więc przedewszystkiem uśmiech zadowolonéj miłości własnéj przemknął po jéj twarzy. W myśli stanęły naraz wszystkie drobnostki, które ją naprowadzały kiedykolwiek na przypuszczenia, stwierdzające się teraz dowodem, i zatopiła się w czytaniu z zajęciem i chciwością.

Lecz w miarę jak się posuwała coraz daléj, połechtana próżność opadała całkiem, a ciekawość przeradzała się we wzruszenie, i duch tak się dawał pochłaniać treścią listu, że odwracała kartę po parę razy i od początku powtarzała każde słowo do ostatniego— coraz głębiéj wstrząśnięta, prawie drżąca.

Z tych słów bowiem hamowanych a gorących, powstawała ku niéj wielka siła, która opanowywała prawdą i szczerością, a zarazem prostotą wyznania i uczucia.

I przejmował ją zachwyt i żal, radość i trwoga, jak gdyby oto rozproszyły się nagle otaczające ją ciemności i zabłysnął przed nią skarb, po który nie śmiała rąk wyciągnąć, a który obawiała się utracić.

Czuła się bogatszą moralnie, lepszą, dumną jak nigdy. Byłaby chciała schować ten list przed oczyma ludzi, przed ojcem, choćby pod

ziemię; a z drugiéj strony doznawała potrzeby pochwalenia się nim przed całym światem, pragnęła podnieść go w górę i wołać:

— Oto ja, ja, tak kochaną jestem!...

A jednak po chwili rozum powtarzać jéj zaczął: niepodobieństwo, niepodobieństwo!

W okamgnieniu objęła przeszkody stojące na ich drodze, zacząwszy od oporu jéj ojca, który, jak przewidywała, nie pozwoli zerwać z narzeczonym, ani téż przyjąć oświadczyn Edwarda.

To téż zatonęła w cięższém niż przed godziną rozmyślaniu:

— Co począć? Jak postąpić?

Była tak młoda, lat dziewiętnaście ledwo kończyła, że nie umiała sobie radzić, tém więcéj, że przy dwoistości swéj natury i rozsądkowi i sercu przyznawała słuszność.

Właściwie nie rozumiała, że serce podsuwa jéj możliwość cofnięcia danego słowa, wiedziała tylko, że myśl ta nagle powstała w jéj głowie, stała się zarazem żywą chęcią i napełniła ją wielkiém rozradowaniem.

Gdy oderwała nakoniec oczy od listu i zwróciła je w ogród, świat cały wydał jéj się innym, niż przed godziną. Wprost zdumiewała ją świetlistość nieba i słońca, piękność całego krajobrazu, który jak gdyby śmiał się i cieszył wesoło.

Drzewa okryte kwiatem, nęciły ją. Pobiegła też ścieżką i co chwila przystając, wsłuchiwała się w głośny gwar ptastwa, rozochoconego wiosną, i prawie do ust przyciągała wonne gałązki jabłoni i wiśni, po za któremi, jak za białą wzorzystą koronką, migała przed nią postać Edwarda.

— On kochał ją... i jak!...

W tém rozległ się dzwonek w przedpokoju.

Irma nagle jakby nagle ze snu zbudzona, wytężyła słuch i oczy utkwiła w drzwiach od ganku.

— Tak, to ojciec powracał.

Z twarzy jéj zniknął wszelki ślad rozmarzenia, uwydatniła się natomiast w jéj rysach rozwaga.

Stała i myślała, patrząc w ziemię.

— Ha... niech rozstrzyga—powiedziała w końcu, i prosto poszła list pokazać.

Zanadto świéżo jeszcze miała wpojone wychowaniem poczucie obowiązku względem ojca, aby robić przed nim tajemnicę. Zresztą, cóż jéj pozostawało?

Objaśniła zwięźle od kogo list i jakiéj treści, i nie zdradzając wrażeń, jakim uległa sama, w milczeniu czekała decyzyi.

Ojciec jéj, człowiek już nie młody i skutkiem wieku chłodno a praktycznie patrzący na rzeczy, nie dał się porwać bezwzględnemu wystąpieniu Edwarda, ani gorącym jego wyznaniom.

Miłość młodzieńca osądził z utartego punktu zapatrywania na podobne uczucia—to jest: jako „dzieciństwo". I z téj zasady wychodząc, zaczął wymownie przedstawiać córce absolutną niemożliwość brania tego listu w jakąkolwiek rachubę. Dowodził, że nawet obowiązkiem jéj względem „szlachetnego szaleńca" — jak się wyrażał — jest odmówić, ponieważ on paru lat jeszcze potrzebował do ustalenia swego stanowiska i ponieważ opór jego matki, o czém wyraźna była wzmianka, najniezawodniéj nie zmniejszyłby się z czasem, lecz powiększył.

— Chyba się nie mylę — mówił, zwracając do jéj własnego sądu—że nie chciałabyś Edwardowi ani sobie zawiązywać losu? A ja znam jego matkę, wiem, że nie ustąpi nigdy, więc cóż na to poradzicie?

Irma słuchała tych przełożeń, nie odpowiadając ani słowa.

Ojciec przemawiał tak umiarkowanie a przekonywająco, że nie śmiała występować z opozycyą.

Bo i jakżeż tu przyznać, że choć co prawda, nie znajduje rady na wszystkie trudności, ale żal jéj Edwarda więcéj niż pana Romana, któregoby wolała wcale już nie widzieć?... Jak tu otworzyć usta, kiedy jakoś wstyd jéj wyznać to głośno... i zresztą sama nie wié, co ma powiedziéć, bo w głowie jéj chaos szumi gorszy, niż w gaju gwar ptasi?...

Czuła tylko, że jéj się zbiéra na płacz serdeczny, ale znów przez ambicyą łzy powstrzymywała.

I w końcu, gdy ojciec nalegał i jasno postawił żądanie, przyrzekła zastosować się do jego woli i napisać odmownie do Edwarda.

On wspominał wprawdzie, że odpowiedź chce z jéj ust własnych usłyszéć; ale trudno było przypuścić, aby przyjeżdżał przed egzaminami, i ociągając się na niepewne widzenie, skazywać go na oczekiwania.

Zresztą po rozmowie z ojcem, Irma zapragnęła sama co prędzéj z tą sprawą skończyć. Wydawało jéj się, że pośpiech konieczny, jak z wodą przy pożarze. *On* palił się, czuła to, raz dziesiąty i piętnasty odczytując list. Siadła téż zaraz wieczorem w swoim pokoju do pisania.

Gdy jednak ochłonęła z wrażeń, jakiemi przejęła ją mowa ojca, i znalazła się sama wobec faktu, czekającego na spełnienie, zaczęła płakać rzewnie jakby nad nieszczęściem.

Płakała i płakała, jak gdyby miała jasną świadomość, że traci skarb, który mógł ją wzbogacić na całe życie, a który ją radował ledwo chwilę.

Ale rzecz była nieodwołalna; przyrzekła ojcu, dotrzymać musiała.

Tylko zamiast zwięźle, napisała obszernie; i w odmowę wlała tyle serca i współczucia, ile narzeczonemu nie okazała przez całe konkury.

Nazajutrz ojciec list zabrał, zaadresował i wysłał, nie mówiąc z nią ani słowa.

Ona też wolała nie dotykać tego przedmiotu z obawy nowéj przykrości, a może przez skrytość, jaką miała w rzeczach blisko ją obchodzących.

W dwa dni, gdy list jeszcze był w drodze, jakoś po południu siadła do fortepianu, aby muzyką zabić czas i rozerwać myśli.

Po chwili jednak doleciało ją z przedpokoju echo rozmowy.

Przestała grać, słuchała.

Służący wszedł i podał jéj wizytową kartę.

Spojrzała, i śmiertelnie zbladła.

— Ten pan jest? — zapytała pomieszana, nie wierząc oczom.

— Jest.

— Jezus Marya!...

Gdyby ziemia była się rozstąpiła przed nią, nie byłaby silniejszego doznała wrażenia.

Chciała uciec, nie czując odwagi do spotkania, ani przytomności do rozmowy; lecz nie miała siły ruszyć z miejsca.

Zresztą Edward już stanął we drzwiach, już ku niéj szedł. Za nim zobaczyła ojca.

Dla Edwarda świadek ten nic nie znaczył.

On szedł śmiało naprzód, z podniesionem czołem i pałającemi oczyma, w nią utkwionemi, przystanąwszy o krok od niéj, pochylił się tuż blisko i bez żadnych wstępów i zapytań rzekł:

— Przyjechałem po odpowiedź.

Gdyby był powiedział: „idziesz na śmierć“, nie byłaby więcéj struchlała i pobladła.

Obecność bowiem ojca była niemym, ale stanowczym naciskiem na jéj wolę, i czynnikiem jeszcze bardziéj obezświadamiającym.

A *on* stał przecież przed nią drżący, jak płomieniem ogarnięty, stał i wzrokiem ją pożerał, zawisnąwszy oczyma na ustach, z których czekał głosu.

— Odpowiedź... — powtórzyła też niemal bezprzytomna — od-

powiedź... nie może być inna... tylko „nie“ — dodała zupełnie cicho i powoli. A ręce miała skrzyżowane na piersiach, jak człowiek czekający rozgrzeszenia.

Edward odskoczył. Łkanie wyrwało się z jego piersi, łzy trysnęły mu z oczu. Lecz szybko je stłumił, jeszcze raz przysunął się i rękę jéj ujął, pocałował dwa razy, i wybiegł.

Wszystko to było dziełem paru minut.

Irma została na miejscu bez życia i ruchu, jak człowiek rażony piorunem.

Ojciec jéj wyszedł do przedpokoju za Edwardem, aby uspokoić go i pomiarkować; ale on zanadto cierpiał, aby mógł pociechę znaleść w jakichkolwiek łagodzących słowach, aby wogóle zdolny był słuchać choćby najrozumniejszych przełożeń.

I oto zerwała się raz pierwszy między nimi struna.

Irma po całém tém zajściu była obezwładniona moralnie, jak paralityk fizycznie po ataku apopleksyi. Straciła chęć i możność zajmowania się czémkolwiek. Zgłuchła w niéj dusza, nic ją nie obchodziło.

Zaledwie wobec ojca zdobywała się na pozór dawnéj wesołości i swobody. Z oczu jego zszedłszy, wpadała w martwotę i bezczynna, z przymkniętemi oczyma siedziała, jak gdyby zgłuszona siłą i nagłością wrażeń, jakich doznała, niby gwałtownym hukiem.

Dopiéro w kilkanaście dni, gdy pan Roman przysłał zawiadomienie o rychłych swych odwiedzinach w powrocie z zagranicy, obudziła się w niéj wrodzona żywość i energia, razem z wyraźną niechęcią do narzeczonego.

— On nie powinien przyjeżdżać—pomyślała; dodając ze stanowczością—bo ja tego nie chcę.

Nie czuła do niego odrazy, ani nienawiści, ale obojętność tak zupełną, że pocóż miała wiązać się z nim na całe życie? Chleba i wygód nie brakowało jéj w domu. A miłość jego?... „Co mi tam taka miłość!“—odpowiadała z lekceważeniem.

Bez długiego tedy namysłu napisała do pana Romana, zwracając mu słowo, aby wprost widzeniu zapobiedz.

Ojcu zaś powiedziała o tém dopiéro po fakcie spełnionym, tłómacząc, że woli pozostać w domu i wyrzec się „świetnéj partyi“, niż iść bez przekonania i zgotować sobie nieszczęście, którego przecież i ojciec sam dla niéjby nie chciał.

Ostatnim argumentem wskórała najwięcéj.

Ojciec prawdziwie tylko pragnął jéj dobra. Próbował zatém

przemawiać do rozsądku, ponieważ w przyszłym zięciu widział człowieka z uczciwym charakterem, któremu spokojnie mógł był powierzyć dziecko w razie śmierci, ale o przymusie nie było mowy. Pozwolił się przytém rozbroić jéj pieszczotami, jak wszyscy ulegając do pewnego stopnia urokowi jéj obejścia i powierzchowności, i nawet nie gniewał się o samowolny wybryk.

W głębi ducha przypuszczał zapewne, że w całéj sprawie bruździ Edward. Skoro jednak Irma milczała, nie pytał przez delikatność, a po części i wyrachowanie. Jakkolwiek bowiem do tamtego związku nie naglił; tego sobie wcale nie życzył. Pragnął więc niewznawiania kwestyi, mniemając, że zostawiona w spokoju, przejdzie w niepamięć i straci wszelkie znaczenie.

Z toru posądzeń zbijało go trochę i zachowanie Irmy.

W krótkim bowiem czasie odzyskała ona szczerą swobodę i nie zdradzała żadnéj zmiany usposobienia. Podjęła zwykłe zajęcia, zgromadziła jeszcze więcéj biednych dzieci na naukę, i w świecie bywała z ochotą jak dawniéj.

Na zebraniach towarzyskich znów błyszczał jéj spryt w rozmowie, jaśniała pięknem niezwykła powierzchowność. Ludzie cisnęli się do niéj jak zawsze; wielu ciekawych zapytywało nawet o powody zerwania projektowanego małżeństwa, które dość sprawiało hałasu. Ale jéj nikt niedyskrecyą nie zmieszał. Jednych pozbyła śmiechem i dowcipem, a drugich szczerém wyznaniem, że nie kochała narzeczonego, a bez miłości za mąż nie wyjdzie.

W końcu też świat widząc jéj zadowolenie uznał, że ma słuszność, bo tak piękna i bogato udarowana przymiotami, mogła stokroć świetniejszą zrobić karyerę, nie zaprzęgając się wcześniéj do obowiązków.

Irma i w głębi serca nie doświadczała smutku, który ją uciskał w epoce matrymonialnych zabiegów pana Romana. Odzyskaną wolnością jak dziecko się cieszyła. Jedynie myśl o Edwardzie zasępiała jéj czoło w godzinach samotnych.

Nie mogła niczém zatrzéć wspomnienia fatalnéj chwili, w któréj stanął przed nią niespodzianie i odjechał tak nagle. Nie była zdolna odeprzéć uparcie powracających zapytań: dla czego odrzuciła go, i tak bezwzględnie, bez tłómaczeń, bez zostawienia czasu na dłuższą rozmowę, na usprawiedliwienie?... W postąpieniu swém znajdowała też niezaprzeczoną winę.

Z drugiéj strony list Edwarda odczytywała tak często, że nietylko umiała go na pamięć, ale zżyła się z nim poprostu jak z istotą

żyjącą, ciągle obecną i niejako przemawiającą zawsze nowemi, a wzruszającemi słowy.

W końcu więc stała się rzecz taka, że Irma przez żal, jaki ją przejmował, przez chęć okazania współczucia cierpiącemu dla niéj, a ciągłe odświeżanie w pamięci jego wyznań zapewniających o miłości niezmiennéj, przestała mieć świadomość, że rozeszli się nieodwołalnie i bezpowrotnie, a przeciwnie: zapragnęła, aby się spotkali co rychléj, a przynajmniéj choć porozumieli, i wprost dochodziła do przekonania, że tak być powinno.

Ponieważ zaś chęci jéj ledwo zrodzone, odrazu nabierały żywego rozpędu i skłonności do czynu, więc była gotowa nawet pierwsza odezwać się do Edwarda.

Ale na razie nie miała pojęcia gdzie on jest i co porabia. Ostatnie widzenie zerwało między nimi wszelkie stosunki.

Nie wiedziała czy powrócił zagranicę po nieszczęsnéj przerwie, czy też pozostał w kraju.

Dopiéro po kilku miesiącach zdobyła pożądane objaśnienia.

Spotkała w towarzystwie kolegę Edwarda, którego także znała poprzednio; jego więc nie omieszkała wybadać.

A ile wzruszeń przebyła w duszy na samą myśl, że usłyszy wiadomość pewną.

Bladła i płonęła zanim jeszcze otworzyła usta. Straciła zwykłą pewność siebie, szukała słów, bojąc się zdradzić zbytnim pośpiechem, za żywym dźwiękiem głosu. W końcu jednak osądziwszy, iż dostatecznie nad sobą panuje, po kilku omówieniach zagadnęła z cicha:

— A cóż pan Edward? Czy jest nadal w Liège i kończy studya?

— Tak, pani — odparł zapytany, patrząc jéj w oczy trochę śmiało i ciekawie. — Edward przepuścił wprawdzie ostatnie egzamina, ale w tym roku ma nadzieję skończyć, nawet świetnie. Pracuje dwa razy tyle, co każdy z nas; marzy o zawodzie naukowym, pewno wyjedzie do Francyi, albo Algieru, dokąd wyrusza partya uczonych geologów.

Irma chwytała każde słowo z chciwością i jakby kładła na dno serca.

Przejęła ją taka duma i radość, że doznawała wrażenia, iż nagle urosła i głową przebija sufit. Byłaby chciała w jednéj chwili wstać i odejść, aby módz tę wywyższoną głowę swobodnie podnieść do góry.

— Tak! On dla niéj i przez nią dążył naprzód, nie ustawał.

Chciał, jak powiedział, czynem stwierdzić, że godnym jéj zawsze pozostanie—myślała.—A więc i kocha również — echem dorzuciło serce.

Już nic więcéj nie pragnęła wiedzieć.

Pomiarkowała jednak, że wypada jeszcze rozmowę poprowadzić, dla zamaskowania celu, w jakim ją zaczęła.

— A pan?—zapytała więc po chwili — czy pan także pozostanie za granicą?

— Niestety, nie; muszę powracać. Ale ja nie mam zdolności i wytrwałości Edwarda, więc i tak pewno nie stworzyłbym wiele po za praktycznem zajęciem, jakie i tu znajdę.

Po ustach Irmy przemknął nieznaczny uśmiech. Wiedziała co i ta „wytrwałość“ znaczy.

Była też do końca wieczora w usposobieniu takiém, jak gdyby przez serce jéj przepływał potok światła słonecznego.

I do domu powróciła z nieodwołalném postanowieniem napisania do Edwarda.

Miałaż zostawiać go w mniemaniu, że zimna jest, ograniczona, nie umiejąca ocenić ani jego uczucia, ani przymiotów. Że nawet nie myśli o tém, iż sprawiła mu najcięższy zapewne ból, jakiego zaznał w życiu?... Czy zresztą słusznem było i sprawiedliwém, aby zostawali z nieuzasadnionemi urazami w sercach na zawsze? Oni, znajomi od dzieciństwa, krewni, przyjaźnią i zażyłością tylu lat połączeni?...

Za mało znała życie, aby wiedzieć, że amputacya czasem lepsza stokroć od powolnego zabliźniania rany, które tylko draźni i krew psuje.

Nie zastanawiała się również nad tém, że Edward układając długi pobyt za granicą, może sam chciał przez to myśl oderwać od niéj, a wszystkie siły poświęcić pracy dla nauki.

Dawała się unieść popędowi serca i pragnąc jedynie spełnić to, co za dobre i potrzebne uważała ze swéj strony, to jest okazać mu pamięć, życzliwość i współczucie, napisała krótko a serdecznie, dopytując przedewszystkiem, czy przebaczył jéj złe, jakie mu wyrządziła.

Tak określała odprawę daną, sumieniem i sercem w ten sposób potępiając swój postępek. Instynkt mówił jéj bowiem, że niweczy w nim jakąś dodatnią siłę, która niezwykłą moc posiadała w sobie.

Ojcu nie przyznała się wcale do tego drugiego samodzielnego kroku. Uważała go za mniéj ważny, niż zerwanie z narzeczonym, bo nie zastanawiała się zgoła nad następstwami, jakie mógł pociągnąć. Zresztą powstrzymywała ją dziewicza wstydliwość i dziecinna obawa zakazu, któryby ją skrępował, gdy chciała postawić na swojém.

Po wysłaniu listu doznała ogromnéj ulgi, jak człowiek, który

z sumienia grzech śmiertelny zrzuci. Nie trwożyło jéj wcale, że tydzień upływał, a odpowiedź nie nadchodziła. Wystarczało jéj moralne przekonanie, że Edward wcale się nie zmienił i źle odezwy jéj nie przyjmie.

Jakoż nie pomyliła się. Odpowiedź w dni dziesięć przybyła.

Edward najpierw szczerze wyznawał, że zbyt silnego doświadczył wzruszenia, gdy list jéj odebrał, aby módz bez zwłoki odpisać. Potém z łagodnością szlachetnego serca, które ze słów jego biło zawsze jak gorąca łuna, a z logiką i sprawiedliwością trzeźwego umysłu tłómaczył, że urazy i żalu do niéj miéć nie może i nie ma, „bo jeśli kochał ją, to z własnéj woli, jeśli cierpiał, to z własnéj winy...“ „Nie wabiła go przecież lekkomyślnie; nie podbijała dla zabawki, nie łudziła pozorami przywiązania...“ „Czyli więc jéj czynić zarzut z tego, że piękna duszą i ciałem jak słońce, przyciągała oczy i serca tych, co światło wielbić i miłować chcieli?...“

Daléj przyznał, że wprawdzie zmrożony był do szpiku w kościach jéj krótką ustną odpowiedzią, ale za to w piśmiennéj znalazł tyle serca i rozumu, że jeszcze lepiéj poznał, co w niéj utracił.

W końcu, nie proponując bynajmniéj zrywania lub dalszego prowadzenia korespondencyi, nadmienił tylko, że odpowié jéj zawsze chętnie, ile razy tego zażąda, z wyjątkiem pory egzaminów, podczas których całą myśl i przytomność skupiać chce i będzie musiał na nauce.

Ten list wprost rozmarzył i opanował Irmę.

Gorąca a hamowana miłość, ta jedyna prawdziwa na świecie, która umié cierpiéć mężnie, nie upadać, a iść coraz daléj i wyżéj, i nie rzucać skarg i klątw na przedmiot swoich bólów, ale przeciwnie, jeszcze go bronić i podnosić, przemówiła do niéj z jego słów silniéj, niż najnamiętniejsze wyznania.

To téż poprostu już nie mogła do niego nie pisać.

Żywa jéj natura i umysł ruchliwy, podniecone, zapotrzebowały ujścia. Zapragnęła odsłaniać przed Edwardem porywy serca i duszy, aby przez to siebie dawać poznać i jego poznać wzajem. Boć przecie, przez ostatnie cztery lata, gdy charaktery ich, poglądy życiowe oraz skłonności wrodzone rozwijały się i urabiały poważniéj, oni właśnie mało bywali ze sobą.

Nastąpiła tedy między nimi wymiana listów na rozległy temat wszystkiego, co młode umysły przedsiębiorą i roją, a świéże serca odczuwają. Każde zakreślało jakieś cele w użyciu, połączone z chęcią pożytecznéj pracy i służenia społeczeństwu. Każde miało swoje pra-

gnienia i zamiary, wypowiadali je zatém z zapałem, rozgrzewając się coraz bardziéj.

W Edwardzie odżyły, rzecz prosta, przygasłe nadzieje i miłość jego wzrastała.

W czasie egzaminów korespondencya się przerwała za wspólną zgodą. Ale czyż jemu potrzeba było większéj podniety nad tę, że Irma się nim zajmuje, że czeka pomyślnego ukończenia studyów i wierzy w jego zdolności i powodzenie? Jemu wszystkie władze umysłu aż płonęły nadmierną bystrością, gdy pomyślał, że nagrodę otrzymaną u stóp jéj złoży.

Zdał rzeczywiście świetnie i korzystając z odznaczeń, jakie mu przyznano, zamierzał jeszcze kilka miesięcy poświęcić studyom praktycznym, które miały w następstwie ułatwić prędsze osiągnięcie niezależnego stanowiska. Musiał wprawdzie w takiém położeniu rzeczy korzystać nadal z materyalnéj pomocy ze strony matki; lecz spodziewał się wszystko wynagrodzić w przyszłości; a przedewszystkiém pragnął z jak najświetniejszemi rezultami powrócić, aby módz osiąść w kraju, pokonać uprzedzenia ojca Irmy i sięgnąć nareszcie po tę upragnioną wybranę, i posiąść ją, gdyby dowiedział się nakoniec z jéj ust, że kocha go i chce zostać jego żoną.

Bo właśnie co do uczuć Irmy nie przestawał mieć wątpliwości.

Wrażenie chwili, w któréj odtrąciła go, pozostało w nim tak silne, że ciągle stawało jak widmo przed oczyma i wzniecało w sercu niepokój, odebrawszy raz wiarę w siebie i w możliwość ziszczenia zamysłów.

Z listów zaś dziewczyny żadnego wniosku na jasno wyprowadzić nie było można.

O ile jego charakter wyrobiony, umysł nazywający rzeczy po imieniu, a serce gorące lecz poddane kierunkowi woli, czyli główne cechy jego moralnéj istoty rysowały się zawsze jednakowo czystemi liniami, o tyle jéj strona duchowa łamała się sprzecznościami rzecby w kolorycie, które zacierały wyrazistość konturów, to jest podstawy. Ona, z wieczyście płonącym zapałem w oczach, z żywością umysłu i temperamentu, z wrodzoném poczuciem dobra i piękna a szczerą chęcią stwarzania czegoś pożytecznego dla drugich, przy braku zaś wytkniętego celu i umiejętności kierowania sobą, czyniła nieraz rzeczywiście wrażenie istoty, która nie umié określić czego chce, i jak długo jednego pragnąć będzie.

On szedł zawsze prosto, zdecydowany na wszystko, co na drodze spotka, i zdający sobie ściśle sprawę z tego, co uczyni w danéj chwili i wobec każdego wypadku.

Ona przeciwnie często pozwalała się unosić wrażeniom przelotnym, i wybór drogi lub rozstrzygnięcie kwestyi zostawiała okolicznościom. Nieraz téż jéj dążenia miewały pozór zachcianek, do których biegnie się z uporem i gorączką, aby niezadowolenie lub obojętność poczuć w chwili — tryumfu. Z drugiéj jednak strony, jeśli postanowiła sobie znieść ból albo przykrość, lub na swojém postawić, to zdobywała się na zadziwiającą wytrwałość i siłę, choćby dla tego, że oporu nie lubiła i w przeszkodach znajdowała podniecenie.

Edward te dodatnie i ujemne strony jéj usposobienia i charakteru, o ile już zaznaczały się, postrzegał, gdy tylko zastanawiać się zaczął nad nią, nad sobą i powstającém w sercu uczuciem. A rysy te odnajdował w jéj listach z tém większą łatwością, że przez czas wzrosły znakomicie, ona zaś ukrywać ich zgoła nie myślała.

Dla tego tyle obaw i wątpliwości obsiadało mu duszę. Dla tego choć pisał do niéj i odpowiedzi przyjmował z radością, nie przestawał miéć uczucia, że za lada podmuchem to szczęście chwilowe pryśnie, a jemu znów zostanie pustka.

Przytém inna jeszcze trwoga w nim powstawała: czy oto zdoła opanować całą istotę téj fantastycznéj dziewczyny, i czy w końcu znajdzie w niéj, gdyby należéć do niego chciała, tyle ciepła, oddania i głębi uczucia, ile sam ofiarowywał i miał prawo żądać. Lecz wyrzekać się wszelkiéj nadziei, nie miał siły.

Przez uczciwość zatém czynił to przynajmniéj, że nie kładł żadnego nacisku na jéj postępowanie. Jasno zaś stawiać kwestyę i rzetelnie badać jéj serce zamierzał dopiéro po powrocie z zagranicy, przy osobistém widzeniu.

Okoliczności jednak zrządziły inaczéj.

Odkryto ich korespondencyę, i dawny opór z jednéj strony ojca, a z drugiéj matki, wystąpił na nowo tém zapalczywszy i groźniejszy, że oboje przedstawiciele władzy rodzicielskiéj czuli się okropnie dotknięci tajemnicą i nieposłuszeństwem.

Matka Edwarda, nie czekając ani przyjazdu jego ani piśmiennych tłómaczeń, z góry oświadczyła, że na „niemądre małżeństwo“ nie zezwoli, choć przeciw wybranéj nie stawiała innych zarzutów, prócz braku znacznego majątku, jakiego wymagała nieodzownie dla poratowania nadszarpanéj fortuny.

Ojciec zaś Irmy, mniéj despotyczny, poprostu z żalem zwrócił się do jedynaczki, wymawiając skrytość, brak rozsądku i postępowanie zgubne na całe życie. Bo juźciż zrozumiał, dla czego odrzuciła pana Romana i obawiał się, aby w dalszym ciągu nie odprawiała innych. Małżeństwo zaś z Edwardem uważał za zupełnie niemożliwe;

nie przypuszczał bowiem „aby ona sama — jak się wyrażał — chciała wchodzić w rodzinę, gdzie jéj sobie nie życzą, ona, dla któréj nie było za wysokich progów na świecie“.

Przy takim obrocie rzeczy, Edward zaskoczony znów raptownie i przedwcześnie, widział tylko jedno wyjście z położenia: Wybadać otwarcie i szczerze, ile sił i chęci będzie miała Irma, aby prowadzić walkę, która przy despotyzmie jego matki zanosiła się na długą, i stosownie do tego zakreślić dalsze postępowanie.

Wybadać Irmę, znaczyło odkrywać prawdę, któréj się lękał! Znaczyło jasno stawianemi pytaniami przekonywać się, jaka jest miłość jéj, czy wyrównywająca jego uczuciom w potędze, czy zdolna cierpiéć, czekać, przezwyciężać próby?

Od odpowiedzi zależał los całéj sprawy i zależało jego życie. A im więcéj nad tą kwestyą się zastanawiał, tém bardziéj drżał.

Wskutek zaś przykrości i irytacyi i z tego powodu, że znów burzą się ułożone plany i matka ubliżającą niechęcią obraża jego wybranę, tak wezbrały w nim wszystkie uczucia, że napisał list prawdziwie krwią i ogniem, lubo punkt za punktem przedstawił równocześnie każdą rzecz szczegółowo.

Najpierw tedy oświadczył Irmie, że bez wahania zerwie z matką, jeśli ona wyjść za niego się zgodzi; musiał bowiem wybierać między jedną a drugą... Że daléj, nie ulęknie się żadnych trudów, przykrości i najcięższéj pracy, ale dwu, a może i trzech lat będzie potrzebował do zdobycia odpowiedniego bytu, ponieważ matka w razie nieposłuszeństwa odmawiała mu wszelkiéj pomocy. A wreszcie przedstawił, że chcąc wiązać się słowem, muszą dokonać tego w najgłębszéj tajemnicy, zachowując pozory zerwanych stosunków, aby nie podniecić prześladowania i nie pomnożyć przeszkód.

...„Musimy rzucić drogę prawdy, którą chcieliśmy postępować — pisał—a iść drogą obłudy i kłamstwa, któremi brzydziliśmy się oboje. Czy ty jednak się zgodzisz? Czy przystaniesz na to?... Co powiész mi o swojém sercu? Ty aż nadto wiész, co stanowisz dla mnie! Wiész, że nauczyłaś mnie pracować, myśléć, że przez ciebie zapragnąłem stać się użytecznym członkiem społeczeństwa i kraju. Z tobą chciałem stworzyć rodzinę, któraby mi do śmierci dawała uczuć, że jestem człowiekiem i dała używać możliwego szczęścia na ziemi, osładzając trud i mozół życia. Ty wiész to wszystko, ale ja nic nie wiem. Z ust twoich nigdy nie słyszałem abyś mnie kochała... Ty zawsze tylko mówisz o „szczęściu mojém“, więc przypuszczać muszę, iż litość gra w tobie lub współczucie, a tego ja nie chcę. Ofiary żadnéj od ciebie nie przyjmę. Ja muszę wiedziéć, że to n a s z e s z c z ę ś c i e byłoby

w związku twoim ze mną, n a s z e, a nie moje, bo cię kocham za gorąco, za namiętnie, i za silnie kochać będę zawsze, bym na mniejszém uczuciu poprzestał z twéj strony.

„Mów więc, co mi dajesz? Mów, czy zgadzasz się czekać lata i z moją niepewną dolą wiązać swoją? Mów otwarcie wszystko, bo niewiadomość trawi mnie, pożera...“

Po tym zaś gwałtownym wybuchu daléj pisał spokojniéj, malując napadające go zwątpienie:

...„Ty nie pojmiesz ile ja przewalczę z sobą, ile ja przemyślę! Czy uwierzysz bowiem, że chwilami zdaje mi się, iż najpierwszym moim obowiązkiem względem ciebie, jako kobiéty, którą ukochałem nad życie, jest zejść z twojéj drogi; bo ty jednak pewno mnie nie kochasz i z innym byłabyś szczęśliwszą“...

W końcu dodał, że tylko czeka jéj odpowiedzi i stosownie do tego powrócić do kraju, lub zostanie zagranicą.

Irma list ten odebrała nazajutrz po otrzymaniu poprostu impertyneckiéj odezwy matki Edwarda i po rozmowie z ojcem; czyli w chwili, gdy świéżo była pod wpływem wymówek o skrytość i pod wpływem obrażonéj miłości własnéj, a podniecanéj przez ojca ambicyi. Miałaż więc znów i natychmiast wbrew woli ojca wiązać się w tajemnicy na całe życie, gdy dopiéro co przyznała słuszność jego wyrzutom o brak zaufania? Miała dopuszczać się aż tyle fałszu i kłamstwa, do których wstręt czuła? Nie! na to zdobyć się nie potrafiła! Jakże śmiałaby co dzień patrzéć temu ojcu w oczy, gdyby go oszukiwała?

— A zresztą, po co wiązać się sekretną przysięgą? — pomyślała nagle. Jeśli miłość ich sama w sobie tyle znajdzie siły, że przetrwa próby, to bez przyrzeczeń czekać będą i połączą się po latach. A jeśli uczucia ich ulegną zmianie, to i na cóż im przysięgi, czcza forma bez treści?

Irma w zasadzie uznawała uczucia trwałe i przelotne, jakby rzeczy odmiennego gatunku; przyznawała téż istnienie uczuć i porywów niepodległych woli i kierownictwu człowieka, przez co zdejmowała z siebie i drugich odpowiedzialność, a za jedyny probierz przyjmowała czas.

Gdy zaś w ślad za Edwardem po raz pierwszy zapytała siebie: czy kocha go istotnie jak pragnął i wymagał, odpowiedzi jasnéj nie znajdowała, gubiąc się w chaosie gorących wprawdzie pragnień, ale zarazem i obaw, i sprzecznych podszeptów, jakie podsuwały jéj rozstrojone nerwy.

Sama namiętność, ze słów Edwarda bijąca płomienną falą, od-

działywała na nią dwojako: zapalała ogień w jéj żyłach, a zarazem przejmowała niewytłómaczoną trwogą. Tak, iż drżąc na wspomnienie jego wyznań, Irma nie umiała rozpoznać, czy wstrząsa się z miłości, czy ze strachu, w przeczuciu siły, która unieść lub zdruzgotać ją mogła.

Dość, że wiązać się nie chciała. Była gotowa czekać dopókąd siłby starczyło, ale nie chciała przyrzeczeń w tajemnicy przed ojcem, i nie chciała planów krępujących naprzód na całe lata.

A jak myślała, tak napisała. Nie wymówiła tego słowa „kocham“, które nigdy z ust jéj nie wyszło, bo ono samo znaczyło dla niéj przysięgę, i wiedziała, że wypowie je tylko wówczas, gdy miłość ogarnie całą jéj duszę i ciało, przy pierwszym pocałunku, który usta ich połączy i już rozstać im się nie pozwoli.

Edward wszakże, raz odtrącony, zawsze na dnie serca miał zwątpienie, obawę, a może i urazę; przytém za głęboko czuł wogóle, że wiele z miłością związał strun i celów życia i nadto wreszcie był rozgorączkowany, aby zupełnie zimném nie wydało mu się to, co miało temperaturę niższą, choćby o stopni parę.

On z niecierpliwością natężonych władz ducha i ciała szukał i czekał przedewszystkiém tego słowa „kocham“, które nieinaczéj rozumiejąc, wymawiał bez wahania i zastrzeżeń, zatém usłyszéć miał prawo.

Gdy nie znalazł go, gdy przytém przekonał się, że Irma jak zawsze ująć się nie da, zobowiązań po za wiedzą ojca nie przyjmie i ustępstw żadnych nie zrobi, zwątpił nagle i do szczętu o wszystkiém. Przestał wierzyć, aby nawet cień uczucia był w niéj, działał przez nią i rozniecić się miał kiedykolwiek.

Jéj odpowiedź wobec tego, co w nim wrzało, wydawała się chłodném rozumowaniem głowy. Miał za ból, za krew kipiącą i nieograniczoną gotowość do poświęceń odbierać uczucie niezdolne do jasnéj świadomości, jakiém jest i czy przetrwa próby, to wolał odrazu nic, i na zawsze nic.

O ile zaś pierwsza odmowa zupełna, ale choć w części uzasadniona, podnieciła w nim chęć dążenia naprzód i udoskonalania się moralnie, o tyle ta odpowiedź pełna nadziei, ale oparta na samych niepewnościach złamała go, wprost zniweczyła.

Wszystkie złudzenia i sny, jakie miał, rozsypały się.

Nerwy jego, siły moralne i fizyczne, naprężone do najwyższego stopnia przez walkę, niepewność i oczekiwanie, uległy raptownemu przełomowi, jak przeciągnięta struna, która pęka. Zamarł, i zaczął

patrzéć na siebie i Irmę obojętnie, obiektywnie, jak człowiek z drugiego świata.

Nie odmawiał jéj przymiotów przyznawanych pierwéj, ale widział je nacechowane przedewszystkiém tą nieuchwytną migotliwością, wymykającą się z pod wszelkich więzów i karbów, któréj opanować nie miał siły, a któréj wyłączenia z pod swéj władzy nie byłby zniósł nigdy. Siebie zaś sądził i oceniał z krańcowym pesymizmem.

I w tym duchu jeszcze raz napisał do Irmy.

Na wstępie pochwalił szczerość, na jaką się zdobyła, a pod którą upatrywał wyznanie zupełnego braku wzajemności. Potém roztrząsał i tłómaczył różnice ich usposobień i temperamentów, obok zbliżonych rysów charakteru, jak bezstronny krytyk.

...„Ty może masz serce, ale przedewszystkiém masz olbrzymią ambicyą, któréj ja wystarczyć nie zdołam—pisał.—Tyś popsuta uwielbieniem i hołdami ludzi, tobie potrzeba nadzwyczajności. Tyś wyjątkowa: pięknością, talentem, wykształceniem; masz prawo wiele żądać od życia i człowieka, z którym na zawsze się zwiążesz. A ja czémże wobec ciebie? Jam człowiek zwyczajny, jakich wielu spotkasz na swéj drodze; wierzaj, żeśmy całkiem nie dla siebie... Ty zwracając się do mnie, uległaś podszeptom dobroci serca i przyjaźni, ale nie miłości, a może zachciance fantazyi, która w tobie oporu nie lubi. Jam odurzył się nadzieją, że kochać mnie zdołasz, lecz poznałem to niepodobieństwo, wytrzeźwiawszy... Ty nie możesz przyrosnąć do mnie sercem, a ja ciepła potrzebuję. I gdybym kiedykolwiek spostrzegł, że cię nie zadawalam, lecz krępuję, byłbym nadto nieszczęśliwym, choćbyś mi słowem zawodu poznać nie dawała, bo kocham cię za głęboko, za gorąco i za wiele, abym mógł posiadać cię i tracić, lub posiadać niezupełnie. Półśrodków nie znam, pół dróg nie przyjmuję...

...„Władzy twojéj nademną nigdy oprzéć się nie zdołam, choćbyśmy piekło stworzyli na ziemi; lecz w miłość twoją nigdy nie uwierzę, choćbyś mnie śmiercią przekonać chciała.

...„Więc czyń, co zechcesz, moje szczęście składam w ręce twoje“...

W drugiéj części listu zapewniał raz jeszcze, że najmniejszego żalu do niéj nie ma, i prosił, aby do końca życia uważała go za przyjaciela. A wreszcie uprzedził ją z zupełnym spokojem, że nie mając już nic do stracenia i zyskania na świecie, oraz żadnego z dawnych celów przed sobą, ożeni się zapewne według woli matki, aby poratować rodzinę i zabezpieczyć przyszłość jedynéj siostry.

W dopisku zaś nadmienił, że natychmiast powraca do kraju, wprost do domu, bo nie czuje sił ani chęci, aby odbywać dodatkowe studya.

. . . .

Irma czytając ten list, myślała, że raczéj pomieszania zmysłów dostaje, niż że prawdą jest, co mówiły słowa.

Edward tak pisał? Edward! w którego uczucie wierzyła jak w niechybność śmierci! On nie chciał czekać, dobrowolnie jéj się wyrzekał, w miłość jéj nie wierzył?!

Strumień łez buchnął z jéj oczu, łez żalu, zawodu i gniewu zarazem.

Okropnie ją bolało, że tak osądził ją człowiek, który powinien był ją lepiéj zrozumiéć, i oburzało, że mimo zapewnień miłości, jakich czynić nie przestawał, śmiał odsunąć ją od siebie raz na zawsze, choć pozostawiała mu nadzieję. Równocześnie jednak z szybkością błyskawic przez głowę jéj przelatywały pytania: kto ma słuszność? co właściwie jest prawdą?... Czy istotnie nie kocha go i kochać nie zdolna? Czy ma w sobie tę nienasyconą ambicyę, nad wszystkiém górującą, i zamiast szczęścia, przynieść mu gotowa zgubę i udręczenie?

Zamęt z tych myśli powstawał w jéj głowie.

Zdejmowała ją szalona chęć, aby zwalczyć jego uprzedzenia, jeszcze raz wytłómaczyć jak rzecz rozumiała i pokazać wreszcie na co zdobyć się mogła; a po chwili zwątpienie przemagało, i zamiary w pył się rozpadały.

— Napiszę, zaprzeczę, sprostuję! — wołała w uniesieniu. — Ale dokąd i jak?—pytał rozsądek.—Pisać do domu jego matki, aby zgubić do reszty sprawę i siebie?

— Czemuż więc Edward stworzył położenie bez wyjścia? Czemu wprost spalił mosty za sobą?—mówiła rozżalona.—Mógł był pozostać za granicą, lub oznaczyć czasowy adres dla porozumienia. Lecz nie! On umyślnie postawił niczém niezwalczoną zaporę. Nie wierzył jéj, nie chciał o niéj słyszéć!

W końcu też oburzenie wzięło w niéj górę.

— Walczyć, cierpiéć, oddawać mu życie po to, aby wiecznie podejrzéwał, że litość przezemnie działa, nie szczerość uczucia — myślała — aby nieufnością zatruwał każdą chwilę szczęścia do śmierci, cóż za szaleństwo! prawdziwe piekło na ziemi!

W wyobraźni widziała się jak Syzyf toczącą skałę pod górę, i ciągle przywalaną ciężarem napowrót spadającego kamienia.

W pierwszéj chwili nadto poruszona, pominęła nawet szczególne zakończenie listu, to jest: chłodny obrachunek z przyszłością, na jednéj karcie z namiętnemi wyznaniami.

Ale gdy ochłonęła z oszołomienia, oryginalny ten ustęp skupił całą jéj uwagę.

Plan działania, tak przytomnie i praktycznie zarysowany w chwili saméj burzy, wydał jéj się dowodem niezrównanéj małości duszy i zupełnego zobojętnienia.

Wiedziała, że Edward ma też ambicyą niemałą, że nie będzie chciał przed światem ani przed sobą przyznawać porażki; że z drugiéj strony przywykł skrupulatnie z zasady obliczać się z życiem, z siłami i z tém, co na ich podstawie budować może. Ależ, to wszystko jeszcze go nie usprawiedliwiało! Toć ona, któréj zarzucał chwiejność uczuć i któréj nie wierzył, nie była zdolna powiedziéć, czy wyjdzie za mąż w rok, lub kiedykolwiek, dla zadowolenia ojca, dla majątku, lub stanowiska.

— A!... roześmiała się głośno z ironią i gorzkim bólem. — A!

A już nie myślała jaką drogą i jakim sposobem do Edwarda pisać.

Rok upłynął od powyższych wypadków.

Oni przez ten czas wiadomości o sobie mieli skąpe. Edward wiedział tylko, że Irma jak dawniéj mieszka z ojcem w mieście N.,— ona, że osiadł z matką w górniczéj miejscowości pogranicznéj i czekał na posadę.

Co działo się z nim moralnie, przeniknąć nie zdołała. Fakt zaś, że nie rozstawał się z matką świadczył, że ulega jéj woli i życzeniom.

Irma ze swego stanu psychicznego nie byłaby także umiała zdać sprawy.

Czuła, że coś w niéj zastygło i stępiało. Na pozór jednak nie zmieniła się wcale, tak iż ojciec, patrzący nanią co dnia, ani przypuszczał, jak boleśnie dla obu ich serc zakończyło się zerwanie, którego sobie życzył.

Po roku upłynęło i pół, gdy Irmę doszła wiadomość, że Edward stara się o bardzo bogatą, ale bardzo brzydką czy ułomną pannę z okolicy. Wkrótce zaś potém, że się już zaręczył.

W pierwszéj chwili Irma wieść tę przyjęła z kamiennym spokojem. Dla niéj nie była to nowość, lecz w czyn wprowadzony zamiar, który przecież znała.

Lecz martwy spokój prędko ją opuścił.

— Oto moje dzieło! — mówiła, przejęta wyrzutem sumienia. — Ten człowiek, który dawniéj czuł, myślał, pracował, chciał być pożytecznym dla drugich, dziś jest niczém i sprzedaje się dla pieniędzy.

Była bowiem przekonana moralnie, że się nie myli, to jest, że on kocha ją jedynę mimo wszystkiego, jak sam powiedział. Ale, że przez przekorę, dumę, albo chęć praktycznego zużytkowania życia, lub postawienia niezwalczonéj między nimi tamy — bierze za żonę kobietę, która majątkiem wynagradza braki i próżność zasyca, a naturalnie: godzi się na małżeństwo bez miłości.

Jego więc hańbę przyjmowała na siebie.

Chwilami jednak zamiar Edwarda wydawał jéj się potwornością.

Sądząc z punktu swoich uczuć i zapatrywań, nie pojmowała, jak można wiązać się na zawsze z istotą obojętną, a co gorzéj wstrętną. Jak można z rozmysłem krzywdzić kobietę niewinną, mającą również prawa do życia, serca i szczęścia?

Dla niéj zawieranie związków w takich warunkach było wprost nikczemnością.

To téż podrywała się oburzeniem i broniąc go wobec saméj siebie z mocą powtarzała: on tego nie uczyni!

I z gorączkowym niepokojem oczekiwała wieści, któreby potwierdziły dobre o nim mniemanie. Dopytywała troskliwie przez znajomych o termin ślubu. W głębi duszy miała nadzieję, że zaręczyny są tylko groźbą, a do małżeństwa nie przyjdzie, że Edward pomiarkuje się i przez miłość dla niéj sam zerwie.

Skoro jednak dzień ślubu już był tak bliski, że nie mogła spodziéwać się zmiany, taką poczuła gorycz w sercu, że zapragnęła wyrwać do szczętu obraz swój z jego pamięci. Duma i niemal zawiść wezbrały w jéj duszy.

Zażądała tedy przez pośrednictwo zwrotu swoich listów, które jéj zdaniem, nie powinny były w żadnym razie u niego pozostawać.

Edward przed samym ślubem do N. przyjechał i — listy jéj odesłał.

Traf zdarzył, że sama była w przedpokoju, gdy hotelowy służący pakiet oddawał.

Jeden rzut oka na charakter pisma adresu wystarczył jéj.

— Kto to przywiózł? — zapytała głucho.

— Pan Edward Ł. — brzmiała odpowiedź.

— Co?! Pan Ł? — wykrzyknęła Irma, wstrząsając się dreszczem od stóp do głowy.

— Tak. Pan przyjechał w nocy, odjeżdża w południe. Kazał oddać.

Irma jak szalona chwyciła papiery i wpadła z niemi do salonu. Tam oderwała pieczątki, zdarła wielką kopertę i kilkanaście

kartek własném pismém zakreślonych przerzucać zaczęła z niepokojem, chciwością i gorączką.

Oddech jéj zamierał, palce drżały, szukała kartki, słowa, znaku... od niego.

Przerzucała tak raz drugi i trzeci, ale źdźbła nie znalazła! Same tylko swoje listy, wszystkie, wyjąwszy pierwszego, listy zmięte widocznie długiém noszeniem w kieszeni, miejscami zbrudzone od pyłu, a może łez albo pocałunków, same swoje listy przetrząsała.

Twarz jéj zbielała, ręce opadły.

Naraz jednak ruszyła się żywo. Zwinęła papiéry, wrzuciła w szufladę biurka, zamknęła, i nie namyślając się, włożyła kapelusz i na miasto wyszła.

Chciała spotkać go; sądziła, że bez spotkania nie byłaby mogła wytrzymać w domu z tą myślą, że on jest w mieście. Chodziła więc prędko i niemal w kółko, po najruchliwszych ulicach... nie śmiała tylko podsuwać się ku gmachowi hotelu, w którym stał.

Jakoś krew krzepła jéj w żyłach na myśl, że mógłby ją przed tym gmachem zobaczyć, i zrozumiéć, dla czego tam się znalazła.

Miał przecież sposobność odezwać się do niéj, a nie uczynił tego. Mógł zobaczyć ją, a nie chciał.

Jeszcze nie miarkowała dostatecznie, że on nigdy nie pozwalał okolicznościom zwracać siebie z wytkniętéj drogi. Że prawdziwie wszystko byłby mógł, ale nie chciał nic.

Zwolna, zwolna krew ostygała w całém jéj ciele; nogi coraz ociężaléj się posuwały.

Dwunasta biła na ratuszu. Dzwony kościelne uderzyły na Anioł pański.

Przypomniała sobie jaka to pora.

— Więc już odjechał! — pomyślała, zaledwie zdolna coś skombinować.

I leniwie stopami powłócząc, a łykając łzy, powracała do domu.

Gdyby Edward mógł był zajrzéć w jéj serce, nie byłby powiedział, że nie umiała kochać go i cierpiéć dla jego miłości.

II.

Minęło lat pięć.

W życiu zawsze jedne prawa rządzą.

Zmiany i wypadki sprowadza los, siła niezależna, która zsyła oto: śmierć, pożar, skarb, lub zgubę, albo sprowadza człowiek sam, oddziaływając na dolę własną temperamentem, skłonnościami, kierunkiem, jaki mimowoli i wiedzy, lub świadomie nadaje rzeczom.

Gdy zaś człowiek zachowa się biernie, a nadzwyczajność w grę nie wejdzie--życie upływa przez lata, jak przez dzień.

To dziwne tylko, że niekiedy schodzi tak ludziom, którzy jednak nie zrzekają się pewnych pragnień, a może i ziszczenia ich oczekują.

Tak nijako, a przecież niewystarczająco mijały tygodnie i miesiące dla dwu zajmujących nas osób.

Edward od ślubu rozłączył się z matką i osiadł w Warszawie. Nie zawiązywał licznych stosunków z ludźmi, dom urządził mimo to wspaniale, jak gdyby sam chciał napawać się zbytkiem do syta.

Zajęcie miał niewielkie, wcale nieodpowiadające jego wykształceniu i dawnym zamysłom. Po roku też, czy dwu, kupił za posag żony wieś dobrze zagospodarowaną i tam przesiadywał niemal stale, na polowaniach czas spędzając—jak mówiono.

Żoną jego świat zgoła się nie zajmował. Była to kobiéta w saméj rzeczy nieładna i cokolwiek ułomna. Usposobieniem niemniejsze przeciwieństwo stanowiła z Irmą, nie zaznaczając się nawet dla najbliższego otoczenia niczém, z natury cicha, nieśmiała i mało inteligentna. To téż wydawało się, że poprostu nie jest w stanie sądzić swego położenia i pędzi dni raczéj bezbarwne i martwe, niż ciężkie. Osłodę stanowiła dla niéj córeczka, która w trzy lata po ślubie na świat przyszła.

Irma zaś nie wyszła za mąż. Dlaczego—nikt nie rozumiał.

Nie przechwalała się liczbą starających o swą rękę, mimo to wiedziano, że nie brakowało jéj wielbicieli, gotowych stanąć u ołtarza, choć miała rok dwudziesty szósty.

Piękność jéj klasyczna prawie nie uległa zmianie, a przynajmniéj uszczerbkowi. Rysy subtelnie wykrojone, jak z marmuru przez artystę rzeźbiarza, cera przejrzysta, włosy złotem lśniące — były te same. A oczy, owe czarne gwiazdy pociągające w toń, gdy patrzyła spokojnie, lub ciskające skrami znienacka w chwili poruszenia — jeszcze zyskały na uroku i wyrazie.

W obejściu i usposobieniu zachowała dawną wesołość i swobodę. Wydawało się przytém, że przestała zapalać się do coraz czegoś nowego, doszła do równowagi moralnéj i ułożyła życie według woli i upodobań.

Tak przynajmniéj sądzić musieli ci, którzy nie znajdowali nigdy na twarzy jéj nudy i zniechęcenia, a w słowach goryczy.

Śmiała się wprost, gdy zapytywano jéj, dlaczego tylu „unieszczęśliwia“, mnożąc ofiary swych wdzięków, a nikogo „uszczęśliwić“ nie chce. I z przedziwną naturalnością tłomaczyła, że przecież nie

odpowiada za to, co bez udziału jéj woli się dzieje, że należéć może tylko do jednego, więc i tak niezadowoli wszystkich — a zatém, może pozostać i samą, kiedy jéj z tém dobrze.

Czy istotnie dobrze jéj było—powiedziéć trudno. Raczéj przypuścić należy, iż przejścia z Edwardem przygłuszyły w niéj wrażliwość, kładąc niejako na sercu warstewkę lodu, która tamowała żywsze krążenie krwi i gorętsze uczucia. Że przytém w epoce téj przedewszystkiém działał przez nią, choć właściwie bez jéj wiedzy upór cichy, a zacięty, który mimo powierzchownéj zmienności był w jéj charakterze. Nie przyznawała przed sobą, że Edward z myśli jéj nie zchodzi, a jednakże tak było. Nie przyznawała zaś tak dalece, że w chwilach chłodnego zastanowienia pytała nawet, czy miłość między nimi istniała w ogóle? Uczucia ich bowiem były tak idealne, bez podstawy realnéj; były miłością bez pocałunku, bez uścisku; w ostatniéj fazie, gdy doszły do najwyższego punktu, nie podniecały się nawet zamianą żywych słów, spojrzeń i prostych uściśnień ręki. Czy więc istniały?... Czy nie były tylko dziecińsТwem, mrzonką, ogniem bengalskim, który miał czasową racyą bytu, musiał istniéć — i spłonąć?

W chwilach tych przyświadczała również, że szkoda marnującego się życia, ot tak, nie wiedziéć na czém. Powtarzała nawet za innymi, że ostatecznie wypada wyjść za mąż i raz na ten krok zdobyć się trzeba. Ale gdy zaczęła myśléć o wybraniu któregokolwiek ze swych konkurentów na towarzysza całego życia, zaraz uczuwała niesmak i niezadowolenie; jeden wydawał jéj się pospolity, drugi śmieszny, zimny, albo szablonowy —i dorady rozsądku upadały.

Śnieg padał suchy i szklisty, miliardy srebrnych igieł rozrzucając w powietrzu, sanki z brzękiem janczarów przemykały po ulicach, a sylwetki przechodniów pojedyńczo i gromadnie coraz to inne rysowały się ciemnemi plamami na białém tle chodników, — gdy Irma w bronzowym płaszczu, bobrowéj czapeczce na głowie, jak zawsze wykwintna i wyniosła, posuwistym krokiem żywo szła przez jednę z głównych ulic Warszawy.

Niespodzianie przybyła tam z ojcem, którego do stolicy sprowadziły interesa — i jak zwykle przyjezdni—dużo biegała po mieście.

Wysoka jéj postać, twarz niepowszednia, oczy silniejszym, niż zazwyczaj, blaskiem odbijające przy licach zarumienionych z zimna i przy śniegu, który gwiazdkami białemi skrzył się na futrze jéj koł-

nierza i czapeczki—całość, jedném słowem, szczegółami i ogółem interesująca, ściągała uwagę przechodniów, licznych, jak zawsze w popołudniowych godzinach.

Zmieszana też śmiałemi lub zdumionemi spojrzeniami, któremi ją obrzucano, zmarszczyła nieco brwi przyspieszyła kroku i przecinała płynącą falę prawie, nie podnosząc oczu.

Gdy w tém—wzrok jéj pociągnął ku sobie mężczyzna o pół głowy od niéj wyższy, który szedł naprzeciw i już ją miał minąć.

Spojrzała:—Edward.

I on za wydatne miał rysy, by go mogła nie poznać, choć zapuścił brodę. Nos dość duży i garbaty, oczy szare, głęboko osadzone, a posiadające wyłączny sposób szybkiego rzucania spojrzeń, wzrost wysoki, postawa kształtna i silna — wreszcie to coś niedającego się wytłómaczyć, co jedni nazwaliby przeczuciem, a drudzy wprost magnetyzmem—to coś, co kazało jéj podnieść źrenice, powiedziało zarazem, że to *on*.

— Irma!...

Doleciało jéj uszu równocześnie, jak szept wiatru, jak szelest nie wiedzieć skąd powstały między wirującemi prószynami śniegu.

Drgnęła. Zawahała się sekundę, lecz nie przystanęła.

I już skrzyżowali się — w oka mgnieniu dzieliło ich kroków kilka.

Ona bezwiednie zwróciła głowę i zobaczyła, że on został na miejscu i obrócił się za nią, jak gdyby ktoś za barki porwał go i wykręcił.

Drugi raz już za siebie nie spojrzała.

Pomknęła naprzód i szła—zgoła nie widząc nikogo dokoła. Szła bez myśli, coraz prędzéj, jak gdyby uciekała.

Serce biło jéj — drobny dreszcz przepływał po całém ciele. W uszach brzmiało ciągle imię własne, wyrwane z jego piersi znienacka—brzmiało, jak gdyby echem powtarzała je każda igiełka lodu, padająca na twarz, na usta, na ramiona—na ziemię.

Krew uderzyła jéj na lica.

Poczuła duszność w piersi — zapragnęła przestrzeni i swobody; śpieszyła więc naprzód, zapominając dokąd dąży, nie zastanawiając się, gdzie jest.

Dopiéro przed dworcem kolei wiedeńskiéj, gdzie tłum ludzi z tłomokami na plecach zastąpił jéj drogę, oprzytomniała i zmiarkowała, że właściwie należało jéj było skręcić przy jednéj z bocznych ulic.

— Mniejsza z tém! — pomyślała i puściła się ku polom w Jerozolimską aleję.

Tu przynajmniéj znajdowała czego pragnęła: mniéj wiru, mniéj brzęku dzwonków, mniéj chaosu i ludzi — więcéj powietrza i swobody. Ale tu właśnie, wyrwana z gwaru ulicznego, w ciszy i pustce, tém wyraźniéj widziała przed oczyma wysoką postać jego odrysowaną, jak ciemny posąg na śniegu białym—w ziemię wrytą.

— Cóż za moc przykuła go do miejsca? Jakie uczucie przez usta rzuciło jéj imię?... Dlaczegóż nie przywitali się?—pytała w duchu.—Przecież mogli to uczynić. On „przyjaciel“ dlaczegóż się nie zbliżyć?... A tak! — odpowiadała z tajoną radością i goryczą zarazem — nie mogło być między nimi letnio umiarkowanych stosunków, raczéj żadnych.

I tak rozmyślając szła, aż ściemniać się zaczęło. Zawróciła tedy i prosto podążyła do hotelu.

Tam nie zastała ojca; siadła więc spokojnie i oddała się myślom o Edwardzie, jak poprzednio.

Spotkanie z nim poruszyło w niéj wszystkie uczucia, na pozór stłumione. Warstewka lodu, pokrywająca serce nadpękła pod uderzeniem jednego słowa z jego ust... I zwolna budził się w niéj żal, wyrzut, powstawała gorycz z powodu dotkniętéj jego niewiarą miłości własnéj. A po chwili przeciwnie odzywało się w niéj zadowolenie ambicyi; bo jednak nie ona pierwsza przeniewierzyła się czynem; nie ona cofnęła się, nie ona postawiła dobrowolnie zaporę, któréj nic obalić nie zdołało! Nie ona wykazała słabość charakteru, czy uczucia... On to uczynił — i z pośpiechem, a bezwzględnie! Z gorącemi wyznaniami na ustach, z przyrzeczeniem miłości wiernéj do śmierci, odwrócił się i wziął inną za żonę. Nie spróbował nawet przekonać się, co ona czuje i myśli po tym roku milczenia, podczas gdy *ona* nie byłaby nigdy związała się z innym bez odwołania jeszcze raz do niego, bez widzenia i rozmowy...

Lecz prawda! Po cóż jemu było pytać? Wszak nie miał siły, by zobaczyć ją — i odejść z niczém; by oprzéć się, gdyby go chciała, a w miłość jéj nie wierzył!... Prawda!...

To tłómaczenie, które znajdowała na dnie każdego rozmyślania, stanowiło punkt najdrażliwszy i najbardziéj podbudzający. Z jednéj bowiem strony zrzucało winę na jéj chwiejność w chwili, gdy on żądał stanowczości — z drugiéj zaś, jego miłość przedstawiało jako potęgę, nie dającą się pohamować, ani przystosować do okoliczności.

Zerwane struny nie mogły wydawać dźwięku — a że pękły, jéj wina. Każdy jego krok teraźniejszy był konsekwentném następstwem zajść poprzednich i czynników, jakie przez niego działały.

— Co zaś daléj będzie? — pytała mimowoli, zdradzając, że nie uważała sprawy za skończoną. — Gdy spotkali się raz, mogą spotkać i drugi i trzeci—a wtedy czy się przywitają?...

Dochodziło ją postronnie, że Edward chce nawiązać zerwane z nimi stosunki i bywać napowrót na prawach dawnéj znajomości i pokrewieństwa. Chęć ta nie zadziwiła jéj, bo w ostatnim liście między paroma prośbami, jakie do niéj zwrócił, była i ta, aby, nie odtrącając jego przyjaźni, odwoływała się do niego w razie potrzeby i nie lękała zetknięcia, bo wprawny w panowanie nad sobą, na przykrość jéj nie narazi.

Skoro więc to pisał, rzecz prosta, że przypuszczać musiał, iż kiedyś znowu w ich domu się znajdzie. Czekał zapewne tylko sposobności—i kto wié, czy teraz jéj nie poszuka.

A wtedy — co ona uczyni? Przyjmie go, czy ode drzwi odprawi?

Wzgląd na ojca i ludzi nie krępował jéj wcale, gdyż ani bliscy, ani obcy nie przypuszczali, aby Edward jeszcze ją cokolwiek obchodził. Mogła więc niezależnie postąpić podług woli.

I istotnie stawiała pytanie tylko pod wpływem chwilowego nastroju, z powodu podrażnionéj ambicyi; za moment wiedziała bowiem, że przyjmie go niezawodnie, że w głębi duszy pragnie wprost widzenia z nim, nietylko przez ciekawość niewieścią, chcącą wybadać, co z dawnego pozostało, ale przez chęć oczyszczenia się z zarzutów, któremi nie przestawała się obarczać.

Przez kilka dni następnych, jakie jeszcze przebyła w Warszawie, rozglądała się téż pilnie po ulicach. Lecz Edwarda nie dostrzegła nigdzie.

Tego nie mogła wiedzieć, że odjechał nazajutrz rano, odwołany raptownie na wieś w chwili, gdy hotelowy ich adres już miał w ręku.

Ale snadź w losach zapisaném było, aby zetknęli się niezadługo.

W czerwcu Irma znów przyjechała do stolicy, poprostu na letni karnawał, wyścigi i wystawy; i tym razem, bez ojca będąc, stała u krewnych.

Otóż dnia jednego powracała rankiem z kościoła, gdy na pustym prawie chodniku spotkała Edwarda.

Tym razem oboje zobaczyli się i poznali zdaleka — i oboje snadź

instynktownie zwolnili kroku, aby ochłonąć z wrażenia, czy zyskać czas do namysłu nad tém, co uczynić.

Irma dopókąd w wyobraźni przedstawiała sobie tę chwilę, zawsze myślała, że pierwsza wyciągnie rękę na znak pojednania, i stwarzała nawet różne sceny na temat rozmowy, jaką prowadzić byłaby pragnęła.

W rzeczywistości stało się tymczasem inaczéj. Na widok jego uczuła przedewszystkiém dotkniętą miłość własną, która wzbiła się w niéj poprostu oburzeniem—i niemal chciała zawrócić, choć za moment byłaby tego niezawodnie żałowała.

Lecz już oto znaleźli się naprzeciw siebie.

Edward przystanął i uchylał kapelusza z powitaniem.

— A, kuzynka! — zaczął cermonialnie, siląc się na ton obojętnie grzeczny.

W oczy wcale sobie nie spojrzeli.

Na twarz Irmy wytrysnął rumieniec.

Choć przed chwilą chciała cofnąć się z przed jego oczu, teraz oburzyła się wymuszonym i fałszywie brzmiącym tonem jego mowy.

Milczała, walcząc ze sobą, jeszcze gotowa odejść bez odpowiedzi, lecz w końcu podała mu rękę prosto i szczerze.

— Dzień dobry — rzekła z dawną zażyłością, choć głucho, i ruszyła z miejsca.

On postąpił za nią i szli tak obok.

Rozmowa jednak nie mogła nawiązać się między nimi swobodnie. Obojętna, a mimo to nienaturalna, rwała się co moment.

On wpadał w zadumę, wracając myślą do przeszłości, a może odurzając się tém, że miał ją blisko.

Ona zaś ledwo hamowała się z powiedzeniem słów może nadto porywczych, tak drażniło ją sztywne i zimne jego obejście.

Przyspieszała też kroku coraz bardziéj, aż z prawdziwą ulgą przystanęła przed jedną z kamienic i żywo złożyła parasolkę.

Edward ruch ten zrozumiał.

— Tu mieszkacie?—zapytał.

— Tak, tu mieszkam u stryjenki—odparła krótko i znów podała mu rękę na pożegnanie.

On snadź nie spodziewał się tak prędko rozstania. Zaskoczony znienacka zmieszał się i palce jéj uścisnął ostrożnie, jak przedmiot zakazany. Dopiéro w sekundę uścisnął je goręcéj raz drugi, przyczém spojrzał prosto w jéj oczy.

Ona także podniosła ku niemu źrenice — i badali się tak przez

chwilę z wyrazem pytania... Cóż-bo znajdowali w sobie po latach tylu?

Oczy Irmy szybko jednak w bok zemknęły.

Wysunęła rękę z jego dłoni i cofnęła się ku bramie.

— Czy można panie odwiedzić?—cicho zapytał Edward.

— Jeśli masz ochotę...

— Kiedy?

— Między piątą a szóstą.

Na tém zakończyli i rozeszli się.

Irma wolnym krokiem weszła do sieni.

Przystanęła, jeszcze raz, obejrzała się na bramę, na ulicę, zapytując, czy prawdą jest, że on był tu przed chwilą, że widzieli się, rozmawiali,—że już do przeszłości należało to spotkanie tak upragnione, a tak w rzeczywistości niepodobne do tego, co obiecywała jéj wyobraźnia.

Potém wstępowała na schody machinalnie. Czuła tylko, że lica jéj pałają, i że pragnie być samą.

Wspomniała więc stryjence o bólu głowy i prosto przeszła do swego pokoju.

Tam zupełnie automatycznie zdjęła suknię, nałożyła leciuchną muślinową narzutkę; potém siadła na kanapce, głowę w tył przechyliła na oparcie i ręce splotła nad czołem.

Doznawała takiego wrażenia, jak gdyby odjęto jéj możność czucia i myślenia. Ani wnioskowała, ani sądziła, ani wiedziała, czy nawet serce porusza się w jéj piersi. Zwolna jedno tylko pytanie stworzyło dla niéj błędne koło, w którém zaczęły kręcić się jéj myśli, mianowicie: czy ten człowiek sztywny, obojętny, chłodny, był tym samym, który umiał zdobywać się na płonące ogniem wyznania i kochał ją „za namiętnie“, aby na mniejszém uczuciu z jéj strony poprzestać? Gdzie się tamten w nim podział? Co się z nim stało? Czy podobna, aby *ten* mógł kiedykolwiek być innym?

Gdyby nie ta jedna sekunda przy pożegnaniu, byłoby jéj się wydawało, że to obcy przybysz, którego pierwszy raz w życiu widziała.

Opuściła ręce ze zwątpieniem.

— Jakież to życie jest dziwne! Jak serce ludzkie niepojęte! — myślała, wzruszając ramionami, a nie mogąc się otrząsnąć z odrętwienia.

I nieruchomie patrzyła w sufit.

Ogarniało ją okropne zniechęcenie moralne i znużenie fizyczne. Aż zwolna senność spłynęła na jéj powieki i opanowała stopniowo niemocą wszystkie jéj członki.

I tak z obwisłemi bezwładnie ramionami, głową przechyloną, Irma na dobre zasnęła.

Gdy otworzyła oczy, poznała po słońcu, że południe dawno minęło. Zerwała się tedy przerażona i spojrzała na zégarek.

Dochodziła trzecia—należało ubiérać się do obiadu—pomyślała, przez przyzwyczajenie obejmując najpierw to, co obowiązkowo uczynić wypadało.

Lecz w momencie znów stanęła na środku pokoju—i oczyma powiodła dokoła.

— Czy w saméj rzeczy nie spała już?... Czy nie wszystko było snem?

Widzenie z Edwardem wydawało jéj się rzeczą tak oddaloną, jakby z przed miesięcy paru, a nawet kilku lat.

Nagle wszakże jakby zabrzmiało jéj w uszach:

— „Między piątą a szóstą“...

— Tak! On przyjdzie—pomyślała i ruszyła się żywo, odzyskując sprężystość nerwów.

— Przyjdzie! — powtarzała z uczuciem takiém, jak gdyby ranne widzenie było niczém, a to drugie dopiéro wszystko stanowić miało.

Lecz nie zapuszczała się już w marzenia snute poprzednio; a ze spokojem przygotowywała się niejako do walki, z któréj chciała wyjść zwycięsko.

Odezwał się w niéj rys ogólno-kobiecéj natury: pomyślała przedewszystkiém o powierzchowności.

— Chcę być piękną—mówiła i zabrała się do ubiérania.

Starannie zaczesała włosy, ułożyła je w węzły nad czołem, a potém otworzyła szafę i zastanawiała się, jaką wybrać suknię.

Dzień był upalny; mogła wziąć najjaśniejszą i najlżejszą, gdyby chciała.

Oglądała téż białą batystową, blado lila i niebieską... Przy téj zatrzymała się najdłużéj, bo w podobnéj widział ją raz ostatni przed fatalnemi oświadczynami, gdy przyjechał podczas wakacyi. Zdejmowała ją zatém pokusa, przez przekorę nagle się odzywającą, aby stanąć przed nim żywém wspomnieniem z minionych czasów.

— Lecz nie! — pomyślała po chwili, dumnie odrzucając głowę;— nie trzeba, aby przypuszczał, że stroję się dla niego. Najlepiéj włożyć tę, co rano: szarą i skromną.

Przy téj więc została. Przypięła tylko do boku pęk ulubionych kwiatów: heliotropu i różowéj werbeny.

Podczas obiadu, w rozmowie o znajomych, napomknęła o Edwardzie i przypuszczalnych jego odwiedzinach, aby w ten sposób przygotować stryjenkę i kuzynki.

Przezorność jednak była zbyteczną; nikt nie znał, czy nie pamiętał ich sercowéj sprawy, a z pozorów niczego domyślać się nie mógł.

Edward przyszedł punktualnie o naznaczonéj porze, siedział ze trzy kwadranse—i wyszedł.

Całém zaś obejściem czynił wrażenie człowieka tak obcego, jak gdyby przybywał z drugiéj półkuli świata. Wszystkie wygłaszane przez niego zapatrywania nosiły przytém piętno chłodu, znudzenia, ścisłéj rachuby i zupełnéj oschłości serca.

Irma po jego odejściu szybko podążyła do swego pokoju.

Tam ledwo za progiem, głowę ścisnęła rękoma.

Była poprostu, jak to mówią trywialnie lecz dosadnie, ogłupiona.

Nie widziała nic, nic—nic. Ani co myśléć, ani w co wierzyć lub nie wierzyć; ani co przypuszczać, czego się spodziéwać, czego chciéć i nie chciéć... Potrzebowała śmiać się i płakać razem — i na prawdę śmiała się i płakała.

Bo jednak widocznie ani na chwilę nie godziła się z rzeczywistością, to jest z tém, że Edward miał inną kobiétę za żonę, a dla niéj powinien był zupełnie przestać istniéć. Widocznie ciągle oczekiwała czegoś—jak gdyby nie dzieliły ich okoliczności i lata.

Pamiętała każde słowo z jego listów, a więc i prośbę o przyjaźń i zapewnienie, że na przykrość ją obejściem nie narazi.

— Ależ takie zachowanie nie było udaniem! Nie było dziełem silnéj woli, poskramiającéj umiejętnie uczucia krnąbrne, czy gorące!... On i uczucia!... Ha, ha! to istna ironia! Zimno wiało od niego, jak od bryły lodu. Każde słowo było chłodzącym powiewem wiatru... Gdzież tu mówić o przyjaźni? Toż gdyby z głodu umiérała, z bólu, opuszczenia, jeszcze nie zwróciłaby się do niego!

Takiém więc było to pierwsze spotkanie, które — jak sobie wyobrażała — doprowadzić ich miało do rozstrząśnięcia wzajemnych uraz, przebaczenia i prawdziwéj przyjaźni!...

Takim człowiek, któremu poświęciła tyle myśli, tyle cierpień?!...

Raz jeszcze widzieli się w tydzień potém na wyścigach.

Ale wówczas Irma już i w głębi duszy nie doznawała uczuć rozczarowanéj i na ziemię z obłoków strąconéj marzycielki.

Śmiała się, śmiała kaskadą dźwięcznego głosu i rzucała błyski

dowcipu i wesołości, jak gdyby była najszczęśliwszą z kobiét w całym tłumie.

Edward patrzył na nią zrazu trochę nieufnie. Potém jednak dał się porwać jéj ożywieniu i sam w części odzyskał swobodę.

Śmiéch ich stanowił poprostu może ujście dla naprężonych nerwów. Ale ostatecznie rozmawiali jak ludzie, między którymi nigdy nic nie było, zajęci tylko chwilą obecną.

Zdawało się, że wzajemny ich stosunek wszedł na stopę zwykłéj znajomości.

(*Dok. nast.*) *St. Ariel.*





LISTY CZESKIE.

XX.

Though this be madness, yet there is method in it.

Jeżeli teraz, na schyłku roku 1890, mam dać dokładny obraz stosunków społecznych i politycznych w królestwie czeskiém a przedewszystkiém położenia, w jakiém się znajduje czeski naród, to nie mogę pominąć owych niezwykłych klęsk żywiołowych, jakie w tym roku nawiedziły nasz kraj. Dzień 4 września i 24 listopada mają pod tym względem fatalne znaczenie. 4-go września stan wody w Wełtawie dosiągł wysokości, na jakiej się znajdował w smutne dni marcowe r. 1845; znaczna część Starego i Nowego Miasta w Pradze stała przez kilka dni pod wodą, a przed południem 4 września zawaliły się trzy arkady starego kamiennego mostu Karola, zbudowanego w wieku XIV. Właśnie dwie pod względem artystycznym najznakomitsze grupy posągowe na moście, Ignacy Loyola i Franciszek Ksawery, legły zgruchotane w wartkich falach rzeki i, o ile mi wiadomo, uratowano je tylko częściowo. Nie zdecydowano się jeszcze na to, czy można pomyśléć o odrestaurowaniu zburzonych posągów, gdyż narazie musiano się przedewszystkiem zająć tém, ażeby z najkonieczniejszą i najbardziéj naglącą pomocą pośpieszyć tam, gdzie srożące się żywioły zrządziły największe spustoszenia. Ze strony rządu, ze strony gmin, z Pragą na czele, ustanowiono komitety pomocy i zarządzono składki, ażeby wszędzie zaradzić przynajmniéj najbardziéj naglącym potrzebom; zebrano i rozdzielono wiele setek tysięcy; zrządzone jednak szkody wynosiły w całym kraju wiele

milionów [1]), a chociaż wielu z poszkodowanych zrzekło się wspaniałomyślnie wszelkiéj pomocy na korzyść bardziéj potrzebujących, to przecież nie zdołano jeszcze naprawić wszystkich szkód, gdy w tém 24 listopada nastąpiła nowa katastrofa. Wprawdzie sama Praga nie została ciężko dotkniętą, zato wszakże wiadomości z licznych stron kraju brzmiały tém rozpaczliwiéj, a zrządzone straty wynoszą znowu miliony. Tam, gdzie rolnicy z biédą i wśród niedostatku, o jakim tylko można pomyśléć, uporządkowali i uprawili jako tako swoje spustoszone pola, teraz wszystko zostało znowu do szczętu zmiażdżone i owoce całotygodniowéj pracy przepadły. Najsrożéj został dotkięty Karlsbad, głośne miejsce kąpielowe. Tam nieznaczna rzeczka Teplá wezbrała do niepamiętnéj wysokości czterech metrów nad poziom normalny; w niektórych domach na Neue Wiese brudno-żółta fala sięgała niemal do okien pierwszego piętra; wszystkie sklepiki na Staréj i Nowéj Łące zostały wywrócone i poczęści zdruzgotane; dom „Pod drzewem kawowém“ zawalił się i wszystko, co ocalało w piwnicach i suterynach domów, zostało przez wciskającą się wodę zepsute i zniszczone. Straty całkowite w samym tylko Karlsbadzie są niezmiernie wielkie, a trwoga mieszkańców zwiększyła się jeszcze przez to, że burmistrz Knoll wśród saméj katastrofy skonał nagle na paraliż nerwowy.

Kraj tedy czeski i jego ludność poniosły na schyłku roku 1890 bardzo dotkliwe straty materyalne i, gdyby nawet wszystko zresztą było tak, jak się sobie życzyło, to kraj i ludność miałyby dosyć do czynienia, zanimby przebolały i naprawiły straty, wyrządzone przez te wypadki żywiołowe. Na nieszczęście jednak, wszystko inne nie jest tak, jakby się sobie życzyło, i my tutaj w Czechach zamykamy r. 1890 w położeniu, które ze wszech stron nazywają z zupełną słusznością rozpaczliwém, i którego na razie nie jesteśmy w stanie w żaden sposób naprawić.

Stare przysłowie powiada: „Kiedy biéda jest największa, wtedy pomoc Boska jest najbliższa“, jednakże gotówbym prawie powątpiewać, czy Panu Bogu będzie się chciało pomódz nam do wydobycia się z położenia, w które wplątaliśmy się niepotrzebnie i lekkomyślnie. Mówię z rozmysłem: „n i e p o t r z e b n i e i l e k k o m y ś l n i e“, a je-

---

[1]) Sprawdzone urzędowo straty w królestwie czeskiém, wynoszą 4,700.000 guldenów w. a. W saméj Pradze straty w budynkach komunalnych i budowlach wodnych, wynoszą 123.000 guldenów, a wydatki, spowodowane przez zawalenie się mostu Karola, 490,000 guldenów, mianowicie: odbudowa mostu 320,000, zabezpieczenie wszystkich filarów 40.000, uprzątnięcie łożyska rzecznego 40,000, roboty tymczasowe 80,000 i naprawa bulwarku 10,000 guldenów.

żeli czytelnicy tych listów zechcą poświęcić mi trochę uwagi, to sądzę, że zdanie to potrafię uzasadnić i usprawiedliwić w całości.

Przedewszystkiém krótki opis naszego dzisiejszego położenia.

Kiedy sejm czeski został odroczony 29 listopada 1890, wtedy pewna gazeta, organ partyi staroczeskiéj lub tak zwanéj narodowéj, napisała następujące, brzemienne treścią słowa:

„W każdym razie nie możemy się już spodziewać, ażeby naród czeski wywinął się od politycznych następstw radykalizmu, który teraz w opinii publicznéj stłumił przemocą wszelki głos spokojnéj rozwagi i oględności politycznéj“.

Mówiąc wyraźniéj, rzeczy stoją tak: ugoda pomiędzy Czechami a Niemcami jest prawie jakby pogrzebana; młodoczesi, którzy udaremnienie téj ugody uczynili najnowszym programem swéj działalności, cel ten osiągnęli. Wskutek tego naprzód zapowiedziane na 2 grudnia uroczyste otwarcie „Czeskiéj Akademii umiejętności i sztuki“ zostało odroczoném, ponieważ protektor jéj, arcyksiążę Karol Ludwik, odwołał swoje przybycie. Wskutek tego Niemcy 27 listopada za pośrednictwem komitetu wykonawczego swoich posłów sejmowych, oświadczyli najuroczyściéj, że w zamierzonéj na r. 1891 wystawie krajowéj, wcale nie wezmą udziału. Tak więc wypowiedzenie wszelkich przyjaznych stosunków ze strony Niemców i oczywista zapowiedź stanowczego niezadowolenia w sferach najwyższych, jest znamieniem sytuacyi, jaką naród czeski zamyka rok 1890. Do tego nasi radykalni młodoczesi wołają ciągle odważnie i w wysokiém poczuciu swego stronniczego zwycięstwa: Nie potrzebujemy wcale Niemców, nie potrzebujemy w końcu nikogo, jesteśmy dosyć silni, sami zrobimy wszystko najlepiéj! — i wśród tego rozkosznego upojenia i wymuszonego przeceniania własnych sił, przebrzmiewa bez echa ostrzegający głos spokojnéj rozwagi, która z cokolwiek mniejszém zarozumieniem stawia sobie krótkie pytanie: „Cóż tedy?“

Ponieważ zadaniem mojém jest nakreślić, o ile można, obiektywny obraz naszych stosunków, więc przy ocenie wypadków nie chcę przykładać miarki własnego indywidualnego uczucia; nie mogę jednak nie zauważyć, że jako zupełnie spokojny i bezstronny widz zażartych walk teraźniejszych, spoglądam w najbliższą przyszłość prawie z rozpaczą i nie mogę dostrzedz pocieszających oznak, któreby zapowiadały dalszy pomyślny rozwój narodu czeskiego. Dla dokładniejszego zrozumienia i istotnéj oceny tak nieprzyjemnego położenia naszego obejrzyjmy się na przeszłość.

Przedewszystkiém narzuca mi się pytanie: Jakie przyczy-

ny sprowadziły właściwie tak zwaną ugodę z miesiąca stycznia?

Możnaby tu poprostu odpowiedzieć: Jużciż życzono sobie raz już usunąć stanowczo rozterkę narodowościową, która w sposób niebezpieczny groziła zatruciem życia publicznego i prywatnego w Czechach. Odpowiedź taka jest, naturalnie, wogóle słuszną, ale nie wyczerpującą, gdyż nie mówi ona, co właśnie nadało dalszemu rozwojowi téj sprawy tak wielkie i doniosłe znaczenie, że tę akcyę ugodową można było z najzupełniejszém prawem nazwać pierwszorzędną akcyą państwową.

Rozterka narodowa w Czechach, t. j. dawny antagonizm historyczny między Niemcami a Czechami w tym kraju, przybrała skomplikowaną postać w ostatnich czasach przez to, że oba stronnictwa narodowe, t. j. Czesi i Niemcy rozszczepili się na dwa szorstko występujące przeciwko sobie stronnictwa. Ażeby wyjaśnić całkowicie stanowisko i dążenia każdego z tych, jak obecnie, czterech stronnictw narodowych, musimy wstecz rzucić okiem na przeszłość.

Przed r. 1848 Czechy można było uważać słusznie za kraj, który wprawdzie nie został jeszcze zupełnie zniemczony, który jednak skazany był w każdym razie na los ostatecznéj germanizacyi. Pod tym względem nie można się wcale łudzić, a nie może téż ulegać żadnéj wątpliwości, że wtenczas dążenia owych patryotów czeskich, którzy zupełnie skromnie i bez wszelkich tendencyi i planów politycznych zajmowali się pielęgnowaniem i utrzymaniem w ludzie języka czeskiego, były ze strony Niemców przyjmowane z taką szczerą a nawet uprzedzającą sympatyą, jak np. dzisiaj Francuzi zapatrują się na usiłowania tych patryotów bretońskich, którzy pragną podtrzymać prawa wymierającego tam języka celtyckiego i uchronić od całkowitego upadku celtycką literaturę narodową. Muszę to ciągle przypominać, że wszyscy ci, którzy nie żyli w tamtym okresie i nie patrzyli własnemi oczyma na ówczesne stosunki, nie mogą sobie nawet w przybliżeniu utworzyć należytego pojęcia o tém, do jakiego stopnia Czechy były wówczas już rzeczywiście zniemczone, i muszę dodać, że bez roku 1848, Czechy byłyby dzisiaj krajem najzupełniéj zgermanizowanym.

Otóż nadszedł rok 1848, którego wpływ na stosunki publiczne w Czechach musi być nazwany niezmiernym. Jakby za uderzeniem laski czarodziejskiéj, na powierzchni wypadków codziennych ukazał się naród czeski, który się upomniał o swoje prawa narodowe i polityczne i osiągnął je w chwili pierwszego ogólnego zdumienia. Niemcy byli rzeczywiście tak zaskoczeni, że nie stawili wcale stanowczego

oporu i można zapewne twierdzić, że rozwijającą się później rozterkę narodową, właściwie jeszcze przed jéj powstaniem, można było załagodzić zaraz w r. 1848, gdyby wybuch czerwcowy nie był udaremnił zebrania się sejmu czeskiego. Sejm czeski w r. 1848 byłby w zarodku powstrzymał utworzenie się dwóch krańcowych partyi narodowych, które już wówczas położyły pierwszą podstawą do fatalnéj rozterki narodowéj, i na których leży główna wina obecnego beznadziejnego położenia, ponieważ wówczas nie zostały stłumione w zarodku.

Mianowicie żywioły umiarkowane narodu czeskiego jako najwyższy ideał swoich usiłowań postawiły w swoim programie równouprawnienie narodowe z Niemcami; tymczasem wkrótce potém, jak się to zwykle dzieje i gdzieindziéj w tak burzliwych czasach, utworzyła się w Czechach radykalna partya narodowa, która natychmiast bez wielkich korowodów zaczęła domagać się dla narodu czeskiego panowania w całym kraju i za konieczny do tego warunek ogłosiła wypędzenie Niemców. Gazety niemieckie w cesarstwie podawały wtenczas najbardziéj alarmujące wiadomości z Pragi, np. że wybuch czerwcowy miał właściwie na celu wymordowanie Niemców, i że plan ten został zniweczony tylko dzięki energicznemu wdaniu się księcia Windischgrätza; zasiadającemu wówczas w Pradze kongresowi słowiańskiemu przypisywano ze strony niemieckiéj tendencyę popierania w cichości krwawych planów. Ponieważ zaś wskutek owego wybuchu formalne zamknięcie kongresu zostało udaremnione, więc jego urzędowe deklaracye, a przedewszystkiém „Manifest do ludów Europy“, zredagowany w tak szlachetnéj formie przez Palackiego i oparty na wzniosłych zasadach humanitarnych, nie dostały się do wiadomości zagranicy we właściwy i odpowiadający celowi sposób. Wskutek tego nietylko ówczesny prawowity sejm czeski nie uregulował ostatecznie stosunków publicznych, a mianowicie stosunku pomiędzy Czechami a Niemcami w kraju, ale nawet na narodzie czeskim pozostała plama, że przynajmniéj znaczna jego część zamierzała poprostu w najbrutalniejszy sposób wygubić Niemców czeskich.

Naodwrót, po stronie niemieckiéj zaczęto z têm większą stanowczością zmierzać ku temu, ażeby Czechy, jako kraj niemiecki i należący do związku niemieckiego, połączyć jaknajściśléj z planowanemi wówczas Wielko-Niemcami i tym sposobem uczynić ostateczną i stanowczą germanizacyę Czech faktem nieodwołalnym. Jak wiadomo, ani jedna, ani druga z pojawiających się już w r. 1848-ym frakcyi narodowych nie zdołała przeprowadzić swojego programu; obie jednak przyczyniły się już wówczas do zniweczenia wszystkiego, co można było uczynić dobrego i korzystnego dla kraju. A jeżeli nawet pod-

czas reakcyi, jaka nastąpiła po ruchu rewolucyjnym r. 1848-go, oba żywioły radykalne skupiały się między sobą dla wspólnego pozornie działania, albo dla wytworzenia stosunków przyjacielskich przynajmniéj w życiu towarzyskiém, to przecież nie doprowadziło to do żadnych następstw politycznych.

Na dalszy rozwój niemiecko-narodowy, czyli, mówiąc wyraźniéj, anty-austrackiéj partyi wśród Niemców czeskich, wpłynął w zupełnie naturalny sposób przebieg nowszych zdarzeń historycznych. Wyłączenie Austryi ze związku niemieckiego w r. 1866 nie pociągnęło za sobą żadnego osobliwego ruchu i zmiany. Wszak wiadomo powszechnie, że po r. 1866-ym miano na myśli utworzyć związek państw południowo-niemieckich pod wodzą Austryi, i że plan ten został zniweczony przez tajne machinacye Bismarcka, tak iż w r. 1870 wskutek konwencyi wojskowéj, zawartéj pomiędzy Prusami z jednéj strony, a Badenem, Wirtembergią i Bawaryą z drugiéj, całe Niemcy mogły z dobrze przygotowaną potęgą wojenną wyruszyć w pole przeciwko nieprzygotowanéj Francyi. Dziś wiemy już zupełnie stanowczo i pozytywnie, że Napoleon III-ci nie mógł wcale liczyć i nie liczył na zwycięstwo w walce ze związkiem północno-niemieckim; liczył on jednak na to, że w téj walce rozstrzygającéj, Austrya, Włochy i państwa południowo-niemieckie będą bić się przeciwko Prusom po jego stronie. Dziś wiemy [1]), że Napoleon III-ci zawarł z Austryą i Włochami formalny układ zaczepno-odporny, i że sam jeden nie byłby nigdy przedsięwziął fatalnéj wojny. Hr. Harrison opowiada podług zeznania księcia Napoleona, że ostatni widział na własne oczy i czytał odnośny dokument w Chislehurst, że wiedział dobrze, w któréj szufladzie biurka Napoleon III-ci takowy przechowuje, że jednak po śmierci cesarza dokument ten gdzieś przepadł. Włochy nie robiły żadnéj tajemnicy z przymierza, zawartego wówczas z Francyą.

Naturalnie, że w obec powszechnodziejowych wypadków z roku 1870 i 1871 wszystko to ma znaczenie podrzędne i przedstawia więcéj interesu dla historyka, niż dla teraźniejszego polityka. Rozstrzygającym faktem jest tutaj powstanie wielkiego i potężnego cesarstwa niemieckiego z Prusami i dynastyą Hohenzollerów na czele. Wskutek tego wypadku w Austryi, a mianowicie w Czechach, została nanowo powołaną do życia partya niemiecko-narodowa i anty-austyacka. Partya ta istnieje, i jeżeli dr. Knotz, jako poseł niemiecki, mógł powiedzieć w parlamencie wiedeńskim, że Austrya jest niby wypalonym Franusiem, którego popiół może posłużyć tylko za nawóz rozkwita-

---

[1]) Porów. Le comte Harrison: „Napoléon IV“. Paris. 1890.

jącéj niemieckości, to nie będzie zapewne zbyt śmiałém twierdzeniem, że partya ta bynajmniéj nie usiluje zataić ostatecznego celu swoich pragnień i usiłowań. Tak oto stoją rzeczy wśród Niemców czeskich, i zaiste leży to w dobrze zrozumianym interesie Austryi i jéj dynastyi, ażeby wdać się w te sprawy i wytworzyć zmianę w myśli austryackiéj.

Przejdźmyż teraz do rozdziału pomiędzy Czechami. Działały tu, naturalnie, zupełnie inne idee i pobudki, z pomiędzy których uwydatnię tylko te, co się przyczyniły do zaostrzenia rozterki narodowości i zagroziły zgodnemu pożyciu Niemców i Czechów. Że takie spokojne pożycie obu narodowości przy teraźniejszéj konstelacyi europejskiéj ma wysokie znaczenie dla każdego rządu austrackiego, tego chyba nie trzeba długo dowodzić. Czy jednak pożycie takie z Niemcami przedstawia podobny interes i dla Czechów, to kwestya, na którą od niejakiego czasu odpowiadają rozmaicie.

Tak zwani staroczesi, czyli partya Riegera, obecnie mianowana także przez młodoczechów „frakcyą Riegera“, są pod każdym względem stronnictwem umiarkowaném, które się nie oddaje żadnym złudzeniom i liczy się z istniejącemi stosunkami; hołdując czystym zasadom humanitarnym, staroczesi są rzeczywiście wolnomyślni w prawdziwym duchu swobody, któréj pragną nietylko dla siebie, ale i dla innych, zupełnie stanowczo i uczciwie, bez wszelkiéj myśli ukrytéj dążą oni do równouprawnienia politycznego obu narodowości, zamieszkujących Czechy, i żywią to przekonanie, że równouprawnienie polityczne może utworzyć i utworzy stałą podstawę do pokojowego i przyjacielskiego życia obu plemion krajowych. Jest to ostatni kres dążeń staroczechów: jak z jednéj strony zwierzchnictwo Niemców nad Czechami uważają oni za krzywdę tych ostatnich, tak z drugiéj strony odrzucają oni również stanowczo myśl o zwierzchnictwie Czechów nad Niemcami.

Inaczéj ma się rzecz z partyą młodoczeską, nie będącą zresztą stronnictwem samych m ł o d y c h Czechów, podobnie jak partya staroczeska nie składa się z samych tylko s t a r y c h Czechów. Partya ta zdąża, naturalnie, przedewszystkiém do tego, ażeby prześcignąć staroczechów i okazać się od nich bardziéj narodową. Za istotne kryteryum prawdziwie narodowego czeskiego sposobu myślenia, młodoczesi uważają nienawiść ku Niemcom. Jeżeli zaś partya ta obiéra sobie dawnych husytów za wzór narodowy, to nie myśli ona przytém bynajmniéj o fanatyzmie religijnym, który stanowił istotę husytyzmu, lecz wyłącznie tylko o nienawiści ku Niemcom; to téż, jeżeli w r. 1848 pomiędzy Czechami była mowa o wypędzeniu, albo nawet wymordowa-

niu Niemców, to i tutaj chodziło właśnie o takie rzekomo wzorowe stwierdzenie prawdziwie czeskiego ducha narodowego. Młodoczesi zatém nie kontentują się samém tylko równouprawnieniem politycznem: obiecują oni swoim, dotychczas upośledzonym, ziomkom panowanie w kraju, skutkiem czego program młodoczeski znajduje więcéj oddźwięku w narodzie, aniżeli trzeźwe teorye staroczechów o samém tylko politycznem równouprawnieniu.

Żaden rozumny człowiek nie może dziś zaprzeczać egzystencyi wielkiego zjednoczonego narodu niemieckiego i ignorować imponującego stanowiska cesarstwa niemieckiego; więc téż w takim samym stopniu każdy rozsądny człowiek musi uważać za ryzykowne przedsięwzięcie, jeżeli mały naród czeski, nie skonsolidowany jeszcze całkowicie w swoich prawach narodowych i politycznych, chce przedsiębrać tak oczywistą akcyę zaczepną przeciwko skupionéj masie środkowo-europejskiéj Niemczyzny.

Ale, pominąwszy to wszystko, kontrasty narodowe, ujawniające się w Czechach w tak przykry sposób, tworzą znaczną przeszkodę do ostatecznego skonsolidowania cesarstwa austryackiego, i rzeczywiście była już wielka pora pomyśléć o stanowczém usunięciu téj przeszkody. Nie może ulegać żadnéj wątpliwości, że cesarz Franciszek Józef w dobrze zrozumianym interesie dynastycznym byłby zupełnie skłonny do ukoronowania się na króla czeskiego, ażeby tym aktem uroczystym stwierdzić przynależność krajów korony czeskiéj do monarchii Habsburskiéj; lecz również łatwo jest zrozumiéć, że takiego aktu państwowego cesarz nie może przedsięwziąć bez formalnego zgodzenia się Niemców, a témbardziéj wbrew wyraźnemu ich oporowi. Cesarz nie może się dać ukoronować na króla Czechów; może on się tylko dać ukoronować jako król Czechii, jako król dwóch politycznie równouprawnionych narodowości.

W grudniu 1886 r. mniejszość niemiecka wystąpiła z sejmu czeskiego, od téj więc pory reprezentacya parlamentarna ludności krajowéj była niezupełną,—co wśród i tak ciężkich warunków czasowych nie mogło pociągnąć za sobą na dłużéj dobrych skutków. Tym sposobem w decydujących kołach i pod osobistym protektoratem samego cesarza, powstał zupełnie naturalnie plan wysoce ważnéj akcyi państwowéj, którą nazywają „ugodą“ (*Ausgleich*). Wypadało tu przedewszystkiém stworzyć możność skompletowania reprezentacyi krajowéj przez posłów niemieckich do sejmu czeskiego, daléj na drodze wzajemnéj umowy wypadało ustanowić warunki, na których możnaby było osiągnąć możliwy do przyjęcia *modus vivendi* pomiędzy obiema narodowościami,— przedsięwzięcie, które wszyscy patryoci austryaccy musieli po-

witać i powitali rzeczywiście ze szczerą radością. Pomiędzy kimże miały się odbywać te obrady ugodowe, innemi słowy — z kogo wypadało złożyć komisyę ugodową? Z czeskiéj szczególnie strony mówiono i pisano o tém wiele i poczytywano to za błąd taktyczny, że do wiedeńskich obrad ugodowych nie przybrano żadnego przedstawiciela partyi młodoczeskiéj. Po stronie niemieckiéj uznano to za rzecz zupełnie naturalną, iż zaproszenie otrzymali tylko przedstawiciele partyi niemiecko-austryackiéj, a i ja uważam to również za rzecz zgoła naturalną, że z obu stron wyłączono stronnictwa krańcowe; było bowiem widoczne, że mające być osiągniętém porozumienie obu umiarkowanych stronnictw narodowych, zostałoby sparaliżowane po obu stronach przez wpływ żywiołów krańcowych; dalsze zaś wypadki nie dowiodły, że oczekiwanie to nie było złudném.

Jak wiadomo, układy wiedeńskie doprowadziły w styczniu 1890 r. do upragnionego rezultatu. Tak zwane punktacye (11 paragrafów) zostały przez przedstawicieli czeskich i niemieckich, i przedstawicieli większéj własności ziemskiéj jednogłośnie przyjęte, i odnośny protokół podpisali 19-go stycznia t. r. wszyscy członkowie konferencyi.

Niechże mi będzie wolno wtrącić tutaj uwagę zupełnie osobistą, t. j. przedstawić nieco obszerniéj wrażenie, jakie zrobiły na mnie całe obrady ugodowe i ich rezultat ostateczny; przyczém z konieczności muszę zauważyć, że zdanie moje w zupełności podzielają wszyscy moi spółcześnicy, mianowicie starsi patryoci czescy, którzy znali naród czeski w jego narodowém i polityczném poniżeniu przed 50-ciu laty i byli świadkami bezprzykładnego w dziejach ludzkości wzniesienia się tego narodu. Ponieważ tedy my, ludzie starsi, należymy także do narodu czeskiego, a poglądy nasze stanowią jeżeli w obecnéj chwili nie decydującą, to w każdym razie i nie zupełnie podrzędną cząstkę opinii publicznéj, więc dalsze moje uwagi nie będą może zupełnie pozbawione interesu. Wszak my pracowaliśmy także z uczciwą chęcią i poświęceniem osobistych korzyści nad odrodzeniem naszéj narodowości; a zatém posiadamy téż może dosyć dokładne pojęcie o pomyślności narodu czeskiego, i wolno nam także sądzić o środkach i drogach, które do tego celu prowadzą.

Otóż przedewszystkiém byłem bardzo ucieszony, że nareszcie przyszło do tych obrad ugodowych, ponieważ jestem mocno przekonany, że najprzód spokojne pożycie obu plemion jest samo przez się pożądane, i powtóre, ponieważ według mnie, teraźniejsza konstelacya Europy bynajmniéj nie sprzyja przedłużaniu, lub — co więcéj — zaostrzaniu przykrego sporu z Niemcami. Zawarcie tedy pokoju przed-

stawiało w moich oczach stanowczą korzyść dla Czechów, choćby nawet nie wszystkie ich pragnienia miały być spełnione, co i tak przy podobném zawarciu pokoju było niemożebne: nie było tu bowiem zwycięzcy, któryby zagarnął dla siebie wszystkie korzyści, ani też zwyciężonego, któryby się musiał pogodzić z wszelkim uszczerbkiem. Bardzo ważną była przytém i ta okoliczność, że, w razie zupełnego udania się dzieła pokojowego, zanosiło się na koronacyę królewską.

Gdy następnie nadeszły z Wiednia wiadomości, że w najwyższych sferach troszczą się o to, ażeby członków konferencyi zbliżyć do siebie pod względem towarzyskim, że nietylko ministrowie urządzają wspólne obiady, ale że i sam cesarz zaprosi delegatów do stołu dworskiego, wtedy wszystko to zrobiło na mnie bardzo pocieszające wrażenie: widziałem bowiem w tém wyraźny dowód, że sfery najwyższe przywiązują wielką wagę do pomyślnego wyniku obrad, i środek do osiągnięcia tego rezultatu wydawał mi się zupełnie odpowiednim. Naturalnie, żaden rozsądny człowiek nie mógł oczekiwać zbyt wiele. Główną rzeczą było przecież zawarcie pokoju, któremu i ze strony czeskiéj w dobrze zrozumianym własnym interesie można było złożyć to i owo na ofiarę. Nie spodziéwałem się więc spełnienia wszystkich pragnień narodowych i zaspokojenia wszystkich pretensyi, gdyż to nie leżało w naturze rzeczy; z zupełném atoli zaufaniem do Riegera, Mattusza i Zeithammera, przedstawicieli naszych na konferencyach wiedeńskich, oczekiwałem tego, że dzieło ugodowe nie pogorszy nic w stosunkach politycznych i narodowych naszego ludu.

Tym sposobem tłómaczy się, że mnie i moich towarzyszów ogłoszenie punktacyi wiedeńskich w zupełności zadowoliło, albo, mówiąc właściwiéj, sprawiło nam radosną niespodziankę. Znaleźliśmy bowiem w nich więcéj korzyści dla narodu czeskiego, aniżeliśmy się spodziéwali; to też oświadczam tutaj formalnie i uroczyście, że, pomimo wszelkich deklamacyi mówców młodoczeskich i pomimo szumnych artykułów wstępnych młodoczeskich dziennikarzy, a nawet pomimo tego, że namiętnie podbudzana wielka masa narodu czeskiego jest innego zdania, sąd mój o ugodzie wiedeńskiéj od stycznia 1890 r. bynajmniéj się nie zmienił. Właśnie to, co z większą sofistyką aniżeli zdrową logiką bywa przez młodoczechów przytaczane przeciwko dziełu ugodowemu, mianowicie, że tym sposobem sprowadza się podział narodościowy w sprawach krajowych, jest w moich oczach dowodem trafności praktycznéj układów wiedeńskich. Jeżeli się bowiem okazało, że Niemcy i Czesi przy wspólnéj pracy nad różnemi sprawami krajowemi żyją tylko w ustawicznéj rozterce i niepokoju,

to jest zapewne rzeczą najlepszą wprowadzić jaknajdalej posunięty rozdział narodowościowy, nie znosząc jednak zupełnie pewnej łączności. Łączność ta jest zabezpieczona przez centralne instytucye kraju; jeżeli zaś Niemcy i Czesi nie będą zmuszeni załatwiać swoich spraw wspólnie, to z pewnością rozdział taki tu i owdzie doprowadzi wkrótce do przekonania, że przecież istnieje bardzo dużo wspólnych interesów i spraw, które można lepiej załatwić i dopilnować połączonemi siłami; tym zaś sposobem rozdział dobrowolny doprowadzi napewno z biegiem czasu do dobrowolnego zjednoczenia w tych i owych rzeczach, i naturalnie, że wtenczas pokój narodościowy byłby w kraju całkowicie zapewniony.

Omówię jeszcze w krótkości pojedyńcze punktacye dzieła ugodowego, ażeby okazać, że nie kryją one w sobie żadnego ukrócenia naszych interesów narodowych, że więc mogliśmy być z nich zadowoleni.

Jedna z tych punktacyi, dotycząca podziału krajowej rady szkolnej, została załatwioną już w drodze prawodawstwa krajowego. Dawniej mieliśmy na całe królestwo czeskie jedną krajową radę szkolną, w której, naturalnie, zasiadali razem Czesi i Niemcy, co dawało powód do kłótni o przestrzeganie równouprawnienia narodowego. Teraz posiadamy dwie krajowe rady szkolne: niemiecką i czeską. W pierwszej zasiadają sami tylko Niemcy, którzy sprawy swoich zakładów naukowych załatwiają po niemiecku; w drugiej obradują po czesku nad własnemi sprawami szkolnemi sami tylko Czesi. Rzeczy, które z konieczności muszą być wspólne, załatwia zbiorowe kolegium obu rad szkolnych pod przewodnictwem namiestnika. Gdyby któraś narodowość była przez ten podział poszkodowaną, to musiałoby się w równej mierze dotyczeć tak Niemców, jak i Czechów; gdyby zaś obie strony doszły do przekonania, że rozdział taki jest dla nich szkodliwy, to mogłyby się nanowo ze sobą połączyć. W każdym razie interesa narodowości czeskiej nic na takim podziale nie cierpią.

Obrady nad drugiem prawem ugodowem, tyczącem się podziału rady kultury krajowej, zostały rozpoczęte podczas drugiej sesyi sejmu czeskiego (od 14 paźdz. do 29 listopada), nie są jednak jeszcze doprowadzone do końca. Od czasów Maryi Teresy istniało w Czechach tak zwane „Towarzystwo patryotyczno-ekonomiczne“, które się zajmowało popieraniem interesów rolniczych, a mianowicie urządzało ono coroczne wystawy rolnicze. Od r. 1860-go, kiedy w całym kraju potworzyły się stowarzyszenia rolnicze, towarzystwo to zamieniło się na radę kultury krajowej, jakby organ centralny

wszystkich takich stowarzyszeń. Ciągłe starcia narodowe i rozterki w życiu polityczném miały ten skutek, że mniéj więcéj przed 10-ciu laty Niemcy odłączyli się od rady kultury krajowéj i utworzyli związek centralny niemieckich stowarzyszeń rolniczych. Otóż rozdział ten wskutek ugody wiedeńskiéj ma być zniesiony, i nanowo ma być zaprowadzona wspólna rada kultury krajowéj z dwiema sekcyami: czeską i niemiecką. Sekcya czeska stanowi organ centralny dla wszystkich stowarzyszeń rolniczych w kraju, które wysyłają tam swoich delegatów i obradują nad swojemi sprawami w języku czeskim. Takież znaczenie ma sekcya niemiecka dla Niemców. Otóż, ponieważ np. miasto Budziejowice posiada stowarzyszenie rolnicze niemieckie i czeskie, więc rzecz oczywista, że nie chodzi tu wcale o podział kraju, a ponieważ rada kultury krajowéj nie jest w ogóle administracyjnym urzędem, więc téż témbardziéj nie może być mowy o jakimś administracyjnym podziale kraju. Zresztą instytucya centralna rady kultury krajowéj wyposażona jest znacznemi prawami, do których należą: reprezentacya rady na zewnątrz, ustanawianie budżetu rocznego, rozdział zapomóg, zarząd kasy, zwierzchni nadzór nad zakładami naukowemi rolniczemi, stacye doświadczalne, instytut pomologiczny w Troi pod Pragą i wszelkie układy z ministeryum rolnictwa i wydziałem krajowym. Odnośny przepis prawa zawiera bardzo ważne postanowienia, mianowicie, że zapomogi mają być rozdzielane stosownie do podatku i liczby ludności, tak iż po przyjęciu tego prawa, wszelkie pokrzywdzenie jednéj lub drugiéj narodowości staje się zgoła niemożliwém. W każdym więc razie prawo to jest prawdziwém poprawieniem dotychczasowych stosunków, a bynajmniéj nie zagrożeniem czeskich interesów narodowych i, mówiąc nawiasem, jest to pierwsze prawo krajowe, w którém zupełne równouprawnienie narodowe jest zawarowane i przeprowadzone aż w najdrobniejszych szczegółach.

Trzecim punktem, mającym interes narodowy, jest artykuł dotyczący tak zwanych szkół mniejszości, mówiąc wyraźniéj—zakładania i utrzymywania szkół dla mniejszości narodowych, a więc zarówno szkoły np. niemieckiéj dla niemieckiéj mniejszości w gminie czeskiéj, jak i naodwrót. Sprawa ta stanowi miejsce bolące w naszém życiu narodowém i potrzebuje krótkiego wyjaśnienia. Pominąwszy to, że przed 50-ciu laty tak stolica kraju, Praga, jak i wszystkie miasta krajowe w okolicach czeskich były do tego stopnia zgermanizowane, że robiły wrażenie prawie miast niemieckich, — niemiecka część téj ludności miejskiéj składa się przeważnie z samych tylko dawniéj osiadłych i zamożnych ludzi, przemysłowców, kupców i rze-

mieślników. Przeciwnie, w miastach niemieckich mniejszość czeska składa się po większéj części z robotników, przyczém wypada zauważyć, że w niemieckich okolicach Czech, znajduje się stosunkowo więcéj fabryk i zakładów przemysłowych i że w okolicach tych istnieją najliczniejsze kopalnie węgla kamiennego. Otóż, ponieważ we wszystkich miastach czeskich przed r. 1848 wszystkie szkoły ludowe i wyższe zakłady naukowe były niemieckiemi, więc jest rzeczą zupełnie naturalną, że Niemcy zapatrują się wszędzie na swoją szkołę niemiecką, jako na odziedziczone prawo historyczne, na czeskie zaś szkółki i gimnazya, założone po r. 1848, zapatrują się jako na ustępstwo, zrobione narodowości czeskiéj, którego jéj téż bynajmniéj nie zaprzeczają. Jeżeli jednak mniejszość czeska, składająca się z robotników, którzy dopiéro w nowszych czasach osiedlili się w tém lub owém mieście niemieckiém, domaga się od gminy niemieckiéj założenia szkoły czeskiéj, którą, naturalnie, gmina winna utrzymywać własnym kosztem,—to wtedy Niemcy uważają to za żądanie niesłuszne, do którego spełnienia nie są zobowiązani. Tak się objaśnia konflikt, i jeżeli kto zechce sądzić obiektywnie i pod każdym względem sprawiedliwie, to musi przyznać, że położenie niemieckich mniejszości w miastach czeskich i mniejszości czeskich w miastach niemieckich nie jest zupełnie jednakowe.

Ustawa szkół ludowych przepisuje, że szkoła ma być zakładaną wszędzie tam, gdzie w przeciągu 5 lat okaże się przecięciowo 40 dzieci, znajdujących się w wieku szkolnym. Prawo to jest zupełnie jasne i postanawia ono *implicite*, że dla 40 dzieci czeskich również ma być założona i utrzymywana szkoła czeska, jak i dla 40 dzieci niemieckich szkoła niemiecka. Lecz miasta niemieckie, które obecnie dążą do tego, ażeby, według tutejszego wyrażenia, uchodzić za miasta „koronne-niemieckie“ (*Krondeutsch*), stawiają zawsze jaknajwiększe trudności, jeżeli chodzi o założenie szkoły czeskiéj dla dzieci rodzin robotniczych; te ostatnie bywają uważane za ludność wędrowną, a nie stałą. Ponieważ zaś spis dzieci szkolny bywał dotychczas pozostawiany urzędom gminnym, które w tych starciach narodowych stanowią zarazem partyę, więc we wszystkich podobnych wypadkach przy spisie istniała zawsze stronność, a nawet bezwzględny teroryzm, i jeżeli pomimo to nie można było wykazać mniejszéj liczby dzieci szkolnych, to zakładano bez końca rekursy [1]). Otóż pod tym względem przy wie-

[1]) Wierny obraz położenia mniejszości czeskich w gminach niemieckich daje następująca interpelacya, z jaką dr. Krofta i towarzysze wystąpili do namiestnika (13 listop. 1890 r.):

deńskich rozprawach ugodowych nie osiągnięto wszystkiego, co byłoby pożądane dla mniejszości czeskich; przecież jednak przedstawiciele

---

„Wasza Ekscelencyo! Z przyzwolenia c. k. rady szkolnéj krajowéj. „Centralna macierz szkolna“ w październiku 1890 r. założyła w Dolnych-Sekirzanach, w obwodzie Střibro (Mies), dla ludności czeskiéj téj i sąsiedniéj gminy Vlkyž szkołę czeską, do któréj zaraz na początku roku szkolnego zostało zapisanych 154 dzieci czeskich. Zaledwie rozpoczęła się nauka w téj szkole, gdy urzędnicy i oficyaliści Towarzystwa przemysłu żelaznego, które tamże posiada zakład, zwany „Hermannshütte“, tudzież naczelnicy obu pomienionych gmin, poczęli rodziców czeskich, posyłających swoje dzieci do szkoły czeskiéj, prześladować w następujący sposób:

„1. Dyrektor zakładu Hermannshütte, p. Franciszek Leonhard, jako urzędnik praskiego Towarzystwa przemysłu żelaznego, wezwał do siebie robotników i powiedział, że życzeniem jego jest, aby dzieci swoje odebrali ze szkoły czeskiéj i posyłali je po dawnemu do szkoły niemieckiéj. Za przykładem tym poszli i inni przełożeni tych robotników, przyczém obiecywali im rozmaite korzyści. Niektórzy robotnicy posłuchali; inni znowu oświadczyli, że uczynią to dopiéro wtedy, jeżeli im to wymieniony dyrektor nakaże. Dwom z pośród tych robotników, mianowicie Franciszkowi Baurowi i Franciszkowi Motlowi, została natychmiast wyznaczona podrzędniejsza i mniéj opłacająca się robota, a kiedy zażądali oni potém wyraźnego nakazu do odebrania swoich dzieci ze szkoły czeskiéj, to wtedy obaj, jak również trzeci robotnik Józef Baur, zostali od roboty zwolnieni. Ludzie, dotknięci tak surowém rozporządzeniem, pracowali w Hermannshütte 21, odnośnie 13 i 10 lat, i przez cały ten czas żaden z nich w swoim stosunku robotniczym nie miał żadnéj złéj kréski. Oprócz tego jeden z nich jest ojcem siedmiorga, dwaj pozostali ojcami po pięcioro dzieci. Kazano im pójść do Praskiego Towarzystwa przemysłu żelaznego w Kladnie (miasto czeskie), ale nie powiedziano im, czy i jaką robotę tam dostaną. Prośbę ich, ażeby „skarbona bracka“ (*Bruderlade*), do któréj przez tyle lat wnosili swe ciężko zdobyte oszczędności, wynagrodziła ich, ponieważ ze związku robotniczego wystąpili nie przez własną winę,—pozostawiono bez skutku. Wkrótce potém taki sam los i z takiegoż powodu spotkał ośmiu innych robotników, gdyż pomienieni oficyaliści bynajmniéj nie tają, że z robotnikami dlatego postępuje się w taki sposób, ponieważ jako czescy ojcowie, dzieci swoje posyłają do szkoły czeskiéj.

„2. Ponieważ w gminach Dolni-Sekirzany i Vlkyž mieszkają liczni procederzyści czescy, którzy dzieci swoje kazali również zapisać do szkoły czeskiéj, więc urzędnicy Praskiego Towarzystwa przemysłu żelaznego, ażeby ich za to ukarać, zabraniają podwładnym sobie górnikom zaspakajać swe potrzeby u tych procederzystów i przez to krzywdzą nietylko procederzystów, ale i samych robotników, ograniczając ich prawo do kupowania za swoje pieniądze tam, gdzie im się podoba. Tak mianowicie postąpił pisarz Praskiego Towarzystwa przemysłu żelaznego Dobrovsky względem oberżystki Pachlowéj.

„3. Wójci gmin Dolni-Sekirzany i Vlkyž, na mocy swojéj władzy urzędniczéj, teroryzują w prawdziwém znaczeniu tego słowa ludność czeską tych gmin, która dzieci swoje posyła do szkoły czeskiéj. W obu gminach strażnicy odszukiwali rodziców czeskich i grozili im, że, jeżeli dzieci swoje będą posyłali do szkoły czeskiéj, to zostaną ze swych mieszkań wypędzeni i odstawieni od swoich gmin

narodu czeskiego uzyskali bardzo ważne polepszenie dotychczasowych stosunków.

Popierwsze, podług punktuacyi wiedeńskich, spis dzieci szkolnych ma być w przyszłości dokonywanym przez władze cesarskie, a nie przez urzędy gminne, przez co w każdym razie zamierza się osiągnąć więcéj bezstronności i obiektywności w téj sprawie.

Powtóre, zwyżka wydatku, nałożona na gminę wskutek założenia tak zwanéj szkoły mniejszości, ma być pokrywana z zapomogi krajowéj, tak iż odnośnym gminom odejmuje się tym sposobem powód do wymówek i rekursów. I na tym przeto punkcie możemy zaznaczyć tylko zysk dla interesów narodowych ludu czeskiego.

Czwarty punkt wiedeńskich rozpraw stanowiła kwestya języka urzędowego władz autonomicznych, a więc urzędów gminnych i reprezentacyi okręgowych. Chodziło tu o przeprowadzenie równouprawnienia obu języków krajowych, co też nastąpiło; jeżeli zaś niemieckie miasto Liberec zostało obdarzone pewnemi drobnemi względami, to w żaden sposób nie można tego uważać za pokrzywdzenie czeskich interesów narodowych.

Punkt piąty dotyczy założenia nowéj izby handlowéj i przemysłowéj w północno-wschodnich Czechach. Siedliskiem téj nowéj czeskiéj izby handlowéj będzie Králové Hradec, Pardubice lub Chrudim, w każdym razie jakieś miasto czeskie. Przez założenie téj nowéj izby handlowéj osiąga się to, że przemysł i handel w tych czeskich okolicach kraju stają się niezależnemi od niemieckiéj izby handlowéj w Libercu. Daléj przez założenie téj nowéj czeskiéj izby handlowéj, liczba czeskich posłów na sejm krajowy powiększa się o dwóch, a liczba posłów do rady państwa wzrasta o jednego, i dotychczasowe majoryzowanie delegatów czeskiego handlu i przemysłu w niemieckiéj izbie handlowéj w Libercu ustaje. Czyż potrzeba obszerniéj dowodzić, że punkt ten wiedeńskiego dzieła ugodowego oznacza stanowczą korzyść dla narodowości czeskiéj?

Punkt szósty zaprowadza istotną zmianę w sposobie wybierania posłów sejmowych z większéj posiadłości ziem-

---

rodzinnych. Wójt gminy Vlkyž—Frogner (zarazem urzędnik Towarzystwa przemysłu żelaznego), groził nawet pewnéj kobiécie, że chłopca jéj każe strażnikowi przeprowadzić ze szkoły czeskiéj do niemieckiéj."

W końcu interpelanci żądają, ażeby ludność robotnicza doznawała obrony w prawie swojém, poręczoném przez artykuł XIX-ty zasadniczych ustaw państwowych.

skiéj. Dotychczas, podług przepisów wyborczych Schmerlinga, 74 przedstawicieli większéj posiadłości ziemskiéj było obiéranych za pomocą jedynego tylko aktu wyborczego, który też rozstrzygał o większości narodowościowéj w sejmie krajowym. Podług punktacyi wiedeńskich, wszyscy wyborcy większéj posiadłości ziemskiéj mają być podzieleni na 6 lub 7 ciał wyborczych, przez co, mówiąc krótko, większość czeska w sejmie krajowym jest, że tak powiem, zapewniona na wieki.

Tym sposobem z pomiędzy jedenastu punktacyi ugody wiedeńskiéj mielibyśmy już sześć, z których żadna nie jest szkodliwą dla narodowości czeskiéj, niektóre zaś, przeciwnie, przynoszą stanowczą korzyść; a przecież muszę tu zaraz dodać, że nie wspomniałem tu jeszcze o tym artykule wiedeńskiego protokółu ugodowego, który sam jeden zrównoważyłby wszelkie inne szkody, choćby takowe istniały; mówię tu mianowicie o ustanowionéj w zasadzie zmianie niesprawiedliwego i szkodliwego dla narodowości czeskiéj porządku wyborów na sejm krajowy wprowadzonego przez Schmerlinga w r. 1861.

Uważam za rzecz zbyteczną wykazywać, że punkt ten sam przez się przynosi korzyść narodowi czeskiemu; wydaje mi się jednak rzeczą absolutnie konieczną zwrócić uwagę na pewną okoliczność, ażeby oświetlić należycie prawdziwe znaczenie tego punktu. W r. 1861-ym Niemcy mówili jeszcze o „fabrykowanéj czeszczyźnie“ (*gemachtes Czechenthum*) i byli dalecy od przyznania ludowi czeskiemu prawa do bytu narodowego i politycznego; niemieckiéj większości w reprezentacyi miasta Pragi, Niemcy domagali się wtenczas jako swego prawa dziedzicznego i nastawali na to, że językiem rozpraw i czynności musi, a przynajmniéj powinien być tutaj język niemiecki. Dziś w r. 1890 Niemcy zaniechali zupełnie tych pretensyi, ze stanowiska narodowo-zaczepnego cofnęli się na stanowisko czysto odporne i z tego to stanowiska przystali oni na zmianę owego porządku wyborczego, który był przeznaczony i zaprowadzony jedynie po to, ażeby w czeskim sejmie zabezpieczyć większość niemiecką. Już w punktacyach ugody wiedeńskiéj powiedziane jest zupełnie jasno i wyraźnie, że nowy porządek wyborczy ma być zbudowany na jedynie słusznéj i pod każdym względem bezstronnéj podstawie cyfry ludności i opodatkowania, tak iż poszkodowanie jednéj lub drugiéj narodowości jest zupełnie wykluczone. Ponieważ tedy naród czeski za pośrednictwem swoich przedstawicieli walczył dotąd przeciwko porządkowi wyborczemu z r. 1861, ponieważ nie ulega żadnéj wątpliwości, że przez podjętą w wymieniony sposób zmianę porządku wyborów na sejm krajowy polityczne sta-

nowisko Czechów zostanie wzmocnionèm, więc punkt ten ugody wiedeńskiéj musimy uważać za jednę z najznakomitszych zdobyczy, jakie naród czeski w epoce swego odradzania się może zanotować.

Przypuśćmy zatèm, że pozostałe cztery punkta ugody wiedeńskiéj są samemi tylko ustępstwami Niemców, to i tak przecież żaden rozsądny człowiek nie będzie mógł twierdzić, że ugoda ta „ma na celu i oznacza zrujnowanie narodowości czeskiéj.“ Jeżeli bowiem dwa spierające się stronnictwa chcą się rzeczywiście pokojowo pogodzić, to przecież żadne z tych stronnictw nie może żądać, ażeby wszystkie punkta umowy ugodowéj zmierzały tylko do jego korzyści.

Jednakże nawet pozostałe cztery punktacye (rozgraniczenie okręgów sądowych według narodowości mieszkańców, — organizacya najwyższego sądu krajowego, — ustanowienie urzędników sądowych pierwszéj instancyi, — rewizya rozporządzenia językowego z r. 1880) nie są tego rodzaju, iżby przez nie prawa narodowości czeskiéj miały być uszczuplone. Jeżeli np. względem głównego sądu krajowego w Pradze postanowiono, że 26 radców tego sądu ma być ustanowionych dla spraw czeskich i 15 dla spraw niemieckich, tak iż od tych ostatnich 15-tu nie wymaga się znajomości języka czeskiego, to koniec końców jest to jeszcze wielka kwestya, czy postanowienie takie wypada rzeczywiście uważać za szczególną łaskę dla Niemców; tèm samèm bowiem oznaczono stanowczo, że z pomiędzy 41 miejsc radcowskich tylko 15 jest przeznaczonych dla Niemców.

Według mojego przeto zdania, 29 stycznia 1890 r., kiedy układy wiedeńskie zostały przedłożone w Pradze do przyjęcia klubowi staroczeskich posłów sejmowych, dr. Rieger mógł z pełnèm prawem i czystèm sumieniem odezwać się w tym sensie, „że naród czeski nie poniesie szkody w tèm, co zostało ułożonèm, i że dzięki temu zyskaliśmy w ważnych rzeczach.“

Punktacye wiedeńskie zostały 29 stycznia 1890 r. przyjęte przez klub staroczeskich i niemieckich posłów na sejm krajowy, tudzież przez klub posłów z większéj posiadłości ziemskiéj; a ponieważ klub posłów staroczeskich liczył wówczas jeszcze 59 członków, więc ustawy ugodowe miały w sejmie czeskim większość zapewnioną. Od tego czasu stan rzeczy zmienił czy pogorszył się tak, jakem to już przedstawił, a jeżeli się nie staną jakieś cuda, to dla ustaw ugodowych owa większość już nie istnieje w sejmie czeskim. Klub posłów staroczeskich, czyli tak zwanéj partyi narodowéj rozdrobnił się, a liczba jego pewnych członków spadła na 34. Pozostali członkowie odszczepili się, jako przeciwnicy dzieła ugodowego; czy zaś teraz, jako „zjednoczenie wolne“, zajmą stanowisko wyczekujące, lub też przystaną do

klubu młodoczeskiego, to jest ostatecznie obojętne, główna bowiem rzecz leży w tém, że nie ujmą się oni za ustawami ugodowemi, i że zatém ukończenie dzieła ugodowego jest zagrożone.

Czémże właściwie zostało spowodowaném to rozdrobnie partyi staroczeskiéj? Wywołała je poprostu agitacya młodoczeska, zwracana systematycznie przeciwko wiedeńskiemu dziełu ugodowemu i prowadzona z całą stronniczą namiętnością, agitacya, któréj refren brzmi krótko i zwięźle: Ugoda ta oznacza zrujnowanie narodowości czeskiéj!

Jakkolwiek agitacya ta nie jest pozbawiona pewnych podstaw faktycznych, to jednak w daleko znaczniejszym stopniu opiéra się na przyczynach czysto osobistych i na względach taktyki stronniczéj. I gdyby kto chciał odszukać choćby pozornie słuszną przyczynę różnicy, jaka występuje pod tym względem pomiędzy polityką młodo- i staroczeską, to w każdym razie przyczynę tę mógłby upatrywać w rozmaitym sposobie pojmowania czeskiego prawa państwowego. Tutaj poglądy rzeczywiście znacznie się rozchodzą. Staroczeski sposób pojmowania sam dr. Rieger określił niedawno dokładnie, broniąc wiedeńskiego dzieła ugodowego, powiedział on 21-go listopada co następuje:

„Czeskie prawo państwowe polega na tém, że dynastya austryacka wolną wolą narodu czeskiego została powołana na czeski tron królewski. Wskutek wypadków wojennych stan rzeczy zmienił się o tyle, że po bitwie pod Białą Górą (8 listopada 1620 r.) zostało wydane „nowe urządzenie ziemskie“, które stanowi ostatnią fazę naszego prawa państwowego. Daléj wstecz nie będziemy się prawdopodobnie cofać w téj rzeczy. Z tego prawa państwowego, czyli z tego „nowego urządzenia ziemskiego,“ które późniéj zostało uzupełnione przez sankcyę pragmatyczną i potwierdzone wielokrotnemi przysięgami naszych królów, a ostatecznie reskryptem cesarskim z 8 kwietnia 1848 roku, wypływa rzecz bardzo ważna, mianowicie niepodzielność i udzielność królestwa czeskiego, niepodzielność, która w prawie jest wyraźnie wypowiedzianą, udzielność, która dotychczas nie została cofnięta przez żadne prawo państwowe lub krajowe. Gdyśmy tu niegdyś mówili o czeskiém prawie państwowém i położyliśmy odpowiedni nacisk na tém, że istotę stanowi tutaj polityczna i prawnopaństwowa indywidualność królestwa czeskiego, pan poseł dr. Herbst odrzekł nam, że w jego oczach całe czeskie prawo państwowe nie ma żadnéj wartości, ponieważ Ferdynand II-gi zagarnął dla siebie władzę prawodawczą; jedyny zaś istotny i ważny punkt tego prawa państwowego polega, jak się wyraził, na tém, iż po wymarciu dynastyi austryackiéj, co w te-

raźniejszych okolicznościach nie wydaje się ani prawdopodobném, ani w ogóle pożądaném, Czesi mogą wybrać inną dynastyę panującą. Stąd zaś wypada, że zjednoczenie królestwa czeskiego z monarchią austryacką jest uwarunkowane istnieniem dynastyi, że zjednoczenie to jest dynastyczném, nie zaś osobistém. W momencie tym pokazuje się ważna zasada samodzielnéj osobowości, która posiada prawo stanowienia o sobie po wymarciu dynastyi. Ta udzielność i niepodzielność królestwa czeskiego znalazła swój wyraz w koronacyi królów czeskich, która w patencie z r. 1804-go, zakładającym cesarstwo austryackie, została najuroczyściéj ustanowiona jednocześnie z koronacyą w królestwie węgierskiém, i w tém-to pokazuje nam się historyczna, prawno-państwowa udzielność i niepodzielność królestwa czeskiego. Że my wszyscy po téj stronie izby życzymy sobie koronacyi króla, to jest rzeczą wiadomą, i sądzę, że jest również wiadomém, iż najjaśniejszy pan przyobiecał dać się ukoronować w Czechach na króla; jeżeli się to dotychczas nie stało, to przeszkody, jakie nastąpiły, mają swoją przyczynę nie w woli cesarza, lecz w innych okolicznościach. Jeżeli mówię o czeskiém prawie państwowém, to w obecnych okolicznościach muszę uwydatnić jego punkt najważniejszy, mianowicie wyraźnie przezeń ustalone równouprawnienie obu zamieszkujących kraj plemion narodowych. W „nowém urządzeniu ziemskiém“ równouprawnienie obu narodowości, czeskiéj i niemieckiéj, było po raz pierwszy postawione, jako prawo krajowe; byłoby téż fatalną pomyłką i ciężkim grzechem przeciwko pożądanéj w kraju jedności, gdyby ktoś chciał twierdzić, albo uroił sobie, że czeskie prawo państwowe zawiera lub ma na celu pokrzywdzenie, albo uszczuplenie narodowości niemieckiéj. Zupełnie przeciwnie, narodowość niemiecka przez „nowe urządzenie ziemskie“ jest w Czechach zabezpieczona i całkowicie postawiona narówni z narodowością czeską, skąd atoli wynika także, że w królestwie czeskiém żaden z obu języków nie może być wprowadzony, jako wyłączny język państwowy, lecz że owszem w Czechach istnieją dwa języki państwowe: czeski i niemiecki. W „nowém urządzeniu ziemskiém“ stoi wyraźnie:

„Ponieważ teraz nasze dziedziczne królestwo Czechy nietylko przez „czeski, ale i przez inny naród i język jest zamieszkane, przeto chcemy oba „te narody razem utrzymać, chronić i kierować niemi pod zasłoną i opieką „równo rozchodzącego się prawa.“

„Jestto pierwsza kodyfikacya równouprawnienia w królestwie czeskiém, i wnoszę stąd, że na utrzymaniu tego prawidła zasadniczego naszym ziomkom niemieckim musi również zależéć, jak i nam, i że są

oni w błędzie, jeżeli mniemają, iż czeskie prawo państwowe przynosi im szkodę i krzywdę. — Nie wyrzekam się nadziei, że może i Niemcy staną po stronie czeskiego prawa państwowego, jeżeli powezmą wiarę i przekonanie, że przez prawo to zabezpiecza się ich równouprawnienie. Jednakże, jakkolwiek od młodości było mojém marzeniem przyszłości, o którém śnię jeszcze i teraz, ażeby ożyło nanowo czeskie prawo państwowe, a z niém razem i prawo stanowienia o sobie narodu czeskiego, jakkolwiek oddawna pragnąłem i tęskniłem do tego, to przecież muszę także wypowiedziéć swoje przekonanie, że to czeskie prawo państwowe możemy osiągnąć tylko przez wspólne działanie wszystkich stanów i wszystkich warstw ludności królestwa czeskiego, a głównie przez spółdziałanie tak licznego i znacznego w tym kraju narodu niemieckiego, narodu, który stanowi $^{2}/_{5}$ całéj ludności. Choć życzę sobie tego najgoręcéj, to jednak muszę wypowiedziéć bolesną obawę, że życzenie to bodaj czy będzie kiedykolwiek spełnione, dopóki naród niemiecki, jak się to działo dotychczas, będzie zajmował wrogie i odpychające stanowisko względem wznowienia czeskiego prawa państwowego. Stąd wynika, że, kto jest szczerym przyjacielem czeskiego prawa państwowego, ten musi sobie także życzyć pojednania z naszymi ziomkami niemieckimi, gdyż porozumienie z nimi jest nieodbicie koniecznym pierwszym krokiem, który nas może doprowadzić do wznowienia naszego prawa państwowego.“

Młodoczesi pojmują to z gruntu inaczéj. Jeżeli dr. Edward Gregr na pewném zebraniu wyborców nawet rzeczywiście powiedział, iż czeskie prawo państwowe nie warto i niucha tabaki, to, jak sądzę, chciał on przez to tylko tyle powiedziéć, że w prawie tém nie może znaleść tego, czegoby chciał. Młodoczesi są rzekomo ludźmi wolnomyślnymi, nie w tém jednak znaczeniu, ażeby myśleli wiele o wolności innych, lecz, podobnie jak wielu nowoczesnych liberałów, chcą oni panować. Jeżeli czeskie prawo państwowe nie daje im podstawy do panowania, to jest dla nich fraszką. Podług nich, prawo czeskie musi miéć w Czechach takie same znaczenie, jak prawo madiarskie w królestwie węgierskiém, t. j. zwierzchnictwo jednéj narodowości; ponieważ zaś młodoczesi spodziewają się, że panowanie ich wśród Czechów wkrótce się ustali, więc i prawo czeskie pojmują oni właściwie, jako zwierzchnictwo młodoczechów nad Niemcami. Według ich zdania, dr. Rieger jest zdrajcą i krzywdzicielem praw i interesów narodowości czeskiéj, gdyż zarzucił on myśl o panowaniu Czechów w kraju.

Poglądy te możnaby w każdym razie uważać za faktyczną przyczynę opozycyi młodoczechów przeciwko ugodzie wiedeńskiéj. Da-

leko ważniejszemi jednak są pobudki osobiste i względy taktyki stronniczéj.

Dr. Schmeykal, przywódca Niemców, podczas rozpraw nad organizacyą rady kultury krajowéj (21 listopada r. z.) powiedział bardzo słusznie:

„To samo widowisko brzydkich napaści, jakie zaszło podczas tegoroczněj sesyi majowéj w krajowéj radzie szkolnéj, widzimy znowu teraz przy projekcie organizacyi rady kultury krajowéj. Oba projekty są częściami zawartéj w Wiedniu ugody, i w zgodzie z duchem całego dzieła ugodowego, zmierzają one do tego celu zasadniczego, ażeby przy pomocy organizacyi, wprowadzającéj zasadę odgraniczenia narodowego w zakresie rady kultury krajowéj i rady szkolnéj, udzielić ochrony przeciwko majoryzowaniu narodowemu i stworzyć pole do pokojowego i skutecznego współdziałania obu plemion na korzyść interesów publicznych kraju.

„Zapobiedz, ażeby którekolwiek z obu plemion zajmowało stanowisko przeciwne lub drugorzędne, zapewnić każdemu z nich właściwy rozwój i własne pielęgnowanie interesów rodzinnych, przywrócić pokój w kraju, są w głównych zarysach dążności dzieła ugodowego; dążności te odpowiadają równości wobec prawa, usposobieniu patryotycznemu, ale też zarazem duchowi swobody, odrzucającemu niedozwolony przymus.

„W pojęciu wolnomyślności kryje się nietylko branie, ale również dawanie i udzielanie wolności, i dla tego zdaje nam się, jakoby opór, który dostrzegamy po stronie drugiéj partyi narodowéj, nazywającéj się z upodobaniem wolnomyślną, stawiał ją w sprzeczności z jéj własną nazwą i programem. Opór ten jednak musi nas sam przez się doprowadzić do wniosku, że bierze on początek nie w przyczynach rzeczowych, lecz w momentach zewnętrznych, i że razem z ugodą zwalczaniu i napaściom podlega przedewszystkiém owa starsza partya narodowa, która w Wiedniu zawarła z nami ugodę. Wskutek tego walka przeciwko ugodzie wydaje nam się walką o pierwszeństwo i o potęgę stanowiska partyjnego w tamtym obozie“.

Takim jest sąd Niemca: mówi on jasno i wyraźnie, że opozycya młodoczechów pochodzi z przyczyn taktyki oportunistycznéj. Myśl tę mógłbym wyrazić jeszcze dobitniéj: ugoda wiedeńska byłaby wysławianą przez młodoczechów jako arcydzieło mądrości politycznéj i usposobienia patryotycznego, gdyby ją byli sami doprowadzili do skutku. Na nieszczęście, ugodę tę robił dr. Rieger, ten sam, którego dr. Gregr, uważa za główną zawadę do osiągnięcia własnéj wielkości

i znaczenia; dzieło zatém musiało być zohydzoném, ażeby ohyda spadła na samego mistrza. I tutaj to właśnie przychodzę do bardzo wstrętnéj strony walki politycznéj w czeskim obozie narodowym. Nie tyle sama ugoda, co do któréj zapewne wiedziano, że nie będzie jéj można zupełnie zniweczyć, lecz dr. Rieger miał być na ten raz pod względem politycznym i moralnym zgubiony, i dla dopięcia tego celu, młodoczechom każdy środek wydawał się godziwym.

Oto mała tylko próbka tego, co w ostatnich czasach dzienniki młodoczeskie pisały o Riegerze. Koliński „Polaban“ pisał w październiku o „Arcy barnumie Riegerze“, co następuje: „Człowiek, który już tyle razy oszukał naród czeski, dla którego kłamstwo stało się drugą naturą, który dziś, kiedy cały lud drży ze wzburzenia, jest w najlepszym humorze, człowiek taki nie jest już zdolny do żadnego czynu, który mógłby być pożyteczny dla naszego narodu“. Przez tego rodzaju artykuły dziennikarskie, przez wszelkie możliwe karykatury w piśmie humorystycznêm „Šipy“ nie został bynajmniéj wyczerpany cały arsenał broni zaczepnéj, skierowanéj przeciwko Riegerowi: w sposób najbardziéj grubiański musiano go jeszcze systematycznie znieważać nawet na zgromadzeniach publicznych. Smutną rolę wykonania téj ostatniéj części młodoczeskiego planu napastniczego, przyjął na siebie adwokat praski dr. Vašaty. Zaraz wczasie zeszłorocznéj sesyi wiosennéj parlamentu wiedeńskiego, dr. Vašaty na posiedzeniu publicznêm nazwał Riegera „zdrajcą narodu czeskiego“; w lecie zas na pewnêm zebraniu wyborczêm mówił on o „czynie nikczemnym tego zdrajcy“. 18-go października r. z. na posiedzeniu komisyi sejmowéj, która miała zdać sprawę z ustaw ugodowych, Vašaty, zwróciwszy się do Riegera, rozpoczął swój popis od frazesu: „jak powiedział sam ten główny krzywdziciel narodu czeskiego“; kiedy zaś 22 listopada odbywano specyalne głosowanie nad organizacyą rady kultury krajowéj, i kiedy dr. Rieger oddał swój głos potwierdzający, wtedy dr. Vašaty zawołał na niego: „nędzny zdrajca“ [1]).

---

[1]) Może nie byłoby pozbawione interesu wspomnieć, że 26 listopada 1890 na zgromadzeniu wyborczêm w Tetschen (Stejste) radykalny niemiecko-narodowy poseł dr. Knotz wyrzekł o ugodzie wiedeńskiéj słowa następujące:

„Gdyby kto przed kilku laty był zaproponował taką ugodę, toby go potępiono jako zdrajcę sprawy niemieckiéj, a gdyby nam był wówczas kto powiedział, że przecież może przyjść do wspólnéj wystawy krajowéj, to przyjaciele jego byliby go natychmiast odstawili do domu obłąkanych“.

Zatém dr. Rieger wskutek ugody wiedeńskiéj zdradził naród czeski, a dr. Schmeykal wskutek téj saméj ugody zdradził naród niemiecki. Tym sposobem chyba całe zdradziectwo jest najlepiéj osądzone.

Jużciż można się domyślić, że tak grubiańska zniewaga słowna, wypowiedziana na publicznem posiedzeniu sejmu, wywołała nieopisane oburzenie i skończyła się wspaniałą owacyą dla Riegera, w któréj nawet Niemcy wzięli serdeczny udział. Zniewaga jednak została wypowiedzianą; gwoli zaś przyzwoitości, „Narodni listy“, organ młodoczechów, uniewinniały ją tém, że dr. Vašaty posunął się do takiego wykrzyku, owładnięty uczuciem boleści i gniewu. Kto jednak zna d-ra Vašatego, ten wié bardzo dobrze, że nie jestto człowiek, któryby się dał unieść jakiemuś uczuciu; wreszcie jest widocznem, że podobnych rzeczy możnaby było już dawno zabronić d-rowi Vašatemu, gdyby tylko sami kierownicy stronnictwa byli zdania, że rzeczy takie im nie przystoją i nie powinny być stosowane w téj walce politycznéj.

Nie chcę tu przywiązywać szczególnéj uwagi do tego, że każdy naród ukształcony, obowiązany jest do wdzięczności i szacunku względem takiego męża jak dr. Rieger, i że szczególniéj naród czeski powinienby otoczyć osobliwą czcią człowieka, który z całem poświęceniem się walczył na przedzie o jego prawa i pod którego wodzą Czesi z największego poniżenia wznieśli się do obecnego stanowiska, nakazującego już uszanowanie: lecz zapytuję się poprostu: Cóżby zyskał naród czeski na tém, gdyby było rzeczywiście dowiedzione, że mąż, sławiony w ciągu 40 lat jako pierwsza zdolność polityczna, jako najgorliwszy patryota, jest właściwie tylko ograniczonym niedołęgą, albo nawet „nędznym zdrajcą“? Niestety, ze strony młodoczechów ta bratobójcza walka stronnicza prowadzi się z tak namiętną zapalczywością, że nie ma tam miejsca dla tego rodzaju rozwagi, i zdaje się prawie, jak gdyby w téj walce młodoczesi zatracili zupełnie wszelki wyższy zmysł dla honoru narodowego i wszelkie prawdziwie patryotyczne uczucie [1]).

Względem ustaw ugodowych, nad któremi miał obradować sejm,

---

[1]) Nie mogę nie wspomnieć, że sprawa Vaszatego-Riegera zakończyła się w sposób nie zbyt pocieszający dla młodoczechów. Starszy zięć Riegera posłał d-rowi Vaszatemu świadków, ażeby się domagać od niego zadośćuczynienia. Otóż Vaszaty ukrywał się od nich we wszelki możliwy sposób, wreszcie zmuszony do odpowiedzi, oświadczył, że może dać zadosyćuczynienie samemu tylko d-rowi Riegerowi, a nikomu innemu. Napróżno obaj świadkowie, t. j. baron Dobrzansky i dr. Steidl, zapowiadali, że w całym świecie cywilizowanym przyjęte jest prawidło, że za starców (Rieger liczy 72 lata) i kobiety, może żądać satysfakcyi najstarszy męski członek w rodzinie: d-ra Vaszatego niepodobna było wywabić z jego kryjówki, tak iż ostatecznie obaj świadkowie ogłosili go publicznie za „niezdolnego do zadosyćuczynienia“, z czego koła młodoczeskie były nie osobliwie zadowolone.

młodoczesi zdecydowali się na taktykę obstrukcyjną. Druga sesya sejmu została otwarta 14 października i trwała do 29 listopada. Naprzód miała przyjść pod obrady ustawa, tycząca się organizacyi rady kultury krajowéj. Ustawę tą, albo właściwie całe odnośne postanowienie punktacyi wiedeńskich, młodoczesi ogłosili przedtém jako coś wogóle nieznacznego, niemal obojętnego pod względem narodowym. Kiedy jednak doszło do obrad, wtedy nagle nadano ustawie téj znaczenie przedmiotu niezwykłéj ważności i wybitnéj doniosłości. Komisya ugodowa obradowała nad 30 paragrafami przez całe trzy tygodnie, odbyła 16 posiedzeń, które trwały po 5, 6, a nawet 7 godzin i powiedzmy to odrazu, na sejmie załatwiono się tylko z 16 paragrafami.

Partya młodoczeska postawiła, naturalnie w sejmie wniosek przejścia do porządku dziennego, a dr. Juliusz Gregr, który wniosek ten motywował w przydłuższéj mowie, rozpoczął takową od następującego, stojącego jako *unicum* w życiu parlamentarném oświadczenia:

„Miałem zaszczyt należéć do komisyi, składającéj się z 27 członków, która obradowała nad będącym w mowie projektem. Wysoki sejm wié, w jak niezwykły sposób odbywały się te obrady. Projekt jest bardzo obszerny; pomimo to w zwykłych okolicznościach można go było omówić wciągu trzech dni. Tymczasem obrady komisyi trwały trzy tygodnie. Jakaż była tego przyczyna? Otóż my, którzy w komisyi zajmujemy stanowisko opozycyjne, my, mówię to bez ogródki, byliśmy tego przyczyną. Staraliśmy się o to, ażeby zdobyć powagę dla naszego stanowiska i naszych zasad, skierowanych ku utrzymaniu jedności w zarządzie rady kultury krajowéj. W kierunku tym przy każdym niemal paragrafie czyniliśmy sumienne zabiegi, ażeby dopilnować jedności w nowéj radzie kultury. Ze względu na to, że według naszego zapatrywania się, projekt ten, podobnież jak i inne projekty, wynikłe z konferencyi wiedeńskich, jest zgubnym, uważaliśmy za swój obowiązek doprowadzić go do upadku, albo przynajmniéj przewlec rozprawy w komisyi; gdyby zaś wniesieniu tego projektu w sejmie nie można było przeszkodzić, chcieliśmy przynajmniéj zapobiedz, ażeby inny projekt nie przyszedł pod obrady. W imieniu swoich przyjaciół politycznych wymieniam zupełnie otwarcie pobudki, które nas skłoniły do przewlekania rozpraw komisyjnych, aby nam ktoś nie zarzucił, żeśmy rozprawy te przeciągali bez przyczyny“.

Nie będę się wdawał w szczegóły obrad komisyi, gdzie ze strony młodoczechów wykazano wiele dyalektycznéj drobiazgowości, nie będę téż rozbierał szczegółowo rozpraw sejmowych, na których mło-

doczesi głosili we wszelkich odmianach temat, że ugoda wiedeńska jest zgubą narodu czeskiego i musi być wszelkiemi możliwemi sposobami powstrzymaną. O jednéj wszakże mowie muszę wspomniéć bliżéj, gdyż pokazuje ona, jak Niemcy zapatrują się na obecne położenie rzeczy w królestwie czeskiém. Mowa, jaką przywódca Niemców v. Plener wygłosił na sejmie 27 listopada, posiada wysokie znaczenie zasadnicze i snadnie można ją uważać za mowę programową partyi niemiecko-austryackiéj; która obecnie nie pragnie już w Czechach panowania, lecz za to domaga się szanowanego i zapewnionego stanowiska narodowego, którego jéj téż żaden rozsądny Czech ani nie powinien, ani nie może odmówić. Cytuję kilka miejsc z téj mowy, gdyż mogą się one znacznie przyczynić do należytego zrozumienia teraźniejszéj sytuacyi.

Wobec agitacyi młodoczechów i podstawy, jaką przybrała znaczna część dziennikarstwa czeskiego, Plener mógł słusznie powiedziéć:

„Czyż się dziwicie, że po tém wszystkiém, czegośmy wogóle doświadczyli po zawarciu ugody, na stronie naszéj daje się stopniowo dostrzegać pewien stopień drażliwości? Czyż, przeciwnie, nie wypada się raczéj zadziwić, chciałem rzec — podziwiać, z jaką cierpliwością i powściągliwością naród niemiecki poddał się tym wszystkim doświadczeniom? Z waszéj strony rzucano wyzwania jedno za drugiém, nie słyszeliśmy od was ani jednego słowa pokojowego, ani jednego słowa pojednawczego, lecz po całym kraju rozwinięto namiętną agitacyę nietylko przeciwko ugodzie, lecz i przeciwko narodowi niemieckiemu i przeciwko stosunkom pokojowym w Czechach“.

„Gdyby przywódcy staroczescy od pierwszéj chwili tego dzieła ugodowego uznali byli za dobre ująć się za punktacyami wiedeńskiemi z całą stanowczością, z całą powagą swego tradycyjnego stanowiska, swoich wybitnych osobistości, swoich wielkich talentów, swego wpływu politycznego, którym się słusznie cieszą w tym kraju więcéj niż od 25 lat, gdyby terenu agitacyjnego w tym kraju nie byli pozostawili wyłącznie tylko przeciwnikowi, gdyby przez drobne późniejsze zaczepki nie byli zachwiali zaufaniem, jakie sami położyli w akcyi ugodowéj, i tym sposobem nie osłabili na zewnątrz zaufania do samych siebie, co naturalnie, przeciwnicy musieli wyzyskać w tym celu, ażeby całą akcyę ugodową tych panów określić jako błąd i pomyłkę, lub coś jeszcze gorszego; gdyby nie robiono dodatkowych poprawek w ugodzie,—wtedy nie przyznanoby słuszności tym, którzy oto mówią: cała ugoda jest w sobie złą i może być poprawioną i uzupełnioną tylko wtenczas, jeżeli będą w niéj dokonane istotne zmiany“. „Przyszło więc do tego, że nad stosunkami, rozwijającymi się w tamtym (cze-

skim) obozie, musimy najgłębiéj ubolewać. Wszak nie byłoby to stanowiskiem, któregoby niepodobna było obronić, gdyby panowie ci byli powiedzieli: „Tak, zgodziliśmy się na te rzeczy, ponieważ chcemy pokoju z Niemcami!“ Pan hr. Harrach powiedział słusznie, że całemu krajowi może się powodzić tylko wtenczas, jeżeli stosunki pomiędzy obu plemionami są znośnie pokojowe. I pierwszorzędny polityk czeski nie może się na dłuższy czas trudnić żadną polityką, jeżeli się tą myślą nie przejmie. Było to oznaką dojrzałego poznania ze strony przywódców staroczeskich, że się zgodzili na punktacye ugodowe konferencyi wiedeńskiéj, ponieważ byli przekonani o ich politycznéj konieczności; to téż panowie, którzy ich dzisiaj za to ganią i robią im najostrzejsze wyrzuty, panowie, którzy stoją dziś pod znakiem walki, ci sami panowie, jeżeli zajmą w kraju stanowisko przodujące, będą również przejęci koniecznością postawienia się z Niemcami na stopie pokojowéj.

„My (Niemcy) udaliśmy się na wiedeńskie konferencye ugodowe i gotowi byliśmy do porobienia pewnych ustępstw z naszéj strony. Kto się nie przejął tą myślą, ten, jako partya przodująca, nie ma przed sobą żadnéj przyszłości w tym kraju, a nawet może w całéj Austryi, która nigdy nie może zezwolić na doprowadzenie do ostateczności jakichś zasad lub żądań; każdy bowiem poważny polityk wié, że w kraju, tak przepełnionym przeciwieństwami narodowemi, jak Austrya, a szczególnie Czechy, ostateczna konsekwencya logiczna jakiegoś wyłącznego stanowiska partyjnego, nigdy w rzeczywistości przeprowadzoną być nie może.“

„Pan dr. Herold (młodoczech) zawołał wczoraj z pewnym tryumfującym naciskiem: „Tak więc krok w krok będziemy zwalczać tę ustawę.“—Możecie sobie na téj, lub może na najbliższéj sesyi zniweczyć tę lub ową ustawę ugodową; zasad jednak, złożonych w punktacyach wiedeńskich, tych, moi panowie, już nie uprzątniecie ze świata. Fakt, że zasady te przyjął rząd do swego programu, jest tego rodzaju prejudykatem politycznym, że wszelka przyszłość najbliższa musi się przyłączyć do niego. Każdy inny rząd będzie sobie musiał również przyswoić te myśli i postarać się, ażeby na podobnéj podstawie z większemi lub mniejszemi trudnościami wykonać myśli, jakie tutaj są złożone. Tryumf, jeżeli takowy dzisiaj święcicie, należy do przemijającéj teraźniejszości; przyszłość należy nie do tych, co zniweczą, lecz do tych, co przeprowadzą ugodę; i Niemcy będą nastawać na to pomimo wszelkich uraz, gdyż jestto nietylko ich słusznem prawem, lecz zarazem jest koniecznością polityczną zawarcia z nami Niemcami pokoju na téj podstawie“.

„Niemcy chcą pokoju, i jestto jedna z niesprawiedliwych, chciałem rzec — najswawolniejszych zaczepek, przeciwko nam, jeżeli nas przedstawiają jako wrogów narodu czeskiego. Jestto absolutny, niczém nieuzasadniony fałsz. Obstajemy za naszemi prawami, chcemy zdobyć znaczenie dla naszych pretensyi narodowych, lecz nigdy nam nie przychodziło na myśl psuć rozwój waszego życia narodowego. Właśnie wasz rozwój narodowy w ciągu ostatnich lat dokonał się pod opieką zasadniczych ustaw państwowych, zaprowadzonych przez Niemców. Tylko zaślepienie i namiętność stronnicza może twierdzić, że Niemcy są przepełnieni pewną nieprzyjaźnią względem szczepu czeskiego. To jest nieprawda, tego nie można dowieść, bo się sprzeciwia przeszłości politycznéj. My chcemy jedynie ochrony żywiołu niemieckiego w kraju. Niemcy zajmują stanowisko obronne, my chcemy obrony narodowéj przeciwko rozwijającéj się ciągle narodowości czeskiéj, która faktycznie zdobyła sobie przewagę w tym kraju. Nie odmawiajcie téj opieki. Nie przychodzi nam na myśl podcinać lub tamować wasz rozwój narodowy. Jesteście dosyć silni i wskutek tego muszę wykluczyć z obrad ten nienawistny zarzut. Walczcie (mianowicie młodoczesi) daléj przeciwko ugodzie; macie do tego swoje przyczyny, swoją taktykę stronniczą, któréj nie potrzebuję rozbierać; przyczyny jednak wasze, choćbyście je przedstawiali naumyślnie, nie dadzą się utrzymać na czas dłuższy. Ze swojemi krańcowo-radykalnemi żądaniami, jakie stawiacie teraz, nie dojdziecie do rewindykacyi czeskiego prawa państwowego, które w ostatnich latach frakcya ta (młodoczeska), jeżeli się chcecie przyznać otwarcie, ceniła tak mało [1]), lecz będziecie zniewoleni odstąpić od swoich pretensyi“.

To wysoce ważne, można powiedzieć epokowe oświadczenie Plenera co do stanowiska Niemców w Czechach, zostało 27 listopada w sejmie czeskim przyjęte przez młodoczechów ze śmiechem szyderczym; dla ilustracyi zaś śmiechu możnaby snadnie zaznaczyć, że pomiędzy młodoczechami nie ma poważnych, myślących i rzeczywiście patryotycznie usposobionych polityków, lecz, że im chodzi zawsze tylko o polityczny sport.

Przejście do obrad szczegółowych nad ustawą rady kultury krajowéj zostało uchwalone większością tylko 158 głosów, gdy tymczasem liczba $^3/_4$ wszystkich posłów, niezbędna dla powzięcia uchwały względem projektu, zawierającego w sobie zmianę konstytucyi krajo-

---

[1]) Delikatna aluzya do orzeczenia d-ra E. Gregra, że czeskie prawo państwowe nie warto „niucha tabaki“

wéj, wynosi 182. Wskutek tego Niemcy tracą ufność w przyjście do skutku ugody, i tutaj trzeba szukać przyczyny ważnego w swoich skutkach oświadczenia, jakie nastąpiło z ich strony. Mianowicie, po dłuższéj naradzie, odbytéj 27 listopada r. z., ogłosili oni w gazetach poniższy komunikat, który w odpisie udzielono także namiestnikowi i marszałkowi krajowemu. Komunikat ten ma takie znaczenie dla należytéj oceny naszego obecnego położenia, że przytaczam go dosłownie.

„Wskutek uchwały z d. 9 lutego r. b. komitet wykonawczy niemieckich posłów na sejm krajowy, mając wówczas powód do oczekiwania, że nacechowane prawdziwą pojednawczością umowy wiedeńskie zostaną wkrótce przeprowadzone, oświadczył, iż przyjęcie udziału ze strony niemieckich przemysłowców i rzemieślników w zamierzonéj na r. 1891 wystawie krajowéj jest nietylko dozwolone, ale nawet pożądane.

„Wiadome przykre doświadczenia w ciągu lata i wywołane przez nie demonstracye, zwracające się przeciwko wystawie krajowéj a pochodzące z najszerszych okręgów ludności niemieckiéj, szczególnie zaś od przemysłowców i rzemieślników, włożyły uchwałą 26 lipca r. z. na komitet wykonawczy obowiązek udzielenia rady, ażeby zgłaszania się i zapisy pieniężne na wystawę rozpoczynać tylko pod tym przypuszczalnym warunkiem, że rozprawy sesyi sejmowéj, zapowiedzianéj wówczas na koniec lata, dadzą rezultat sprzyjający ugodzie. Przytém klub niemieckich posłów sejmowych zastrzegł sobie powzięcie ostatecznéj uchwały co do nastąpienia takiego domniemanego warunku. Otóż termin zgłaszania się i sesya sejmu krajowego zbliżają się do końca (z końcem listopada), i klub niemieckich posłów sejmowych po sumiennem zbadaniu położenia politycznego musi wypowiedzieć swoje przekonanie, że nie widzi on, iżby wynik téj sesyi sprzyjał w jakikolwiek sposób dziełu ugodowemu, i że nie otwierają się widoki, aby akcya ugodowa miała w dalszym ciągu postępować lepiéj.

„Przewlekanie prac sejmowych nad ustawami ugodowemi zasiliło i spotęgowało opór opozycyi młodoczeskiéj; opozycya ta opanowała większą część kraju, i wskutek tego widzimy, jak w ludności czeskiéj zyskuje przewagę coraz najmiętniejsze usposobienie, które zwraca się przeciwko ugodzie i musi głęboko obrażać narodowe uczucie Niemców. Partya zaś staroczeska ponosi ustawiczne straty w swojéj liczebności i wpływie; wybory zastępcze (w lipcu 1890) wypadły przeciwko niéj, a kiedy na początku sesyi przedstawiciele niemieccy zażądali obrad nad ustawą o kuryach, musieli spotkać się z oświadczeniem, że dla projektu tego, mogącego być przeprowadzonym

tylko z kwalifikowaną większością (t. j. przy obecności $^3/_4$ wszystkich członków sejmowych i $^2/_3$ większości), niepodobna dostarczyć wymagalnéj liczby głosów staroczeskich.

„Od téj pory miały miejsce dalsze wystąpienia z klubu staroczeskiego, i jakkolwiek chętnie uznajemy wierność układom ze strony posiadaczy większéj własności ziemskiéj i tych członków klubu staroczeskiego, którzy dotrzymali swego słowa, to przecież stosunek głosów, jaki się okazał przy niedawném główném głosowaniu nad projektem rady kultury krajowéj [1]), dostarczył niewątpliwego dowodu, że teraz niepodobna już osiągnąć kwalifikowanéj większości dla związanych z tamtym projektem ustaw ugodowych, a szczególniéj dla ustawy o kuryach; przez to jednak zniweczono jedyną możliwość dla Niemców czeskich oparcia swojéj najsłuszniéj wymaganéj reprezentacyi w wydziale krajowym na silnéj, prawnéj podstawie.

„Wprawdzie, należący do komisyi ugodowéj członkowie większéj posiadłości ziemskiéj, późniéj na posiedzeniu wydziałowem okazali swoją gotowość do wprowadzenia na obrady projektu ustawy kuryalnéj; wobec jednak niewzruszonego faktu, że było niemożliwością otrzymać w sejmie wymagany stosunek głosów, skłonność ta pozbawiona jest wszelkiéj wartości praktycznéj. Nawet o ustawę, tyczącą się rady kultury krajowéj, musiano walczyć w komisyi więcéj niż cztery tygodnie, i dziś nie jest jeszcze rzeczą pewną, kiedy rozprawy nad tém, toczące się teraz w pełnym sejmie krajowym, doprowadzą do pomyślnego zakończenia.

„Co się tyczy rządu, który w izbie poselskiéj parlamentu utrzymuje z posłami czeskimi najściślejsze stosunki polityczne, to zdaje się, jakoby tam, gdzie chodzi o przeprowadzenie układów, zawartych z Niemcami, był on pozbawiony wpływu, zdolnego osiągnąć zwarte postępowanie ze strony swoich politycznych sprzymierzeńców.

„Sam rząd przy przeprowadzeniu rozgraniczenia okręgów, które w tém stadyum wchodzi jedynie w zakres jego działalności, a jest tak niezbędném dla przywrócenia pokoju narodowego, nie chce się wdać energicznie w tę sprawę; podczas zaś komisyi ugodowéj, pan namiestnik złożył w imieniu rządu tego rodzaju oświadczenia, dotyczące utworzenia senatów przy głównym sądzie krajowym, że według naszego przekonania, nie mogą one być uważane za prawidłowe zrozumienie i wykonanie punktu VII układów wiedeńskich.

„Wobec takiego położenia dzieła ugodowego, nie możemy oś-

[1]) 22 listopada 1890 przejście do specyalnych debatów nad ustawą, dotyczącą rady kultury krajowéj, zostało w sejmie uchwalone tylko 158 głosami przeciwko 53. Liczba posłów wynosi 243.

wiadczyć, jakoby rzeczywiście nastąpił ów warunek, wypowiedziany przez komitet wykonawczy 26 lipca r. b., co do udziału Niemców w wystawie krajowéj; z tego więc stanowiska nie jesteśmy w stanie zalecić, ażeby w wystawie téj wzięli udział niemieccy rzemieślnicy, przemysłowcy i gospodarze.

„Wszyscy, ci którzy posłuchawszy uchwały komitetu wykonawczego z 26 lipca b. r., zgłosili się i poczynili zapisy pieniężne z tém zastrzeżeniem, iż wynik obecnéj sesyi sejmowéj będzie pomyślny dla ugody, otrzymują niniejszém wyjaśnienie, że przypuszczalny ten warunek nie nastąpił i odpowiednio do tego mogą się urządzać w swém postępowaniu. Ci zaś przemysłowcy i rękodzielnicy, którzy się zgłosili jeszcze przed 26 lipca r. b., i którzy zatém rozpoczęli swoje przygotowania do wystawy przed powziętą w tym dniu uchwałą stronnictwa, znajdują się w inném położeniu, któremu można uczynić zadość, trzymając się zapowiedzi, jakie już nastąpiły.

„Posłowie niemieccy najszczerzéj ubolewają nad przedstawionym tutaj niepomyślnym stanem dzieła ugodowego; trzymając się jednak danego słowa, nie wyrzekną się oni swojéj jasnéj pretensyi o spełnienie umów wiedeńskich, choćby tymczasem nie zdołali owych przeprowadzić.

„Co się tyczy bezpośrednio obchodzącéj ich kwestyi udziału w wystawie krajowéj, to mogą oni sobie obrać za wskazówkę tylko obecne położenie.

„Uprzednim warunkiem pokojowego współubiegania się obu szczepów na polu wystawy są zadawalające stosunki narodowe. Spodziewając się szybkiego, kierowanego poważną chęcią i duchem pojednawczości przeprowadzenia wiedeńskiego dzieła ugodowego, większość niemieckich przemysłowców i rękodzielników była skłonna do obesłania wystawy, kierując się przytém nie interesem kupieckim, lecz pragnieniem, żeby z powodzeniem ugody złączyć swój udział w przedsięwzięciu, obchodzącém kraj cały. Niestety powodzenie takie jest niemożliwe wskutek stosunków w tym sejmie, leżących po za granicami naszéj winy i naszego wpływu, i dla tego, jakkolwiek nas to boleśnie dotyka, musimy w kwestyi obesłania wystawy wyciągnąć te wnioski, które jako obowiązek nakładają na nas jasne rozumienie sytuacyi i świadomość własna narodu niemieckiego w Czechach.“ — Praga, d. 27 listopada 1890 r.

Jeżeli zważymy, że niemiecki przemysł i rękodzieła znajdują się w stosunku dla Niemców pomyślniejszym, aniżeli sama cyfra ludności, tak, iż pod tym względem snadnie musielibyśmy przyjąć zupełną równość, jeżeli się daléj wie, że wystawa z r. 1891 ma być „wystawą

krajową", to w interesie sprawy musimy najgłębiéj ubolewać nad wymienioném postanowieniem posłów niemieckich, wystawa bowiem krajowa bez udziału Niemców jest poprostu niemożebna. Jużciż, jeżeli Niemców rzeczywiście nie będzie na wystawie, to nie będzie to wystawa całego kraju. Jednakże abstynencya Niemców może pociągnąć i inne, dla wystawy bardzo szkodliwe skutki. Wystawa taka kosztuje miliony, które muszą być odzyskane przez możliwie liczne jéj odwiedzanie, jeżeli całe przedsięwzięcie nie ma się zakończyć niepokrytym deficytem. Otóż jeżeli Niemcy nie wystawią swoich okazów, to nie będą oni również odwiedzać wystawy, a gwoli nim nie zaszczycą jéj także swojemi odwiedzinami Niemcy z sąsiedniego cesarstwa, tym zaś sposobem powodzenie całéj sprawy jest bardzo zagrożone. Wystawa nie będzie tém, czém mogła i powinna była być pierwotnie, a jéj powodzenie pieniężne staje się wysoce zagadkowém. Skrupułu tego nie usunie nam żadna junakierya młodoczechów, gdyż reprezuntują oni przemysł czeski w stopniu bardzo nieznacznym.

Wogóle zdaje się, że szowinizm narodowy, będący według mnie bardzo nie na czasie i zasilany tylko w interesie jednego stronnictwa, przyniesie narodowi czeskiemu mało korzyści, a przynieść może godne pożałowania szkody.

Sądzę, że nie będę uważany za niepraktycznego idealistę, jeżeli obstaję przy przekonaniu, że w Czechach zarówno dla powszechnego dobrobytu kraju, jak i dla dalszego pomyślnego rozwoju narodowości czeskiéj, pożądane są zawsze dwie rzeczy: popierwsze, ostateczne załatwienie przykrego sporu narodowościowego, powtóre — zgodne współdziałanie wszystkich Czechów w celu obrony praw narodowych i popierania interesów swéj narodowości.

Pod obu względami działalność młodoczechów jest natury ujemnéj: chcą oni wszelkiemi środkami przeszkodzić dziełu ugodowemu, w obozie zaś własnego narodu rozniecili walkę stronniczą i stworzyli dwie wrogie partye, które się zwalczają wzajemnie w taki sposób, jak gdyby naród czeski nie miał nic lepszego do czynienia, tylko gubić się w ten sposób. Na audyencyi 11 grudnia 1890 cesarz Franciszek Józef wyrzekł do burmistrza praskiego dra Szolca słowa nader godne uwagi: „Młodoczesi są bardzo lekkomyślni, a to może mieć złe skutki dla narodu" [1]).

Tak więc na schyłku roku 1890 otworzyły się przed nami nie

---

[1]) Podług nowszéj wersyi, cesarz miał powiedzieć: „Czego chcą właściwie młodoczesi? Nie mają oni żadnego programu, a przecież zdają się nie przeczuwać jakie niebezpieczeństwo ściągają na swój kraj i swój naród".

wesołe widoki na przyszłość najbliższą, co najwyżéj—możemy *mutatis mutandis* pocieszać się zdaniem Mirabeau: „*Un jacobin ministre n'est jamais un ministre jacobin*“, co dla naszych stosunków brzmiałoby w wolnym przekładzie: jeżeli tylko młodoczesi zajmą w kraju stanowisko rozstrzygające, to naciągną oni zapewne inne i łagodniejsze struny! Czy do owéj chwili bardzo wiele rzeczy nie zostanie zepsutych, to naturalnie, spoczywa w ręce boskiéj.

Praga, d. 13 grudnia 1890. *Dr. Gabler.*

P. S. Najnowszą fazę w życiu naszych stronnictw politycznych stanowi usiłowanie wytworzenia z trzech frakcyi nowego „wolnomyślnego i zgodnego czeskiego stronnictwa narodowego“. W tym celu odbywają się właśnie układy pomiędzy odpadłém lewém skrzydłem staroczeskiéj partyi narodowéj, tak zwanymi „realistami“, na czele których stoi prof. dr. Masaryk, a wzmocnioną znacznie partyą młodoczechów. Czy jednak usiłowanie to doprowadzi do jakiegoś radosnego rezultatu, to jest jeszcze rzeczą bardzo niepewną. Właściwą przyczyną powstania wszystkich tych trzech frakcyi jest grasująca w naszych czasach dążność pojedyńczych osobników nie poddawania się jednolitemu przewodnictwu i odgrywania samemu roli w życiu publiczném; to téż powstaje tutaj naturalnie kwestya, która z trzech frakcyi zechce przyłączyć lub poddać się innéj. Gdyby jednak wszystkim tym panom chodziło wyłącznie o zgodę w czeskim obozie narodowym, o jedność narodowéj partyi czeskiéj, to przecież mogliby byli otrzymać to wszystko daleko taniéj, pielęgnując i zachowując dawniejszą, tylko przez ich tendencye odśrodkowe zburzoną, czeską partyę narodową.





Prądy w najnowszéj literaturze niemieckiéj.*)

I. Romans i nowela.

Gdy zasłużone, szeroko pomyślane dzieło F. Bobertaga p. t. „Historya romansu i pokrewnych mu rodzajów poezyi w Niemczech“ (*Geschichte des Romans und der ihm verwandten Dichtungsarten in Deutschland*) zostało przerwaném przy początku wieku XVIII-go, w ostatnim roku ukazały się dwie różnorodne, lecz obie godne pochwały prace uzupełniające. Karol Rehorn pięć wykładów, mianych we Frankfurcie n. M. na temat: „Romans ~~szlachecki.~~ Pogląd historyczny i oświetlenie krytyczne“ (*Der deutsche Roman. Geschichtliche Rückblicke und kritische Streiflichter. Köln u. Leipzig*, 1890) kazał wydrukować jako „Próbę przedstawienia dziejów rozwoju romansu niemieckiego w zarysie“; Hellmut Mielke napisał książkę, poświęconą Spielhagenowi: „Romans niemiecki XIX-go stulecia“ (*Der deutsche Roman des 19 Jahrhunderts. Braunschweig*, 1890). Paralela pomiędzy wrogiemi kierunkami w powieściopisarstwie czasów obecnych i wieku XVII-go nie ujdzie uwagi bacznego czytelnika tych prób historycznych. Przy rozpatrywaniu tego najbardziéj nowoczesnego rodzaju poezyi zachodzi to samo, co i we wszystkich innych wypadkach; kto chce zrozumieć zjawiska teraźniejszości, musi się obejrzéć za pokrewnemi zjawiskami przeszłości. Niedawno Gustaw Freytag w swojéj autobiografii wypowiedział natchniony panegiryk romansowi, temu nowoczesnemu zastępcy epopei i, co może jeszcze ważniejsza, najwybitniejszy współczesny epik niemiecki, Wilhelm Jordan, po swoim

*) Patrz zeszyt za m. luty r. b., str. 300.

eposie podwójnym „*Nibelunge*“ wydał następnie dwa romanse. Przez długi czas zaprzeczano, ażeby romans swoim rodem poetycznym mógł się równać z eposem, dramatem i liryką. Grillparzer nie chciał mu w ogólę przyznać znaczenia poetycznego. Był to przesąd niesprawiewy; dzisiaj możnaby się lękać, że praktyka i najnowsze teorye opowiadaniu wierszowanemu zaprzeczą miejsca obok panującéj wyłącznie powieści prozaicznéj. Faktycznie epos i romans ukazują się w historyi w pewnego rodzaju przeciwieństwie: ostatni występuje zawsze wtedy, kiedy żywotna siła i wpływ pierwszego wygasły. Ukazanie się prozaicznéj powieści i noweli, zamiast epopei i *fabliaux* w Niemczech średniowiecznych znajduje się w związku z przeobrażeniem społeczeństwa. Goethe powiedział pewnego razu, że pisanie jest właściwie nadużyciem języka. Mowa poetyczna czyli wiersz, aby osiągnąć pełny skutek, wymaga, ażeby mógł rzeczywiście rozbrzmiewać.

Omawiając lirykę, wrócimy jeszcze raz do tego przedmiotu. Epos średniowieczny gruntował się na przypuszczeniu, że będzie wypowiadany na głos. Pewna rymowana średnio-górno-niemiecka nowela, „*Meier Helmbrecht*“, najdawniejsza niemiecka powieść wiejska, opowiada, jak na zamkach znikło dobre wychowanie. Dawniéj, powiada, po turnieju w gronie zebranych rycerzy i pań czytano i śpiewano; teraz mężczyzni oddzielili się od kobiét, ażeby pić i prowadzić mowy grubiańskie. Anegdota (zbiory takie XIII—XV-go wieku bywają nazywane księgami facecyi) bogaciła się przy takich biesiadach, pracy jednak robienia wierszy można się było pozbyć, skoro powieści przestano już odczytywać na głos. Dla cichego czytania powieści rymowane zostały w Niemczech i we Francyi przełożone na prozę. Za epopeami dworskiemi poszły prozaiczne powieści książek ludowych. Nie jestto przypadek, że poeta, który za dni naszych dążył do rozbudzenia przemocą eposu, że Jordan dał poznać swoich „*Nibelungów*“, jako wędrowny rapsoda. Nie jestto jednak również przypadek, że przeciwko wielkiemu polotowi powieści bohaterskiéj w prozie, jaki się zaznaczył w powieściach Amadisowskich, staje natychmiast początek współczesnéj powieści obyczajowéj w próbach Jörga Wickrama. W wieku XVII-ym przeciwieństwo nawet na gruncie niemieckim wytworzyło się zupełnie. Pod wpływem francuskim stoi romans bohatérsko-zalotny, któremu stałe względy czytelników zjednali książę Antoni Ulrich Brunświcki, Ziegler, Lohenstein, Bucholtz; powieści odgrywają się w czasach starożytności grecko-rzymskiéj lub niemieckiéj, albo téż na Wschodzie, autorowie wyzyskali dokładnie uczone środki pomocnicze, jakich im dostarczała współczesna epoka, liczne odnośniki powołują się na świadectwa hi-

storyczne, stwierdzające prawdziwość kostyumu powieściowego; zmyślenie i historya mieszają się z sobą, jak u Walter-Scotta, Alexisa i Ebersa. Przeciwnicy nowszego romansu historycznego sądzą, że Ebersa i Dahna wystawią na sztych, jeżeli w charakterze ich poprzedników wymienią Zesena i Lohensteina. Jest rzeczą zupełnie słuszną przeprowadzić taką paralelę, tylko że dla mnie wynikają stąd inne wnioski. Wśród wszystkich rodzajów poezyi, romans porusza się najswobodniéj; wskutek braku określonéj formy poetycznéj chciano mu, jak zauważyłem wyżéj, przyznać w obrębie poezyi tylko prawa bękarta. Młodość, którą nadaje poezyi ścisła forma kunsztowna, od samych początków nie została udzieloną romansowi; to téż starzeje się on tém szybciéj i robi się przestarzałym. Stosuje się to w równéj mierze do każdego gatunku romansu. Wprawdzie z romansów, w których odźwierciadla się współczesna epoka, potomkowie będą się chętnie zapoznawali z obyczajami, uczuciami, wyobrażeniami owych czasów, jakże jednak dużo rzeczy, wydających się jednemu pokoleniu ważnemi, utraciło wszelki interes po upływie kilku pokoleń! „Lata nauki Wilhelma Meistra“ (*Wilhelm Meisters Lehrjahre*), podobnie jak „Tom Jones“ Fieldinga i „Podróż sentymentalna“ Sterne'a pozostaną nazawsze klasycznemi dziełami literatury; a przecież dla szerszych kół czytelniczych powieść Goethego zaczyna już być przestarzałą. Romans historyczny nie jest ani w lepszém, ani w gorszém położeniu, aniżeli współczesny romans obyczajowy. Jak każde pokolenie ma inne pojęcie o życiu i państwie, o prawach i obowiązkach, tak téż każde widzi przeszłość w inném świetle; w pokoleniu tém budzą zajęcie inne fakty i inni ludzie przeszłości. To samo dzieje się i z prawdziwém dziejopisarstwem. Nie potrzebuję wcale przytaczać tak tendencyjnego, stronniczego pisarza, jakim jest Henryk Treitschke; nawet takie dzieła historyczne, które podług zamiaru ich autorów mają służyć prawdzie obiektywnéj, po upływie stulecia nie czynią już zadość zmienionym wyobrażeniom publiczności, zmienionemu stanowi badań. Rzecz zupełnie naturalna, że romans historyczny, który jest zależny od nauki dziejowéj swoich czasów, ulega takiemu losowi jeszcze z większą szybkością i daleko większą stanowczością. O uczonem dziejopisarstwie wieku XVII-go sądzimy niewiele przychylniéj, aniżeli o bohatérsko-zalotnym romansie Lohensteina i Zieglera. Germanistyka umiejętna pozostawia na boku prace von der Hagena, podobnież jak i czytelnicy—romanse Fouqué'go. Wszystko to leży w biegu rozwoju naturalnego i jest zupełnie słusznem, a tym autorom romansów historycznych, którzy żyją razem z nami, nie pójdzie lepiéj w przyszłości. Nie powinniśmy tylko zapominać przytém o jednéj

rzeczy: owe dziś zapomniane lub wyśmiane powieści zaspakajały wymagania swego czasu. Jakkolwiek nie stosują się do nich słowa: kto uczynił zadość najlepszym ludziom swego czasu, ten żył dla wszystkich czasów; to przecież stosuje się do nich inne orzeczenie Goethego, że i świat obecny ma prawo domagać się zabawy; „obecność dzielnego chłopca zawsze także coś znaczy.“ Kto przeczyta romanse historyczne wieku XVII-go i przedrzeźniające niemieckość romanse Fouquégo, ten znajdzie je lepszemi, aniżeli ich opinia. W każdym razie przywoływanie tych cieniów literacko-historycznych nie może niczego dowodzić przeciwko nowszemu romansowi historycznemu; żaden romansopisarz nie może sobie roić, że stworzy *opus aere perennius*. W literaturze wszechświatowéj istnieje tylko jeden, w swojém jądrze nigdy nie starzejący się romans: „*Don Quixot*“ Cerwantesa.

Przeciwieństwo z romansem historycznym, do którego naturaliści przywiązują tak wielką wagę, istniało już bezwątpienia nawet w wieku XVII-ym. Jedyny, dziś jeszcze czytywany romans niemiecki z czasów przed Goethem, mianowicie „*Simplex Simplicissimus*“ Grimmelshausena, unaocznia nam w malowniczo-naturalistycznym opisie stosunki niemieckie podczas wojny 30-letniéj i bezpośrednio po niéj. Jak autorowie romansów historycznych zapatrywali się na przykłady francuskie, tak Grimmelshausen pracował podług wzoru, ustanowionego przez Hiszpanów w ich romansach hultajskich (*picaresco*). Co do nie dbającego o żadne względy przedstawienia rzeczywistości razem z jéj brudami, to najnowszy naturalizm nie tak łatwo prześcignie owe dawne awanturnicze i łotrowskie romanse. Chciałbym ciągle przypominać, że cała kwestya sporna pomiędzy naturalistami a ich przeciwnikami, z którą obchodzimy się jako z najnowszym wynalazkiem, datuje od dawien dawna. Henryk Körting mógł słusznie oba tomy swéj wybornéj „Historyi romansu francuskiego w wieku XVII“ (*Geschichte des französischen Romans in 17. Jahrhundert*) zatytułować: „Romans idealny i Romans realistyczny.“ Realistyczny romans Scarrona „*Roman comique*“ pozostawił jeszcze ślady w „Latach nauki Wilhelma Meistra“: w początkach wieku XVIII-go Chrystyan Weise reprezentował w Niemczech romans realistyczny. W r. 1731 Schnabel w znakomitém opowiadaniu „Wyspa Felsenburg“ (*Die Insel Felsenburg*), które wielokrotnie było wznawiane w naszém stuleciu, podał pierwsze wzory nowel realistycznych, pochwyconych z życia codziennego. Pod wpływem Anglika Richardsona i genewczyka Rousseau rozwinął się w Niemczech romans, który pod wielu względami wydaje nam się przychodniem z obcego świata, który jednak dążył do tego, ażeby tworzyć z pełni życia ludzkiego i poruszenia duszy rozczłonko-

wywać z naturalistyczną wiernością. „Cierpienia Werthera“ są pierwszém dziełem poety niemieckiego, które zajmuje miejsce w literaturze wszechświatowéj. Naprzeciwko spółczesnemu romansowi obyczajowemu (*Werther*, *Wilhelm Meister*, *Wahlverwandtschaften*) staje w wieku XVIII-ym romans historyczno-filozoficzny, którego głównym przedstawicielem trzeba nazwać Wielanda. Wszystkie jego romanse odgrywają się w dawnéj Grecyi, naturalnie nie w téj Grecyi, jaka staje przed nami na podstawie badań Grote'a i Curtiusa, lecz jak ją sobie wystawiała popularna filozofia wieku XVIII-go. Mamy nawet zupełnie nowoczesny romans, który bez dalszych zachodów musimy postawić obok owych pseudo-greckich romansów Wielanda, mianowicie: „Aspazyę“ Roberta Hamerlinga (*Aspasia, Künstler- und Liebesroman*, 1876). Jak autor „Agatona“ i „Arystyppa“ wyprowadza na scenę greckich młodzieńców, filozofów i hetery, aby ich ustami wypowiedzieć rozwój własnego ducha, swoje dojrzałe poglądy filozoficzne, polityczne i miłosne, tak samo poeta austryacki każe występować Peryklesowi, Fidiasowi i Aspazyi po to, aby wyrazić własny swój zapał dla minionéj piękności, sztuki artystycznéj i życiowéj Hellady. Z dawnymi klasykami tak Wieland, jak i Hamerling, byli w równéj mierze obeznani, obu jednak chodziło przedewszystkiém o subiektywne wypowiedzenie swoich przekonań; romans historyczny był dla nich tylko strojem zewnętrznym. Nie chcę, aby to zestawienie z Wielandem było rozumiane jako nagana Hamerlinga; przeciwnie, jestem tego zdania, że zupełne zapomnienie o romansach Wielanda nie przynosi nam wcale zaszczytu; prostacze napaści prasy wiedeńskiéj przeciwko „Aspazyi“ potępiają się same przez się. Jestto właśnie tylko romans, w którym myśliciel i miłośnik sztuki wyrósł ponad głowę poecie, od którego domagamy się akcyi. Jeżeli romantyk Hamerling oparł się mimowiednie o romans Wielanda, to można w tém upatrywać pewnego rodzaju zadosyćuczynienie za niesprawiedliwość, jaką romantycy zawinili względem Wielanda. Za to mają oni coprawda tę zasługę, że udzielili stanowczéj podniety tak nowszym studyom historycznym w ogóle, jak i romansowi historycznemu wieku XIX-go. Dopiéro romantyzm roztworzył przed nami wieki średnie. Od „*Henryka von Ofterdingen*“ Novalisa rozpoczyna się niemiecki romans historyczny. Podniesionemu nastrojowi patryotycznemu przed wojną o oswobodzenie i po niéj zawdzięczały staroniemieckie i północne romanse Fouquégo o olbrzymach i rycerzach swe ogromne, choć krótkotrwałe powodzenie, podobnież jak wypadki polityczne roku 1870 wyszły na korzyść romansom Feliksa Dahna z czasów wędrówki ludów germańskich. Ze wszystkich niezliczonych poezyi Fouquégo

dziś bywa jeszcze czytywaną tylko śliczna powiastka „*Undine*“; z pośród dawniejszych romansów historycznych tylko „Lichtenstein“ (1826 roku) Wilhelma Hauffa cieszy się do dziś dnia nieosłabionemi względami starców i młodzieży. I szwabskie to dzieło zasłużyło na tak przychylny los; za to Achim von Arnim nie zasłużył na to, że jego nawpół symboliczny, nawpół historyczny romans p. t. „Pierwsze i drugie życie Bertholda“ (*Bertholds erstes und zweites Leben*), odgrywający się w wieku XVI-ym, żyje tylko jeszcze w historyi literatury; nie zasłużyły na to brandeburskie romanse Alexisa, że w Prusach znalazły mało czytelników, a w Niemczech południowych nie znalazły ich wcale. Zwyczajem prawdziwie niemieckim wśród zapału dla Walter-Scotta nie znaleziono ani czasu, ani chęci, żeby się obejrzeć za tém, co w samodzielném odtworzeniu wyrosło na gruncie ojczystym. Obok obcego oryginału u nas można pospolicie zauważyć tylko jeszcze niewolniczych naśladowców. Z Walter-Scottem zdobyli sobie względy czytelników niemieckich Francuzi, przedewszystkiém Eugeniusz Sue i Dumas starszy. „Młode Niemcy“, owo przez zaślepioną głupotę nieboszczyka „sejmu związkowego“ (*Bundestag*) stworzone zjednoczenie kilku nie przystających do siebie pisarzów, nie były usposobione przychylnie dla romansu historycznego, chociaż np. sam Laube wypuszczał późniéj ze swéj fabryki także romanse historyczne. Po „Lichtensteinie“ Hauffa pierwsze wielkie i trwałe powodzenie w dziedzinie romansu historycznego dostało się w udziale dopiéro „Ekkehardowi“ Wiktora Scheffela (1853 r.). Scheffel od kilku lat nie żyje, a od r. 1870 nie stworzył on już nic znaczniejszego. Kto jednak obecny stan literatury niemieckiéj chce poznać nie mechanicznie podług dat pierwszych druków i śmierci, lecz podług tego, co żywo i skutecznie oddziaływa na teraźniejszość, ten musi wciąż jeszcze zwracać się przedewszystkiém do Scheffela. W dramacie nie próbował nigdy swoich sił,—mała sztuka uroczysta p. t. „Powitanie panny młodéj na Wartburgu“ (*Der Brautwillkomm auf der Wartburg*) nie wchodzi w rachubę,—lecz w romansie, noweli, w wesołym eposie i w liryce Scheffel pod względem powodzenia prześcignął wszystkich żyjących poetów niemieckich i, co ważniejsza, zasłużył całkowicie na takie powodzenie. Wprawdzie nawet w „Ekkehardzie“ spotykają się parę razy aluzye, które tylko czytelnik uwag może zrozumieć, filologiczno-historyczna praca mozajkowa nie wszędzie pozostaje ukrytą, jednakże ani Dahnowi, ani Freytagowi, ani jedynemu twórcy romansu historycznego z pomiędzy naturalistów—Wallothowi nie udało się obdarzyć swoich osób uczuciem, mową i działaniem, do tego stopnia zgodnemi z ich wiekiem, nie nadając im przecież ani na chwilę postaci, obcéj nam, ludziom no

woczesnym. Nic na świecie nie jest bez wady, nawet młot Thora, jak mówi jeden z bohatérów Dahna, okazał się nad Nilem zakrótkim. I w romansie Scheffela nie wszystko jest do pochwalenia; z czasów jednak po Goethem nie znam drugiego romansu, co do którego uczuwałbym potrzebę odczytywania go od czasu do czasu, prócz „*Ekkeharda*“. Według mojego zdania, jestto najlepszy romans niemiecki, jaki został napisany od r. 1817, w którym się ukazali „Strażnicy korony“ (*Kronenwächter*) Arnima. I zbliżony do noweli „*Jungerus*“ (*Jungerus, Geschichte eines Kreuzfahrers*, 1868), wskutek swojéj dokładności pod względem obyczajów i języka, wskutek prostéj a jednak pociągającéj ku sobie treści, może uchodzić za arcydzieło; „Hugider“ (*Hugider*, *eine alte Geschichte*, 1866) jest na nowelę za ciemny i treścią ubogi. „Lichtenstein“ Hauffa i „Ekkehard“ Scheffela, są w naszéj literaturze jedynemi romansami historycznemi, które się ukazały przed r. 1870 i które jeszcze dziś należą do żelaznego zasobu naszéj obecnéj literatury; pomiędzy wykształconemi i nawpół wykształconemi sferami, nie łatwo znaleść kogokolwiek, któryby nie czytał obu dzieł i nie lubił ich sobie przypominać. Alexis bywa zapewne wspominany, jego romans, odgrywający się w Brandeburgii w czasach założenia potęgi Hohenzollernów, p. t. „Spodnie pana Bredowa“ (*Die Hosen des Herrn von Bredow*), przypomniano sobie znowu, dzięki powodzeniu powieści Wildenbrucha „*Die Quitzows*“. Jednakże pomiędzy czytywanemi romansami bodaj nie można odszukać już ani śladu Alexisa, Sealsfielda i panującego niegdyś Spindlera. Laube, Gutzkow, Gottschall swojemi romansami historycznemi zyskali tylko szacunek. Jeżeli się kto chce zapoznać z nowszym niemieckim romansem historycznym, to wystarczy trzymać się trzech imion: Gustaw Freytag, Feliks Dahn, Jerzy Ebers. Dopiéro w pewnéj odległości od nich następują Georg Taylor (pseudonim zamiast: profesor Hausrat), Eckstein, naturalista Walloth i następnie w dalekiéj odległości ogromny zastęp pracowników, którzy nie dostąpili powszechnego uznania, albo téż których twórczość obraca się tylko około historycznego romansu sensacyjnego, nie zaś w dziedzinie poezyi artystycznéj, jak np. Grzegórz Samarow. Na uboczu zaś stoi na odosobnionéj wyżynie mistrz noweli historycznéj — Konrad Ferdynand Meyer.

Jak zgromadzenie frankfurckie z r. 1848 przezywają uszczypliwie parlamentem profesorów, tak i nowszy romans historyczny wyszydzono jako romans profesorski, ponieważ Ebers (Lipsk), Dahn (Wrocław) i Taylor-Hausrat (Heidelberg) wykładają na fakultecie filozoficznym, prawnym i teologicznym, a Freytag przynajmniéj za-

młodu był prywat-docentem we Wrocławiu. Przez kilka lat Ebersowi oddawano przesadną cześć, potém nastąpił nagle zwrot przeciwny, tak, iż dziś uchodzi za oznakę dobrego tonu i oczyszczonego smaku—wzruszać ramionami na autora „Oblubieńca z nad Nilu“ (*Der Nilbräutigam*); sławionego zrazu człowieka obsypują parodyami, przesadzając w naganie, jak z początku przesadzano w pochwałach. Studya przywiodły Ebersa i Dahna do poetycznego opracowania zbadanéj przez nich przeszłości; Freytag i Dahn — pierwszy w „Obrazach z przeszłości niemieckiéj“, drugi w „Królach Germanów“ i w pierwotnéj historyi niemieckiéj — również zorali najprzód jako uczeni grunt, na którym późniéj zebrali złote snopy sztuki poetycznéj. Freytag przeszedł od uprawianego z początku romansu społecznego do historycznego, gdy tymczasem Dahn od tworzenia ballad zwrócił się ku romansowi historycznemu. I jakkolwiek w przeciągu już dwóch dziesięcioleci powodzenie Dahna w romansie było wielkiém, to przecież jego właściwe zdolności mogłyby mu były wskazać drogę do eposu. Jużciż nie można brać za złe poecie, że chce być czytanym, a w ojczyźnie Schillera i Goethego czytuje się jeszcze powieści, ale nie wiersze. Gustaw Freytag opowiedział sam, że plan do jego „Przodków“ (*Die Ahnen*) został urzeczywistniony wskutek wypadków z r. 1870. Pomiędzy rokiem 1872 a 1880 ukazało się sześć tomów, w których opowiedziane są dzieje pewnéj rodziny turyngijskiéj od czasów Ariowista aż do roku 1848. Zalety pierwszych tomów stoją w niepocieszającéj sprzeczności z wadami ostatnich; doskonałe w szczegółach, dzieło to, rozpatrywane jako cykl powieściowy, jest chybione. Tendencya, skierowana ku uświetnieniu mieszczaństwa, jest przecież zanadto niepoetyczna; poniżenie starego, od bogów pochodzącego pokolenia królów do godności burmistrzów i dziennikarzy jest poprostu smutne. Historya zbyt często znika („Bracia Niemieckiego Domu“) po za małemi, niewątpliwie nadzwyczaj przezroczystemi obrazkami kultury. Freytag, który w „Ingrabanie“ nakreślił w wielkich dosadnych rysach przeciwieństwo pomiędzy chrześciaństwem a pogaństwem germańskiém — w „Markus König“ przy przedstawieniu Lutra kazał nowoczesnemu radcy konsystoryalnemu przemawiać bardzo poprawnie w sprawach małżeńskich. Ogłoszona następnie autobiografia wykryła, że w ostatnim tomie „Przodków“ Freytag myślał o swojéj własnéj rodzinie. Z owéj poezyi, która orzeźwiała czytelników w pierwszych trzech tomach: „Ingo“, „Ingraban“, „*Nest der Zaunkönige*“, któremu zresztą „Ekkehard“ wyświadczył dobrą przysługę, w drugiéj połowie nie można się dopatrzéć ani

śladu [1]). Freytag jest daleko bardziéj wyrachowanym, całą robotę o wiele lepiéj rozumiejącym artystą, aniżeli Feliks Dahn. Dahn nawet tam, gdzie się myli w tonie i barwie, jest poetą, młodzieńczém natchnieniem porywa on ze sobą czytelnika, który dopiéro późniéj znajduje to lub owo do przyganienia; Freytag zachowuje się zawsze chłodno i jest reżyserem swoich bohaterów nawet wtenczas, gdy im wydaje rozkaz namiętnego działania. Dahn jest przepełniony starogermańskiém upodobaniem w walce; w swoich „Wspomnieniach“ (*Erinnerungen*) nie może on się dosyć naopowiadać, ile to bitw stoczył ze swymi towarzyszami dziecinnych zabaw.

Dahn staje po stronie Wotana i Niemców przeciwko chrześciaństwu i Rzymianom; jest on gorąco-krwistym Niemcem południowym, Freytag — racyonalistycznym synem niemieckiego północo-wschodu. Jak Freytaga, tak i Dahna do wielkiéj twórczości w dziedzinie romansu zachęciło odbudowanie cesarstwa niemieckiego. Cztery tomy „Walki o Rzym“ (*Ein Kampf um Rom*, 1876) były jego pierwszą próbą w zakresie romansu historycznego i pozostały do dziśdnia jego bezporównania najznaczniejszą pracą. O dziele tém, które dopiéro co wyszło w wydaniu 18-ém, możemy i musimy jeszcze mówić nawet w przeglądzie literatury najnowszéj. To, co Dahn od owéj pory stworzył w dziedzinie romansu, robi poczęści wrażenie, jak gdyby było tylko nieco odmiennném rozprowadzeniem pojedyńczych szczegółów, które w formie zwięźlejszéj spotykamy już w „Walce o Rzym“. Że jestto nadzwyczaj ryzykowny sposób kompozycyi grupować jakiś utwór podług panowania pojedyńczych królów, choćby nawet lata ich rządów miały być skracane lub przedłużane według potrzeb poetycznych — łatwo zrozumié każdy czytelnik. Natomiast, nie mogę podzielać zarzutu, jaki najbardziéj bywa podnoszony przeciwko Dahnowi, mianowicie, że wśród osobistości i faktów historycznych umieścił on swobodnie zmyśloną postać rzymianina Cetega. Cała wielkość starożytnych Rzymian, miłość ojczyzny, odwaga, duch poświęcenia, lecz zarazem niesumienne stosowanie wszelkich środków, obłuda i okrucieństwo znamionują tego symbolicznego przedstawiciela wymierającéj rzymskości. Gotów zupełnie dostatecznie reprezentują Totila i Teja, a Bizancyum — Belizaryusz i Narses. Idea wieczystéj Romy współdziałała przy wszystkich tych walkach, senatorowie i kapłani intrygowali i przelewali swą krew za Rzym; ówczesny Rzym nie mógł już wydać takiego bohatéra jak Ceteg. Poeta jednak potrze-

[1]) Obszerne sprawozdanie w tym cyklu powieści Freytaga, pomieściło „Ateneum w r. 1881 (t. III, 78—110).

buje przeciwstawić kogoś przywódcom gockim i bizantyjskim. W Cetega, ostatniego Rzymianina, poeta wciela ideę, która ciągle jeszcze ożywiała osłabionych Rzymian, i obok odrazy do Aryan, popychała ich do nieprzyjaźni względem łagodnego panowania Gotów. Sądzę, że tutaj właśnie poeta skorzystał z przysługującego mu prawa,ześrodkowując i potęgując tylko motywy, rozrzucone już w historyi. Że przytém nałożył on farb zbyt grubo, iżby symboliczny przedstawiciel rzymskości pod względem czysto ludzkim mógł nam się wydać wiarogodnym, nato, niestety, musimy się zgodzić. Jednakże, jeżeli nawet chętnie przyznamy wszystkie słabe strony utworu, mianowicie niepotrzebne przejęcie zakochanéj żydówki ze Scott'owskiego „Ivanhoe", liczne okropności i mordy, tchnący epoką nowoczesną pesymizm Tei, to przecież „Walka o Rzym" stanowi nietylko punkt kulminacyjny w dziejach romansu niemieckiego, lecz jest wogóle jedną z najznakomitszych prac w najnowszéj poezyi niemieckiéj. Niewiele jest nowszych utworów, o których możnaby powiedzieć, że trzeba je przeczytać, ażeby poznać charakter naszéj literatury współczesnéj; „Walkę o Rzym" zaliczam do tych niewielu. W przedstawieniu ostatniéj walki i śmierci Tei, jednym z najwspanialszych obrazów bojowych, jakie tylko istnieją, wieje duch, który w r. 1870 ożywiał wojska niemieckie. W r. 1883 Dahn zaczął wydawać zbiór, zatytułowany: „Drobne romanse z epoki wędrówki narodów" (*Kleine Romane aus der Völkerwanderung*); mamy dotychczas przed sobą siedm tomów: Felicitas, Bissula, Złe zakonnice z Poitiers, Fredigundis, Gelimer, Attila, Batawowie. Zetknięcie pomiędzy potężném nawet w swoim upadku *imperium romanum* a pnącemi się do góry plemionami germańskiemi, skąd wynikło nowe ukształtowanie się państw europejskich, przedewszystkiém zaś państwo Merowingów z jego dzikiemi zbrodniami i hierarchią biskupią, stanowi jednolite tło tych państw powieściowych. Zresztą romanse te różnią się bardzo pomiędzy sobą i nie wszystkie są jednakowéj wartości. Najmniéj mogą zadowolić wydani dopiéro co „Batawowie" (*Die Batawer*). W historyi uczenic klasztornych, które zbiegają pod wodzą dwóch księżniczek frankońskich z Poitiers, i które ostatetecznie wszystkie znajdują mężów, poeta rozwinął najmilszy humor, który występuje również w szwabskiéj dziewczynie „Bissuli", przedstawionéj przy pomocy Auzoniusza; w zdobyciu obozu rzymskiego przez starego księcia Alemanów opowiadanie wznosi się do powagi epicznéj, która panuje wyłącznie w „Gelimerze" i „Attyli". Upadek afrykańskiego państwa Wandalów, postawiony przed oczyma czytelnika poczęści za pomocą listów Prokopa, poczęści zaś przez bezpośre-

dnie wyprowadzenie na widownią historyi, staje się posępną tragedyą; śmierć Attyli łączy się z germańskiemi dziejami miłosnemi. Mniéj więcéj w takim samym stosunku, w jakim saga, spożytkowana przez Ibsena w jego dramacie „Północna wyprawa wojskowa“, znajduje się względem pieśni o Sygurze, Dahn odważył się także na skromne i dla tego skuteczne współzawodnictwo przez zużytkowanie krwawego wesela Burgundów w pieśni o Nibelungach. Na uboczu od cyklu romansów stoją dwie oddzielne powieści historyczne Dahna: „Wierny aż do śmierci (*Bis zum Tode getreu*), opowiadanie z czasów Karola Wielkiego“ (1887) i „Koniec świata (*Weltuntergang*), opowiadanie historyczne z roku 1000 po Chrystusie“. Pomimo niektórych rozwlekłości i niemożliwości psychologicznych, pierwszą powieść zaliczam do najlepszych książek w naszéj nowszéj literaturze opowiadawczéj. Już to jest szczęśliwy motyw, że Karol Wielki został przedstawiony z téj strony, z któréj pamięć jego utrzymała się najdłużéj wśród ludu, mianowicie: prawo Karola. Tkliwie porywające tchnienie rozchodzi się po całém dziele, które będąc czysto odczutém przez poetę, musi również zupełnie i czysto wstrząsnąć uczuciem czytelnika. Mniéj szczęśliwie przedstawione jest zamieszanie i rozpadnięcie, jakie powracający ciągle przesąd o bliskim końcu świata wywołał w biskupstwie wyrcburskim, za panowania cesarza Ottona III. Jestto szczególniejszy przypadek, że Dahn w romansie, a Paweł Heyse w dramacie „Koniec świata“, odgrywającym się w wieku XVII, spożytkowali ten sam motyw.

Obok tych romansów historycznych, Dahn, który, niestety, uszczupla wartość swoich utworów, wskutek szybkiego produkowania, ogłosił jeszcze cztery mniejsze opowiadania, z pomiędzy których pierwsze i ostatnie: „Czy są bogowie?“ (*Sind Götter?* 1878) i „Skirnir“ (1889) mogę bezwarunkowo pochwalić; dwa inne: „Czém jest miłość“ (*Was ist die Liebe.* 1887) i „Potwierdzenie Fryggi“ (*Friggas Ja.* 1888) uważam za mniéj udatne. W każdym razie drobniejsze te opowiadania tworzą przez się osobny gatunek. Dahn próbuje połączyć prostą, cierpką wielkość sag staro-północnych z nowoczesną sztuką opowiadania; są to nawpół powiastki, nawpół nowelle psychologiczne, w których bogowie i ludzie ponoszą cierpienia dla miłości kobiéty i wolą śmierć dla miłości, aniżeli życie, pozbawione kochania. Potrzeba do tego całéj znajomości starożytności niemiecko-północnych i takiéj pełni prawdziwéj poezyi, jaką się odznacza Dahn, ażeby się podjąć takiego dzieła i wykonać je z powodzeniem. Tymczasem Dahn odważył się na próbę jeszcze śmielszą: przerobił on poprostu Eddę na romans w utworze „Pociecha Odyna“ (*Odhins Trost.*

1880). Stworzył on sobie w tym celu osobliwszego rodzaju pół prozę; bogom i bohaterom każe mówić we wznoszących się rytmicznie i poczęści aliterujących zdaniach. I ten to właśnie język budził niejednokrotnie zgorszenie, podobnież jak i język Freytaga w „Ingo“ wywoływał naganę i drwiny. Istotnie, ani obrazowania Dahna, ani jego języka nie można uwolnić od zarzutu maniery. Lecz właśnie „Pociecha Odyna“ i „Czy są bogowie“ dowodzą niezbicie wrodzonéj dzielnéj siły poetycznéj. Czegoś podobnego nie mógłbym pochwalić ani we Freytagu, którego sława należy do literackich artykułów wiary, ani w Ebersie.

Cały zasób siły lirycznéj Ebers wyczerpał już w pierwszym swoim romansie: „Córka króla egipskiego“ (*Die egyptische Königstochter.* 1864). Dopiéro w r. 1877 wydał on drugi z kolei romans egipski „Uarda“, poczém nastąpiły szybko po sobie: „*Homo sum*“ (1878), „Siostry“ (1880), „Cesarz“ (1881), „Serapis“ (1884), „Oblubieniec z nad Nilu“ (*Der Nilbräutigam.* 1886). Tylko te romanse profesora egiptologii wchodzą w rachubę przy określeniu jego stanowiska w literaturze. Oba romanse z czasów niderlandzkiéj walki o wyswobodzenie: „Pani burmistrzowa“ (*Die Frau Bürgermeisterin.* 1881), „Jedno słowo“ (*Ein Wort.* 1883), tudzież odgrywająca się w Norymberdze „Gred“ (1888) okazały tylko, że romansopisarz Ebers winien swe powodzenie badaczowi dziejów kultury egipskiéj. W wierszach na szczęście, Ebers doświadczył swoich sił tylko raz („*Elifen*“, 1887). Wydane dopiéro co „Powiastki“ (*Mährchen*) i dawniejsza idylla „Pytanie“ (*Eine Frage*) nie stanowią żadnego nowego przyczynku do charakterystyki Ebersa. Główna siła przyciągająca jego dzieł, spoczywa w wyrazistém przedstawieniu życia staro-egipskiego, opartém na najgruntowniejszém badaniu naukowém. Przed ukazaniem się jego romansów publiczność nie miała wcale sposobności zapoznania się z tajemniczą i dla tego podwójnie ponętną przeszłością kraju, o którym wiele wspominano, wielokrotnie się spierając. Jak słabą jest ta poezya, dowodzi zmniejszenie się zainteresowania, skoro tylko Ebers odważy się na opracowanie innych czasów. Już „Cesarz“ i „Serapis“, w których rzymska monarchia wszechświatowa przedstawiona jest na gruncie egipskim, pozostają daleko wtyle po za „Uardą“. Taylor w swoim „Antinousie“ (1881), który, ukazując się przypadkiem równocześnie z „Cesarzem“ Ebersa, zajmuje się tym samym przedmiotem, mianowicie Hadryanem w Egipcie, pojął zagadkę psychologiczną daleko głębiéj. Wogóle Ebers tylko raz zapuścił się w głąb czynności i przedstawił znaczne konflikty wewnętrzne, mianowicie w „*Homo sum*“. Jeżeli właśnie temu romansowi zbywa na oka-

załości barw i efekcie teatralnym innych dzieł, to przecież Ebers nigdy nie był bliższym zadania poezyi historycznéj, polegającego na têm, ażeby okazać, jak ogólno-ludzkie namiętności i cierpienia w określonych warunkach pewnego czasu zyskują właściwą sobie postać. Jestto trudne do rozwiązania zadanie, ażeby przy najwierniejszém zatrzymaniu zewnętrznego stroju czasowego, utrzymać także odpowiednio myślenie i czucie ludzi tamtéj epoki, a przecież zarazem wzbudzić w nas, ludziach nowoczesnych, najżywsze współczucie dla tych inaczéj usposobionych, a jednak w wewnętrznéj swojéj istocie pokrewnych nam ludzi. Wszak w romansie i dramacie poezya historyczna tak często rozbija się o niebezpieczeństwo ubrania w strój egipski lub staro-germański, grecki lub średniowieczny ludzi, którzy myślą i działają tylko po nowoczesnemu. Z drugiéj strony, poeta nie może wnosić do działania niezgodnych z dziejami motywów, które nam się wydają poprostu potwornemi, lecz są już niepochwytne dla naszego uczucia. Tym sposobem „Oblubieniec z nad Nilu“ stał się poprostu widowiskiem tylko. Jeżeli u Freytaga przychodzi romansowi z pomocą wyrobiona forma kunsztowna, u Dahna młodzieńczo-świéża poezya, to główna siła Ebersa polega na interesie rzeczowym, który atoli dopisuje tylko przy pierwszém czytaniu i bardzo szybko się starzeje. Co Schiller w pewnéj listownéj krytyce Fichtego powiedział o nauce, to dziesięćkroć stosuje się do romansu naukowego. Co pokolenie dzisiejsze chwyta jako naukę nową, to samo, o ile nauka zawierała w sobie prawdę, staje się dla najbliższego albo trzeciego pokolenia dobytkiem wspólnym; powróci ono jeszcze do dzieł, które po raz pierwszy udzieliły téj wiedzy, tylko wtedy, jeżeli forma myślenia i przedstawienia nadała tym dziełom wartość, niezależną od treści czysto rzeczowéj. Wartość taką można przyznać „Cierpieniom“ Werthera, temu lub owemu romansowi Scotta, a także, jak sądzę, „Ekkehardowi“ Scheffela. U Ebersa nigdy nie wyjdziemy po za oddziaływanie rzeczowe; w żadnym romansie nie czujemy, ażeby po nad dziełem górowała postać samego autora i jego doświadczenie życiowe, jak to ma miejsce np. w „Wilhelmie Meistrze“. Romanse Dahna, cenne same przez się pod względem poetycznym, podtrzymuje interes narodowy; egipskie romanse Ebersa (a tylko te, powtarzam jeszcze raz, wchodzą w rachubę) stają się przestarzalemi, skoro tylko zostanie zaspokojony interes starożytniczy. Żaden z romansów Ebersa nie może się ani w oddaleniu mierzyć z „Salammbo“ Flauberta. Nie powinniśmy jednak być niesprawiedliwymi względem rzeczywistych zalet Ebersa; powodzenie jego nie było bynajmniéj niezasłużoném,

a poważniejsza część czytelników znajdowała w jego romansach przyjemność.

Jeżeli Taylor w swoim „Antinousie“ wprowadził cesarza Hadryana i jego ulubieńca do walki pomiędzy odrodzeniem pogańskiém a występującém chrześciaństwem, z lepszém uzasadniemiem psychologiczném, to przecież, biorąc na uwagę ogół prac poetycznych, mistrz jego Ebers stoi od niego daleko wyżéj. Drugi jego romans historyczny „Klytia“ (1882) okazuje w porównaniu z „Antinousem“ również mały postęp, jak i „Serapis“ Ebersa w porównaniu z „Uardą“. Jużciż zamek heidelberski tworzy tło efektowne, jednakże Taylorowi-Hausratowi nie udało się ożywić poetycznie walk pomiędzy samolubnymi, żądnymi prześladowania kaznodziejami reformowanymi a przebiegłymi jezuitami wraz z odgrywającemi się wśród tego procesami przeciwko czarownicom. Myśl przedstawienia początków typu Klityi na podstawie nieszczęśliwéj miłości pewnego artysty włoskiego z epoki odrodzenia, dałaby się była przeprowadzić tylko w ciaśniejszych ramkach noweli.

Ze względu na zewnętrzne powodzenie, tuż obok Ebersa i Taylora wypadłoby wymienić Ernesta Ecksteina. Jednakże dopiéro przy takiém zestawieniu uczymy się cenić wartość, jaką samodzielne gruntowne badania Ebersa nadały jego utworom. Obok wielu innych utworów Eckstein ogłosił także szereg romansów historycznych; najnowszym z pomiędzy nich jest „Nero“ (1889) [1]). Główną podporę swojéj wziętości zawdzięcza on „Klaudyuszom“ (*Die Claudier* 1881; dwunaste wyd. 1890). Jestto rzeczą zupełnie naturalną, że powszechnodziejowa walka pomiędzy kulturą pogańską a młodém chrześciaństwem musi się wydawać poetom tematem osobliwie wdzięcznym. Zadanie to nęciło już filozofującego Wielanda; przeciwieństwo pomiędzy ogładą heleńską a marzycielstwem religijném, pomiędzy zmysłową a duchową naturą w człowieku przedstawił on w „Peregrinusie Proteuszu“ — nawpół, coprawda, jako stary wolteryanin, ale przecież ze świadomością historyczną. Pisarz nowoczesny przy opracowaniu tego tematu musi albo stanąć zaraz na stanowisku pobożnéj wiary, jak to uczynił autor rozpowszechnionéj po całym świecie w katolickich kołach czytelniczych „Fabioli“, albo też, obeznawszy się ściśle ze wszystkiemi środkami pomocniczemi nowszych badań historycznych, musi także to wspaniałe przeciwieństwo ująć tak wzniośle jak Gibbon. Dahn w „Walce o Rzym“ w podobnież wielkiém znaczeniu pojął nieskończenie, coprawda, łatwiejsze do przedstawienia przeci-

---

[1]) Tłómaczony na język polski w dodatku do „Biesiady literackiéj“ 1890,91.

wieństwo pomiędzy światem germańskim a bizantyjską hyperkulturą. Jeszcze jednak nie został napisany romans, w którymby walkę, szalejącą w cesarstwie rzymskiém, podobnież jak w sercu pojedyńczego człowieka, poeta jakiś przedstawił w sposób, godny istniejącego dla téj kwestyi dzieła źródłowego — mam tu na myśli „Wyznania św. Augustyna“. W dziedzinie téj Ebers dokonał rzeczy stosunkowo najlepszéj w („Serapisie“ i „*Homo sum*“). Wybijające się chrześciaństwo Eckstein przedstawił w „Klaudyuszach“ i w „Neronie“ jako motyw uboczny za obszernie, jako motyw główny — niedostatecznie. „Klaudyusze“ są historycznym romansem kostyumowym. W „Ostatnich dniach Pompei“ (*The last days of Pompeii*) Bulwer spożytkował studya starożytnicze co najmniéj — również dobrze. Dahn i Ebers są w świecie swoich romansów jak w domu; przed młodocianymi czytelnikami, dla których poezya wydaje się zbyteczną, Eckstein może się co najwyżéj wylegitymować jako uczony przewodnik po Rzymie, posługujący się świadectwami z klasyków. Niedawno wystąpił przeciwko niemu z obozu naturalistycznego stojący wyżéj od niego uprawiacz rzymskiéj powieści historycznéj w osobie Günthera Wallotha. Jak Eckstein, tak i Walloth obrał sobie za pole doświadczalne—czasy cesarstwa. „Oktavia“ (1885), „Parys mimik“ (*Paris der Mime*, 1886), „Gladyator“ (1886). Walloth chodził do szkoły Flauberta i nauczył się czegoś od niego. Wziął on zapewne do serca wiersz Goethego: „Starożytność była nową, kiedyście żyli wy szczęśliwi“ (*Das Antike war neu, als ihr Glücklichen lebtet*) i stara się stolicę cesarstwa rzymskiego uczynić dla czytelnika tak wyrazistą i pełną życia, że zapominamy, iż to są wiadomości nabyte z książek. Główną rzeczą dla niego jest rozbiór psychologiczny, tak, iż jego Neron i Domicyan, jakkolwiekby się przedstawiali pod względem wierności historycznéj, są przecież w swoim czasie i na swojém stanowisku postaciami możliwemi, są całkowitymi ludźmi — pochwała, któréj nie można oddać obu imperatorom roboty Ecksteinowskiéj. Jeżeli jednak Walloth w przedstawieniu Rzymu dąży do bezpośredniego wrażenia zmysłowego, to w posuniętym zadaleko rozbiorze psychologicznym jego bohaterów i bohaterek dostrzegamy zamiar obliczającego autora. Że Walloth w każdym z trzech romansów robi artystę kochankiem dwóch kobiét, obrabiając na różne sposoby zagadkę miłości zmysłowéj i duchowéj, to każe nam wnioskować raczéj o szczególném upodobaniu Wallotha w tego rodzaju temacie, aniżeli o braku zdolności wynalazczéj. Przyszłość musi pokazać, czy Walloth znajduje się dopiéro w początkach swego rozwoju artystycznego, lub też dokonał, co mógł najlepszego, w „Gladyatorze“; to czego już dokonał, nie jest jeszcze wystarczają-

cém, ażeby mu zapewnić miejsce przewodnie w romansie historycznym. Mówić o nim, jako o reformatorze romansu historycznego, mogą zgoła tylko jego przyjaciele z tego samego stronnictwa. Jensen i Wilhelm Raabe, którzy zdobyli szerokie uznanie w noweli, nie mogli się wydobyć na wierzch ze swemi romansami historycznemi. W ogóle w romansie historycznym trudniéj jest zdobyć powodzenie, aniżeli w romansie obyczajowym. Zdaje się, jakoby prawo oddalenia idealnego, które niegdyś regulowało wybór treści u dramaturgów francuskich, odzyskało nanowo swoją wartość. Romansowi egipskiemu, rzymskiemu (czasy cesarstwa) i staro-niemieckiemu (przed Karolingami) oddaje się stanowczo pierwszeństwo. Wyrafinowane jednak dzieło spekulacyjne p. t. „Thorold, praszczur Hohenzollerów pod krzyżem Chrystusa" (*Thorold, der Hohenzollern Ahnherr unter Christi Kreuz*), pomimo uprzywilejowanéj widowni i pomimo wielce ważnego przesądu na korzyść nakładu Cotty (w Stuttgarcie), zostało stanowczo odrzucone. Publiczność niemiecka mało zasługuje na pochwałę, lecz w stanowczém oddawaniu pierwszeństwa Freytagowi, Dahnowi i Ebersowi przed wszystkimi innymi autorami romansów historycznych ujawnia się poczucie słuszne.

Osobną odmianę romansu historycznego stanowi historyczny romans artystyczny, w którym jakiś poeta lub malarz wskutek ciężkiego kontrastu jego losów prawdziwych i zmyślonych cierpień w życiu ziemskiém i w jego sławie nieśmiertelnéj ma wzruszać i entuzyazmować. Młody Goethe w dwóch swoich szkicach dramatycznych: „Ziemska pielgrzymka artysty" (*Künstlers Erdenwallen*) i „Apoteoza artysty" nadał temu tematowi prawo obywatelstwa w literaturze niemieckiéj; na wzór jego „Tassa" Oelenschläger stworzył swój dramat „Correggio." Jak dla dramatu, tak i dla romansu i noweli życie artystów stało się wkrótce nader ulubionym tematem. Zgodnie ze zmniejszoném zainteresowaniem dla poezyi w ogóle, w ostatnich czasach, kiedy romantycy i młode Niemcy zużytkowały w romansie lub dramacie wszystkich znaczniejszych artystów, gatunek ten mniéj uprawiano. Z osobliwszém mistrzowstwem i najsubtelniejszym taktem Konrad Ferdynand Meyer przedstawił oczom, obznajmionego z historyą, czytelnika życie i twórczość Dantego w noweli „Gody mnicha" (*Die Hochzeit des Mönches*), o których autor każe opowiadać samemu poecie. Pomiędzy dawniejszymi romansami artystowskiemi znajduje się jeden, który należy do najlepszych i, niestety, najmniéj znanych romansów, jakie napisano w Niemczech, mianowicie: ojczysty romans Hermanna Kurz'a p. t. „Lata domowe Schillera" (*Schillers Heimatjahre*, 1843). W nowszych czasach utworzono dwa romanse artystyczne, zasługujące

na wzmiankę. Adolf Stern, który w „Humanistach“ ogłosił romans historyczny, a w powieści „Bez ideałów“ (*Ohne Ideale*)—obfity w myśli romans obyczajowy z teraźniejszości, w romansie „*Camoens*“ (1886) odważył się na współzawodnictwo z jednym z najświetniejszych utworów Tiecka: „Śmierć poety“ (1833). Gdy Tieck, którego zasadniczą wadą, jako nowelisty, było unikanie według możności wszelkiéj akcyi i roztwarzanie opowiadania w rozmowach, rozpoczyna bezpośrednio przed przybyciem wieści Hiobowéj z Afryki, Stern umieszcza poetę na dworze uzbrajającego się do wyprawy króla Sebastyana, i patryotyczny poeta przez swoje Luzyady musi się przyczynić jeszcze do spotęgowania nieszczęsnéj ochoty wojennéj młodego księcia. Za karę widzi on, jak córka ubóstwianéj przez niego z czasów młodzieńczych kochanki, podąża za królem w charakterze metresy do obozu i na zgubę. Jeżeli utwór Tiecka zawiera w sobie zbyt wiele z historyi literatury, to u Sterna autor „Luzyad“ jest może zanadto odsunięty w tył po za osobę działającego i kochającego starca. Utwór Sterna nie jest genialny, świadczy jednak o uzdolnieniu i zręczności. Zupełnie innego jest rodzaju liryczno-epiczna rapsodya Bleibtreu'a: „Sen. Z życia poety-lorda“ (*Der Traum. Aus dem Leben des Dichterlords*, 1880). Jakkolwiek pojedyńcze sceny mogą wywoływać silne wrażenie obrazów impresyonistycznych, to przecież całość jest jaknajmniéj naturalistyczną. Gorący zapał dla Byrona, głębokie poczucie męczarni wewnętrznych wielkiego poety boleści powszechnéj (*Weltschmerz*), wypowiedział także Zedlitz w poświęconych Byronowi „Wiankach dla umarłych“ (*Todtenkränze*). Bleibtreu jest tutaj tak mało naturalistą, że wśród przedstawienia epicznego daje wyraz swemu osobistemu współczuciu. A i odmalowanie Byrona w jego dochowywaniu zdradzonéj miłości młodzieńczéj z pewnością nie odpowiada temu, co sobie większość ludzi rozumié przez naturalizm. Przeciwnie, w tym pierwszym utworze powieściowym, jak i w późniejszych dramatach podpadający pod zmysły proces jest dla Bleibtreua tylko symboliczną wskazówką tego, co się odbywa we wnętrzu bohatéra. Do romansu artystycznego Bleibtreua przyczepiam zaraz inne studyum historyczne: Bleibtreu ma jeden rys wspólny z Grabbem, mianowicie skłonność do malowania bitew, i to połączonego nie z naiwną rozkoszą w walkach, jak u Dahna, lecz z wiarą w szczególniejsze uzdolnienie strategiczne. Bleibtreu zarówno przedstawiał i krytykował bitwy historyczne, jako to: „Cromwell pod Marston More“ (1889), „Fryderyk Wielki pod Kollinem“ (1888), „Tajemnice Wagramu“ (1887 r.), jak i zbogacił literaturę o wojnie przyszłości. Z tych studyów wojowniczo-poetycznych wybieram jedno: „*Dies irae.* Wspomnienie oficera francuskiego o dniach Sedanu“

(*Dies irae. Erinnerungen eines französischen Offiziers an die Tage von Sedan*, 1882). F. Dahn, który jako pielęgnujący chorych ochotnik stał pod Sedanem wśród gradu kul, ogłosił w r. 1871-ym własny dłuższy poemat: „Bitwa pod Sedanem,“ o którym można tylko powiedzieć, że jest dowodném świadectwem, iż nowoczesny sposób prowadzenia wojny czyni dla poety powodzenie trudném, a nawet prawie niemożliwém. Zadanie, o które liryk dawnéj szkoły rozbił się zupełnie, świetnie rozwiązał przedstawiciel niemieckiego naturalizmu. Kto czytał „*Dies irae*“ Bleibtreua, ten odepchnie narzucający się zarzut, że autor podał nam przecież tutaj nie poezyę, lecz historyę. Nawet pominąwszy swobodnie zmyśloną postać opowiadacza, pułkownika francuskiego, i jego nieco homeryczne zaalarmowanie zapominających o swym obowiązku placówek, całość jest nakreślona i wykonana z poetyczną siłą i dojrzałością artystyczną. Dla poety niemieckiego jestto szczęśliwa idea — przeżyć także raz to ogromne zdarzenie ze stanowiska przeciwnika; nie potrzeba wskutek tego odpychać patryotyzmu, owszem, wstrętna chełpliwość pułkownika francuskiego, niezłamana odwaga wziętego (faktycznie) do niewoli oddziału pułku *Kronprinz* wywiera trwalsze wrażenie, aniżeli zarozumiałe frazesy patryotyczne. Jakże jednak wyraziście umié Karol Bleibtreu, nie darmo syn wziętego malarza bitew, przedstawić szczegóły téj walki olbrzymiéj! A owi generałowie francuscy, w ich powaśnieniu osobistém, naprężenie dramatyczne, kiedy Ducrot obejmuje naczelne dowództwo i wydaje zbawcze rozkazy, które unicestwia wdanie się Wimpfena! lękliwa, wzmagająca się ciągle pewność pregranéj sprawy i następnie krwawa jazda śmiertelna! Tylko prawdziwy poeta mógł napisać to studyum i, jeżeli gdzie, to tutaj właśnie najwierniejsze oddanie rzeczywistości, czyli naturalizm, jest zupełnie usprawiedliwione. O „*Dies irae*“ Bleibtreua potrzeba wspomnieć tém bardziéj, że Zola, jak wiadomo, chce swój cykl romansów zakończyć przedstawieniem bitwy pod Sedanem.

(*D. c. n.*) *Dr. Max Koch.*





Z POD DŁUTA I PĘDZLA.



Sztuka nasza święci tryumfy. Ostatni lat dziesiątek zajmie kiedyś w historyi twórczości swojskiéj parę jasnych stronic, bo wzniósłszy się na pewną wysokość, pozwalającą ogarniać rzeczy spojrzeniem ogólném, nie trudno dostrzedz, że jesteśmy u siebie świadkami odważnego wzlotu, który stanowi poniekąd chwilę przełomową. Niewątpliwie, prócz przyczyn miejscowych, złożył się na to i nadzwyczajny rozkwit plastyki w całéj Europie, która dobę dzisiejszą nazwie może kiedyś drugiém Odrodzeniem, co prawda, dosyć—jednostronném. Weszliśmy w bliższe zetknięcie z widowniami igrzysk olimpijskich *„fin de siècle“*, w Paryżu, Monachium i Wiedniu, odbiéramy nagrody i pochwały. Dzienniki zagraniczne w sprawozdaniach z Salonów i wystaw coraz częściéj muszą sobie wpychać noże w serca wymienianiem nazwisk polskich.

Czy mamy koniecznie cieszyć się z tego? A no, tak wypadałoby z odwiecznéj formułki, że wybujałość sztuki to najpiękniejszy kwiat oświaty, wyrastający tam, gdzie ziemia płynie już mlekiem i miodem. Gdyby kto chciał w stosunkach naszych szukać potwierdzienia tego prawidła, uczułby może pokusę zastąpienia go lub przynajmniéj dopełnienia inném, brzmiącém mniéj melodyjnie i wyglądającém mniéj tęczowo: że nienaturalny podział pracy duchowo-społecznéj może również zawiele soków żywotnych spędzać do jéj części trochę zbytkownéj, jaką jest właśnie malarstwo i rzeźba.

Ogrodnicy znają to zjawisko doskonale, bo często kosztem jednych gałęzi wyolbrzymiają inne.

Że jednak sztuka życia polega na tém, ażeby fakta brać jakiemi są, i nie wdawać się w hypokondryczne ich tłómaczenie, więc lepiéj, zbywszy goryczy, zanurzyć się lekką i swobodną myślą w roskoszną kontemplacyę, która z łaski muz tak dużo dziś na gruncie naszym znajduje pokarmu. A to tém bardziéj i słuszniéj, że mimo wszelkie chętki bezwzględnego wyrugowania ze sztuki plastycznéj—myśli, ta kiedy niekiedy wraca w rozumnych swych granicach. pod pędzel lub dłuto i stwarza dzieła, które równają się rozwiązaniu zadań artystycznych o bardzo szerokiéj skali.

Takiém dziełem jest niewątpliwie grupa warszawskiego rzeźbiarza Kurzawy p. t. „Mickiewicz budzący geniusza." Prawdopodobnie znamy ją wszyscy, — ze smutnych i ciekawych losów, jakie przechodziła swego czasu i z namiętnych rehabilitacyi, jakich jéj nie szczędzono dla oddania należnego hołdu obrażonemu w swéj dumie artyście. Dziś jednakże słomiany dla niéj zapał zgasł doszczętnie — cóż to znaczy? Najwybitniejszy może utwór Fidyaszowéj sztuki w sferze geniuszu swojskiego—poszedł w ciągu jednego półrocza w zapomnienie, mimo iż sam bodaj motyw jego zdawał się mu poręczać powodzenie na bardzo, bardzo długo?

Nie—to nie tak dziwne. Ilekroć z tego, co jest istném wydarzeniem w sztuce, robi się sensacyę, tedy samo ono zamienia się najniewinniéj w świecie w fajerwerk, w jednę z owych świetlanych, różnobarwnych świec chińskich, które sykną, hukną, błysną wysoko w górze, a potém zgasną pocichutku i nie zostanie po nich nic, prócz... zapachu siarki i prochu. Okropną jest rzeczą niesprawiedliwość w ocenianiu dzieł, i krzywdą dla ogółu, bo ten zostaje w niewiedzy o cennym nabytku, którym miałby prawo radować się; ale rzucać między nieprzygotowanych—żarliwy, a więc przezto samo bezkrytyczny panegiryk, jest to—choćby go podyktowała, jak w obecnym wypadku, najlepsza wiara i szczere znawstwo,—ciskać szmermel ognisty w tłum; widzowie zapominają o przewodniéj jego myśli, o celu, a bawią się samym efektem, siłą, ogniem, hałasem, niespodziankami; innemi słowy, zostają obałamuceni.

Dziś można śmiało zapytać: czy wrzawa z powodu owéj grupy zdziałała cośkolwiek dla dobra saméj rzeźby, którą traktujemy po macoszemu, czy wywołała jaki rozjaśniający sprawę jéj spór? Czy przekonała kogo naprawdę, że „Mickiewicz budzący geniusza poezyi" jest utworem, wobec którego „Prorocy" Michała Anioła są pospolitą sztu-

kateryą? Zamiast tedy zająć się poważnie dziełem Kurzawy, padliśmy przed niém plackiem, jako przed bożyszczem, któremu zarzucić cośkolwiek, jest to bluźnić. Opinia publiczna wyrok Towarzystwa Zachęty uchyliła, ale ogólna suma sympatyi dla rzeźby nie wzrosła. Zamiast obojętności dla artysty, który, i przed filipikami na jego korzyść, talent posiadał i był jako tako ceniony, zapanował na mgnienie oka zachwyt ślepy, s u g g e s t y o n o w a n y. Belzebuba wypędzono przez Mefistofelesa.

A przecież „Mickiewicz" Kurzawy jest znakomity dopiéro *in posse*, ale żadną miarą *in esse*. W pomyśle geniusza poezyi odkrywa się dopiéro materyał do świetnéj alegoryi, odrzynający się ostro swym polotem i śmiałością od tła bardów konwencyonalnych w drewnianych togach, z wyciągniętą w powietrze ręką, twarzą bez wyrazu i podobieństwa, zwitkiem pergaminu w drugiéj ręce. Zamiast teatralnych, koturnowych postaci, któremi panteon swój zapełniają Niemcy, które symbolizować mogą, co kto chce: katedrę, powagę, patos, ociężałość, hemorrhoidy, tytuł *geheimrathów* i niedołęstwo umysłu, ale nie mają nic wspólnego z organizacyą poety — rzeźbiarz nasz wymodelował chwilę ruchu, pracy, życia i twórczéj męki. Prawdziwy wieszcz musi elektryzować ludzi, wstrząsać nimi i samą literaturą, stąd w grupie gwałtowne ocknienie się poezyi, połączone z przestrachem, podziwem i wpatrzoną w twarz poety ciekawością, zdającą się mówić: Coś ty za jeden, że mnie budzisz i olśniewasz tak raptownie? A ta poezya nie jest znów u Kurzawy martwym zwitkiem papiéru, ani poszytem kursu uniwersyteckiego, jak ją pojmują niewolnicy kanonów pseudo-klasycyzmu, lecz duchem lotnym, młodzieńczym, skrzydlatym i eterycznym. Powiedziałbym nawet, że poezya powinna być u nas koniecznie — głodomorem, wychudłym i wycieńczonym. To téż geniusz jéj w naszéj rzeźbie całkiem temu jéj pojmowaniu odpowiada. Stało się to może bezwiednie, ale całkiem naturalnie.

Sam pieśniarz téj co Mickiewicz miary, taki jak on i w latach przejściowych szarpany *weltschmerzem* romantyk, taki jak on improwizator genialny, mdlejący w paroksyzmie natchnienia i uczucia, nie może być przecie spokojnym olimpijczykiem, bezdusznym i sztywnym statystą na skwerze lub placu publicznym, lecz istotą, która mogłaby wiele, wiele opowiedzieć o „męczarniach wieszcza w chwili stworzenia"—jak mówi i uczy ukrzyżowany przez muzy ulubieniec ich... Dlatego to artysta wycisnął na jego obliczu i całéj postawie owo tragiczne, namaszczające piętno: *in dolore*, stąd bolesne prawie zmarszczenie czoła i widoczne naprężenie wszystkich mocy ducha.

Oto pojedyńcze czynniki pomysłu. Jest on znakomity i dlatego jeszcze, że nie wymaga komentarzy w postaci przeróżnych emblematów, nimf, bohatérów i bohatérek z dzieł poety, któremi chcieli go osypać formalnie rzeźbiarze krakowskiego konkursu. Wszelkie tego rodzaju dodatki, a także napisy, tytuły dzieł, otaczające zazwyczaj poetę i jego piedestał, mają w sobie coś z baletu, z żywych obrazów,— pomyślmy dajmy na to o nowym pomniku Maryi Teresy w Wiedniu— a co najważniejsza, zostają w takim stosunku do osobistości, o którą chodzi, że z chwilą gdy je usuniemy, i ona przestanie być zrozumiałą i zamieni się w ordynaryjny szablon tak uniwersalny, że można nim upamiętnić zarówno poetę jak żeglarza, filozofa jak aktora, męża stanu jak filantropa. Tego rodzaju posągi i statuy nie są bynajmniéj czémś lepszém artystycznie od owych rysunków z *Fliegende Blätter*, których dany szereg ilustruje w dowcipny sposób kolejność momentów komicznéj jakiéjś akcyi bez pomocy objaśnień w słowie, lecz samemi tylko zewnętrznemi symptomatami, np. wskazówką zégara, ilością mięsa na talerzu, tak iż na jednym rysunku jest go więcéj, a na następnym mniéj i t. p. Rzecz prosta, iż dobre to w dziedzinie humorystyki, — w sztuce zaś prawdziwéj świadczy o niedołęstwie, które możnaby nazwać niemożnością sportretowania złożonéj myśli ludzkiéj, za pomocą saméj postaci ludzkiéj, albo jednego ważnego, cały żywot streszczającego czynu.

Dopóki sztuka nie przejmie się tym pewnikiem,—będzie dziecinną, zabawną i niezdarną.

Pan Kurzawa ma zupełną słuszność, gdy z naiwną prostotą człowieka, co chce się gwałtem wypowiedziéć, a jako natura żywiołowa nie zna hamulców towarzyskiego konwenansu—twierdzi o sobie, iż jest pierwszym, co należycie uzmysłowił poetycką wielkość, katuszę i zasługę. Podobno „Pan Tadeusz“ zrobił na nim wrażenie istnego objawienia i w tym sensie zapłodnił rzeźbiarską jego wyobraźnię.

Gdy jednak przyszło do złożenia pierwiastków w jednę organiczną całość, do uplastycznienia samego dramatu objawienia—siły nie zupełnie artyście dopisały; mówimy to otwarcie. Ażeby motyw sprawiał rozkosz estetyczną, musi posiadać należytą ekspresyę, „tłómaczyć się.“ Co niewyraziste, to ześlizguje się po nas, jak po szkle, nie przenikając—że użyjemy terminu z przedpotopowéj psychologii — do serca. A właśnie w grupie owéj stosunek poety do geniusza poezyi jest nie całkiem jasny, nie na tyle pewny, ażeby można było czuć, jaki to właściwie moment lub czynnik duchowy budzi ją. Co prawda, daleko większą trudność pokonał artysta, oddając samym ruchem trzepoczących się skrzydeł i rąk chłopca — najważniejszy motyw zrywa-

nia się poezyi i to w sposób ogromnie plastyczny i przekonywający, ale czém i jak podziałał i skutek ten czarowny wywołał wieszcz?

Odpowiész pewnie czytelniku: zaklęciem, magiczną formułką geniuszu, wolą, którą, gdyby

Ścisnął, natężył i razem wyświecił,
Możeby sto gwiazd zgasił, a drugie sto wzniecił,
Bo jest nieśmiertelny!

Tak i myśmy intencyę rzeźbiarza tłómaczyli sobie, tak pragnęliby pojąć ją wszyscy i tak wypływa zresztą z gwałtowności ruchu pacholęcia, któréj przecież odpowiadać winna takaż gwałtowność przyczyny? Słusznie p. Witkiewicz porównywał główną figurę do cudotwórcy, hypnotyzera, człowieka obdarzonego dziwną siłą.

Niestety jednak oczekiwania te zostają zawiedzione, to tylko nasze domysły, podszepty i tajone pragnienia. Bo oto sama postawa Mickiewicza jest prawie spokojna, zamało pochylona i ożywiona, jak na proces duchowy, twórczy i nagły. Spojrzenie jego nie ma określonego kierunku, nie pada jakby należało na chłopca, ale w przestrzeń, w okolice *medium*, ale nie na samo *medium*. Twarz—to piękna maska lekkiéj troski i natchnienia, lecz w danéj chwili całkiem nieczynnego. Jestto doskonały wizerunek poetyckiéj organizacyi, ale nie odgrywa on żadnéj zgoła roli bieżącéj, aktualnéj; słowem: nie budzi nikogo. Tém się tłómaczy znamienny fakt, że głowa poety sama w sobie, oddzielona myślą od reszty grupy, robi wrażenie wielkie, zwłaszcza na fotogramach, zrobionych po rozbiciu dzieła, ustawiona zaś napowrót na kadłubie—poniekąd rozczarowywa. Ktoś nie znający całéj historyi téj rzeźby, na widok głowy mógłby wcale nawet nie wpaść na myśl, że jest ona czémś więcéj, niż portretem, że stanowi cząstkę potężnéj sceny.

Wiele więc zostaje jeszcze do zrobienia. Jak dotąd mamy dopiéro pomnik dla poezyi romantycznéj osobno i dla Mickiewicza osobno. Co prawda — nabytek to nie lada, ale cóż, kiedy artysta zbudził w nas pragnienia jeszcze wyższe.

Zdawałoby się, że tak wyśmienicie dokonawszy połowy zadania, nie trudno sprostać i drugiéj? Otóż nie. Pan Kurzawa — nie ma wcale zamiaru czynić autora „Dziadów“ hypnotyzerem, cudotwórcą, który działa gestem, ruchem, skinieniem, lecz—o, dziwo! — bajarzem, opowiadaczem. A zatém nie skutkiem elektrycznéj iskry natchnienia, lecz pod wpływem baśni lub epopei, budzi się geniusz poezyi. Tak oświadcza kategorycznie artysta, a wobec tego wyznać musimy, że nam

owéj tak wyrazistéj, nerwowéj treści szkoda i mamy wprost urazę do chłopca, że nam swym ruchem gwałtownym za wiele obiecuje. Stworzyć wolą swoją czy potęgą światło, podobnie jak Jehowa Michała Anioła stwarza Adama, to myśl imponująca, ale wzniecić ogień spokojném i długiém krzesaniem iskry, to myśl—flegmatyczna. Dlaczegóż ten ogień zerwał się z takim przestrachem—zapytujemy raz jeszcze.

Zresztą śmieszną byłaby chęć narzucania artyście pokątnych swych pomysłów. Może on i ma racyę i wié czego chce? Boć łatwiéj przecie wzniecić płomień stopniowém rozżarzaniem iskry, niż błyskawicą, piorunem, lub nieokreśloną bliżéj siłą geniuszu. Ale w takim razie nie widać znowu, ażeby Mickiewicz prawił coś tak bardzo wstrząsającego, niezwykłego, niesłychanego. Owszem — to, co on w téj chwili robi i myśli jest zagadką, do któréj nie podejmujemy się dobrać klucza.

Ale oto rys ciekawszy, bo świadczący, jak w panu Kurzawie trzymają się jeszcze za ręce echa przebrzmiałych haseł rzeźby z błyskami jéj jutrzenki. W odpowiedzi na pewne wątpliwości odrzekł on, iż rzeźbiarze bardzo często wymyślają szczegóły, niezrozumiałe dla profanów, tajemniczo-symboliczne. Któż np. wytłómaczy, dlaczego „Mojżesz“ Buonarottiego lewą rękę trzyma na brzuchu, jak gdyby go kiszki bolały?“ Szanowny kolega Michała Anioła zapomina jednakże, że mgliste alegorye, choćby wielkiém imieniem podpisane, nie zawierają w sobie dla nas, łaknących przedewszystkiém jasności i ekspresyi, nic pięknego. Powtóre, największy ów artysta-poeta Odrodzenia był dziwakiem, fantastykiem, jakim dziś np. Tomasz Carlyle, że dzieła jego wzięte zosobna nietylko nie zachwycają, ale owszem, częstokroć rażą i dopiéro po zrozumieniu syntetyczném całéj jego tytanicznéj indywidualności, kopiącéj tradycyę nogami, nabiérają wyrazu, stają się zrozumiałemi, jako i l u s t r a c y e ducha, w którym harmonia zespoliła się w sposób niebywały z potwornością.

P. Kurzawa, jak jednogłośnie zauważyli ludzie z jego otoczenia, dał się oszołomić kadzidłom swoich obrońców, pod których niepodzielnym wpływem pozostaje. To jeszcze prawdziwe szęście, że w miniaturze woskowéj, przeznaczonéj na model do odlewów kruszcowych, porobił tu i owdzie celne zmiany, jak np. w postawie i rysunku prawéj nogi geniusza, którego ruch zyskał przez to więcéj impetu. Po za tém jednak bądźmy pewni, że żadnéj poprawki istotnéj nie zrobi, chyba—że pryśnie urok, w który go wprawili chwalcy. Szkoda!...

* *
*

Lat temu ośmnaście zwracano uwagę Józefowi Chełmońskiemu, że pędzel jego chyży jest jak telegraf i skazuje płótna na brak wykończenia. Od téj pory dużo upłynęło wody i przyszło opamiętanie. Po Monachium, grzał malarza u wielkiego swego ogniska gród nadsekwański, dał mu wyśmienitą technikę, głośne imię, niemałe powodzenie, pomiarkował brawurę, a że przytém nie tknął nawet wrodzonych upodobań artysty, nie zaraził kosmopolityzmem struny wewnętrznéj, z domu wyniesionéj poezyi, więc mamy dziś w tym artyście prawdziwego mistrza. Koledzy jego i ci, co bliżéj zajmowali się królestwem palety wiedzieli i dawniéj, czém jest Chełmoński; i nasz ogół, za mało w zdaniu swém samodzielny, zrobił wielkie oczy, gdy w roku ubiegłym gruchnęła po gazetach wieść, że „Powrót z kościoła“ nagrodzono na wystawie powszechnéj w Paryżu dyplomem honorowym. Zaszczytu tego dostąpił swego czasu Matejko, także Siemiradzki, i jeśli nas pamięć nie myli, Suchodolski. *Jury* paryskie podobną odznaką ową nie szafuje, a komu ją przyzna, ten ma widać poważny tytuł do nieśmiertelności i jéj śmiertelnych dodatków: legii honorowéj oraz wazy sewrskiéj od prezydenta republiki.

Los sprawił, że obraz został między nami; oglądaliśmy go raz na ogólnéj wystawie utworów Chełmońskiego, a teraz powtórnie w zbiorze płócien należących do p. Temlera; wylewać na papier zachwyt swój nad obrazem, który taka chluba spotkała, trąciłoby niesmakiem, wskazywać słabe jego strony, zakrawałoby na rozmyślne zrzędzenie; daleko właściwiéj scharakteryzować i wytknąć, na czém jego piękno polega, a w tym celu — zresztą i niezależnie całkiem od niego — warto zdać sobie sprawę z ogólnych znamion talentu Chełmońskiego.

Powiédzmy odrazu: mimo całą swą współczesność i niemal modność, mimo trafiające się tu i owdzie naloty francuskie, to malarz wzkroś swojski; swojski w tym sensie, że do ścisłéj przedmiotowości nie zdolny. Może on i dzieli w duchu wstręt do płócien, będących „malowanemi ideami“, może uznaje tylko plamy i światła, i twierdzi, iż dosyć rzucić na płótno gąbkę nasyconą farbami, ażeby mieć krajobraz, jak dzisiaj śpiewają impresyoniści — ale co kogo mogą obchodzić prywatne modlitwy i talizmany artysty? Miał racyę Sienkiewicz w „Téj trzeciéj“: najlepsza teorya nie warta dobrego pędzla, a najlepszy pędzel nie wart źdźbła wolności.

Twórczość Chełmońskiego, jako fakt, jest wolną od śladu teoryjek. Jeśli zgodzić się na to, czego uczą nas całe dzieje malarstwa, że ma ono prawo nic a nic nie robić sobie z tematu, byleby wiernie odtwarzało światło, zewnętrzną stronę przedmiotów, to łatwym będzie wniosek, że tém wyżéj wspina się malarz, im więcéj do owego

minimum dodaje d u c h a natury martwéj czy ożywionéj, bez uchybienia owemu warunkowi elementarnemu. Duch nie jest tedy niezbędny, ale gdy sprzęga się w sposób naturalny z wyglądem rzeczy i istot, to nietylko, że nie zawadza, ale nawet podnosi wrażenie a więc i cenę dzieła o wiele stopni. Obrać sobie tak zwaną ideę albo co gorsza tendencyę i potém dopiéro wcielić w motyw z historyi lub własnéj fantazyi, to robota okropnie ryzykowna; większość, co prawda i dziś ją podejmuje, osobliwie w Niemczech, ale to nie przeszkadza jéj być tańcem śród mieczów: dedukcyjność rzadko kiedy nie wylézie na jaw, bądź w formie przesady, teatralności, bądź w postaci tak wyraźnego, grubego i uchwytnego sentymentalizmu, że tylko naturom pokrewnym spodobać się zdoła, lub prędko za zmianą usposobień — wypada z łaski.

Ale całkiem co innego tchnąć w motyw — idee, uczucie, mocą własnéj indywidualności, która nie jest zdolna widzieć samemi tylko oczami ciała, ale je przenika zawsze wzrokiem ducha. Są ludzie, co sobie taki gwałt zadają i rugują z obrazu wszystkie pierwiastki niemateryalne, dbając natomiast tylko o światło, rysunek, wypukłość, perspektywę, ale od chęci do czynu, albo od czynu do skutku droga daleka i owa tak zwana idea lub nastrój, wyrzucona oknem, powraca drzwiami. Do takich doktrynerów malarstwa, którym własne, silniejsze nad suggestyą *ja*, płata raz po raz figle, należy u nas Gierymski. Co do Chełmońskiego, to on popędom swym cugli nie nakłada i dzięki temu, indywidualność hula sobie u niego swobodnie i przeduchowia tematy nawskroś znamiennemi swemi rysami. Z takiego, bezwiednego poniekąd źródła płynący „sentyment“ jest nierozerwalnie z kompozycyą daną zespolony i może się stać panem naszéj, t. j. widzów woli i umysłu, zmusić jedno do zachwytu, drugie do oklasku.

Podobna indywidualność sama umié wybiérać pomysły, dogadzające jéj, i nie ma zgoła potrzeby dokonywać téj operacyi, która polega na upatrzeniu motywu i następném podniesieniu jego ceny estetycznéj dodatkami czucia i myśli. U Chełmońskiego jest ona akordem z dwóch tonów złożonym: nastroju i charakteru. Pierwszy jest czémś bardziéj ciepłém i stanowi pewien owiewający malowidło eter duchowy, pod wpływem którego natura staje się istotą żywą i czującą i dlatego pewne określone uczucie budzi w człowieku; drugi należy więcéj do sfery chłodniejszéj, rozumowanéj, łechce przyjemnie nasz zmysł poznania, w ten mianowicie sposób, iż chwyta intuicyą najznamienniejsze cechy przedmiotu, typu, momentu akcyi i uprzytomnia je nam tak, że stają się od razu zrozumiałemi i znajomemi. Żadna może sztuka nie daje takiego pola do popisu finezyi t. j. zdolności

utrafienia w sedno motywu za pomocą zatarcia lub zaniedbania rysów nieistotnych i zaakcentowania istotnych. Jednym wyrazem można niekiedy sportretować złożoną dosyć naturę poety, tak samo jednym szczegółkiem można uczynić profil lub sylwetkę wyrazistą. Posunięta o krok wyżéj finezya umie oddać stan ducha, nie ukazując nam wcale twarzy, jak np. w „Czytaniu listu“ Meissoniera, lecz tylko kontur postaci, pozycyę lub ruch; potrafi ona uwydatnić nastrój już miniony za pomocą nieostygłych jego śladów, albo mający dopiéro przybyć — za pomocą nieuchwytnych jego zapowiedzi. Francuzi ten dar spotęgowanéj, odgadującéj i lakonicznéj ekspresyi posiadają w wysokim stopniu. U nas istotnym w tym względzie wirtuozem jest właśnie Chełmoński.

Możnaby rzec, iż połowa jego płócien zastanawia swoim charakterem, druga zaś połowa nastrojem. Taka np. scena w kościołku wiejskim, znana chyba wszystkim, bo jako „nieestetyczna“ pokutowała parę lat na ścianach salonu zachęty, jest obliczoną głównie na charakter. Artysta w pogoni za nim machnął ręką na koloryt, w którym dominuje niemiła czerwień, nie zawahał się pokazać pleców kilku dziesięciu włościan, ale za to znakomicie, nieporównanie oddał całą fizyognomię nabożeństwa i ludu, tak, iż niepodobna się dosyć nadziwić zarówno całości jak i epizodom. To samo dotyczy i jego „Dziadów“. „Wyjazdów na polowanie“ z typami ukraińskimi. Nie chodzi mu bynajmniéj o piękno w konwencyonalném znaczeniu wyrazu—owszem, gotów nawet uchybić nieco prawdzie, ten i ów rys przesadzić, nawet do niesmaku lub karykatury zbliżyć się, byleby osiągnąć jaknajwięcéj charakteru ludzi, koni, psów, ptaków — jak w „Odlocie żórawi“ lub „Dropiach“— i samej przyrody. Pod tym względem zresztą nie wiele ustępuje mu w akwarelach swych Fałat.

Gdy Chełmoński maluje krajobraz zimy, czujemy jak woźnica na saniach marznie, gdy nam pokazuje burzę w jesieni, słyszymy prawie świst wichru i plusk deszczu; żóraw nad studnią miotany wiatrem buja wraz z kubełkiem po powietrzu, zmokłe kury tulą się pod okapy a pies z podwiniętym ogonem skrobie do drzwi, dym z komina smagany nielitościwie wichurą ściele się po dachu, jak gdyby nie wiedział co z sobą robić i gdzie uciekać... Czyż podobna wyliczyć wszystkie te świetnie podpatrzone symptomata szarugi? Dosyć, że natura mówi cała, mnóstwem konsekwentnych z sobą zjawisk. Nie jest bynajmniéj Chełmoński twórcą nastrojowego pejzażu; znał się na tem i Ruys-Dael i Salvator Rosa i dziesiątki innych, a dziś Millet, Breton, Böcklin, ale to w niczém nie osłabia jego zasługi, bo

rodzaj jest i trudny i piękny a przytém nasz laureat traktuje go z siłą, jędrnością, po męsku, nie ckliwie a dobitnie.

Zaczęliśmy od charakteru, a mówimy o nastroju? Co znaczy ten nagły skok?

Chwilkę cierpliwości a wina okaże się nie tak wielką. Widok mający dużo charakteru, ma tém samém i sporo nastroju. Gdy człowiek może posiadać wiele typu w sobie, np. hucuł Szymanowskiego, albo kozak Maksa Gierymskiego, gdy bije konia w „Rekonesansie“ tego ostatniego, może być wysoce charakterystyczny — całkiem bez wypowiadania jakiegokolwiek uczucia, tedy z naturą dzieje się inaczéj; trudno jéj być typem tylko, bo zawsze działa tak lub owak i na usposobienie, z chwilą, gdy się staje osobliwie wymowną, wtedy i pewne struny w nas potrąca. Niechaj odezwie się cała grozą, elegią, spokojem rozmarzonym, snem, bezmiarem, posępnym mrokiem, sierocą pustką, a my napewno zawtórujemy jéj, boć nie kto inny, jak właśnie my, odnośny nastrój z łona własnego w jéj łono przenieśliśmy.

I oto wypada, że pociągnąć granicę między nastrojem a charakterem dosyć trudno: w naturze bowiem zaciéra się ona prawie bez śladu.

Wobec tego nie dziwota, iż wyśmienity malarz-charakterysta jest zarazem wybornym i poetycznym malarzem natury. Pejzażu poetycznie obojętnego a ciekawego tylko dla swéj gry świateł nie wybiéra; weźmie albo nawet dopełni urojeniem taki jeno, z którym można współczuć. Będzie to zaklęty w ciszy pogodnéj i w siebie wpatrzonéj staw, z wodą przepaścisto-modrą i zadumaną i cichym brzękiem owadów, których nic nie płoszy; albo noc miesięczna, któréj patron-księżyc całunem czarodziejskiego światła opowija odległe siedziby ludzkie, w głębokim śnie pogrążone; albo zachód słońca, sypiący na ziemię spokojne przepychy swych barw, nie krzykliwie, lśniąco, lecz ze skupieniem i głębią; albo ciągnąca się w bezkresową dal równina pól i łąk, droga polska, step burzanów, ciemne wnętrze boru i sto innych pokrewnych motywów.

Odbiło się to odpowiednio na technice; Chełmoński wogóle trochę zanadto dziarski i zamało starowny, doskonale maluje odległe linie horyzontu, dając masę przestrzeni, powierzchnie wód, gwiaździste niebo i t. p.

Po tym niezbytecznym może wstępie, „Powrót z kościoła“; nabyty przez p. Temlera, przestaje być chyba jedną z pereł naszyjnika; powinny też wyjść od razu na jaw jego zalety i ukryte w nim chęci ar-

tysty. Porachowawszy się z całym cyklem, łatwiéj pojąć pojedyńcze jego ogniwa.

No i znajdujemy w niém istotnie Chełmońskiego. Równina żytnich łanów, ścieląca się aż do najdalszego widnokręgu, ma w sobie prawdziwą bezbrzeżność, a wierzchołki drzew odległéj wsi, pewnie parafialnéj, skąd wracają wieśniacy wydają się zanikającemi, wpadającemi w dal, jak zapada słoneczna kula u schyłku dnia. Samo zboże niezrównane w swym żółtawym, przyrumienionym zlekka kolorycie, posiada gęstość, puszystość, zwartość nadzwyczajną, a ludzie, co idą zygzakowatą krętą ścieżyną wydeptaną jak to zwykle bywa na przełaj, dla skrócenia drogi, są naprawdę zanurzeni w ten falujący zlekka żywioł, toną w nim po pas i zda się nam, że czujemy, jak dojrzałe kłosy muskają ich po ramionach i twarzach. Przedsmak tego wrażenia jest niekłamany i gdyby nawet nic więcéj obraz nam nie dawał — byłby skończonym i treściwym; ale na pierwszym planie znajduje się grupa, która sama przez się tworzy dzieło sztuki i ogólne wrażenie znakonicie zwiększa. Są to trzy dziewczyny, widzialne w całych swych postaciach, dzięki kępie zielska barwnego, która wznosi się od przodu pola, rozrywa je; ubrane świątecznie, krzepkiéj budowy, idą boso, ukazując z pod spódnic czerwone, zdrowe i tęgie nogi. Nie powiem, ażeby ich fizyognomie nie mogły posiadać w sobie więcéj typu i indywidualnych różnic, ale strój, ruchy, postawy są wybornie swojskie i prawdziwe. Co zaś najważniejsza, bo składa się na efekt *par excellence* malowniczy i jakgdyby już pod wpływem dobrego smaku Francuzów osiągnięty — że odzież wszystkich trzech jest nadzwyczaj ładną w plamie i tworzy silny, dobrze nasycony akord trzech barw, ciemno niebieskiéj, lazurowo-zielonéj i szkarłatnéj, z dodatkami i uzupełnieniem w deseniach, gorsetów, fartuchów, chustek, w któréj drobniejszemi już plamkami grają téż same oraz inne kolory.

Przepyszna ta sama w sobie harmonia kolorytu, zyskuje odpowiednio z łaski ogólnego tła jasno-żółtego zboża i jakoby łączy się z niém stopniowo przy pomocy owéj delikatnie ubarwionéj, miękkiéj polanki chwastów.

A nad całością unosi się rozległa lazurowa kopuła nieba, przesycona światłem, nieskazitelnie czysta i również pogodnie-świąteczna, rzekłbyś niedzielna, jak i miny zadowolone i odświętne wieśniaczek.

Masa powietrza, światła, przestrzeni, oryginalny układ, niepoposzlakowana, naturalna prawda. Słowem wszystkie zalety Chełmońskiego zebrane razem i spotęgowane.

* *
*

Książę regent bawarski, Luitpold, jest od nas szczęśliwszy. Nietylko, że widział ostatnie, nagrodzone przez *jury* salonu monachijskiego, płótna Aleksandra Gierymskiego, ale nawet jedno z nich kupił dla Nowéj Pinakoteki. Jest tam już z czasów dawniejszych, zaraz w drugiéj sali, pyszna „Zadymka w stepie“ Józefa Brandta, jest też portret ministra oświaty Lutza, w stroju myśliwego, pędzla Alfreda Wierusza Kowalskiego. Przybywa zatém trzecie dzieło sztuki polskiéj do muzeum, które świat cały ogląda.

Gierymski, trzeci z laureatów najświeższéj daty, otrzymał medal drugiéj klasy—zachwycił mieszkańców stolicy Wittelsbachów motywem bardzo dla nich sympatycznym, bo czysto miejscowym. Odtworzył on jeden z placów, lśniący świetnemi wystawami sklepów i ozdobiony konną statuą, w momencie wieczornym, kiedy płoną lampy elektryczne, a na drugiém płótnie, również piękny i ładnie zabudowany plac rezydencyi i głównego teatru.

Niestety, znamy tylko... oba place i domyślamy się jego ogromnych a kuszących trudności, jakie pora wieczorna musiała nastręczać. Co najwyżéj, znając nienajgorzéj same „Nowe Ateny“, ich wymagania i stopień wytrawności artystycznéj, a z drugiéj strony, obznajmieni cokolwiek bliżéj z twórczością Gierymskiego, zapewnić możemy czytelników, że nie tematowi, miłemu gawiedzi, zawdzięcza on swoje odznaczenie. Są tacy, co również nie znając odnośnych utworów, twierdzą wprawdzie z emfazą, że większy zaszczyt przyniósł nasz artysta wystawie, niż ona jemu — no ale temperamentu w pochwałach ganić bezwzględnie nie można. Monachium widuje w swoich murach obrazy genialne i nie ma w Europie nazwiska sławnego, któreby prawie rok rocznie nie figurowało w „Szklanym pałacu“...

Do Warszawy nadesłał twórca „Trąbek“ kilka szkiców rodzaju architektonicznego i dwa niewielkie pejzaże z Alp tyrolskich. Znaleźliśmy w nich te same, dawne przymioty jego: wysoką skalę koloru, jedyną może w naszych czasach potęgę plastyki, która kształty z malowanych czyni rzeźbionemi. Widoki z Ratenbergu mają niezrównaną zieleń, są nieskończenie malownicze, a jednak nie banalne. A przecież nic trudniejszego w krajobrazach, jak oryginalność. Gierymski zdobywa ją w ten sposób, że wykrawa z natury fragment nie według linii pozioméj, lecz pionowéj i osiągając kondygnacye, otrzymuje więcéj urozmaiconą grę kolorów i linii.

Jest on—nie ma co mówić— pierwszorzędnym mistrzem techniki i bierze do rąk paletę i pędzel wtedy tylko, gdy temat swemi trudno-

ściami światła zaczyna innych... odstraszać. Takim jest właśnie Ratenberg w południe, gdzie góra stercząca nad większą grupą wzniesionych murów i baszt, zamienia się w pył świetlany z widocznemi zaledwie konturami, gdzie prostopadłe promienie słońca oślepiają oko i nie pozwalają patrzyć w niebo. Czy obrazek sprawia złudzenie? — chce się pokiwać głową przecząco, może dlatego zresztą, iż motywów podobnych, jako męczących zazwyczaj wzrok, najmniéj mamy w pamięci i wyobraźni. Możemy, co najwyżéj zrozumiéć intencyę artysty i ocenić ogrom jego pracy, ale owego charakterystecznego wrażenia znajomości, które w nas budzi zawsze widok doskonałéj podobizny—nie doznajemy. Natomiast niepospolitą ma siłę i prawdę cała, gama tonów i półtonów zieloności, otrzymana z zestawienia lasem porosłych gór, pastwisk i zagonów.

Jednéj tylko rzeczułce górskiéj możnaby zarzucić, że kotłuje się nietyle białą pianą, ile żółtawą nieco, gęstą i ciągnącą się śmietaną.

Gierymski dał więc znak życia i to wymowny. Nieczęsto imię jego błąka się po łamach pism, ale gdy wypłynie na wierzch z toni niepamięci, to jak nurek z cennym połowem w ręku. Jestto wogóle jedna z tych wybitnych organizacyi artystycznych, o których pamiętać należy nawet wtedy, gdy się jak żółw, umyślnie w swoją skorupę chowają. A w dodatku jéj indywidualność zarysowała się dzisiaj wyraźniéj, niż kiedykolwiek, bo występuje w otoczeniu innych talentów i na tle mnogich szkół i kierunków pokrewnych. Trudno zdać sobie, jak się należy, sprawę z cech indywidualnych malarza, póki wypełnia on sobą prawie cały odłam sztuki, jak w tym razie realizm, ale gdy obok niego znajdą się pobratymcy i sąsiedzi, fizyognomia staje się zrozumiała nietylko w typie ogólnym, ale i w znamionach swych osobistych.

Owóż niewątpliwie Gierymski nie ma obecnie w całéj Europie bliźniaków, stoi sam jeden.

Kiedym odwiedzał jego skromną pracowieńkę w Monachium, skąd wyszedł i dokąd wrócił, cała nomenklatura, jakiéj używano u nas dla określenia jego gustów, krążyła mi po głowie: realista, naturalista, bezwzględnie przedmiotowy, wróg klasycyzmu, konwenansu i t. d. Z podobnemi przydomkami spotkasz się i dziś, czytelniku i dowiesz się, że widoki pędzla Gierymskiego, to czyste *Ding an sich* Kanta, to bezwarunkowy, niezawisły od mózgownicy ludzkiéj obiekt, to czysta nie zamącona najlżejszym tchem podmiotowym, prawda zewnętrzna. Jeśli ma on swoje bóle i żale, powiadają, to nie zwierza

się z nich za pomocą barw i kształtów, kryje je w sobie; a w obrazie dąży tylko do prawdy.

Smutneby to były malowidła, z których jak z poematów pisarza melancholika wyzierałyby jego skargi i pretensye. Dobre to w muzyce...

Ale wróćmy do „*atelier*“. W pobliżu okna, na niewielkiéj estradzie, pod niebem z... błękitnego muślinu i śród wielkich płacht srebrnego papiéru, imitującego światło, siedziała w stroju polskiéj wieśniaczki niemłoda już modelka. Mogłem, nie chcąc przerywać artyście roboty, napaść wzrok do syta dużym, zwyczajnie opartym o ścianę obrazem, który był właśnie „na warsztacie“. Motyw najzupełniéj swojski: dwie kobiéty wracają z sianożęcia w porze zachodu słońca i dźwięków sygnaturki, wzywającéj na Anioł Pański. Treść zatém przypominająca i Bretona i Milleta. Gierymski jest w wyborze tematu nader drażliwy i skrupulatny i jeśli zgodził się w obecnym wypadku na posądzenia o brak inwencyi, to jedynie pod przymusem... siły wyższéj, jaka bywa w chudém życiu wielkiego nieraz malarza — obstalunek.

Krajobraz nie zawierał nic osobliwego, głównie uderzała w nim prawdziwa barwa trawy i wcale nieprawdziwy wygląd grusz polnych, tu i ówdzie rozstawionych, a wiadomo, jak charakterystycznemi bywają i dziwnie rozczapierzonemi ich gałęzie. Za to obie wieśniaczki posiadały moc ekspresyi; jedna staruszka w wielkim białym czépcu uklękła, pochyliła się zbożnie i złożyła dłonie do pacierza; druga, młoda dziewucha, stojąc, oparła grabie na ramieniu w ten sposób, że trzon skierowany był ku ziemi a zęby sterczały w górze, rysując się wyrazistemi liniami na seledynowém tle nieba, dłonie zaś, zgrabnie, z niewysłowionym wdziękiem splecione, spoczywały na trzonie. Piękna twarzyczka z łagodną zadumą i rozmarzeniem spoglądała w dal. Oto wszystko.

Była w tém wielka poezya i znakomity nastrój.

Rzecz jednak dziwna, o ten wyraz oczu melancholijny i rzewny, Gierymskiemu wcale a wcale nie chodziło! W swéj bajecznéj niemal staranności, ma on zwyczaj pytać o zdanie co do szczegółów rozmaitych — każdego, kto go odwiedza, nie lekceważąc niczyjego sądu; gdym więc między innemi pochwalił pełną gracyi i uroku dziecinnego postać zamyślonéj, machnął pogardliwie ręką, dodając, że twarz nie zajmuje go nic a nic. I proszę nie sądzić, że to brawura, nie — to doktryna.

W tém słowie tkwi jeden z najbardziéj portretowych rysów Gierymskiego. Ilekroć zakradnie się do obrazu drobina sentymentu,

nie zamierzona bynajmniéj, lecz bezwiednie wypromieniona z szerokiego ducha, wnet syknie na nią gniewnie i wymaże. Uwziął się nie tolerować nic, prócz nagiéj prawdy. O nią tylko dba i w tém dążeniu jest nie zmęczony. Bezustannie poprawia i wysubtelnia rysunek światłocień, refleksy, z pedanteryą, godną podziwu, i dlatego to pewnie jego figury mają wypukłość posągów.

Ale cała biéda, że nie łatwo wskazać sobie i innym granicę, gdzie się kończy prawda, a zaczyna subiektywizm lub konwencyonalność i żadna teorya tego cudu nie dokaże. Stąd téż rugując jedno, Gierymski wprowadza co innego, co z jego punktu widzenia również zasługiwałoby na wygnanie. Kiedym, w parę tygodni potém, znalazł się znowu w jego pracowni, zamiast jednego świéżo podmalowanego płótna, znalazłem—dwa. Drugie przecież było tylko lekką odmianą tamtego. Staruszka dostała inny fartuch, w paski nie błękitne lecz różowe, przez co w plamach zyskało się więcéj rozmaitości i harmonii, było już bowiem coś błękitnego w reszcie odzienia. Powtóre dziewczyna trzymała grabie w całkiem odwrotny sposób, oparłszy je zębami na ziemi. Artysta nie mógł ścierpiéć: zbytniéj klasyczności pozycyi pierwotnéj; twierdził, że była nienaturalna, wymagała wysiłku rąk i raziła nadmiarem wdzięku.

Ale to jeszcze racya za słaba do przemalowania wielkiego obrazu. Musiało się na to złożyć więcéj powodów?

A, no tak. Figury były od siebie trochę zanadto oddalone! Przyszedł Wacław Szymanowski, niegdyś rzeźbiarz — nawet uczeń Godebskiego — i zauważył, że nie tworzą — grupy. I oto namiętny doktryner naturalności, najpierw zbliżyć próbował starą do młodéj, potém młodą do staréj tak długo, aż zniecierpliwiony — no, i pewnie przeróbki takie dawały się we znaki płótnu— w ciągu dnia jednego podmalował drugie, na którém kobiéty nietylko że właziły prawie jedna na drugą, ale jeszcze połączone zostały fortelem kompozycyjnym—gęstym i dużym krzakiem, czy téż stogiem, ciemniejącym w dali, na planach odległych, akurat za kobiétami i niby między niemi. Czy kompozycya zyskała na tém? Może i tak, a może i nie, jest to sprawy gustu i nawyknień. Malarzowi, jeśli tylko spodziéwał się wygranéj, wolno było nagiąć układ do prawideł dawnych i byłby artystą kiepskim, gdyby nie miał sposobów zwiększania efektu bez ujmy dla prawdziwości, ale co ma w takim razie znaczyć doktryna? kpiny ze „szkoły“?

Przegląd szkiców, fotografii, studyów, które zdobią, albo częściéj jeszcze nieładem swym zaśmiecają każdą pracownię nie urzą-

dzoną na wzór buduarów — jest wielce pouczający. U Gierymskiego walają się one, poniewierają, czuć zdaleka, że gdy ma przejść przez pokój, nie podniesie ich, lecz odrzuci końcem buta.. Toć on ich tyle w życiu swém napłodził, tyle napalił! Jedno śród nich zastanawia: mnóstwo motywów z architektury, malowane fryzy, portale, ornamenta i wielka liczba wspomnień z Włoch. Tłómaczy się to bardzo prosto—ten człowiek mieszkał siedm lat we Włoszech, połknął i przetrawił całą ich sztukę i w spadku po niéj odebrał zamiłowanie do budownictwa—ale koniecznie nowatorskiego, — bezwiedne poszanowanie stylu w malarstwie i coś w rodzaju maniery klasycznéj, któréj się wciąż opędzać musi. Jego przenośny ruch pędzla zawsze trąci łaciną, późniéj dopiéro zaczyna się kłótnia z nieproszonym gościem, no, i naturalnie, kończy się wyproszeniem go za drzwi.

Tylko przy tak grubéj warstwie nalotu włoskiego możebnemi były takie znakomite dzieła, jak „Austerya w Rzymie“ i „Gra w *mora*“, w których jednoczy się potężne poczucie czysto-italskiego charakteru, pół-afrykańskiéj niemal rasowości i siły ze spokojem i naturalistyczną poezyą.

Gierymski jednak nie jest ani Włochem, ani Francuzem, ani Niemcem. Na Włocha zamało motylkowaty i slodki, na Francuza zanadto dokładny, sumienny i zamało skłonny do „szyku“, na Niemca—zanadto kolorowy i silny. Mimo to z za Renu wziął swój kolor, a od niemiaszków słabość do gromadzenia życia w pejzażach, do zaludniania ich aż po same ramy nietylko ludźmi, ale i zwierzętami i bodaj machinami.

W „Trąbkach“ np. po moście nadwiślańskim mknie... pociąg; konia z rzędem temu, kto znajdzie coś podobnego w dziedzinie dobrego smaku. I żydzi, i żydówki, i oryle, i berlinki, i wszelcy mieszkańcy przedmieścia i koléj w dodatku, akurat w téj chwili! Na 1,440 minut, stanowiących dobę, najwyżéj co setną przechodzi koléj, i jedna z nich wypadła właśnie wtedy? a pamiętajmy, że malarstwo odtwarza tylko momenta...

Nie przemawia tu przez nas Zoil; jedynie dla charakterystyki szczegół ten podajemy. Na jednym z waryantów brzegu soleckiego Gierymski nagromadził znów mnóstwo inwentarza i drobiu, a na domiar umieścił nad brzegiem, w postawie kontemplacyjnéj, opartego o przewrócony galar jegomościa, zapewne malarza, który się temu widokowi przypatruje. Jest to pospolity nader efekt Niemców i akademików.

Podobnież w szkicu z Ratenbergu, gdzie raczéj spodziéwaćby się

można było zwykłéj w Tyrolu pustki, spotykamy dużo przechodniów, a śród nich jednego, który aż wrzyna się w ramę. I to akcesoryum nie należy do smacznych i niezbędnych...

Ale-bo Gierymski kocha życie i ruch; skoro zaś wypiera nastrój, więc bezwiednie nagradza sobie ten brak duszami ludzkiemi. Często też wbrew jego woli nastrój i coś z owego unikanego sentymentu zostaje. Weźmy np. „Trąbki.“ Artysta żachnąłby się, gdyby usłyszał, że my tam prócz cudownych iście promieni światła nad wodą i w wodzie, widzimy nadto poezyę ciszy zmierzchu, co spłynął nieznacznie na ożywioną powierzchnię rzeki, usposobił pogodnie ludzi i nawet żydów, wychodzących z bożnicy, wabi nad falę; ich postacie tchną prawdziwém świątecznėm próżniactwem, i mówią dobitnie, że znudzeni całodzienną modlitwą, muszą teraz koniecznie pochodzić trochę i pogadać w blaskach zachodzącego słońca.

Malarze monachijscy nawet z tego stanowiska głównie obraz ten oceniali, znajdując, że w nim uczucia za mało. To już echo pobudki czysto niemieckiéj—i Gierymski, pragnąc znaleść *forum* bardziéj, jak powiadał „zimne“, wzdychał ciągle za Berlinem, w którym *„gemüth“* mniejszą odgrywa rolę i cenią bardziéj „suchość“ motywu.

Treść jego kreacyi najświeższych, nagrodzonych właśnie w ubiegłym sezonie, potwierdza znowu, że chce on malować tylko światło i jeszcze raz światło i kształty. Nie mamy więc prawa obstawać przy tém, że nastrój na przekór intencyi wymyka mu się z pod pędzla. Bywa i tak, ale nie zawsze. Silny umysł potrafi zmusić do karności i oko i rękę, i paletę i nerwy.

Ale niepodobna oprzéć się wylaniu dwóch gorzkich żalów. Po pierwsze, artysta ten dobrowolnie ogałaca swe utwory z ducha. Nieraz wielcy nawet malarze ducha nie mają, a tylko geniusz odtwórczy, jak Courbet, który nawet pisać nie umiał ortograficzne, kałamarz napotkany tłukł, a książkę darł; Gierymski jest po za obrębem swego zawodu dużą i silną inteligencyą, naturą wysoce wrażliwą. To bohatér analizy psychologicznéj, któréj jeszcze nie ma, ale gdyby była, to wykazałaby nicość innych i naszą rdzenną nieznajomość dramatu twórczości...

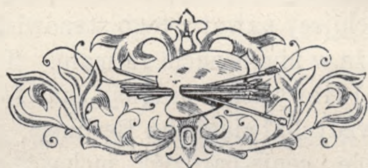
Oburzacie się, panowie artyści, że ja tu i osoby dotykam? Całkiem niesłusznie. Artysta, czy pędzla, czy dłuta, czy cyrkla, jest wprzód umysłem, nim zostanie rzemieślnikiem i wolno mówić o nim tak, jak się mówi o poetach. Owóż znakomity wasz kolega zdolny jest myśléć i czuć głęboko i subtelnie; on się na każdym kroku, w życiu

i poglądach, pasuje z sentymentem. I po co? Toć między filisterską tendencyą, albo „ideą“, a duchem—ocean cały.

Powtóre, wyrzeka się dobrowolnie indywidualności. Jest w malarstwie tém, czém w rysownictwie Witkiewicz, gruntownym, przedmiotowym, czcicielem prawdy. Nad galeryą jego płócien nie wisi jego własny portret, nie wisi tam żadne zgoła „ja“, to są obrazy bezimienne i bezosobowe.

A cóż na to mówi tak dziś modna teorya silnéj indywidualności w sztuce?...

Cezary Jellenta.





KRYTYKA

I KRYTYCY LITERACCY WE FRANCYI.

Nie nowa to już uwaga, że znamienną cechą cywilizacyjnego rozwoju Francyi, jest większy niż u innych narodów i bardziéj spotęgowany ruch—ruch, owa najwyższa manifestacya życia. Porywa on w swe wartkie prądy i obce sobie żywioły, nadając w ten sposób Francyi rolę przewodnią, dominującą, czyniąc z niéj mistrzynię nawet wtedy, gdy nie jest w posiadaniu zaczątkowéj oryginalności, gdy ją na obcym uszczknęła gruncie. Ograniczając to spostrzeżenie choćby tylko do literatury, każdy jej gruntowniejszy znawca z łatwością sobie uprzytomni, iż twórczy pierwiastek nowych trybów, rodzajów i form piśmiennictwa, narzuconych światu po kilka razy przez Francyę, nie u niéj się wytworzył. Z takim jednak talentem, z tak ruchliwą energią umieli jéj pisarze rozdmuchać ową iskrę zapalną, że ich czoła opromieniła aureola twórczości, a istotni pionierowie pozostali w cieniu.

To samo dzieje się obecnie z jedną z najważniejszych gałęzi piśmiennictwa, z krytyką. Bezspornie krytycy francuscy zajmują pierwsze miejsce w Europie i można nawet powiedzieć, że z wyjątkiem jednego Jerzego Brandesa, nie ma chwilowo żadnego za powszechną powagę uznanego krytyka. Więcéj nawet: metoda krytyczna Brandesa, tak samo jak Waltera Pater w Anglii, jest dziś uważana we Francyi za przestarzałą i posługują się tam już doskonalszą. Ci co prac krytycznych francuskich i ich metody nie znają, nie mogą poprostu rościć pretensyi do wykształcenia literackiego. A jednakowoż, mimo znakomitych, odradzających jéj utworów, niepodobna zaprze-

czyć, że protoplastą tej ewolucyi jest Bacon, i że on całą tę kunsztowną machinę w ruch wprowadził mimo przedziału czasu i narodowości.

Za dalekoby nas zawiodło wchodzenie w szczegóły tej genezy duchowej. Jeżeli słusznie uważać można Hipolita Taine'a za odnowiciela francuskiej metody krytycznej, *ergo* europejskiej, to każdy w jego filozofię wtajemniczony wie, że stoi ona na niewruszonych podstawach autora *Novum Organum.* Nie obala bynajmniej tego genealogicznego drzewa fakt, że metoda Taine'a nie jest już we Francyi dzisiejszą ale wczorajszą formą krytyki, bo pisarz który sformułował nową, ściślejszą a istotnie naukową — Emil Hennequin — nie niszczy ale reformuje tylko metodę poprzednika a zatem i on wspólnego pochodzenia wyprzeć się nie może. Gdy o nim samym rzecz będzie, czytelnicy dostrzegą jak dalece psychologowie, naturaliści i filozofowie Anglii i Niemiec na ukształtowanie jego metody wpłynęli.

Nie można tedy uważać krytyki francuskiej za wytwór wyłącznie swojski. Solidarność wiedzy współczesnej i wzajemne na siebie różnych ognisk naukowych oddziaływanie, nie pozwala na podobne mniemanie. Nie spuszczając tego rodowodu z oka, uważamy jednakowoż tych kilku przewodnich krytyków francuskich, których bliższa charakterystyka jest studyum naszego przedmiotem, za umysły samodzielne, poważne, wysoce interesujące i nie wątpimy, że na nich krytyka europejska w następnych lat dziesiątkach wzorować się będzie. Ruch i popęd znowu z Francyi pójdą.

I.

„Krytycy są to pisarze, którzy sami nic nie potrafili stworzyć w literaturze albo w sztuce". Paradoks ten sformułowany w powyższy sposób przez lorda Beaconsfielda, był i jest jeszcze często niezbitym pewnikiem dla przeceniających swe własne siły twórcze mierności i dla rozdrażnionych miłości własnych autorów, postawionych pod pręgierzem krytyki.

Nie potrzeba zapewne stawać dzisiaj, w naszym wieku analizy i wszechstronnych badań, w obronie krytyki jako takiej. Nikt nie odmawia jej wysokiej misyi interpretowania twórczości piśmienniczej, ujawniania jej ducha, tendencyi, wykazania jej wpływu, tak samo jak źródeł i filiacyi: jest ona ciągłym rachunkiem sumienia świata umysłowego. Nie możemy pojąć produkcyi literackiej bez jej oceny, klasyfikacyi, ustopniowania. Wszystkie przewroty i ewolucye, jakie nam stawiają dzieje literatury, uskuteczniły się pod wpływem krytyki i nie będzie nawet przesadą, gdy powiemy, że były przez nią wywo-

łane. W najszerszém a najsprawiedliwszém zarazem pojęciu, uważać ją należy jako pomocnicę i towarzyszkę twórczości literackiéj: obie mają przed sobą wspólny ideał prawdy i piękna.

Oczywista, że się jéj charakter zmieniał z biegiem czasu. Wypadki ogólnie narodowe odzwierciedlają się wogóle i na niéj. We Francyi po Lidze idee reformatorskie, uczuwane wówczas przez społeczeństwo, sformułowane zostały w dziedzinie piśmienniczéj przez Malherbe'a, a po Frondzie i tryumfie absolutyzmu przez Boileau; tak samo po uśmierzeniu rewolucyi, berło krytyki dostało się dydaktycznemu Geoffroy, który je odziedziczył po równie dogmatycznym La Harpe. Krytyka aż do téj epoki uważała się za rodzaj najwyższego trybunału, dekretującego, jakie utwory są a jakie nie są dobremi, wydawała wyroki w imię jakiegoś kodeksu abstrakcyjnego, który układała i stosowała sama. Jéj ciasny dogmatyzm nie troszczył się o wykazanie warunków, w jakich powstawały dzieła literatury, nie miał pojęcia o historycznym rozwoju, o metodzie porównawczéj a jeszcze mniéj o psychologii. W ciągu całego okresu klasycyzmu, gdy literatura francuska służalczo hołdowała wzorom starożytnym pofałszowanym, wykoszlawionym i źle zrozumianym, nie można było podejrzewać innego nastroju w krytyce.

Nowy duch wstąpił do niéj, jak wiadomo, dopiéro w początku naszego stulecia, pod wpływem Chateaubriand'a i pani de Staël. Jeżeli pierwszy z nich może być uważany za rodzica romantyzmu, to krytyka nowa, porównawcza, historyczna idzie po kądzieli od téj drugiéj i nie ma prawa zapominać, że w dwóch jéj dziełach *La littérature considérée dans ses rapports avec les institutions sociales* (1800) i *l'Allemagne* (1813) są złożone ziarna, które miały odrodzić całą twórczość piśmienniczą i wprowadzić myśl francuską do nieznanych dotąd przez nią światów. Przestronne i swobodne perspektywy otworzyły się teraz przed nią. Obok staro-greckiéj i rzymskiéj cywilizacyi spostrzegli świat średniowieczny, barbarzyński naprzód, feudalnie-hierarchiczny następnie, pełen świeżości, sił, poezyi, prawdy życiowéj. Dante, Shakespeare, Goethe, geniusze różnych społeczeństw i epok, zaczęły się wdzierać do oszańcowanéj twierdzy ducha francuskiego. Nawet starożytność, w któréj dotąd był zasklepiony, zaczyna mu się inaczéj przedstawiać i przestaje oczyszczać Homera i tragików greckich z ich tak zwanéj dzikości, zaczyna przywykać nawet do myśli, że Achilles nie nosił peruki upudrowanéj. Ze wszech stron, na każdym kroku powstają poszukiwania, studya, a krytyka nowym zagrzana animuszem w ciągu kilku pierwszych lat dziesiątków, w krzyżowym ogniu walki romantyków z klasykami, uczyniła olbrzymie postępy i nie ma między

nią a jéj poprzedniczką ani tożsamości celu, ani tożsamości metody. Czytając obecnie artykuły krytyczne drukowane w „*Globe*“, przeglądzie któremu Goethe przyklaskiwał, nie da się zaprzeczyć, że pisarze francuscy, pod kierownictwem światłéj, choć umiarkowanéj i bladéj, podług naszego dzisiejszego sądu, krytyki, znajdują się już w całéj pełni prądu nowoczesnego.

Najpierwszym z krytyków ówczesnych jest Villemain. Wpływ jego jako profesora, akademika, ministra, był potężny, a trzeba go było, aby nowym ideom, którym służył, wywalczyć zwycięstwo. Prace źródłowe zarówno na polu literatury starożytnéj, jak i średniowiecznéj, gruntowna znajomość piśmiennictwa włoskiego i hiszpańskiego z jednéj a angielskiego z drugiéj strony, pozwoliły temu krytykowi o eleganckiéj i wybornéj formie, powiązać literaturę francuską z obcemi, a literaturę wogóle z rozwojem społeczeństw, z cywilizacyą. Wprawdzie grzeszył on jeszcze przedwczesną syntezą, i nie wnikał dość głęboko w psychiczną analizę pisarzy, których rozbierał, ale zasługi jego, lekceważone nieco dzisiaj we Francyi, która zaprzestała już porywów historyozoficznych i jest cała pogrążona w częściowych, przygotowawczych studyach monograficznych, są niemniéj przeto wielkie. Brakowało mu metody ściśle naukowéj, to prawda, ale wyłonić się ona mogła dopiéro sama przez się wtedy, gdy studya porównawcze oraz brzask nowéj filozofii — filozofii, która z dominującym wówczas we Francyi płytkim eklektyzmem Victora Cousin nie będzie miała nic wspólnego — przygotuje jéj właściwą glebę.

Ale metoda dydaktyczna, absolutna, o ściśle obwarowanym ideale piękna i prawdy nie mogła, nie chciała się poddać bez ostatniéj jeszcze walki łagodnemu, ale rozkładającemu wpływowi Villemain'a. Znakomitym przedstawicielem jéj szkoły krytycznéj był Dezyderyusz Nisard. Jego czterotomowa historya literatury francuskiéj i kilka tomów studyów krytycznych są istotnemi arcydziełami, ale arcydziełami ciasnego dogmatyzmu. Nisard nie troszczy się i nie chce znać w nowoczesnym świecie innego narodu jak Francyą, a we Francyi innéj epoki, jak owo pięćdziesięciolecie XVII wieku, które posiadało Corneill'a, Racine'a, Moliera, Boileau, Lafontaine'a, Bossueta i Pascala. Wszystko, co poprzedziło tę krystalizacyę klasycyzmu francuskiego, nie istnieje dla niego, zarówno jak wszystko co po nim nastąpiło. Istnieje natomiast pewien ideał absolutnego piękna literackiego, pewne formy doskonałe, ostateczne, których przewyższyć nigdy niepodobna. Tych co się do tych wzorów nie stosują, Nisard traktuje z pogardą nie do opisania. W autorach nie uwzględnia ludzi, ale jedynie idee, które wygłaszali. Bezwątpienia dzieło jego jest najwspanialszym pomni-

kiem, najdoskonalszą apoteozą pewnego momentu literatury francuskiéj, ale nie jest to ani historyą, ani krytyką taką, jakich świat nowoczesny wymaga. Niepodobna iść daléj w tym kierunku i trzeba przyznać, że Nisard postawił żelazny słup graniczny. Pokazuje się to dowodnie za dni naszych. Jest we Francyi jeden z pierwszorzędnych krytyków, Ferdynand Brunetière, którego temperament umysłowy a poniekąd i sympatye zbliżają do Nisarda. A jednak jest on już tak nawskroś przesiąknięty ideami i zasadami nowożytnemi, że nie śmié, nie pragnie walczyć za absolutne prawdy i że stał się rzecznikiem krytyki obiektywnéj. Istotna przepaść dzieli tedy dwóch krytyków, między którymi, przeciwnicy dzisiejszego, chcieliby koniecznie znaleść bliższe powinowactwo, aniżeli istnieje rzeczywiście, a to w celu ściągnięcia nań téj niepopularności, pod jaką Nisard zagrzebany został.

Po reakcyi wywołanéj przez Nisarda i po łabędzim śpiewie szkoły anty-historycznéj i anty-psychologicznéj, ostatecznie zwycięża duch nowy w krytyce Sainte-Beuve'a. Jeżeli kto, to on raz na zawsze udowadnia, że działalność krytyka może być twórczą i *bahnbrechend* do najwyższego stopnia. Kilka tomików jego poezyi, któremi zawód swój piśmienniczy rozpoczął są oddawna i słusznie zapomniane, ale istnieć będą zawsze te trzydzieści czy czterdzieści tomów studyów i krytyk literackich, które są owocem jego benedyktyńskiéj pracy. Do téj nieprzebranéj kopalni uwag i spostrzeżeń, jak po drogie kruszce, udawać się nie omieszkają ci, którzy będą chcieli rzucić na piśmiennictwo francuskie światło prawdy historycznéj.

Nie ujął wprawdzie Sainte-Beuve swojéj krytyki w ścisły system, jak to uczynił po nim Taine, ale metoda, któréj brakowało Villemain'owi, jest u niego wyrozumowana, świadoma siebie i konsekwentnie a logicznie przeprowadzona we wszystkich jego pracach krytycznych, od czasu gdy dojrzał i stał się sobą samym. Kiedy tamten ograniczał się do ogólnéj charakterystyki wieku, ten ściśle rozbiéra i osoby autorów i ich dzieła i jak trafnie powiedziano, obsacza je ze wszech stron, wyciska ich jądro, żadnéj ich strony nie pozostawia w półcieniu. Nie ma tu żadnych z góry postawionych absolutnych teoryi o tém, co autor powinien był napisać i czy temu przez krytyka wykołysanemu ideałowi odpowiedział, nie ma żadnego *dignus est intrare* jako wyniku oceny, ale ustawiczne, na wszystkie strony czynione rekonesanse wojskowe, w celu zdania sobie sprawy z zamiarów i sił twórczych pisarza. Metodę swoją wyjaśnił Sainte-Beuve bez ogródek. Bierze przed siebie pisarza i rozpatruje go w jego pochodzeniu rodzinném, w jego stosunkach familijnych, w jego stanowisku

społecznem, w jego wychowaniu, wykształceniu, w otoczeniu grupy literackiéj, do jakiéj się zaciągnął w pierwszych czasach swéj twórczości, i téj, do którój go następnie pociągnęło powinowactwo z wyboru, wywiaduje się jakie były jego opinie polityczne, religijne, jakie położenie majątkowe, jakie stosunki do kobiét, jakie miał wady i ułomności, jakie uprzedzenia i manie. Istotny raport policyi tajnéj powstawał w ten sposób, a podług jego pragnienia miały to być rozdziały historyi naturalnéj umysłu ludzkiego. Studya krytyczne Sainte-Beuve'a pozbawione są całkowicie zapału i serdecznego ciepła, a wobec suchości téj analizy urobiły o nim sąd jako o człowieku bez serca. Miał rój nieprzyjaciół, którzy nie mogli mu przebaczyć jego coraz wzrastającéj powagi i wpływu. Zarzucano mu, że się lubował w plotkach i pokątnych skandalach, że mimo mnóstwa drobnych szczegółów i nagromadzonych rysów, nie był w stanie zarysować nigdy wyraziście i ostatecznie fizyognomii i charakteru duchowego rozbieranych pisarzy, że brakło mu linii wytycznéj, stałych i niezłomnych zasad kierowniczych, że się unosił zazdrością, nienawiścią i t. d. Niektóre z tych zarzutów były istotnie, jeżeli nie całkowicie, to w części przynajmniéj usprawiedliwione. Nikomu zapewne na myśl nie przyjdzie widzieć w Sainte-Beuve'ie idealną postać krytyka i znamy jego osobiste ułomności i słabostki tak dokładnie, jak on je umiał wyszukiwać w innych. Ale nie da się zaprzeczyć, że pisarz o takiém wielostronném oczytaniu, o takiéj spostrzegawczéj bystrości, o tak wyłącznem zamiłowaniu piśmiennictwa, że można je nazwać namiętnością, poświęciwszy czterdzieści lat życia wnikaniu w najróżnorodniejsze kategorye umysłów, dokonał dzieła olbrzymiego, jedynego w swoim rodzaju.

Należąc przez swe początki do wybujałego romantyzmu, był Sainte-Beuve w ciągu długiego swego życia świadkiem i uczestnikiem ewolucyi ku realizmowi pod wpływem filozofii pozytywnéj. On sam coraz bardziéj ulegał tym prądom, coraz bardziéj zdążał do krytyki nieosobistéj, obiektywnéj. Dobro i zło stawały się dlań produktami, na których ocenę ani smak indywidualny krytyka, ani jego sympatye i antypatye wpływać nie powinny; nie wolno mu jest potępiać albo uwielbiać, ale rozbiérać i opisywać tak, jak naturalista to czyni z okazami przyrody. Wyrzekając się własnowolnie pretensyi do orzekania bezwzględnych sądów, ograniczając się do skromniejszéj roli świadka i tłómacza, w saméj rzeczy podniósł Sainte-Beuve poziom krytyki i znalazł dla niéj podstawy, nie arbitralne jak dotąd, ale ściśle naukowe.

II.

Jakkolwiek wielkie były zasługi położone przez Sainte-Beuve'a dla krytyki, to jednak, nie bacząc nawet na usterki, których się sam dopuścił, stało się widocznem, że w ukazanym przezeń kierunku dwie rzeczy zostawały do uczynienia jeszcze, zanim się skuteczność jego metody nieomylnie wykaże. Trzeba było najprzód porwane, w tysiącznych zarysach tylko przedstawione zasady téj metody, uporządkować, zespolić i wznieść z tych fragmentów jednolitą budowę, systemat, i trzeba było następnie zastosować ów systemat do jakiego piśmiennictwa w jego całości.

Podwójnego tego zadania podjął się Hipolit Taine i dlatego krytyczna jego działalność stanowi znowu jeden krok rozwojowy daléj na drodze ewolucyi krytyki francuskiéj. Staraniem jego było podnieść krytykę do dostojeństwa ścisłéj nauki, ująć ją w karby i reguły rozumowania matematycznego na podstawie pozytywnéj. Samo się przez się rozumie, że nie wysławia, ani nie potępia żadnego utworu literackiego samego przez się, gdyż nie istnieje on dla niego jako taki, ale jedynie jako ogniwo rozwojowego łańcucha, w zależności od całego szeregu warunków, które należy wpierw ściśle określić. Nietylko że się stara, jak to już czynił Sainte-Beuve, wykazać stosunek pomiędzy utworem literackim a autorem, jego osobistością, ale dąży do wykazania stosunku pomiędzy pisarzem a całością społecznego organizmu. Od dzieła idzie do człowieka fizycznego, od człowieka fizycznego do duchowego, a mianowicie do źródeł i składowych czynników jego duchowéj i umysłowéj natury, t. j. do rasy, otoczenia fizycznego, atmosfery społecznéj, epoki. Każdy utwór literacki jest podług niego znamieniem, świadectwem czasu i narodu, z którego wypłynął: żywiołu czysto indywidualnego nie zaprzecza, nie zniwecza, ale go ogranicza i sprowadza do *minimum*. Piękno literackie staje się w jego systemacie okazem nie natury etyczno-estetycznéj, ale przyrodniczéj. W rozbiorze każdego autora wydziela naprzód, tak jak to czyni naturalista wobec swych okazów, wszystkie cechy ogólne, odnoszące się do całego rodzaju, klasy i gatunku i zatrzymuje się nad tą, która stanowi jego wyłączną charakterystykę, i wnika w jéj naturę, rozpatrując ją przez kategorye rasy, rodziny, otoczenia społecznego, chwili, do któréj działanie należy.

Na takich zasadach zbudowany systemat krytyczny zachowuje tę samą ścisłość metody w szczegółach wykonania. Ogólny plan jego dzieł jest logicznie nakreślony, wszystkie składowe części następują

jedne po drugich w przepisanym porządku i każdy poddział, każde zdanie wyrzeczone, jest tylko jednym argumentem więcéj zmierzającym do plastycznego określenia danego utworu. Żelazny despotyzm, pod jaki nagina nawet czynniki twórcze, które zdają się z natury swéj niepodobne do uklasyfikowania, jest świadomą samemu Taine'owi niedogodnością jego systematu, ale obstaje przy nim dlatego, że w ten tylko sposób jest w stanie nadać mu tę ścisłość naukową, którą przedewszystkiém osiągnąć się stara.

Czy ją osiągnął? oto kwestya, nad którą napisano, jak wiadomo, całe tomy i która mimo tego stanowczo rozwiązana nie została. Gdyby się chciało brać systemat Taine'a w literalném jego znaczeniu, to bez wahania wypadałoby powiedziéć, że nigdzie, na żadnym punkcie matematycznéj ścisłości jego ocena krytyczna nie posiada. Głęboki i uczony pisarz, do którego niebawem przejdziemy, Emil Hennequin, wykazał po mistrzowsku, że jéj posiadać nie mogła. Ale jeżeli chodzi tylko o ogólne tendencye, jeżeli pozbawimy systemat Taine'a właśnie owego schematu, którym się chlubi, jeżeli szkielet pokryjemy ciałem, jeżeli zgodzimy się rozpatrywać każdego pisarza przez wymienione przezeń kategorye, ale nie ograniczymy się na takim pedantycznym determinizmie i zostawimy szerokie pole fantazyi i natchnieniu pisarzy, to niepodobna zaprzeczyć, że odnawia nam metodę krytyczną, odmładza, stawia ją na istotnie pewnym, historycznym gruncie i raz na zawsze wyklucza wszelką arbitralność oceny. Pod wpływem Taine'a nietylko jego uczniowie i stronnicy, ale nawet jego przeciwnicy stali się mniéj dogmatyczni, a pewniejsi siebie. Krytyka francuska w ostatnich dwudziestu latach obfituje w studya i prace pierwszorzędne, na których lwie piętno jéj przywódcy jest niezatartém.

Rzecz istotnie ciekawa i zastanawiająca: Taine sam ściśle metody swéj nie stosuje! Klasyczne jego dzieło, „Historya literatury angielskiéj“, miało wszelako ten cel przed sobą i autor w słynnym wstępie do téj „Historyi“ z mistrzowską jasnością i precyzyą przedstawił takowy, ale w czyn go nie wprowadził. Mielibyśmy prawo oczekiwać analitycznych, drobnych, szczegółowych spostrzeżeń, a z tak nagromadzonych materyałów, przez indukcyę, być doprowadzonymi do ogólnych wywodów, a nakoniec, ostatecznie, do syntezy. Tymczasem mamy tam szereg i drabinę dedukcyi. W dwojaki sposób wytłómaczono sobie ten niespodziany charakter dzieła Taine'a. Jego adepci są zdania, że przy całéj swéj mozolnéj i ścisłéj przygotowawczéj pracy stosował na każdym kroku metodę indukcyjną, ale gdy doszedł do rezultatów, zburzył całe rusztowanie, zmazał rachunki i przedstawił czytelnikowi tylko jądro soczyste bez chropowatéj łupi-

ny. Przeciwnicy metody utrzymywali, że wyrobiwszy sobie *à priori* zdanie o rozbiéranych autorach, stosował je potém tylko do swoich reguł i formułek, i te tylko strony w ich twórczości uwidoczniał, które im odpowiadały, pomijając inne, jakby nie istniejące.

Bądź co bądź, Taine oddał krytyce literackiéj usługi donioślejsze, aniżeli jakikolwiek z jego poprzedników, już choćby dlatego, że w literaturze szukał psychologii narodu i że wykazał jéj większą ku temu sposobność, aniżeli innych czynników społecznego bytu, jako to: religii, prawodawstwa, ustroju ekonomicznego i t. d. W epoce naszéj, gdy psychologia stała się nauką ścisłą i gdy roztwiéra się przed nią szerokie pole odkryć i całe pasmo niemarzonych niedawno jeszcze wywodów, nie ma wątpienia, że i krytyka literacka coraz bliżéj z nią powiązana, także na siłach organicznych się wzmoże.

Dzięki poważnym i wielostronnym pracom oryginalnym Taine'a w dziedzinach filozofii, estetyki i historyi, systemat jego krytyczny rozpowszechnił się i wszedł, jak wyżéj już powiedzianém było, w organizm umysłowy współczesnego świata. Nie można rokować tego samego powodzenia Emilowi Hennequin, autorowi dzieła *La Critique Scientifique*, chociaż jego wartość jest ogromna, nie ulegająca najmniejszemu wątpieniu. Gdy się pojawiło w druku przed trzema laty, cały świat naukowy francuski przyklasnął mu i uznał w młodym jego autorze mistrza, po którego następnéj działalności można się było spodziéwać hojnego żniwa. Niestety, śmierć zabrała go prawie w téj saméj chwili i zaledwie dwa tomiki studyów krytycznych, z których jeden niedokończony, pośmiertny, świadczą o potędze jego umysłowości. Tém więcéj potrzebowała filozoficzna jego doktryna — esthopsychologia—dalszéj pracy, objaśnień, wywodów, im bardziéj była ścisła, sucha, z rygorem naukowym wyłuszczona. Jakiekolwiek będą dalsze jéj losy, czy krytyka literacka wzniesie się ze sfery uczuciowéj, w któréj tak długo gościła, do sfery naukowéj, do któréj ją Hennequin zaciąga, należy się jéj miejsce wybitne w rozwojowych kolejach myśli francuskiéj.

Hennequin utrzymuje, że ewolucya krytyki francuskiéj już doszła swego kresu. Była ona naprzód dogmatyczna, potém zbogaciła się szczegółami biograficznemi i etnograficznemi, ale mieszała jeszcze wtedy, pod piórem Sainte-Beuve'a, dwa całkiem odrębne warunki: stosunki produkcyi i istotną wartość dzieła, nakoniec Taine usiłował dać jéj charakter naukowy, wprowadzając do swéj analizy czynniki dziedziczności i doboru naturalnego. Ale, chociaż nie uwieńczone żadnym praktycznym rezultatem, usiłowania Taine'a doprowadziły właśnie krytykę na grunt stały, z którego na przyszłość zejść już nie ma moż-

ności. W pracy swéj wykazał on po treściwym przeglądzie krytycznym epok dawniejszych, charakter krytyki naukowéj w troistym jéj zakresie: estetycznym, psychologicznym i socyologicznym.

Autor nie zaprzecza bynajmniéj, ażeby dziedzictwo fizyologiczne, rasowe, wpływ otoczenia i epoki, warunki, do których Taine tak wielkie przywiązuje znaczenie, nie posiadały onego, ale twierdzi, że wnioski i rezultaty, do których one prowadzą, są wątpliwe, mgliste, nieujęte, najwyżéj prawdopodobne i że są pozbawione wszelkiéj ścisłości naukowéj. Niepodobna uważać narodowości za czynnik stały, skoro jest wiadomo, że jeden i ten sam naród przedstawia jaskrawe różnice w pewnych swych prowincyach, a jeszcze większe w pewnych epokach. Więcéj nawet: ten sam kraj, ta sama miejscowość, ta sama epoka wytwarza ludzi całkiem odrębnych, wręcz sobie przeciwnych, jak np. Pascal i Saint-Simon. Następnie nie należy spuszczać z uwagi, że bywają pisarze, którzy są czystym anachronizmem w swojéj własnéj epoce, która ich nie rozumié i odpowiedzialności za nich brać nie myśli. Shelley i Stendhal służą tutaj za wybitne typy. Ale gdyby się nawet mogło przypuścić, że w upłynionych czasach, gdy różnice pomiędzy społeczeństwami jednemi a drugiemi, a następnie różnice jednych warstw społecznych od drugich były istotnie znaczne, wpływały one na wytworzenie indywidualności tego lub owego pisarza, to nie ma to już miejsca w epoce naszéj, zaciérającéj coraz wyraźniéj te różnice. Jest czystém niepodobieństwem, ażeby ta metoda ciasna, a spoczywająca na danych, wykluczających wszelką precyzyę, mogła dać krytyce istotną podstawę naukową do wykazania, dlaczego ten pisarz takie a nie inne napisał dzieło. Ponieważ zadaniem krytyki, podług Em. Hennequin tak samo jak podług Taine'a, nie jest dociekanie, w jakim stopniu dany utwór literacki jest piękny, ale sposób, w jaki owo piękno urzeczywistnioném, dokonaném zostało, zatém trzeba poddać ów utwór najprzód analizie estetycznéj, następnie psychologicznéj, nakoniec socyologicznéj i dopiéro po ich ukończeniu ma się prawo dojść do syntetycznego wniosku.

Czytelnik zwróci tu uwagę na różnicę stanowiska istniejącą pomiędzy Taine'm a Hennequin'em. Pierwszemu nie szło wcale o piękność utworu, ale o odkrycie w nim cech i rysów, tłómaczących daną epokę społeczną; przedewszystkiém jest on historykiem; drugi bierze już dzieło samo w sobie, a ponieważ jego estetyczne czynniki są pierwszemi, które oddziaływają na zewnątrz, zatém od nich swą analizę rozpoczyna. „Utwór literacki jest to całość zdań pisanych lub mówionych, mających za cel, przez rozmaite obrazy, bądź żywe i dobitne, bądź nieujęte i idealne, wywołać u czytelników lub słuchaczy pewien spe-

cyalny rodzaj wzruszenia, wzruszenia estetycznego, którego właściwością jest to, iż nie ujawnia się czynami, ale jest samo sobie celem" (*Critique Scientifique*, str. 26). Jak w sztukach plastycznych teorya kolorów, proporcyi, harmonii etc. jest ujęta w ścisłe prawa, tak samo w literaturze, której środki zewnętrzne ograniczają się do słów i do obrazów można będzie przeprowadzić ich ścisły rozbiór i zdać sobie sprawę, o ile przyczyniły się do wywołania owego estetycznego wzruszenia.

Analiza estetyczna, stanowiąca pierwszą część krytyki naukowéj, przedsięwzięta była przez Em. Hennequin z metodą istotnie naukowéj ścisłości. Jako najdoskonalsze jéj wzory przytoczyć można jego własne studyum nad Flaubertem i Wiktorem Hugo, a zatém zastosowane do prozaika i do poety. W pierwszym rozebrawszy wyrazy, jakiemi się posługuje Flaubert, jego składnię, metrykę i układ, wymienia jego sposób opisowości i psychologicznéj charakterystyki, ograniczającéj się do realizmu, i rysy ogólne jego sztuki: zwięzłość, precyzyę etc. Samo zbadanie téj zewnętrznéj strony, mechanicznéj, rzemieślniczéj, że tak powiemy, pozwoliło już dać wskazówkę, dlaczego Flaubert wziął się do pisania takich utworów, jak *Salambô*, albo „Pokusa ś-go Antoniego", stanowiących przeciwieństwo z realizmem „Pani Bovary"; nastąpiło to z przygotowania zapasu frazeologii, obfitującéj w piękne i poetyczne wyrazy; posiadłszy je, pragnął je zużytkować w archeologii i legendzie. W analizie estetycznéj Wiktora Hugo krytyk rozbiéra najprzód środki, a potém osiągnięte przez nie skutki. Wśród pierwszych rozróżnia zewnętrzne od wewnętrznych. Idziemy w ślad za nim od słownika poety do jego składni, układu, tonu, sposobów opisowości, potém do przedmiotów ulubionych przezeń, jako epoki, miejsca, chwili, bohatérów, przedmiotów oderwanych. Rozbiérając skutki, t. j. osiągnięte przez użycie tych, a nie innych narzędzi wrażenie, krytyk wykazuje ogólny nastrój egzaltujący, patetyczność, tajemniczość, podziw, wielkosłowną próżnię.

Analiza psychologiczna, do któréj krytyk przystępuje po wyczerpaniu estetycznéj, ma za wyłączny cel zbadać, przez jakie własności duchowe pisarz oddziaływa na zewnątrz, wywiera wrażenie, wzrusza czytelników. Wszystkich stron jego duchowego organizmu trzeba jednak szukać i znaleźć w samym jego utworze, a nie po za nim: wszelkie informacye postronne, które u Taine'a nie były bez wpływu i znaczenia, mają być bez wahania i całkowicie odsunięte. Oceniwszy gruntownie wszystkie właściwości estetyczne pisarza, znajdujemy w nich wskazówkę co do jego umysłowego stanu, rozumiemy jego sympatye i wstręty, żywość albo tępość temperamentu i t. d.

Wprawdzie ten stan psychiczny jest bardzo łatwy do poznania u pisarzy, którzy wprost odnoszą się do czytelnika i na umysłowość jego oddziaływać się starają, a za to daleko trudniejszy u pisarzy zamkniętych w sobie albo ironicznych, ale i u tych znaleźć można dane do ujawnienia ich wewnętrznéj natury. Pisarze, którzy należą do pewnéj szkoły, którzy idą w ślady pewnego mistrza, ci, których ideał jest wyrażony dosadnie, pozwalają krytykowi iść bezpiecznie w swych poszukiwaniach Jeżeli przez cały szereg spostrzeżeń dochodzi się do wyciągnięcia z nich wniosków o naturze umysłu i charakteru, który dzieło napisał, to Hennequin przestrzega, ażeby się i wtedy jeszcze chronić od wszelkich uogólniań i wymaga, ażeby ustrój duchowy był wyrażony terminami psychologii naukowéj. Dzięki pracom Spencera, Wundta, Taine'a, Bain'a, Maudsleya i innych, na których autor się powołuje, wiemy już dzisiaj dokładnie, czém jest umysł ludzki i jak różne jego władze wspierają się nawzajem. „Wola, pamięć, uczucie, język, świadomość, obraz, idea, rozumowanie i t. d., są to wyrazy, mające ściśle określone znaczenie, odpowiadają danym faktom. Prace, dokonane w dziedzinie psychopatologii, wykazały zboczenia organizmów normalnych i przez analogię mogą wykazać zmiany, którym uledz są w stanie. Dzięki tym postępom nauki, nasza interpretacya musi doprowadzić do całkowitego poznania umysłu, którego manifestacye poddane były analizie i do którego składowe części zbadane zostały“ (*loco cit.*, str. 87). Dla tych, którzy postawione tutaj prawidła analizy psychicznéj byliby skłonni uważać za niedokładne, wystarczy odnieść się do przykładu, jaki dał Hennequin w analizie Wiktora Hugo. Doszedłszy z rozbioru estetycznego do wniosku, że czynnik słowa przemagał u niego nad czynnikiem idei, wykazuje, jak ta przewaga oddziałała na cały jego ustrój umysłowy i jest kluczem do charakteru jego twórczości. Daleko obfitsze pole do sprawdzenia téj części jego metody daje tom jego studyów krytycznych, noszący nazwę *Ecrivains francisès* i gdzie rozbiera z kolei Dickensa, Heinego, Edgara Poe, Turgeniewa, Dostojewskiego i Tołstoja. Nie mając zaś tu miejsca do szczegółowego rozbioru, poprzestajemy na gorącém poleceniu go tym, których ten myśliciel zaciekawił.

Po wykazaniu stosunków i związków pomiędzy utworem a umysłem pisarza, pozostaje jeszcze, jak powiedzieliśmy wyżéj, trzecia część analizy, ta, którą Hennequin nazywa socyologiczną, a któréj celem jest wykazanie stosunku i związku między pisarzem a społecznością. Jak wiadomo, żadne dzieło sztuki, żaden utwór literacki nie wywiera wpływu i wrażenia powszechnego, lecz tylko częściowe, na umysły pokrewne, zbliżone do autora, a rozsiane wśród społeczeństwa.

Różnica pomiędzy nimi jest jedynie taka, że one są bierne, przyjmujące, gdy tamten jest czynnym i twórczym. Jeżeli grono czytelników i adeptów jest liczne, świadczy to, że utwór wywarł wrażenie silne. Dlatego należy co do każdego pisarza wywiedzieć się u krytyków i dziennikarzy współczesnych, i zbadać liczbę przedstawień, jakie miały jego sztuki, liczbę edycyi jego książek, płace, jakie pobierał; trzeba się poinformować, jak się nań zapatrywali jego bracia po piórze, jak kwiat inteligencyi, a jak rzesze przeciętnych czytelników, jak długo trwała poczytność, popularność lub sława pisarza i wskutek jakich okoliczności uległa zmianom, czy był tłómaczony na obce języki i jakie tam znalazł powodzenie i t. d. Dopiéro gdy się tego rodzaju poszukiwań dokona, można przedsiębrać historyę wewnętrzną pojedyńczych umysłów, następnie historyę rozwoju umysłowego narodu i ludzkości, a nawet historyę rozwoju pewnego organu psychicznego. Psychologia narodów i człowieczeństwa będzie uwieńczeniem budowy.

Zbytecznêm byłoby dodawać, że Hennequin nie poprzestaje na téj troistéj analizie, lecz że widzi w niéj jedynie przygotowawcze fazy do całościowéj syntezy, która, jak się samo przez się rozumié, idzie drogą odwrotną i dochodzi do formułowania teoryi i prawd ogólnych.

Zdawało się nam właściwêm streścić szczegółowo „Krytykę Naukową“ Hennequin'a, a to w przeświadczeniu, że jest ona najnowszym wyrazem ewolucyi krytyki francuskiéj. Bez zaprzeczenia dzieło to poważne świadczy, że autor był oryginalnym myślicielem, uzdolnionionym do abstrakcyi metafizycznych, że się opiérał na wykształceniu ogólnêm i technicznêm, że posiadał rzadką u Francuzów erudycyę i nakoniec, że władał językiem filozoficznym, nie lękającym się neologizmów. Ścisłość jego metody, rygor klasyfikacyi i wysokość skali wymagań, stawianych krytykowi, zrobią go typem odstraszającego pedanta dla wszystkich powierzchownych umysłów. Głębsze, ziarna przezeń rzuconego podjąć nie zaniedbają.

III.

Gdyby twórczość umysłowa świata współczesnego posiadała tę jednolitość i wyłączność, jaką miała w wiekach średnich, w których podług znanego wyrażenia — filozofia była służebnicą teologii (*Philosophia est ancilla theologiae*),—to możnaby przypuścić, że w epoce nauk ścisłych i pozytywizmu, nie byłoby we Francyi miejsca dla innéj krytyki, jak dla téj, któréj powyżéj skreśliliśmy koleje i która w pisarzach, jak Taine i Hennequin, znalazła ostateczny swój wyraz. Na

szczęście, nie jesteśmy niczém podobném zagrożeni, a mówimy to bez najmniejszéj chęci uczynienia ujmy krytyce naukowéj, w któréj, jak powyższe stronice świadczą, widzimy użyteczny czynnik do wejścia w posiadanie prawdy. Lecz nie ma powodu przyznawać téj metodzie monopolu w jéj zdobywaniu, ani téż nie należy zapominać, że krytyka nie ma obowiązku zamykać się w zakreślonych jéj granicach, że ma prawo swobodnie krążyć około utworów literatury, zatrzymywać się gdzie jéj wola, podnosić te lub owe ich części, i pisać z okazyi i za podmuchem dzieł już istniejących inne, nowe, które są niejako waryantami na dany temat. Nie potrzebuje tego rodzaju krytyka rościć pretensyi do wygłaszania wyroków, do jakiegokolwiek dydaktyzmu i wystarcza jéj, jak powiedział jeden z jéj najprzedniejszych przedstawicieli, Anatol France, opowiadać przygody swojéj własnéj duszy, krążącéj wśród arcydzieł myśli. Nie można zaprzeczyć, że kryteryum pisarzy, należących do tego orszaku, jest znowu subiektywném, indywidualném i że stoi w wyraźném przeciwieństwie do metody nieosobistéj, obiektywnéj, która wprowadziła krytykę w nowe, wyższe stadyum rozwoju. Ale istnieje pomiędzy tymi nowymi indywidualnymi krytykami a dawniejszymi ta zasadnicza różnica, że dzisiejsi nie stanowią żadnego zwartego hufca, że nie walczą pod wspólnym sztandarem, lecz są tylko ochotnikami bojującymi na własną rękę. Nie mają innéj powagi nad tę, którą im nadaje koło ich własnych zwolenników, przywiązujących znaczenie do ich pogadanek krytycznych i sympatyzujących z ich zapatrywaniami.

Tego rodzaju swobodnych, do żadnéj szkoły nie należących krytyków, jest w obecnéj literaturze francuskiéj wielu, a liczba ich wzrastać tylko może wskutek podniesionego poziomu wykształcenia literackiego i wstrętu do wielkich systematycznych historyi literatury, wstrętu, który jest charakterystyczną cechą schyłku naszego stulecia. Łatwiéj o studya oderwane krytyczne, o fantazye krytyczne, że tak powiemy, aniżeli o owe sążniste prace, wymagające i wiedzy gruntownéj i systematu głęboko obmyślanego. Oddając całą sprawiedliwość jednym, możemy z istotnie epikurejską rozkoszą kosztować drugich.

Nie łatwo scharakteryzować tę rzeszę krytycznych pisarzy, stanowiących niezaprzeczony powab piśmiennictwa francuskiego i nadających mu swą ruchliwością kalejdoskopową fizyognomię, co chwila odmienną, a zawsze wysoce interesującą. Brakuje im jednolitości. W chwili, w któréj piszemy, toczy się żwawa polemika o metodę krytyczną pomiędzy najwybitniejszymi przedstawicielami téj gałęzi piśmiennictwa. Ferdynand Brunetière, znakomity krytyk literacki

Revue des deux Mondes i *Journal des Debats*, uosabiający poniekąd prawicę wśród krytyki obecnéj francuskiéj i uważający sam siebie za obiektywnego myśliciela, rzucił rękawicę trzem pisarzom, przedstawiającym, podług jego opinii, krytykę indywidualną i nazwał ich impresyonistami, t. j. że nie posiadają innego kryteryum nad chwilowe, przelotne wrażenie, otrzymane z dzieła, o którém piszą. Do szeregu tak zwanych impresyonistów, oprócz Juliusza Lemaitra, Anatola France i Pawła Desjardins, możnaby dodać kilku, kilkunastu innych pisarzy, a sama sprawiedliwość nakazywałaby nie pominąć Karola Fustera, Jana Pawła Clarens, René Doumic, że już o innych nawet imiennéj nie uczynimy wzmianki. Interes, jaki obudziła w świecie literackim francuskim ta polemika bez wszelkiéj goryczy, świadcząca o zobopólnym szacunku dla siebie przeciwników, pokazuje, że sprawa to życiowa i że nikomu na myśl nie przychodzi traktować krytyków, jako brzęczących, ale nie produkcyjnych szerszeni.

Przeciwko nazwie impresyonistów mogą zaprotestować ci i owi, i istotnie nie jest to epitet szczęśliwy. Daleko właściwiéj nazwaćby ich można sceptykami. Nie ma na dnie ich umysłów żadnéj niewzruszonéj zasady i jeżeli łatwo dostrzedz w co nie wierzą, to trudniéj pojąć, w co wierzą. Gdy się nie może już wierzyć — powiada słusznie J. P. Clarens, — to się pragnie wiedzieć koniecznie. Ta żądza niepowściągniona świadomości, zbadania najbardziéj ukrytych sprężyn i tajników ducha ludzkiego jest u nich widoczna na każdym punkcie. Posiadają naukę obszerną i przeczytali wszystko, co czytać było można. Prawdziwa pletora inteligencyi zużyła u nich władzę woli, energii, stałości przekonań. Nie można powiedzieć, żeby mieli przekonania chwiejne, ale jak jeden z nich sam o sobie powiedział, mają jednocześnie kilka przekonań. Z tylu stron rozpatrują tenże przedmiot, tak bystro spostrzegają wszystkie dodatnie i wszystkie ujemne jego czynniki, obok barw głównych umieszczają tyle półcieni, a obok twierdzenia tyle zastrzeżeń i wyjątków, że stają się nieuchwytnymi Proteuszami. Wyrafinowani ci dyletanci uważają za rodzaj filistyńskiego, ograniczonego umysłu posiadać pewne, jasno określone opinie. Brać odpowiedzialność za swoje przekonanie osobiste, zdaje się im potworném nadużyciem. Jul. Lemaitre nie może bez zgrozy myśléć, że istnieją sędziowie, ludzie, którzy posiadają taką pewność o słuszności swych zapatrywań, że wydają wyroki i skazują ludzi na śmierć i na hańbę. Anatol France nie wierzy, żeby mogła istnieć krytyka obiektywna, żeby człowiek był w stanie wyzuć się ze swéj własnéj natury. Nie troszczy się też o wartość, o znaczenie dzieła samego w sobie, ale zajmuje się wyłącznie wrażeniami, jakie w nim

ono wzbudziło, uczuciami, jakie wywołało, i w każdém jego studyum krytyczném on sam zajmuje pierwsze miejsce, a autor dodatkowe tylko. Nie lubią ci krytycy iść po bitych szlakach i wysławiać pisarzy, którym przyklaskuje ogół. Ta sankcya ogólna zdaje się nawet dla nich, dla Arystarchów smaku, wystarczać, ażeby obudzić podejrzenie co do wartości pisarza. Lubią za to zapowiadać pojawienie się nowych kierunków, a przez mikroskop odkrywają niewidzianéj dotąd oryginalności talenta. Paweł Desjardins stworzył niedawno całą szkołę mistyczno-religijną, którą nazwał Nowém Fiesole! Poeci z obozu dekadentów i symbolistów, jak Stefan Malarmé, Paweł Verlaine, Jan Moreas, i inni są rozbierani ze skrupulatnością i powagą, jaka się należy apostołom nowéj wiary. Od tych to krytyków Maurycy Barrès dostał także niedawno pomazanie na głębokiego myśliciela i wielkiego prozaika.

Niepodobna brać tego rodzaju krytyków dosłownie. Są to błyszczące, świetne, paradoksalne umysły, igrające z ideami, z zasadami, dla swojéj własnéj i swego ściślejszego kółka rozrywki. Nie znamy większéj intelektualnéj rozkoszy, jak ich czytać, ani większego niebezpieczeństwa, jak obiérać ich za przewodnika w sądach o piśmiennictwie. Nie wstrzymują się od mistyfikacyi potulnego czytelnika, jak kuglarze japońscy lubią igrać nożami, nic ich nie kosztuje postawić uznane prawdy do góry nogami, a z całą dobrą wiarą, do jakiéj jest zdolny, Juliusz Lemaitre utrzymuje, że paradoks jest po prostu prawdą dnia onegdajszego, albo dopiéro jutrzejszego.

Nie ma potrzeby wchodzić w bliższy rozbiór ich metody, gdyż jéj nie mają. Trzeba ich czytać, a gdy się ich czyta, uzbroić w katońską surowość, aby się nie dać na ich lep pochwycić: czarodzieje to po prostu. Skrzący dowcip Juliusza Lemaitre [1]) zrobił go potęgą. Jego felietony dramatyczne z *Journal des Debats*, wychodzące w tomach zbiorowych pod tyt. *Impressions de théatre* i jego studya i portrety literackie pod tyt. *Les Contemporains* są perłami piśmiennictwa współczesnego francuskiego i zastanawia w nich nietylko błyskotliwość myśli, giętkość dyalektyki, ale rozległość wiadomości naukowych, które stanowią wewnętrzny szkielet téj budowy, połyskującéj wszystkiemi barwami tęczy. Napróżno za to szukałoby się u niego tego, co Goethe głęboko zrozumiał, mówiąc:

Das Schaudern ist der Menschheit bester Theil!

---

[1]) Szczegółowszą charakterystykę Lemaitre'a podał p. E. Przewóski w „Ateneum“ r. 1889 (t. I, str. 12—38) p. n. „Krytyk impresyonista.“ (P. Red.)

Do tego świętego dreszczu nie zdaje się być ten sceptyk wytworny zdolnym. On, krytyk dramatyczny, wychodząc z przedstawienia Shakespearowskiego „Hamleta“ albo z „Edypa-króla“, nie wahał się powiedzieć, że niespożyte te arcydzieła mniéj zadawalniają jego estetyczno-etyczne potrzeby, aniżeli cyrkowa pantomina, skoczek na linie, albo czarodziejska sztuka po całkowitém zniweczeniu słów nie potrzebnie do niéj wszrubowanych. Podobnych wybryków fantazyi jest u niego, pełno.

Innego rodzaju uwagi dałyby się zrobić nad tym delikatnym i wyrafinowanym pisarzem, któremu zawdzięczamy typową postać Sylwestra Bouard, a świéżo istnie greckim duchem natchnioną Thais. P. Anatol France jest erudytą, znawcą piśmiennictwa starożytnego, jak niewielu, posiada literackie wykształcenie pierwszorzędne, obdarzony jest smakiem czułym na najdelikatniejsze odcienia. Jego „*Vie littéraire*“, którą drukuje dziennik „*Temps*“, jest zawsze niecierpliwie oczekiwana przez miłośników piśmiennictwa. Nie myślimy temu zaprzeczać, ale jest mimo tego niewątpliwém, że powagi jako krytyk, nigdy posiadać nie będzie. Napróżno utrzymuje i zarzeka się, że nie jest sceptykiem i że gdyby raz wypowiedział swoje *credo* w słowie: „wątpię“, toby od téj chwili zamilkł raz na zawsze, napróżno windykuje dla siebie prawo do swobodnych, od kaprysu zależnych wycieczek po całéj przestrzeni literatury, sąd publiczny łączy ten brak metody z brakiem ścisłych, jasno wytkniętych zasad, i zawsze będzie go mieścił w rzędzie dyletantów.

Nie można jeszcze przewidzieć, jaki kierunek weźmie trzeci krytyk, nazwany przez p. Brunetièra—impresyonistą. P. Paweł Desjardins ma za sobą niedługą jeszcze przeszłość piśmienniczą. Jego *Esquisses et impressions* pokazują temperament wysoko nastrojony, delikatny, o spirytualistycznych dążnościach. Stosując do niego wiersz poety, możnaby powiedzieć, że *la soif de l'infini le tourmente.* Ale nie jest to bynajmniéj wiara prostaczków. Trudno zrozumiéć tego apostoła jakiegoś nieokreślonego mistycyzmu. W szeregu pisarzy, których ocenia w subtelnych studyach, noszących nazwę charakterystyczną *Compagnons de la vie nouvelle*, nie możemy, mimo najsilniejszego natężenia umysłu znaleść żadnego organicznego węzła. Autor bije się widocznie z pragnieniem przedzierżgnięcia spirytualizmu wybranych przez się pisarzy w jakąś formę pozytywnéj religii, ale są to wszystko mgliste i nieujęte zarysy, jakimś żałosnym zaprawne pesymizmem, będące w stanie nas zaciekawić, ale skazane na jałowość. Do typów, za którymi się ugania, mamy zawsze ochotę zastosować słowa Coleridge'a: *they do not believe; they only believe that they*

believe! Albo p. Desjardins zmieni w przyszłości swą metodę krytyczną, albo i on także pozostanie zamknięty w niéj samotnie jak w magicznėm kole.

Nie myślimy się skarżyć wraz z p. Brunetière'm na powyższych krytyków i innych do tego samego zapisanych hufca, gdyż taka swobodna działalność pisarzy, nie roszczących żadnych pretensyi do piastowania berła krytyki urzędowéj, dalekich od chęci klasyfikowania i wydawania dyplomów na wielkości, jest w oczach naszych nadzwyczaj pożądaną dla rozwoju kultury literackiéj. Ich osobiste *ja* zajmuje wprawdzie w krytyce miejsce wybitne, pierwszorzędne, co niektórym wydaje się rodzajem nieprzyzwoitości, ale dla tych, którzy są przedewszystkiém ciekawi przeniknąć do głębi duszy osobistości wybitnych, takie zwierzenie poufne, taki rachunek sumienia posiada prawdziwą ponętę, zwłaszcza, że często, nader często, krytyk z bogatego swego zasobu dolėwa do próżnéj czary rozbieranego autora. Za całkiem nieusprawiedliwione poczytujemy zdanie tych, którzy subiektywną krytykę uważają w dziedzinie umysłowéj, za jednoznaczną z egoizmem w dziedzinie moralnéj. Są to czynniki natury całkiem odmiennéj, zmierzające do całkiem różnych celów i niesłusznością byłoby piętnować jedną stygmatem drugiego.

Jeżeli krytyka naukowa, o któréj wyżéj rzecz była, stanęła na gruncie filozofii pozytywnéj, to ta którą nazwaliśmy sceptyczną, nie może wskazać innego rodzica, prócz Renan'a. Wpływ, jaki jego metoda wywarła na dwa ostatnie pokolenia pisarzy francuskich, którzy się przed nim schylają jak przed mistrzem, jest niezaprzeczony. Przekroczylibyśmy, i znacznie, zakres naszéj pracy, gdybyśmy wtargnęli w tę genezę duchową: przedmiot taki zasługiwałby na studyum odrębne. Filozoficzna i piśmiennicza fizyognomia Renana musi być zresztą czytelnikom naszym dostatecznie znajoma. Ażeby wytknąć te jéj rysy, któreśmy w najnowszych krytykach literackich spostrzegli, tak samo jak u niego, nie można użyć słów trafniejszych nad te, które o nim wypowiedział Jerzy Pellisier: „Z chwilą gdy filozof dojdzie do przeświadczenia o nicości wszelkiéj wiary, gdy ten filozof jest w dodatku artystą, to w rozlicznych objawach umysłu ludzkiego będzie już widział tylko przedmiot do zaspokojenia swéj ciekawości, do kapryśnéj gry wyobraźni, do delikatnéj ironii w krytyce. Ostatnim szczeblem rozumu będzie dlań igraszka z ideami“.

Nie nowe to zresztą zjawisko w krytyce francuskiéj te zapasy pod sztandarem sceptycyzmu. Cały szereg myślicieli w tym kierunku daje się wykazać jeszcze od encyklopedystów zeszłego wieku. Diderot jest ich wielkim mistrzem. Jeżeliby zaś uczyniono nam zarzut, że

sięgamy w tym rodowodzie za daleko, to moglibyśmy wymienić współczesnego pisarza, jednego z najznakomitszych essayistów francuskich, krytyka, który tak samo jak cały kwiat inteligencyi piśmienniczéj, nosi piętno szkoły normalnéj, i na którym Lemaitre, France i *tutti quanti* wzorować się nie przestali — J. J. Weiss'a. Napróżno szukałoby się u tego świetnego krytyka stale i ściśle wytkniętéj linii, jednolitéj metody. Nie ma ich śladu, ale za to jest werwa niepospolita, wyobraźnia bujna i nieokiełznana, spostrzeżenia niespodziane, aforyzmy dziwaczne, grad paradoksów, uprzedzenia nieuzasadnione do jednych pisarzy, a fawory zlewane na drugich. Każda literacka jego praca błyszczy ogniem dyamentów, to prawda. Ale mając trzydziestoletnią jego działalność piśmienniczą przed sobą, każdy bezstronny czytelnik zapytać się ma prawo, czy od tak wysoce utalentowanego pióra nie można się było spodziéwać czegoś więcéj i czegoś trwalszego. Jest w tym przykładzie przestroga dla jego naśladowców i jest wystarczający powód, dla którego krytyka naukowa stawiana być winna na innym poziomie, aniżeli ta, która słucha tylko podszeptu swéj fantazyi.

IV.

Jest nakoniec dwóch krytyków — i na nich przegląd nasz zamknąć musimy, nie mogąc nawet najpobieżniéj dotknąć takiéj potęgi jak był Edmond Scherer ani tak utalentowanych pisarzy jak Mezières, Montegut, Mazade, du Camps, Haussonville, Bardoux, Chaatavoine, Le Marchand, którzy zajmują pomiędzy metodą naukową, zakreśloną przez Taine'a i Hennequin'a, a metodą dyletanckiego sceptycyzmu, o któréj dopiéro co była mowa, stanowisko, że tak powiemy pośrednie. Zbytecznem byłoby uprzedzać czytelnika, że różnicy, którą czynimy i klasyfikacyi, którą zmuszeni byliśmy wprowadzić, nie należy brać w literalném znaczeniu. Nie ma muru chińskiego pomiędzy ich doktrynami, a obracając się na wspólnym gruncie, rozpatrując jednych i tych samych autorów, muszą mieć pomiędzy sobą pewne styczne, choćby już te idee wyrabiające się stopniowo i stające się pewnikami naukowemi! Krytykami, których krótka charakterystyka zdaje się nam być tutaj nieodzowną, jest Ferdynand Brunetière i Emil Faguet.

Brunetière piastuje berło krytyki literackiéj w „*Revue des deux Mondes*“, najbardziéj wpływowym ze wszystkich europejskich przeglądów. Oprócz tego jest profesorem w szkole normalnéj. Podwójne takie i takie poważne stanowisko daje mu poczucie swéj godności,

i jak liczni jego nieprzyjaciele mawiać zwykli, ma skłonność do pontyfikalnéj roli. Gdy go chcą najsilniéj zranić, nazywają go drugim Nisard'em. Jest on dalekim wszakże od autokratyzmu i dydaktycznéj ciasnoty tamtego, jakeśmy to już powiedzieli wyżéj. Ale posiada jedność doktryny, o któréj nigdy nie zapomina i z wysokości któréj sądzi, nie dając się nigdy unieść kaprysowi i fantazyi, mimowoli klasyfikuje i wyznacza miejsca w areopagu. Gruntownie obeznany z przedmiotami o których traktuje, ma zawsze porównania gotowe, i nie dziw, że gdy stawia jakiegokolwiek z dzisiejszych pigmeów obok wielkich pisarzy, których ów jest karykaturą, antenaci olbrzymieją a samozwańcze znakomitości pękają jak żaby, co się wzdymały ku wołowym rozmiarom. Téj ciągłéj rzezi niewiniątek nie mogą przebaczyć Brunetière'owi. Nigdy się on nie zaciągnie do towarzystwa wzajemnego uwielbienia, które tylu liczy adeptów. Ten ideał klasycznéj literatury, to ustopniowanie rodzajów piśmiennictwa, drażnią tych, którzy wierzą w demokracyę piśmienniczą, jako ucieleśnienie równości umysłowéj: najśmieszniejszą z iluzyi.

Niezaprzeczoną zasługą metody krytycznéj p. Brunetière jest to, iż stoi na gruncie ewolucyi historycznéj. Nie ma on zamiaru, jak to czynili jego poprzednicy w epoce odrodzenia, katalogować utworów literackich, ani wyciągać z nich reguł dla twórczości, jak to czyniono w wieku następnym, ale oddaje sprawiedliwość pisarzowi jak Boileau, a nawet, o zgrozo! takiemu jak La Harpe dla tego, że ugruntowali krytykę rozumującą. Nikt jaśniéj od niego nie pojmuje różnicy pomiędzy dawniejszym a współczesnym światem i wié, że po Chateaubriandzie i pani de Staël, po Villemain'ie i Sainte-Beuve, a przedewszystkiem po Taine'ie, krytyka literacka ma całkiem inne obowiązki. Psychologia i nauki przyrodnicze wskazały jéj metodę. Skorzystała z niéj lingwistyka; czas jest, ażeby zastosowano ją w historyi rozwoju umysłowego.

Dotąd p. Brunetière nie napisał całkowitego obrazu piśmiennictwa francuskiego, tylko kilka tomów studyów i zarysów. Ale właśnie obecnie zapowiedziane jest jego wielkie dzieło o „Ewolucyi krytyki“, w którém metoda Darwina i Haeckla zastosowane być mają do piśmiennictwa. Świat literacki z żywą ciekawością pracy téj oczekuje. Jeżeli jaki pisarz współczesny posiada we Francyi dość powagi i dość talentu, ażeby wystąpić znowu z pracą syntetyczną, od któréj nowe pokolenia odwykły, to on niezawodnie. Nawet gdyby grzeszył plan jego, jako całość, to posiadać będzie niezawodnie częściowo wartość bezwzględną. Nikt nie jest też głębiéj od niego przekonany, że jest obowiązkiem, zadaniem krytyki nadawać twórczości

piśmieniczéj kierunek taki a nie inny; że misyą krytyki jest wyrażać sąd, zastępując społeczeństwo do takiego sądu nie przygotowane, że on wskazać mu powinien jak się strzedz szarlatanów i gdzie szukać mistrzów. Gdy pisarz, co tak wysokie dla krytyki windykuje prawo, sam głos ma zabrać *ex cathaedra*, to wypada wstrzymać się od wyrażenia o nim opinii, aż głos ten usłyszymy.

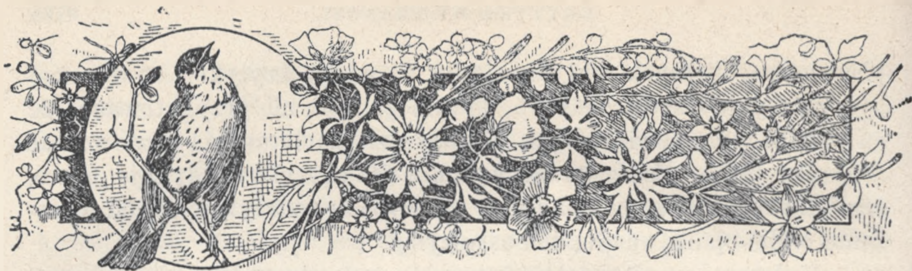
Jednym z najbardziéj interesujących krytyków dzisiejszych jest nakoniec p. Emil Faguet, którego posiadamy dotąd trzy tomy studyów literackich nad wiekami XVII, XVIII i XIX, dwa tomy notatek krytycznych nad teatrem dzisiejszym i liczne artykuły w przeglądach literackich. Żadna z jego prac nie przeszła niepostrzeżenie; akademia francuska uwieńczać je zwykła, gdy wychodzą zbiorowo. Minister oświaty mianował go świéżo profesorem literatury francuskiéj w Sorbonie: ma tedy trybunę najwyższą na swoje usługi.

Nie znamy sympatyczniejszéj postaci w piśmienictwie współczesném francuskiém nad Emila Faguet. Jest to umysł prosty, jasny, przenikliwy i bystry, temperament otwarty, szczery, nieustraszony. Nietylko, że mówi i pisze co myśli, ale wypowiada wszystko co myśli bez względu na następstwa. Gdy się o Voltaire'ze wyraził bez ogródek, spotkała go podwójna klątwa: jezuici zakazali jego dzieło w swoich szkołach a stronnictwo jakóbińskie policzyło go pomiędzy myślicieli zarażonych trądem reakcyi. Wszędzie chce zaprowadzić jasność i ład, przedstawić jądro idei, o które toczyła się i toczy walka. Wyklucza wszelkie półcienie, zastrzeżenia, nie unosi się uprzedzeniami a mniéj jeszcze namiętnością. Piśmiennictwo jest w jego oczach nie spoczywającym nigdy, ale ciągle wrzącym, choć coraz innym wyrazem społeczeństwa. Nie ma w tym poglądzie nic nadzwyczajnie nowego, przyznajemy, ale właśnie talent p. Faguet polega na wyciągnieniu, z tych dobrze znanych przesłanek, uderzających jasnością i siłą wniosków. Wysoce to obiecujący pisarz i nie dał jeszcze miary wszystkiego, do czego jest zdolny.

V.

Nie potrzeba prawdopodobnie powyższéj pracy żadnego systematycznego zakończenia. Jeżeli czytelnik uzna ruchliwość i żywotność krytyki francuskiéj, postępowe metody, któremi się ona posługuje, wykwintne formy w jaką ją odziéwa, to wyrazi prawdopodobnie wraz z piszącym zdanie, że słusznie za wzór innym posłużyć może. Nie daleko nam przyjdzie potrzeby zastosowania tego poszukiwać.

Dr. M. E. Trepka.



„Na przełęczy“.

Wydane z wielką typograficzną starannością, niemal, jak na stosunki nasze, przepychem „Wrażenia i obrazy z Tatr“, skreślone piórem i ołówkiem przez p. Stanisława Witkiewicza, poprzedziły: zachwyt nad talentem pisarskim autora, oraz zapowiedzi dzieła ze wszech miar niepospolitego. Czytelnicy „Tygodnika ilustrowanego“, który wrażenia owe i obrazy w ciągu roku ubiegłego zamieszczał, chwyciwszy pojedyńcze urywki opowieści, oglądając z niezwykłą istotnie siłą odtworzone wizerunki tatrzańskich krajobrazów, unosili się nad doskonałą znajomością gór naszych i góralskiego ludu, nad oryginalnością poglądów, nad dosadnością słowa, nad malowniczością opisów. Opinia ta znalazła nawet ujście dla siebie w gazetach; w którėjś zapowiedzi ukazania się „Na przełęczy“ w książkowėj odbitce czytaliśmy, że wiele ustępów dzieła kwalifikuje się do zamieszczenia we wzorach stylu i języka, przeznaczonych dla użytku młodzieży szkolnėj.

Istotnie, p. Witkiewicz powszednią indywidualnością nie jest; lepszy z niego pisarz, niż rysownik-ilustrator, a rysownik-ilustrator lepszy, niż malarz. W żadnym atoli kierunku, ani jako pisarz ani jako malarz, arcydzieła dotąd nie stworzył. Najwybitniejsze stanowisko zajął on — wśród polemistów, ale działalności tėj dotykać obecnie nie mamy potrzeby. „Obrazy i wrażenia z Tatr“ są wyrazem szczerego, głębokiego umiłowania natury tatrzańskiėj, tatrzańskiego ludu, tego skrawka świata, nie zalanego dotąd jeszcze po brzegi filistersko-kosmopolitycznym werniksem. Rozmiłował się artysta w obrazach surowėj, dziewiczėj, wspaniałėj przyrody, w życiu krewkiego, nawpół-dzikiego ludu i — jak przypuszczać należy — bez planu, bez

słu — pisze np. p. Witkiewicz — jest téż w Zakopanem rozsadnikiem tyrolsko-wiedeńskiego gustu, niemieckiéj trucizny, zabijającéj artyzm góralskiego ludu“.

Lud tatrzański go zachwyca; nie idealizuje go jednak. „Dziś możnaby rachunek zrobić bliski ścisłości, któryby okazał ile dobrych chęci i czynów, ile pieniędzy zostało w Zakopanem pogrzebanych na marne wskutek tego właśnie bezkrytycznego zapatrywania się na ludność miejscową jako pierwiastek społeczny, wskutek przeceniania, idealizowania ludzi ze względu na stanowisko, jakie wśród ludu zajmowali. Górale przeciętnie są mało serdeczni — bezinteresowność i wdzięczność nie są przymiotami przeważającemi w ich naturze. Natomiast nadzwyczajna jéj giętkość i sprężystość robi z nich ludzi niezwykle towarzyskich, z łatwością stojących na każdym punkcie widzenia, siadających na każdym stołku. Inteligencya, spryt i owa przytomność umysłu, dzięki któréj góral zawsze znajdzie w porę odpowiedź, nigdy nie szuka w torbie konceptu, wykręca się zręcznie z trudności towarzyskich — nadają im pozory, na które łapie się każdy człowiek serdeczniejszy i oddaje im swoje sympatye bez zastrzeżeń“. Gwałtowny temperament odziedziczyli górale tatrzańscy po pradziadkach wojujących z przyrodą, dzikiemi zwierzętami i sąsiedniemi mieszkańcami górskich wyżyn i rozpadlin, t. zw. „liptakami“. Zbójectwo mają w krwi i kościach jako nie dającą się wyplenić integralną cząstkę swéj natury; zapalczywi, zręczni, przebiegli, do wybitki skorzy, nieubłagani dla wroga, na krew broczącą i rozlegające się lamenta nie wrażliwi wcale, trochę się dziś utemperowali, ale szydło z worka wyłazi aż nadto często. Jakimi zaś byli przed laty, dają wyborną miarę opowiadania starego, ośmdziesięciokilkoletniego górala, Sabały, do których wrócimy jeszcze poniżéj. Witkiewicz nie pomija zda się żadnéj strony życia góralskiego. Prowadzi nas do izby „gazdy“, opisuje drobiazgowo wnętrze chaty, statki w niéj charakterystyczne i typowe, oryginalne znamiona architektury, wiedzie czytelnika do szałasu, hen wśród gór samotnie stojącego, gdzie przebywają półdzicy „juhasi“, pasący lato całe do późnéj jesieni stada owiec pod wodzą „baców“, gawędzi z „juhaskami“, pnącemi się na wyżyny, aby stada doić, zasiada wśród „gazdów“ gwarzących gremialnie na przyźbie chat, głos daje samym góralom, a opowiadania ich powtarza ze ścisłością niemal stenografa, nie zatracając najdrobniejszego „prowincyonalizmu“. Plastycznie występują z tła owego sylwetki „zbójników“ dawnych, owych bohaterskich i rycerskich Rinaldinich tatrzańskich, postacie znienawidzonych „liptaków“, wreszcie trzy osobistości naj-

wypukléj opracowane: prof. Chałubińskiego, księdza Stolarczyka, dzisiejszego proboszcza zakopiańskiego i wspomnionego Sabały.

„Że Tatry są już czémś niezbędném w życiu naszego społeczeństwa — powiada p. Witkiewicz — że lud zakopiański znalazł środki podniesienia dobrobytu i oświaty, że u nas ludzie się przekonywają, iż nietylko na wyżynach alpejskich można znaleść warunki klimatyczno-lecznicze — wszystko to jest zasługą prof. Chałubińskiego. Jest to człowiek, który dla nas odkrył Tatry.“ Zakopiańskim zaś góralom dał poczucie etyki chrześciańskiéj i rzetelny katolicyzm — ksiądz Stolarczyk. On to, sam góral tatrzański, dźwigając belki własnemi rękoma dźwignął kościołek, pierwszy i jedyny w Zakopanem i nie bacząc na drwiny i lekceważenie swych „parafian“, jął w najpiękniejszem znaczeniu słowa rozwijać wśród nich zaszczytną misyę apostolską. Ksiądz, obok budzącéj zawsze respekt siły fizycznéj, posiadał wielką inteligencyę, zręczność życiową, łatwość w poznaniu i wyzyskiwaniu na rzecz swoich celów właściwości góralskiego charakteru. Wabił do kościoła, a tam jak taranem, słynnemi swemi kazaniami ciemnotę chłopską rozwalał. „Ambona, przy sposobie mówienia ks. Stolarczyka, stała się dźwignią opinii, wywoływała uświadomienie się, wyodrębnienie się pierwiastków lepszych. Publikując po imieniu tych, którzy postępowali wbrew etyce przykrojonéj nawet do miary niewielkich wymagań, ksiądz wydobywał na wierzch lepsze jednostki, głaszcząc z jednéj strony drażliwą miłość własną górali, z drugiéj okrywając hańbą tych, którzy ciągle woleli świstacze sadło i wyzieranie z po za buczka“. Dziś w pomoc dzielnemu kapłanowi przybyły inne jeszcze „cywilizacyjne“ czynniki i ułatwiła mu się praca, miru atoli wciąż wielkiego zażywa ks. Stolarczyk wśród ludności góralskiéj i położonych przezeń zasług już nic przyćmić nie zdoła.

Po za ks. Stolarczykiem i prof. Chałubińskim wychyla się w opowiadaniu p. Witkiewicza, jakby z zamierzchu lat odległych fantastyczna, arcytypowa, *con amore* dosadnym światłocieniem malowana postać Sabały. To raczéj dzieło sztuki ów stary, stareńki góral, a rzeźwy w sobie, zapalony przewodnik, entuzyasta Tatr swoich, żywa ich kronika. „Jest on — pisze autor — najpiękniejszym typem dawnego górala, jego opowiadania są rzeczywistą epopeą górskiego ludu, krystalizują w sobie wszystkie jego czucia i myśli w sposób niezwykły. Na tym przełomie do nowych form życia, jego opowiadania są jak łuna świecąca nad dogasającém ogniskiem, jak ostatni promień wspaniałego słońca, które obziera się po świecie ostatniemi blaskami nim zgaśnie na zawsze“.

Opowiadania Sabały o bójkach homerycznych z „liptakami“,

o wyprawach na niedźwiedzi, o przygodach juhasów, o czynach legendowych zbójników, uzupełniają nam to wszystko, co o ludzie tatrzańskim obecnym mówi nam autor. To są istotnię owe rapsody Homera, uzupełniające dzieje Grecyi, w których szuka się wątłego początku drobnych niteczek wierzeń, zwyczajów, cech charakterystycznych, nałogów, narowów danego ludu. Wdzięczność istotna p. Witkiewiczowi należy się za utrwalenie i przechowanie owych „tradycyi góralskich“, z których etnografowie dla studyów swoich, lingwiści dla badań porównawczych, artyści wreszcie dla wzorów dosadności, zwięzłości i siły stylu czerpać będą materyały. Sabała sam w opowiadaniu p. Witkiewicza wygląda jakoby postać z jakiéjś akwa-forty Rembrandta; kontury przytarte, światło jakieś fantastyczne pada na starca, przygrywającego na małych skrzypkach, odzywającego się niechętnie, nucącego czasem urywki starych piosenek, zapadającego u ognisk nocnych w hypnotyczny stan, w jakąś wernyhorowską zadumę i wysnuwającego wtedy, w jakiémś zapatrzeniu się we wspomnienia odległe, swe krwawe, straszne, mrowiem przejmujące opowieści. Zdaje nam się, że w kreśleniu Sabały uniosła autora wyobraźnia artysty i poety nieco po za ścisłą rzeczywistość; — że taki jednak stary góral, jakim z kart książki występuje, jest pięknym, efektownym, a przedewszystkiém malowniczym, zaprzeczyć się nie da. Jak opowiada Sabała? Na to pytanie jedyną może dać odpowiedź, pierwszy lepszy urywek w wiernym odpisie. Oto np. scena zabicia niedźwiedzia i raczenia się dymiącą jeszcze wątrobą, oraz tłuszczem zwierzęcia. „....Spadł, ani beknął (niedźwiedź ustrzelony) — opowiada Sabała.—Wartko nabijam flintę, juze prawie kapślik nakładam — przyleci Józek i zabiadkał: „O, mocny Boże! juze on nam useł! — Dopiro mu ukazujem, ten sie porwie do niego: — Stój!—rzeke, póki ja sie nie sprawie, a odwiedź flinte, bo jak on jesce zywy, to myby z telo zdrowi nie wyśli. Dopiro chodzem z daleka, patrzem, a mu tak ocy mgłom zielonom zasły, ale mruga jesce hej! Wziołek skale, bar! w niego. Sarpnął sie w jeden bok i leze. Kula jakok zamierzował przesła bez serce, zaś jeden lotek był w pięcie, a drugi za usami. No i dobrze nie bardzo. Wyjąłek nóz z torbki; toz to kiej mu nozem brzuk ozeprół, on sie cofa, cofa i palcami rusa. Co tchu nakładli my ognia.—Józek wątrobe piók, ja zaś sadła nawinął na patyk — wnet naciurcało to w kapelus. Pojedli my sytno, ino soli nam chybiało — onoby jesce lepse było ze solom. Bo niedźwiedzie mieso je godne! Spitwać co tchu, coby sie nie zaparzyło, to ono ta bedzie dobre. Cok przyniósł kany niedźwiedzia do domu, to to chłopi wnet skieltujom.

Co sie nie zrobiło. Józek poleciał do domu, przyseł z Jędrzkiem

z bratem i pachołkiem, — baryłe wódki przynieśli; nawarzyłek sadła w kapelus, ale im to było niedopowiedno, i dobrze niebardzo, tu kapelusa na głowe trza, tu sadła zal—wypiłek! To mnie tak wymaściło w plucak, co pięć roków krzypoty nijakiej nie miał. Jak juz potem trza było iść, niedźwiedzia tego my zabrali, ale nie mogli zdoleć, w pięci chłopów zabrać syćkiego—kark ostał.“ Takim to obrazowym, oryginalnym, silnym, dosadnym, charakterystycznym językiem ćwierć swéj książki zapisuje p. Witkiewicz — i wdzięczni tylko możemy mu być za to. Jest to jeszcze jeden nie mało ważny przyczynek do przyszłéj monografii ludu tatrzańskiego, któréj zarys wyborny i na najwiarogodniejszych danych oparty znajdujemy „Na przełęczy.“ I tu jest właśnie najcenniejsza strona książki, wielką jéj wartość stanowiąca.

Resztę książki wypełniają opisy tatrzańskich krajobrazów. P. Witkiewicz powiada o Mickiewiczu („Sztuka i krytyka u nas“), że „pod jego słowa można podkładać tony barwne“, tak wierne, doskonałe są opisy krajobrazów w „Panu Tadeuszu.“ Czy o krajobrazowych opisach w jego własném dziele można to samo powiedziéć? Słuszną bardzo czyni *loco citato* uwagę p. Witkiewicz, mówiąc wogóle o malowaniu słowem, że „wrażenie najbarwniejszego obrazu opisanego będzie o tyle tylko silne, o ile czytelnik ma w pamięci pewien zasób wrażeń barwnych od natury, o ile jest w stanie, pod wpływem podrażnienia wyobraźni przez opis, wywoływać i uprzytomniać te wrażenia w umyśle.“ Przypuśćmy, że czytelnik widział w naturze i dobrze je zapamiętał jeżeli nie Tatry, to Alpy, lub téż nawet na same opisywane Tatry patrzył, jeżeli nie z wyżyn Przełęczy, to chociażby ze skromnego pagórka Gubałówki. Czy wolno zwalać na niego wyłącznie odpowiedzialność za to, że opis czytany nie stawia mu przed oczami, z dostateczną dokładnością, przyrody? Opisujący ma w zanadrzu usprawiedliwiający go w każdéj chwili wykrzyknik: kochany panie, pan nie ma w pamięci dostatecznego zasobu wrażeń barwnych i przeto opis mój kochanemu panu nic nie mówi! Nie rozstrzygając kwestyi po czyjéj stronie wina, stwierdzamy tylko fakt, że opisy p. Witkiewicza, świetne pod względem stylowym, oprócz małych wyjątków, nie odtwarzają w wyobraźni czytelnika przyrody tatrzańskiéj. Tu i owdzie zwykły czytelnik, nawet taki, który Tatr wcale nie widział, będzie się mógł w tych opisach połapać, na innéj stronicy zrozumie autora — malarz; są atoli ustępy całe, które nikomu zgoła nic nie mówią; chaos słów, nic więcéj, słów nie układających się w obraz, ale tworzących kalejdoskopową, różnobarwną mozajkę. Pochodzi to stąd mianowicie,

że w opisach swych najczęściéj p. Witkiewicz miary nie zna, że nie zaznacza tych szczegółów, które najpierw, często jedynie, rzucają się w oczy, ale kolejno wybiera to wszystko, co mu podpada pod uwagę, długo stoi na miejscu, wpatruje się, podchwytuje coraz to nowe przejawy, zmiany, nawet drobiazgi, i wszystko, do ostatniego odcienia jakiéjś dalekiéj białéj plamki na skale, w obraz swój kładzie. Kiedy indziéj znów maluje plamami, kładąc bezpośrednio obok siebie plamę czerwoną, niebieską, białą, żółtą i t. d.; malarska ta metoda doskonała, gdy się obraz maluje, obraz, który artysta może widzowi kazać oglądać na dowolną odległość, metoda atoli fatalna, gdy chodzi o opis, bo czytelnik patrzy na o p i s zbliska, plam tych wszystkich nie obejmuje od razu wzrokiem, ale kolejno je ogląda, w miarę, jak każdą z nich podsuwa mu autor. Nic nie pomoże, po odczytaniu danego okresu, oczy zamknąć i pozwolić obrazowi powstawać powoli „przed oczyma duszy“; już chaotyczny opis sprawił swoje i wrył się niezatarcie w wyobraźnię naszą owemi narzucanemi bezładnie plamami. Sam p. Witkiewicz cytuje z „Pana Tadeusza“, jako wzorowy, opis ukazania się Telimeny Tadeuszowi przy świetle księżyca:

....widzi marę
Całą w b i e l i ź n i e, długą, wysmukłą i cienką,
Sunęła się ku niemu z wyciągniętą ręką,
O d k t ó r é j o d b i j a ł s i ę d r ż ą c y b l a s k m i e s i ą c a.

i powiada bardzo słusznie: „Cały opis figury redukuje się do jasnéj plamy bielizny i światła, które poziomo wyciągnięta powierzchnia białéj ręki bierze od księżyca, ale téż w naturze nic więcéj widzieć nie można.“ Téj saméj metody trzyma się p. Witkiewicz w opisie Sabały, wynurzającego się jak widmo z nocnych mroków: „Rozlega się ciężkie stąpanie i z cieniów nocy wysuwa się oświecona latarnią zgarbiona postać... Chwilę ją widać. Świeci się b i a ł o ś c i ą ubrania, blaskiem jakiéjś b l a c h y na piersiach, kosmykami s i w y c h włosów. Ledwie mamy czas zauważyć twarz wąską i chudą, i rozeznać skrzypce...“ Cały opis figury redukuje się do jasnéj plamy ubrania, „bliku“ blachy i jasnéj plamki oświetlonych siwych kosmyków włosów, ale téż w naturze nic więcéj widzieć nie można. Lecz weźmy dla przykładu opis, mający w wyobraźni naszéj wywołać obraz j e s i e n i w górach i wracających z pod halskich szałasów stad owiec. „Zrudziały i zżółkły upłazy, czerwieniły się porosłe suchemi trawami wirchy; regle pokryły się czerwonemi liśćmi buków, wszytych w ciemną gęstwę smereczyny; jesień ciągnęła w hale, wyganiając pasterzy do dziedzin. Redykały téż drogami beczące kierdele owcze i stada

krów; gazdowie odbierali od baców swój statek, poznając go po gębie, albo po umyślnych znakach. Zabrano się do strzyży“ (str. 114). Albo na inném miejscu: „Na polanę mrok padał, od przesuwającego się kłębu mgły siwéj, a wprost pod słońce stały szczerbate wirchy, ściany prostopadłe, zębate, otulone fioletowo-błękitnawemi cieniami, nasiąkłemi srebrzystym pyłem słonecznego światła. Niżéj słońce rozlewało się po skałach, połyskując na płatach śniegu, sunąc się na chropowatéj powierzchni zboczy i żlebów zasutych piargami“ (str. 131). Ani słowa, styl piękny, ale język ten upstrzony lokalizmami lub neologizmami, że znajdzie się w tych kilku wierszach druku słów sporo wręcz niezrozumiałych dla kogoś, co z gazdami i bacami nie obcował tak długo, jak autor „Na przełęczy.“ Opis nie wywołuje wcale wrażenia obrazu, a zoryentować się w nim można dopiéro po pewnym wysiłku uwagi i dobréj woli. Opis, który, jak metafizyczny aksyomat, „wgłębienia się“ weń wymaga, nie jest dobrym opisem. A dodać jeszcze, że tego rodzaju opisów jest moc nieskończona w książce, co ostatecznie czytelnika, nie przerywającego czytania popasami i wypoczynkami, wcale przyzwoicie nuży. Wyobrażamy sobie łatwo, że dla malarza, chcącego z pamięci malować tatrzańskie widoki, wiele cennych wskazówek zawierają tego rodzaju opisy, przypominają one jednak mimowoli owe „podręczniki dla samouków“, radzące np. gdy się maluje dzień upalny, domieszać nieco krapp-laki różowéj u dołu nieba lub na portrecie w dziurki od nosa, położyć nieco Van-dyck-braun'u. Prawda, w niebie upalném jest laka różowa, a w głębokich cieniach na twarzy odrobina barwy czerwonawo-brunatnéj, — ale nie rzecz o tém wspominać, opisując dane niebo lub daną fizyognomię.

Są téż natomiast w książce karty prześliczne, na których ścisłość i bystrość obserwacyi w parze idzie ze znakomicie wyrobionym stylem i umiejętnością niepoślednią odtwarzania słowem wrażeń, branych żywcem od przyrody. Wszelkie pochwały zastąpi taki oto np. ustęp, opisujący las w górach, po przez który wiedzie p. Witkiewicz wycieczkowe towarzystwo, a za niém czytelnika. „Las szedł w górę, wśród wielkich głazów oplątanych roślinnością, zawalony olbrzymiemi, rudemi trupami butwiejących pni drzewnych. Gdzieniegdzie zestarzałe korzenie, nie mogąc utrzymać leśnego olbrzyma, urwały się i zwaliły go potężnym wykrotem. Czarne, splątane ich ramiona ściskają wielkie głazy, na których rosły i które wydarły i uniosły upadając. Biały kawał skały, z którego się urwał taki smerek, świéci się wśród mchów, cały oplątany długiemi sznurami korzeni, które jeszcze trzymają się pnia potężnego i zdają się być jego wnętrznościami, wydartemi z rozpłatanego cielska. Wyżéj, na głazach omszałych, zwisały

krzaki kosodrzewiny, świeciły się wśród ciemnych drzew iglastych kity jaskrawych liści jarzębiny. Na wszystkich kępach, na głazach i pniach zbutwiałych, obrosłych materacami mchów, zieleniły się krzaki borówek, obwieszonych czarnemi jagodami. Szliśmy zatraceni wśród silnéj i bujnéj roślinności, tonąc wśród traw i kwiatów do pasa, brnąc w wodzie i ociekając rosą, która zlewała się na nas strumieniami.“ i t. d. i t. d. Zwrócić również należy uwagę na rozmaitość opisów, nie mijających żadnego charakterystyczniejszego objawu przyrody tatrzańskiéj, tak iż w ciągu wycieczki na Przełęcz znajduje p. Witkiewicz sposobność zapoznania nas z najróżnorodniejszemi zakątkami Tatr, począwszy od śnieżnych pól dostępnych dla niewielu turystów a kończąc na rodzajowym obrazku z doliny zakopiańskiéj. Daje nam zatém całokształt górskiéj przyrody, istną galeryę widoków trzymanych w przenajróżnorodniejszém oświetleniu i nastroju.

Część ilustracyjna pracy p. Witkiewicza tém się różni od literackiéj części książki, że gdy tu pierwszeństwo oddalibyśmy temu wszystkiemu co nam autor mówi o ludzie tatrzańskim; tak znowuż ludzie rysowani ustępują wszędzie rysowanéj przyrodzie. Figury, rodzajowe sceny p. Witkiewicza ciężkie są, jakby mozolnie koncypowane, często niezgrabne; wyjątek stanowi kilka typów, a zwłaszcza portretów. Natomiast wśród krajobrazów są bardzo piękne niektóre a wszystkie cechuje śmiałość, wyrazistość, wyborne światło i nader umiejętna charakterystyka Tatrom właściwa. Nigdy prawda nie została poświęconą dla efektownéj t. zw. „malowniczości“, co tak często się zdarza w pejzażach alpejskich. Bryłowatość skał prawie wszędzie znakomita — banalnéj elegancyi winietkowéj nigdzie, wszędzie studya, wszędzie artyzm i, raz jeszcze kładziemy na to nacisk, dbałość o prawdę w każdym szczególe. Jeden tylko rysunek zatytułowany „Czarne smereczyny“ tak niejasny, że rychléj byśmy się go spodziewali ujrzeć w jakiémś ilustrowaném wydaniu „Piekła“ Dantejskiego, niż wśród kolekcyi krajobrazów nic wspólnego z fantastycznością nie mających.

Ogólnie biorąc, pracowite dzieło p. Witkiewicza uważamy przedewszystkiem za nader cenny przyczynek do monografii Tatr, ich przyrody i tatrzańskiego zwłaszcza ludu. Etnograficzna jéj wartość niepospolita i daleko zostawia za sobą zalety literackie dzieła.

Cz. Jankowski.





Arystotelesa nowo-odkryte dzieło.

(Αθηναίων Πολιτεια) [1].

Kilka miesięcy temu lotem błyskawicy obiegła cały świat naukowy wieść z Londynu, że tam pomiędzy skarbami biblioteki Muzeum brytańskiego odnaleziono wiarogodny rękopis nieznanego dotąd dzieła Arystotelesa, o którego rzeczywistém niegdyś istnieniu głuchą wiadomość przekazała starożytność. Piorunujące wrażenie sprawiła taka pogłoska we wszystkich kołach naukowych: zdziwienie, radość i zachwyt z jednéj, zupełną niewiarę z drugiéj strony. Dziś w końcu XIX-go wieku, kiedy wszystkie biblioteki, zwłaszcza większe i wzorowo urządzone, są nawskroś prawie przeszukane, kiedy już żadnych nie mieszczą w sobie tajemnic, którychby przynajmniéj sam zarząd nie znał, odszukać i odnaleść dzieło nie jakiegoś podrzędnego pisarza, nie jakiś drobny fragment lichego utworu, ale dzieło wielkiego mistrza starożytności, dzieło samego Arystotelesa, wydało się wielu taką rzeczą dziwną i niepojętą, że poprostu uważano tę wieść za kaczkę dziennikarską, albo przynajmniéj za grubą pomyłkę, polegającą na złudzeniu, za którą wypadnie uczonym filologom angielskim powstydzić się wobec oględnych powag naukowych w Niemczech, w ojczyznie wielkiéj szkoły badaczów świata klasycznego. Jeszcze się nie zdołały uspokoić fale zdumienia, zazdrości i powątpiewania, aliści już ukazuje się w druku same dzieło Arystotelesa w orygi-

---

[1] ΑΘΗΝΑΙΩΝ ΠΟΛΙΤΕΙΑ. Aristotle on the Constitution of Athens. Edited by F. G. Kenyon M. A. Fellow of Magdalen College; Oxford, Assistant in the Department of Manuscripts, British Museum. Printed by order of the Trustees of the British Museum at the Clarendon Press Sold at the Museum and by Longmans, Quaritch, Kegan Paul and Henry Frowde, 1891, LII + 190, str. 8 maj.

nalnéj swéj szacie, poprzedzone rozległym, obszernym wstępem uczonego odkrywcy i wydawcy Kenyon'a, który w sposób przekonywający usuwa wszelkie wątpliwości. Autentyczny utwór Arystotelesa z liczbą roku 1891 już puszczony jest w obieg. Słowo ciałem się stało. Rozchwytano tak prędko, prawie w okamgnieniu w samym Londynie pierwsze wydanie, zaledwie się ono na świat ukazało, że bardzo mała ilość egzemplarzy dostała się na ląd stały Europy. Drugie wydanie już niebawem ma ujrzéć światło dzienne. Wątpliwości i podejrzenia ustąpiły całkowicie. Niemcy w osobie swych najlepszych przedstawicieli nauki klasycznéj stwierdzają wiarogodność pisma, oddając należny hołd Anglikom za odkrycie, które każdy bezstronny uznać musi za jedno z największych odkryć naukowych, dokonanych w dziejach umysłowości nowożytnéj.

Mamy więc przed sobą nowe, nieznane, a autentyczne dzieło wielkiego Stagiryty — treści historyczno-politycznéj, obejmujące wykład kolejnego rozwoju konstytucyi Aten, jak Anglicy zwykli nazywać to, co w naszym języku oddać można słowem — ustawy, czyli urządzeń politycznych.

Niesłychaną ciekawość wzbudzają w każdym uczonym okoliczności, które towarzyszyły odkryciu tego niepospolicie ważnego dzieła, rzucającego tyle światła na dzieje wewnętrzne grodu i rzeczypospolitéj ateńskiéj. Nie mniejszy interes posiadają dla badacza cechy zewnętrzne, formy, kształt rękopisu, wreszcie sama treść jego, oraz szczegóły, jakie się w niém mieszczą. Obszerny wstęp wydawcy Kenyona, poprzedzający samo dzieło, daje dość dokładne w tym względzie informacye. Przedmowa napisana jest z wielką ścisłością i znajomością rzeczy. Dowód autentyczności odznacza się niezwykłą siłą i jasnością rozumowania. Pod jednym tylko względem ciekawości naszéj, z powodów łatwo zrozumiałych, zaspokoić nie potrafi wstępne słowo wydawcy. Skąd mianowicie dostał się ten skarb rękopiśmienny do Muzeum brytańskiego? W téj mierze zachowano zupełne milczenie. Tyle się tylko dostało do przedmowy, co podał Mr. Scott, zarządzający oddziałem rękopiśmiennym, a mianowicie notatka przezeń podpisana „jedyny tekst w Muzeum brytańskiém na papyrusie pod liczbą CXXXI.“ Zdaje się, że nabytek pochodzi z Egiptu. Dowód autentyczności oparł się przeto na innych okolicznościach, choć zaprzeczyć nie można, że pochodzenie manuskryptu nie jest w sprawach podobnych bez znaczenia. Rękopis mieści się na zwojach papyrusowych i stanowi prawie jednę nieprzerwaną całość, złożoną z 30 kolumn. Brak tylko początkowego ustępu; końcowy zaś jest również nieco nadwerężony. Charakterystyczną cechę rękopisu stanowi i to, że

papyrus zapisany jest po jednéj i po drugiéj stronie. Na stronie oblicznéj znajduje się tekst grecki jakiegoś rządcy majątku w Egipcie, dającego sprawę ze stanu gospodarstwa, na odwrocie zaś mieści się utwór Arystotelesa. Pismo greckie w traktacie Arystotelesa nie jest jednostajne. Odróżnić w niém można cztery ręce, ale podobieństwo jednéj z nich do ręki, która pisała owo gospodarczo-ekonomiczne sprawozdanie, jest rażące. Są te same skrócenia, i ten sam charakter niektórych liter. Pismo na oblicznéj stronie datowane jest z epoki cesarza Wespazyana, a zatém z drugiéj połowy pierwszego wieku. Traktat zaś Arystotelesa mógł być nieco późniéj napisanym o jakie lat 20 lub 30, około roku 100 po Chr. Zbytecznem byłoby tu powtarzać te wszystkie szczegóły, które wydawca Kenyon przytacza celem stwierdzenia wiarogodności dzieła Arystotelesowego. Jego oględna krytyka uchyla wszelką pod tym względem wątpliwość, a wątpliwości nasuwają się uczonemu wydawcy na każdym kroku. Między wielu innemi okolicznościami przytoczyć można i tę nie bez znaczenia, że w bibliotece w Berlinie znajduje się bardzo niewielki urywek tegoż samego dzieła Arystotelesa, ale tak nieznaczny, że nauka filologii nie umiała się zdecydować na postawienie w téj mierze jakiegoś stanowczego wniosku. Na papyrusie zaś londyńskim występuje także ten sam fragment pracy Arystotelesa, ale tam znalazł się on w swéj nierozerwalnéj całości.

Treść dzieła najzupełniéj zgadza się z tém co dotychczas wiadomém było o Πολιτεία Arystotelesa. Świat starożytny przekazał nam bowiem wiadomości, że Stagiryta był istotnie autorem podobnego dzieła o rozwoju wewnętrznych urządzeń Aten. Znali je między innymi Dyogenes Laertius, Hezychiusz i Ptolomeusz. Dzieło składa się z dwóch części. W pierwszéj Arystoteles daje treściwy przegląd urządzeń politycznych w Atenach od najdawniejszych czasów, aż do przywrócenia demokracyi za archontatu Euklidesa w 403 r.: a więc przegląd jego wykładu stanowią Jon, Tezeusz, Drakon, Solon, Pizystrat, Klistenes, zamach stanu areopagu, zwalenie areopagu, oligarchia, trzydziestu tyranów, wreszcie przywrócenie demokracyi. W drugiéj zaś części mieści się obraz urządzeń politycznych w Atenach w ciągu całego IV-go wieku, podany jest zakres władzy oddzielnych urzędów. Wreszcie wykład potrąca jeszcze o ustawę, która na rok 329-ty przypada. W tych ostatnich rozdziałach autor występuje już nie jako historyk, który przeszłość wskrzesza na podstawie dawniejszych świadectw, ale jako współczesny pisarz, który własnemi patrzył oczyma na stosunki wewnętrzne rzeczypospolitéj ateńskiéj. Taką tu obfitość niesłychanie ciekawych szczegółów znajduje historyk i starożytnik pod względem urządzeń prawnych, ekono-

micznych i skarbowych, że czytając je, oderwać się nie może od tego dokładnego obrazu, jaki roztacza przed nim pióro filozofa-polityka. Całe promienie światła spływają tu na stosunki wewnętrzne Aten, które dotychczas, z owéj mianowicie epoki, w bardzo mglistych i niepewnych przedstawiały się rysach. Znać tu na każdym kroku w tych określeniach jasnych, dokładnych i w tym układzie systematycznym głęboki umysł mistrza, który tyle trafnych umiał wypowiedzieć uwag o istocie i o duchu urządzeń politycznych wogóle.

Jeżeli ta druga część dzieła Arystotelesa taką wielką posiada wartość co do swéj treści ze względu, że ją współczesne wyłożyło pióro, które czerpało przedmiot z życia, to niemniejszą doniosłością naukową odznacza się pierwsza jego połowa, choć obejmuje rzeczy i wypadki dawno ubiegłe, o których przechowały się tylko wspomnienia historyczne.

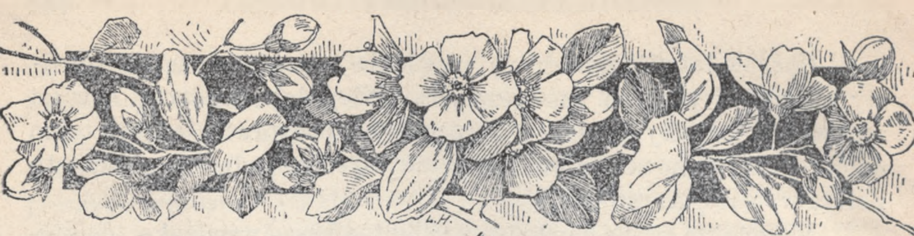
Lubo Herodot i Tucydydes przekazali w swych dziełach sporo wiadomości, odnoszących się do rozwoju urządzeń politycznych w Atenach, nie tracą bynajmniéj swego znaczenia te nowe rysy, jakiemi zbogaca naszę wiedzę dziejową w tym względzie Arystoteles. Jego praca historyczna ukazuje nam autora w świetle bardzo korzystném, zwłaszcza co do staranności, z jaką zebrane są różne szczegóły, charakteryzujące publiczną działalność prawodawcy Drakona, oraz Solona, który rzucił pierwsze szersze podwaliny pod gmach demokracyi ateńskiéj. Co zaś szczególniejszy stanowi dla historyka urok, to te liczne pomniki dziejowe w kształcie ustaw i dokumentów, które Arystoteles w swém dziele przywodzi. Korzystając z takiego wiarogodnego materyału, wyświeca on nam wiele ciemnych i nieznanych stron w działalności np. Drakona, tak osławionego z powodu surowości swego prawodawstwa. Obecnie daleko łagodniejsze światło spada na tę osobistość, o której przechowało się podanie, że surowe prawa Drakona krwią ludzką były pisane. Nie gardzi Arystoteles także i anegdotycznemi wzmiankami, któremi ubarwia dosadną charakterystykę działaczy politycznych. Miłą niespodziankę stanowi dla historyków i badaczy piękna ujmująca forma, w jaką ujął swą treść bogatą filozof, którego suchy wykład w lakonicznym stylu dotychczas uważany był za znamienną cechę jego analityczno-realistycznego umysłu. Nowo odkryte dzieło, zwłaszcza pierwsza część jego, zniewala obecnie do złagodzenia tego sądu na korzyść Arystotelesa. Cyceron, który znał prawdopodobnie wszystkie dzieła Stagiryty, unosił się nad złotym potokiem jego wymowy (*flumen orationis aureum*). Dotychczas takie określenie było dla badaczy prawie niezrozumiałém. Tych właściwości miodopłynnego słowa dopatrzéć się nie było można w dziełach Arystotelesa.

Obecnie łatwiéj zgodzić się na zdanie rzymskiego mówcy-stylisty, chociaż z pewném zastrzeżeniem. Niepodobna jeszcze bowiem zrozumiéć, jakimby sposobem Cyceron na podstawie jednego tylko dzieła historyczno-starożytniczego, tak wysoko podnosił potoczystą i złotą wymowę Arystotelesa.

Wogóle, że tu już zamkniemy pobieżną naszę wzmiankę, do któréj skłoniła nas chęć jak najprędszego podzielenia się wiadomością o tak niepospolitém odkryciu, należy zaznaczyć, że nowość niezwykłéj zdobyczy olśniewa, wytrąca z równowagi i do spokojnego sądu nie usposabia. Poprzestać więc tylko można na podniesieniu tego wielkiego w rocznikach umysłowości europejskiego zdarzenia. Szczegóły w określeniu doniosłości pod względem historycznym i filologicznym nowego dzieła, rosnąć będą w miarę czasu i postępu studyów krytycznych, do których niebawem przystąpią uczeni wszystkich narodowości. Na porządku dziennym stanie dziś Arystoteles. Ku niemu zwróci się praca dziejopisów i flologów. Na długie lata dostarczy on materyału do rozpraw. Historya Aten w pełniejszém i jaśniejszém ukaże się świetle.

P.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Dyplomy i Kancelarya Przemysława II. Studyum z dyplomatyki polskiéj XIII wieku, napisał Stanisław Krzyżanowski, (z 12 tablicami w fototypii). Kraków 1890 r. (Osobne odbicie z VIII tomu Pamiętnika Wydziału filologicznego i filozoficzno-historycznego Akademii Umiejętności).

Po długiej i mozolnéj czynności w zakresie wydawniczym ostatnich lat dwudziestu, mamy do rozporządzenia już obecnie dość znaczną ilość kodeksów dyplomatycznych, obejmujących materyał wielkiéj wagi dla badacza dziejów Polski. Niestety, wyłącznie niemal czynność naszą poświęcając na sprawę wydawnictw, zamało z wydanych już tak obficie rzeczy korzystamy. Dla tego wdzięczność się należy autorowi powołanéj na czele rozprawy, że za przedmiot do poważnéj pracy obrał „dyplomy i kancelaryę Przemysława II“, wdzięczność tém większa, ponieważ do dziejów świetnéj epoki wnuka Odoniczowego jedyne prawie źródło stanowią dyplomata.

Autor pod dobrém przewodnictwem wyrobiony w szkołach niemieckich, na niemieckich téż wzorował się dziełach. Sam we wstępie zaznacza, że będzie się trzymał metody prof. Sickla, jakkolwiek uważa ją za niedostateczną [1]) — w dalszym zaś ciągu rozprawy, a nawet w jéj rezultatach czuć się daje wpływ pracy M. Perlbacha: *Das Urkundenwesen Herzog Mestwin II von Pommerellen* [2]).

Temu to wpływowi przypisać należy mozolne zestawienie przez autora wszelakiego rodzaju formuł, jako to: inwokacyj, areng i t. d.

[1]) str. 1. [2]) Preussisch-Polnische Studien. Halle 1886. Heft II.

Perlbachowi było to potrzebném dla ułożenia tablic w celu wykazania tym sposobem, jakie mianowicie dyplomy wyszły z kancelaryi Mściwoja II, jakie zaś z rąk odbiorców; ale autor tablic takich nie podaje. W liczbie dokumentów, których formuły autor skrzętnie notuje, jest znaczna liczba sfałszowanych, oraz takich, które nie wyszły z kancelaryi Przemysława. Tak np. daje do myślenia, że inwokacya Nr. 6 „*In nomine Patris et Filii...*“ zdarza się tylko w dokumentach, wydawanych dominikanom poznańskim; arenga Nr. 28 „*Religiosam vitam eligentibus...*“ i raz i drugi w dyplomatach przeznaczonych dla klarysek gnieźnieńskich; *salutatio* z pewnością nigdy w kancelaryi Przemka nie używano, na co podobno zgadza się i sam autor [1]). Jeżeli więc tak, to pytanie ku czemu ma służyć to zbiorowisko formuł używanych w kancelaryach księcia Poznańskiego, dominikanów, cystersów, oraz w masie dokumentów sfałszowanych? Sam autor to czuje, gdy ostrzega [2]), aby być ostrożnym z tytułami, które raz tylko w dokumentach Przemka się zdarzają, jak np. z tytułem „*dux Poznanie et Calyssie*“, użytym w dyplomacie Nr. 528, który zdaniem autora, jest sfałszowany. Czy nie łatwiejszém i pożyteczniejszémby też było, gdyby autor ograniczył się tylko, do głównych odmian formuł, niewątpliwie używanych w kancelaryi książęcéj, np. gdyby przytoczył trzy czy cztery główne arengi, ale zato *in extenso*, nie zaś pierwsze kilka słów, z których niewiele czytelnik zrozumiéć może. Tak postąpił Herzberg w swéj pięknéj pracy o dokumentach cesarzy niemieckich 1246 — 1343; w publikacyi prof. Sickla i Siebla „*Kaiserkunden in Abbildungen.*“ Zdaje nam się również rzeczą zbyteczną, kiedy dość szeroko tłómaczy, co jest inwokacya, a co arenga. Rozprawa nie jest przeznaczoną dla większego koła publiczności, zdoła zainteresować ledwo specyalistów, trudno zaś przypuścić, aby u nas historyk jeszcze nie umiał odróżnić arengi od korroboracyi albo promulgacyi.

Przechodzimy do *actum et datum.* Autor naliczył aż 22 formy daty, redukuje jednak tę wielką rozmaitość do trzech zasadniczych „rodzajów“: *actum*, *datum* i *per manus* [3]). Z różnéj kombinacyi tych trzech części składowych powstała pomieniona wielka ilość form daty. Zastanówmy się teraz, czy właściwie autor postąpił, wciągając „*per manus*“ pod kategoryę daty?

Tłómacząc troskliwie czytelnikowi znaczenie każdej formuły, zaniechał tego autor przy dacie. A szkoda. Widocznie uważał ją autor za zbyt zrozumiałą, bo tylko zapewnia [4]), że „jest jedną z najważniej-

[1]) str. 10, 20 (możliwa zależność „schematu“ od odbiorcy).
[2]) str. 11. [3]) str. 15. [4]) str. 14.

szych formuł dyplomu“, tymczasem właśnie co do pojmowania daty musimy się z autorem poróżnić. Niezrozumiałe dziś dla nas często wyrażenia *actum*, *datum* czy *per manus*, było bardzo jasném dla współczesnych; nie o znaczenie więc tych pojęć czy ich kombinacyj wówczas chodziło. Treścią formuły *actum et datum* jest przedewszystkiém oznaczenie czasu i miejsca wydania dyplomatu: a jeżeli tak, to na jakiej zasadzie łączy z nią autor *per manus?* Prawda, że przy niém domyślać się należy częstokroć gramatycznie „*datum*“, — logicznie jednak zmuszeni jesteśmy „*per manus*“ wyosobnić w oddzielną formułę, któréj treścią będzie oznaczenie imienia notaryusza, który dokument wręczył, czy pisał. Formuła ta w niemieckiéj nauce znana jest pod nazwą „*die Aushändigungsformel*“; pełną jej formę mamy np. w dyplomatach Nr. Nr. 529, 619, 662. Podobnie jak *mentio testium* łączy się częstokroć ściśle z korroboracyą za pomocą wyrazów „*his testibus*“ lub „*presentibus testibus*“, tak i „*per manus*“ jakkolwiek ściśle połączone z datą, nie przestaje być tém niemniéj oddzielną formułą, bo zachowuje swą odrębną treść materyalną. Bywają wreszcie wypadki, że zamiast *datum*, wprost napisano „*scriptum per manus*“, jak np. w dokumencie Janusza [1]), księcia Mazowieckiego. Wreszcie i nasz autor sam dowodzi, że *datum* znaczy właściwie *scriptum*. Jeżeli więc wykluczymy *per manus* z *actum et datum* otrzymamy tylko 14 form w miejsce 22.

Wogóle „*per manus*“ stanowi szkopuł, w pracy pana Krzyżanowskiego. Zaznaczywszy [2]), „że formułka“, złączona czasem u Bolesława Wstydliwego z *porrectum* oznacza wręczenie dyplomu, to samo raz u Przemysława, podobnie jak i w dyplomatyce niemieckiéj, autor odrazu przechodzi do swego *parti pris*, że w *per manus* wymienionym jest pisarz dyplomu. Kto wié, czy i tutaj nie działał wpływ Perlbacha, który podobne wnioski stawiał co do kancelaryi Mściwoja II.

Okoliczność, że znajdujemy w niektórych dyplomatach „zapiski“, t. j. pełną formę *per manus*, które zdaniem autora „wprost pisarza wymieniają“, i że w tym samym prawie czasie wydane inne dyplomata mają *per manus* z imieniem tego samego pisarza, np. Jakóba czy Jaśka, — niczego jeszcze nie dowodzi. Najprzód wyrażenia „*conscripsi*“' „*subscripsi*“, a nawet i „*scripsi*“ niekoniecznie mają jeszcze oznaczać pisarza dyplomatu; przypuszczalnie stosują się one tylko do samego konceptu, czy brulionu dyplomów, jak słusznie zauważył Posse [3]) dla

---

[1]) Kodeks dyplomat. księstwa Mazowieckiego. Warszawa, 1863, Nr. VIII str. 343.

[2]) str. 15. [3]) Die Lehre von den Privaturkunden. Leipzig, 1887, str. 173, u. 8.

dyplomatyki niemieckiej. A zresztą, przypuściwszy nawet, że tak jest, jak chce autor, spostrzeżenie jego do żadnych nie upoważnia jeszcze wniosków, bo mógł notaryusz jeden dokument sam sporządzić, a inne wprost wręczyć lub zaopatrzyć pieczęcią.

Szerzéj atoli dowodzi autor swéj tezy w rozdziale czwartym, w którym omawia „kryterya zewnętrzne.“ Zagadkę, co znaczy *„per manus“*, co *„scriptum“*, a co *„conscriptum“* można rzeczywiście rozwiązać jedynie drogą paleograficznego badania. Gdyby autor trzymał się ściśle metody prof. Sickla, nie uzupełniając jéj czém inném, być może, że wiele światła by rzucił na te sporne kwestye; stało się inaczéj. Postanowiwszy *a priori* dowieść swego założenia, autor zestawia oryginały podług imion notaryuszów, jakie noszą u spodu, mimo to, że różnią się zupełnie charakterem pisma i to często bliskie siebie co do daty wydania, — identyczne zaś pod względem pisma daleko co do daty stoją od siebie. Następnie autor dzieli oryginały noszące imię tego samego notaryusza na kilka zasadniczych typów, które dość fantazyjnie nazywa; — poczem ostrzega czytelnika [1]), że nie należy w XIII w. „wyobrażać jakiejś martwoty niewzruszonej linii, zakończeń lub skróceń „że pisarz wprawniejszy lubiał nieraz wodze popuszczać fantazyi i nowych, gdy mu się jedne znudziły, form próbować“; nareszcie każe śledzić, kiedy różnice pisma są zasadnicze, a kiedy „tylko przypadkowe od czasu, materyału, od usposobienia pisarza zależne“ [2]).

Jako przykład argumentacyi autora weźmiemy oryginały przypisywane przez niego Jaśkowi. Po ich zestawieniu odróżnia autor pięć typów pisma Jaśkowego: typ ozdobny (1), typ ozdobny prosty (2), typ prosty nieozdobny (3), typ z przewagą długiego S (4), kursywa Jaśka (5); — przytém nie omieszkał przytoczyć, który dokument jakim typem pisany. Jeżeli na miejsce numerów postawimy odpowiednie daty wydania dokumentów, to otrzymamy następujący rezultat: 1286 r. 9 Sierpnia pisał J. typem Nr. 1 (568). 1287 24 Lutego — Nr. 1 (573). 1287 — Nr. 3 (578). 1287, 13 Lipca i 1287 22 Sierpnia — Nr. 1 (579, 582). 1288, 12 Maja i 1288 17 Maja — Nr. 2 (619, 621). 1288 Czerwca 30—Lipca 6 i 1288 15 Sierpnia—Nr. 4 (625, 629). 1290 r. 18 Stycznia — Nr. 5 (642); 1290 20 Kwietnia — Nr. 3 (643). 1291, 1 Września — Nr. 5 (674). 1291, 16 Października—10 Lutego 1293 (8 dyplomatów) — Nr. 1 (677 — 693). 1293 19 Kwietnia — Nr. 5 (694). 1293 30 Czerwca i 1293 30 Czerwca — 5 Lipca — Nr. 3 (701, 702). 1293 11 Sierpnia — Nr. 5 (706). 1295 6 Kwietnia i 1296 16 Sierpnia —

---

[1]) str. 27. [2]) loc. cit.

Nr. 1 (732, 752). Ośmielimy się teraz rzucić pytanie, czy można te ciągłe zmiany charakteru pisma przypisać „usposobieniu pisarza“, albo „czasowi i materyałowi“, który, zdaniem autora, podobne „przypadkowe“ powodował różnice?

Prawie jednocześnie z naszym autorem pisał O. Didon swe piękne dzieło, we wstępie do którego wyraża myśl, że każdy „*esprit trop cultivé*“ ma zawsze przed oczami swój system, który zmusza „*voir ce qu'on veut et ne pas voir ce qui ne nous convient point*“. [1]) Praca o któréj mówimy może podobno służyć za potwierdzenie słów uczonego dominikanina.

Ale idźmy daléj. O typie z przewagą długiego *S* mówi autor w ten sposób: „Odrzućmy wszędzie tę literę (*r*), i fantazyjne *P* i *S* w tytule i *M* w arendzie, a przekonamy się, jak to pismo jest podobném do fig. 4....“ I dalej: „znaki skróceń często inne, bo proste kreski poziome, jednak przecież gdzieniegdzie dawniejsze wracają.“ W ten sposób łatwo dowieść podobieństwa najróżniejszych charakterów. Autor czyni jednak wyjątek dla dyplomatu Nr. 695, opatrzonego imieniem Jaśka i Nr. 636 z imieniem Jakóba, których autorstwo przypisuje klasztorowi Lędzkiemu. Dokumenty te nie wzbudzają jednak u autora żadnych wątpliwości co do prawdziwości jego systematu; zaznacza tylko, że jest to „rzadki wypadek, gdzie *d. per manus* co innego oznacza... skoro się nawet w dyplomach ręką odbiorcy pisanych pojawia“ [2]). To też postępując w ten sposób z różnemi pism charakterami, autor dochodzi do podobnie ryzykownych wniosków, jak np., że Jaśko, notaryusz książęcy, oddał się na usługi kapituły poznańskiej [3]) i t. d.

Pracując czas dłuższy pod kierunkiem najszanowniejszego prof. A. Pawińskiego nad dyplomatyką wogóle, i nad polską XIII w. w szczególności, co do znaczenia formuły *per manus* do innych niż p. Krzyżanowski doszedłem wniosków. Przeczytawszy jego pracę, utwierdziłem się jeszcze bardziéj w tém przekonaniu, że nie oznacza pisarza dyplomatu. Wątpliwém mi się również wydaje, czy można obecność pomienionej formuły uważać za nieomylny znak, że dokument wyszedł z kancelaryi książęcéj, jak twierdzi Posse [4]) dla dyplomatyki niemieckiéj. Tak np. bardzo prawdopodobném wydaje nam się spostrzeżenie p. Krzyżanowskiego [5]), że dyplomata Nr. Nr. 636 i 695 wyszły z klasztoru Lędzkiego. W takim razie nie widzę racyi, dlaczegoby i dyplomat Nr. 7 (Ulanowski Dok. kuj. i maz. 355) dany temuż kla-

---

[1]) Jésus-Christ. Paris 1891, I. str. XXXII. [2]) str. 29. [3]) str. 27.
[4]) Die Lehre von den Privat urkunden. Leipzig, 1887, pag. 173, — 174.
[5]) str. 28 — 29.

sztorowi i mający z Nr. 695 wspólną arengę nie miał ztamtąd pochodzić. Tymczasem ostatni dyplomat zawiera *per manus* z imieniem Tilona a dwa pierwsze Jakóba i Jaśka. W takim razie formuła oznaczałaby tylko *wręczenie* dyplomatu, który był tylko rewidowanym w kancelaryi książęcej, uprawomocnianym niejako przez notaryusza, naturalnie na rozkaz księcia, czemu towarzyszyło nieodłącznie przytwierdzenie pieczęci (*manu propria sigil lavi*). Formuła *per manus* również jak i *mentio testium* dodawała dokumentowi więcéj znaczenia. Naturalnie nie wykluczamy możebności, że notaryusz sam niekiedy pisał dokument; w takim razie *per manus* rzeczywiście może oznaczać pisarza dyplomatu.

Ostatni, piąty rozdział rozprawy poświęcony jest kancelaryi Przemysława. Trudno mieć za złe autorowi, że wobec wszelkiego braku danych, nie doszedł do pozytywnych rezultatów; szkoda jednak, że zupełnie pominął tytuł *protonotarius*, który raz nosi Tilo (Nr. 576) i trzy razy Świętosław (Nr. Nr. 2055 — 2061). Szkoda również, że autor konstatując wielokrotnie fakt wielkiej jednolitości form w dyplomatach Przemysława, przypisuje to zjawisko jedynie téj przypadkowéj okoliczności, że notaryusze Tilo, Jaśko i Mikołaj i mniej czynny Jakób, są braćmi [1]). Zupełnie pomija autor ważną kwestyę, czy istniały w kancelaryi Przemysława gotowe formularze, z których korzystano przy redagowaniu dyplomatów. Formularze takie niewątpliwie, mojém zdaniem, były w użyciu, i im to raczéj, a nie pokrewieństwu między notaryuszami, jednolitość form przypisujemy.

Jakkolwiek różnimy się z autorem co do zasadniczych poglądów, z radością witamy jego rozprawę jako zapowiedź dalszych prac w tym kierunku.

Studya na polu dyplomatyki, tak zaniedbanéj u nas, powinny poprzedzić prace paleograficzne, których próbkę dał nam autor. Miejmy nadzieję, że w tym kierunku w dalszym ciągu działać będzie ku pożytkowi nauki. W tém téż miejscu należy nam oddać hołd pracowitości oraz dobrym chęciom autora, który zwiedził kawał świata w poszukiwaniu dyplomatów Przemysława. Niemałą jest téż jego zasługą, że wynalazł i po raz pierwszy wydrukował w dodatku do swéj pracy trzy nieznane dotąd dokumenty.

Lecz największą zasługę autora stanowią pięknie ułożone regesta i to w języku łacińskim. Podobnych regestów brak wielki uczuwać się daje w naszej literaturze historycznéj. Szkoda tylko, że autor pominął zupełnie dyplomata, które Przemysław współwydaje, współ-

---

[1]) str. 37.

pieczętuje, albo w których występuje jako świadek, np. Nr. Nr. 450, 460, 523, 544, CLXIII, 259 (Fabriz. Urk. d. Fürst. Rügen t. 3 p. 48) i wiele innych. Regesta są opatrzone przypiskami, w których między innemi jest poruszona kwestya autentyczności niektórych dokumentów.

Na zakończenie sprostować nam należy niektóre błędy i wypełnić opuszczenia, które przy czytaniu rozprawy zauważyliśmy.

Trzecią formę inwokacyi, wszakże bez *amen* (*In nomine Domini nostri Jesu Christi*) znajdujemy jeszcze w dyplomacie Nr. 714, oprócz wymienionych przez autora. Szóstej formy (*In nomine Patris et Filii...*) bez *amen*, nie ma wcale, a z niém mają dyplomata Nr. Nr. 464 i : 04, a nie Nr. 732, jak mylnie podaje autor. Inwokacyi brak rzeczywiście chyba tylko w jednym dyplomacie Nr. 615 (495 a), w pozostałych sześciu, podanych przez autora jest zupełnie normalném zjawiskiém, ponieważ są to zwyczajne postanowienia, rozporządzenia (*statuta, ordinaciones*), jak np. Nr. 683 sołtysowi, które wydając książę nigdy na początku do imienia Boskiego się nie uciekał; jest to więc reguła ogólna.

Pod kategoryą arengi Nr. 32 zgromadził autor dwie różne arengi:

1. *Que geruntur in tempore ne temporis effluente articulo facilius elabantur, necesse est ea litterali apice nec non testium subscripcione firmiter roborari* (Nr. 629).

2. *Que geruntur in tempore simul evanescunt cum tempore, nisi per litteras et voces testium sumant robur perpetuum et stabile firmamentum* (Nr. 743).

Oprócz początku niemają one nic wspólnego.

Co do imienia forma Premizel, użyta jest jeszcze w dyplomacie Nr. 618; formy Premuzel nie ma, ale Premuzl (Nr. 701); Primuzel również, ale Pramuzel (Nr. 665) i Primilz też nie ma, ale Premilz (Nr. 617). Tak przynajmniéj wydrukowano w kodeksie, bo oryginałów nie widzieliśmy. Dodatek do imienia *secundus* użyty jest po raz pierwszy 16 Sierpnia 1277 (Nr. 469), a nie 6 Lipca 1279 r., jak podaje autor.

Korroboracyi brak nietylko w dokumentach wymienionych przez autora, ale jeszcze w dyplomatach Nr. Nr. 516, 617, 632, więc w sześciu, a nie w trzech. *Indictio* zato zawierają opuszczone przez autora dyplomata Nr. Nr. 518, 578, 637, 725 i 477 a [1]).

Autor pokilkakroć używa niemieckiéj formy Mestwin, zamiast polskiej i jedynie właściwéj Mściwój.

Pod względem języka rozprawa bardzo wiele pozostawia do ży-

---

[1]) Perlbach Pommerellisches Urkundenbuch. Danzig 1881. p. 425.

czenia; widać, że autor więcej pracował nad literaturą zagraniczną. Miejmy nadzieję, że nadal i na język autor zwróci baczniejszą uwagę.

A. Wysłouch.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= **Wybór poezyi Ludwika Kondratowicza** (*Władysława Syrokomli*). Wydanie nowe na rzecz wdowy i sierot autora. (5 tomów. Warszawa, 1890). Gorące ukochanie biednych i upośledzonych, serdeczność usposobienia i szczerość natchnienia są potęgami, które zawsze zwracać będą sympatyę ogółu ku śpiewakowi „Lirnika wioskowego“, ku autorowi „Ułasa,“ temi potęgami władnącemu. Ponieważ pieśni jego wypłynęły z serca, więc też przemawiają do serca i zapewniają Syrokomli popularność. Każde nawet wydanie jego poezyj może liczyć na odbyt szeroki. To, które obecnie mamy przed sobą, może zadowolnić nietylko pod względem saméj treści, lecz także co do strony wydawniczéj. Papier ładny, druk wyraźny, format dogodny, są-to zalety, któremi przewyższa ta edycya dawniejszą zupełną w 10 tomach w r. 1872 ogłoszoną. Co do układu jest ona tamtéj kopią, obie bowiem wychodziły pod kierunkiem ś. p. Wincentego Korotyńskiego. Tak więc po króciutkiéj przedmowie nowéj, określającéj cel i charakter wydawnictwa podjętego przez wdowę i sieroty poety, następuje cokolwiek pod koniec skrócona przedmowa z r. 1872, a potém wybór poezyj, podzielonych na dwie grupy: oryginalnych i tłómaczeń. Poezyje oryginalne są podane w ścisłym chronologicznym porządku według trzech działów: epiki, dramatyki i liryki. Na dział epiki przypadło najwięcéj utworów, zajmują one półtrzecia blisko tomu, gdy lirykę reprezentuje tylko 256 stronnic. Możeby przy ściślejszym rozbiorze rodzaju talentu Syrokomli podział taki niezupełnie dobrze uzasadnić się dało; możeby go należało nazywać epicko-lirycznym przeważnie i utworzyć w skutek tego dział czwarty, gdzieby znalazły miesce owe najbardziéj znamienne dla talentu Syrokomli „gawędy“ krótsze, które się najwięcéj wśród ogółu czytającego upamiętniły, gdy te poemata, które ściśle epickiemi nazwać trzeba, jak „Kanonik przemyski“ lub „Margier“ stosunkowo chłodniejszego doznały przyjęcia, albo nawet tylko badaczom literatury naprawdę są znane. Uniknęłoby się tym sposobem przeplatania utworów dłuższych krótkiemi i dałoby się czytelnikowi możność łatwiejszego wyrobienia sobie pojęcia o istotnych cechach twórczości poetyckiéj Kondratowicza. Ponieważ jednak zmienić się to już obecnie nie da, chyba przy ponownem wydaniu „Wyboru poezyj“, nie będziemy na ten punkt naciskali, témbardziéj, że niezbyt trudno

będzie wydzielić samemu czytelnikowi jedne od drugich. Co do saméj treści, to dzięki powiększonéj w stosunku do edycyi z r. 1872 liczbie arkuszy każdego tomu, „Wybór“ bardzo mało utracił z oryginalnych utworów Syrokomli. Dwa pierwsze tomy zawierają prawie wszystko to, co się mieści w edycyi z r. 1872, z przestawieniem jedynie niektórych utworów z powodu odszukanéj daty ściślejszéj i z dodaniem paru wierszy, które poprzednio mieściły się w dziale liryki („Gramatyka“, „Iluminacya“). Dopiéro w trzecim tomie rozpoczynają się opuszczenia. Nie ma tu ani „Szkolnych czasów“, ani „Stelli Fornariny“ ani— co najprzykrzejsze—„Ułasa“. Nie wątpimy, że ten ostatni prawdziwie piękny poemat, proszący się do „Wyboru“, z przykrością wydawcom przyszło poświęcić; ponieważ jednak istnieje osobne jego wydanie, łatwo nabywcy „Wyboru“ brak ten zapełnić mogą. Opuszczenia w utworach dramatycznych i liryce są małego znaczenia; a z tłómaczeń podano to wszystko, co istotnie do najlepszych przekładów Syrokomli należy. Korekta jest wogóle staranna, a ta zaleta niemałéj jest wagi w naszych wydawnictwach, tak zaniedbanych zwykle pod tym względem.

= *Julian Łętowski.* **Na bożym świecie.** Nowele i obrazki. (Nakładem Lewentala). Rzadko się zdarza w naszych czasach spotkać z książką, która choć na chwilę każe sercu bić silniéj i szybciéj, każe zapomnieć o rzeczywistości i przenieść się całą duszą w kraj marzeń autora, czy dlatego, że są one wzniosłe i niezwykłe, czy téż dlatego, że są niemal życiem samém. Otóż zbiorek nowel, o którym mówię, do takich właśnie rzadkich książek należy. Na określenie niektórych ze składających go utworów nie znalazłbym innych słów, jak chyba: marzenie, ubrane w szaty rzeczywistości. Określenie to tyczy się szczególnie pierwszych dwóch nowel: „Marta“ i „Konkurencya“. Pierwsza z nich jest dla mnie przedewszystkiém cudnym opisem podróży pięciu berlinek majstra Szulca, które, mówiąc nawiasem, jest wspaniałym typem półniemca, półpolaka, z Gdańska do Warszawy. Ile poezyi wlał p. Łętowski do tego opisu, ile miłości dla rzeki, na któréj bystrych falach, zaledwo uwolnionych z pod skorupy lodowéj, przebiega na tle życia flisackiego, scena za sceną uroczéj, a jednak pełnéj prawdy idylli. Śliczną jest téż „Wysoka stawka“. Pomysł téj noweli odznacza się prawdziwą i wielką oryginalnością, co zresztą w mniejszym lub większym stopniu, dałoby się powiedzieć o wszystkich prawie innych, składających zbiorek niniejszy. Najsłabszym i jedynym zupełnie słabym jego utworem jest „Zmarzlak“, brak tu i akcyi i typów, razi mnie jednak najbardziéj w tym tomiku „Lew na

pokucie". Nowela ta idealizuje człowieka, któremu ongi za hasło, czy powód do zerwania z zamężną kochanką posłużyło to, że mąż dowiedział się, jak widać, o wszystkiém i podniósł rękę na żonę. Przed oczyma czytelnika, oprócz téj kochanki, konającéj już z jego winy z suchot, mija jeszcze inna, także mężatka, z któréj siostrą „lew" żeni się wreszcie. Nowela, dla któréj autor nie pożałował cudnéj sceny pomiędzy suchotnicą a jéj dawnym kochankiem, wygląda na jakieś idealizowanie donżuaneryi, która mnie przynajmniéj tylko w jednym typie Don-Juana i pierwowzoru wszystkich innych wstrętem nie przyjmuje. Czytelnik domyśléć się nawet nie może, czy bohatér żeniąc się nie ma zamiaru zrobić tylko nowéj ofiary? Pozwolę téż sobie wyrazić zdanie, że tytuł taki jakiś żartobliwy, niekoniecznie jest odpowiedni do treści, więcéj niż smutnéj.

— *J. D. Dana.* **Podręcznik geologii.** Spolszczył dr. *J. Siemiradzki*, docent wszechnicy we Lwowie. Z 261 drzeworytami w tekście. Wydanie z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowém imienia Józefa Mianowskiego. Warszawa, 1891. Niewielka ta książka (stron 219), ma zadanie skromne, jestto bowiem tylko podręcznik dla szkół średnich, ale w zakresie tym celowi swemu odpowiada wybornie. Wydanie jéj w przekładzie polskim jest tém pożyteczniejsze, że bodaj od r. 1848, gdy Łabęcki wydał przekład geologii Beudanta, nie ukazał się u nas żaden traktat téj nauki. Jako książka szkolna, nowy ten podręcznik nie zaprząta się zbyt hypotezami i poglądami teoretycznemi, ale daje uczniowi bogaty zasób faktów, dostępnie wyłożonych i należycie uporządkowanych; przy dwu lekcyach tygodniowo nauczyciel może cały wykład w ciągu roku łatwo przeprowadzić. Wszystek materyał dzieli autor na cztery części — na geologię fizyograficzną, litologiczną, historyczną i dynamiczną. W części pierwszéj jest mowa o powierzchni ziemi i o wzajemnym stosunku lądów i mórz. Geologia litologiczna mówi o skałach, składających skorupę ziemską, o ich klasyfikacyi, o ich układzie, czyli o stratygrafii. Geologia historyczna stanowi dział najobszerniejszy i traktuje o stopniowym rozwoju skorupy ziemskiéj, a przeważnie o roślinach i zwierzętach, które żyły w dawnych okresach istnienia ziemi. Aby naukę paleontologii umożliwić tym nawet uczniom, który nie znają botaniki i zoologii, autor poprzedza dział ten ustępem, podającym treściwe wiadomości o budowie i systematyce zwierząt i roślin, co oczywiście dostępność książki znacznie powiększa. Mnóstwo rycin już przez samo przerzucenie kartek dać może obraz, jak stopniowo przeinaczały się formy zwierząt i roślin, od pierwszych zaczątków

życia organicznego, aż do obecnego ich stanu. Ostatnia wreszcie część książki, geologia dynamiczna, rozbiéra przyczyny, które są źródłem przeobrażeń skorupy ziemskiéj, mówi więc o wpływie na nią życia organicznego, o działaniach atmosfery i wody, o wulkanach, o metamorfizmie skał, a wreszcie o ruchach skorupy ziemskiéj, w szczególności więc o trzęsieniach ziemi. Dodać winniśmy, że autor jest znakomitym geologiem amerykańskim, tłómacz zaś dobrze znanym badaczem geologii krajowéj. Wydanie polskie nie jest zresztą bynajmniéj prostym tylko przekładem książki amerykańskiéj, ale spolszczeniem w znaczeniu daleko obszerniejszém; p. Siemiradzki bowiem zużytkował badania miejscowe i przykłady, które autor brał z najbliżéj go otaczającéj przyrody, tłómacz zastąpił materyałem krajowym, to jest skamieniałościami, jakie u nas napotkano. W ten sposób rezultaty badań, kryjące się dotąd w pismach specyalnych, w „Pamiętniku akademii nauk“, w „Pamiętniku fizyograficznym“ i t. d., stały się łatwo dla ogółu dostępne. — Jak powiedzieliśmy, książka ma charakter podręcznika szkolnego; niemniéj wszakże przeczytać ją może każdy, ktoby się chciał z zadaniami i stanem obecnym geologii zapoznać, a wystarczy mu do tego kilkanaście godzin zaledwie. I pod tym zatém względem książka odpowiada dobrze potrzebom naszym, wielkie bowiem dzieła — czytelników u nas najczęściéj odstraszają. Przytém książka pomimo mnóstwa rycin, jest bardzo tania, byłoby więc już chyba rzeczą bardzo osobliwą, gdyby i ona narazić miała kasę Mianowskiego na stratę. Nadmieniamy jeszcze, że „Podręcznik geologii“ wchodzi w skład „Biblioteki przyrodniczéj Wszechświata“. Drzeworyty wykonane zostały w pracowni Wiśniewskiego, a książka, wydrukowana u Filipowicza, już samém wejrzeniem zewnętrznem wyróżnia się korzystnie od kilku dzieł przyrodniczych, wydanych w ostatnich czasach przez pierwszorzędne firmy księgarskie.

— *Marya Konopnicka.* **Moi znajomi.** Gebethner, 1890. I ten zbiorek utworów Maryi Konopnickiéj, jak wszystkie zresztą inne téjże autorki, jest cennym nabytkiem dla naszego piśmiennictwa, nie wszystkie jednak nowele, które się na niego złożyły, odznaczają się równą wartością, nie w każdéj autorka staje na wysokości swego olbrzymiego talentu. Zawartość niniejszego tomiku stanowi rodzaj bardzo rozległéj gamy pod względem wartości artystycznéj: znajdziemy tu wszystko — od nędznéj i wymuszonéj roboty, niby na obstalunek do najszczytniejszych i najszczerszych natchnień, wylewających się swobodnie w słowach pełnych szlachetnéj i do głębi duszy wzruszającéj prostoty, znajdziemy tu i „Morze“ i „Banasiową“.

Pozostawiając pierwsze na stronie, powiemy kilka słów o drugiéj. Ta chyląca się się ku ziemi „uboga duchem“ staruszka, z takim wielkim spokojem mówiąca o swojéj śmierci, a nawet z najwyższém upragnieniem jéj wyczekująca, przykro jéj bowiem stać na zawadzie dzieciom, które nic nie robiąc, objada, a o których, pomimo ich sarkań, na długie chorowanie matki, mówi z najzupełniejszém wyrozumieniem i miłością; ta Banasiowa, będąc typową wyrazicielką owéj, tak często wśród ludu wytykanéj obojętności na śmierć — jest dla mnie zarazem rodzajem symbolu owego spinozowskiego *amor Dei*, przybraną w żywe ciało ideą filozoficzną zgody bezwzględnéj na wieczny i niezmienny naturalny porządek rzeczy. Środkiem ciężkości „Fortu Winiarskiego“, jest scena w kościele, kiedy po mszy nowy ksiądz, Niemiec, przysłany na zmianę Polaka, rozpoczyna do zebranéj wiary przemowę niemiecką. Ten zgłuszający słowa księdza płacz i śpiéw biédnych wiarusów, którzy widzą niby pohańbienie świątyni w tém wkładaniu w Boże usta słów niemieckich—wszystko to przejmuje do głębi czytelnika. Psuje tylko tę nowelę, Bóg wié na co białemi nićmi do treści rzeczy, przyfastrygowana historya o kogucie-kałakucie. „Józik Srokacz“, jest to bardzo piękna szata, w którą zechciała przyodziać poetka, niby wilka w owczą skórę, pewną swą tendencyę społeczną. Po lewéj stronie potępienia stawia tu autorka bezduszną, nędznie egoistyczną szlachtę, która bardziéj ceni parę rubli lub odpoczynek swego konia; niż życie chłopa-robotnika, ciężko na na tę szlachtę pracującego, a po prawéj — chłopa, który tracąc z winy nieoględności obywatela życie, zapisuje mu w chwili zgonu całe swoje mienie, przez wdzięczność za doglądanie go w chorobie.



POLEMIKA.

W obronie „Encyklopedyi nauk i szkół filozoficznych“.

W zeszycie styczniowym „Ateneum“ mieści się na str. 192 do 203 ocena pierwszego tomu méj „Encyklopedyi nauk i szkół filozoficznych“, pióra p. A. Grosglika. Ocena ta zawiéra w sobie tyle rażących nieporozumień, że w imię prawdy i obowiązku względem miłośników filozofii u nas, uważam za konieczne wyjaśnić te nieporozumienia i zaznaczyć istotne poglądy, wyłożone w méj pracy, na dotknięte przez krytyka kwestye. Ponieważ jednak, wśród danych warunków, nie spodziéwam się, aby polemika z mym krytykiem mogła doprowadzić do poważnych rezultatów, przeto ograniczam się do najkonieczniejszych w téj sprawie wyjaśnień, mając jedynie na oku usunięcie niedokładnego lub błędnego pojmowania swych rzeczywistych myśli. Zaznaczam w tym celu wyłącznie następujące kwestye zasadnicze.

1. Przedmiot i zadania encyklopedyi nauk i szkół filozoficznych. Pan G. mówi ciągle o encyklopedyi filozofii jako o „nowéj“ nauce, wprowadzonéj jakoby przezemnie do systemu nauk filozoficznych. Naukę tę nazywa nawet niekiedy moją nauką (np. str. 195: prof. St. nie uznaje identyczności „swojéj nauki“ z historyą filozofii). Pan G. nie miał zapewne dotąd sposobności zapoznać się dokładniéj z bogatą literaturą tego przedmiotu, przytoczoną przezemnie, bo inaczéj nie byłby wpadł na taki domysł. Zresztą przeoczył przy tém słowa moje na str. XII, gdzie mówię, jak sądzę dość wyraźnie: „Daleki jestem od myśli uważania siebie za twórcę nowéj nauki filozoficznéj, albo za reformatora któréjkolwiek z istniejących już nauk filozoficznych. Mieć będę cel swój za osiągnięty, jeżeli obecna próba usystematyzowania rozdrobionych dotąd przedmiotów nauki o filozofii uznaną będzie za dostatecznie uzasadnioną z teoretycznego punktu widzenia i za pożyteczną z praktycznego, i jeśli próba ta zwróci staranniejszą uwagę myślicieli na konieczność wszechstronnego zbadania zasadniczych podstaw filozofii, jako naukowego fundamentu dla pomyślnego rozwiązania jéj zadań bardziéj szczegółowych“. Nadto już w przedmowie charakteryzuję dzieła, dotyczące téj nauki, Hegla, Herbarta, Comte'a, Spencera, Rittera, Dühringa, Flügla, Strümpla i Janeta, jako typowe opracowania przedmiotu téj nauki z różnych punktów widzenia. Cała nowość, którą wprowadzam, polega na tém, że wstęp do filozofii, encyklopedyą nauk filozoficznych i encyklopedyą szkół filozoficznych, traktowane dotąd po większéj części w odosobnieniu, łączę w jedną całość, jako naukę zasadniczą o filozofii, jako filozofią filozofii. Nie jest to zatém żadna „nowa“, niebywała dotąd nauka, specyficznie moją, lecz jest to tylko dokładne sformułowanie i usystematyzowanie istniejącéj już oddawna nauki według pewnéj jednolitéj zasady.

O doniosłości i potrzebie téj nauki mówię w saméj rzeczy obszernie, między innemi zaznaczam w przedmowie i to, że jest ona niezbędną dla rozjaśnienia chaosu pojęć, istniejącego właśnie w danéj chwili co do istoty i zadań filozofii. „Braki dzisiejszego filozofowania, mówię między innemi na str. VII, mogą być stopniowo usunięte tylko przy sumienném zbadaniu zasad filozofii wogóle, na podstawie historyczno-krytycznego rozbioru istotnego charakteru filozofii, jéj zadań i dotychczasowych prób rozwiązania takowych". Te proste i jasne uwagi wywołują nowe nieporozumienia. P. G. dowodzi naprzód (str. 194), że według mnie „jedyną przyczyną powstania nowéj nauki jest istnienie kierunków filozoficznych, jedynym celem — ich usunięcie". A z tego założenia wyprowadza następnie wniosek (str. 195), że ta nowa nauka „wraz z rozwojem wiedzy i filozofii nie tylko się nie rozszerza, ale nadto skazana jest na stopniowe uszczuplenie swego zakresu i w końcu na zupełną zagładę", bo z usunięciem chaosu w pojęciach co do filozofii i jéj kierunków traci ona swą racyą bytu.

Nie wiem w istocie, zkąd pan G. zaczerpał materyału do takiéj argumentacyi, która służy mu nadto za fundament dla wykazania, że encyklopedya filozofii nie jest wcale nauką. Naprzód, o zaznaczonéj ciasnocie i wyłączności pojęć, jakoby istnienie kierunków filozoficznych było „jedyną" przyczyną, a ich usunięcie „jedynym" celem encyklopedyi, u mnie nigdzie mowy nie ma. Przeciwnie, zastanawiając się nad istotą szkół i kierunków w filozofii (str. 349 i nast.), dochodzę do wniosku, że one są wynikiem różnego stosunku podmiotowéj organizacyi umysłu do przedmiotowego materyału doświadczenia i rozpatruję rzeczy z różnych punktów widzenia, niezbędnych dla wszechstronnego pojęcia świata. Nie mogę tedy mieć na myśli usunięcia kierunków filozoficznych wogóle, lecz za przykładem wszystkich poważnych myślicieli świata, mam na oku usunięcie chaotycznéj sprzeczności w poglądach, niejasności i mętności w pojęciach; a tego już mi chyba żaden krytyk za złe nie weźmie. Pan G. widocznie nie raczył wcale zajrzeć do zaznaczonéj części méj pracy, więc nie dziw, że jego sądy w tym przedmiocie pozbawione są wszelkich podstaw. Co się zaś tyczy dalszych rozumowań krytyka, trudno pojąć, dlaczego swe argumenta stosuje wyłącznie do encyklopedyi filozofii, a nie do wszystkich nauk. We wszystkich naukach istnieją pewne sprzeczności między uczonymi, wszystkie nauki dążą do ich usunięcia, do należytego wyświetlenia i jednolitego pojmowania kwestyi spornych. A zatem, według dowodu pana G., wszystkie nauki z usunięciem tych sprzeczności tracą racyą bytu i w gruncie rzeczy nie są wcale naukami. Nie dosyć na tém, ponieważ w filozofii napotykamy dotąd więcéj wątpliwości i sprzeczności, niż w naukach specyalnych, więc według argumetacyi pana G., należy wnosić, że filozofia będzie musiała dłużéj pracować nad ich usunięciem, niż inne nauki, a zatém dłużéj pozostanie nauką, niż inne... Czytelnik przyzna, że z taką dyalektyką nie można występować ani w obronie filozofii, ani przeciw niéj.

Pan G. wypowiada wreszcie *swoje* zdanie o przedmiocie i zadaniach encyklopedyi filozofii i pojmuje ją (str. 195) jako „ostatni rozdział historyi filozofii, obejmujący rozbiór historyczno-krytyczny spółczesnego stanu filozofii". Będziemy czekali opracowania encyklopedyi filozofii

z takiego „nowego“ stanowiska; tymczasem pozostajemy przy zdaniu, że już „pierwszy“ rozdział historyi filozofii oprzeć się musi na jasném pojęciu o tém, co to jest filozofia, czém się różni od innych objawów życia umysłowego, od nauk specyalnych, poezyi, religii, jakie jéj znaczenie, jakie kwestye wpadają w jej zakres i t. d., bo inaczéj doszlibyśmy do mętnego pomieszania historyi filozofii z historyą innych nauk, lub z historyą poezyi, religii, teologii, ogólnego rozwoju umysłowego i t. d. Takie jest *moje* zdanie w tym przedmiocie, wyłożone szczegółowo we wstępie do méj książki. P. G. atoli w ocenie *méj* pracy nie rozbiera wcale *mego* poglądu na bezpośredni przedmiot encyklopedyi filozofii, pomimo zaznaczonego powyżéj twierdzenia, że encyklopedya filozofii, jak ja ją pojmuję, nie jest nauką. Dla usprawiedliwienia takiego zdania należało wykazać, że przedmiot badania naukowego, przezemnie podany, albo wcale nie istnieje, albo badanym zostaje przez inną naukę. O tém zaś p. G. nie pomyślał nawet, lecz kontentuje się dyalektycznemi wywodami, wyprowadzonemi z jego własnych założeń w rodzaju powyżej zaznaczonych. To nie jest ani sprawozdanie, ani krytyka! —

2. Kwestya klasyfikacyi nauk. We „wstępie ogólnym do encyklopedyi nauk i szkół filozoficznych“, obejmującym pierwsze 53 stronic, a zatém nie wiele więcéj nad ósmą część dzieła, dotykam różnych kwestyj przygotowawczych, niezbędnych dla należytego zrozumienia przedmiotu i zadań téj nauki. Z natury rzeczy wynika charakter informacyjny takiego wstępu, szczególniéj, gdy chodzi o sprawy, nieodnoszące się wprost do encyklopedyi filozofii, a jednak pozostające z nią w pewnym związku. Otóż w § 6-tym tego wstępu mówię o „konieczności wzajemnego uzupełnienia nauk filozoficznych i specyalnych“ i dla dania czytelnikowi dokładnego, konkretnego pojęcia o naukach specyalnych i ich przedmiocie, załączam uwagę pod napisem „klasyfikacya nauk (str. 36—48)“, w któréj zaznaczam, z jakich zasad ogólnych różni uczeni obejmują cały obszar wiedzy ludzkiéj. Zdawałoby się, że taki skrót, informujący czytelnika dokładnie co do téj ważnéj kwestyi ogólnéj na podstawie klasyfikacyi najznakomitszych myślicieli i uczonych świata, począwszy od Platona a kończąc na Herbercie Spencerze i Wundtcie, z podaniem odnośnych źródeł i wogóle całéj literatury, wywoła uznanie krytyka i zaciekawi go bogactwem samodzielnie opracowanego materyału, streszczonego na kilku stronnicach. Pan G. natomiast niezrozumiał wcale znaczenia téj naukowéj informacyi i czyni mi surowy zarzut z tego, że wszystkich tych klasyfikacyj nie rozbieram na tém miejscu krytycznie. „Wyliczywszy rozmaite klasyfikacye, autor powinien był poddać je wyczerpującéj krytyce“, mówi p. G. (str. 196). Dziwne wymaganie, wykazujące dowodnie, że pan G. nie zdał sobie wcale sprawy z tego, jaka właściwie nauka zajmuje się kwestyą klasyfikacyi nauk. Stanowi ona przedmiot ogólnéj teoryi nauk, t. j. teoryi poznania, czyli logiki. W encyklopedyi zaś *nauk filozoficznych*, obejmującéj pewien tylko zakres ogólnéj nauki, nie można traktować kwestyi klasyfikacyi nauk „wyczerpująco,“ bez naruszenia logicznéj ścisłości, z którą pan G. widocznie nie zwykł się liczyć. Tutaj można jedynie dla informacyi czytelnika we wstępie przytoczyć

faktyczne poglądy uczonych na ten przedmiot, ważny dla późniejszych poszukiwań encyklopedyi filozofii, i dodać pewne uwagi ogólne z punktu widzenia téj nauki, — i nic więcéj. I to właśnie uczyniłem.

Wśród owych uwag podniosłem i to, że według mego zdania, wykluczenie *teologii* z klasyfikacyi nauk nie jest właściwém, bo Bóg, bez względu na nasze pojęcie o nim, czy będzie dla nas wielkiém niepojętém X, czy czémś innem, stanowi *faktycznie* pewien samodzielny *przedmiot* wiedzy ludzkiéj i dociekania, na równi z przyrodą i człowiekiem. Pan G. stara się zbić ten pogląd, powołując się na *alchemią*, w któréj, jak mówi (str. 196), tkwi „daleko więcéj danych faktycznych, aniżeli w teologii“, a którą przecież i ja, według pana G., chyba do nauk nie zaliczę. Dlaczego nie? Dawna alchemia ze względu na *przedmiot* swych dociekań, — o co tu tylko chodzi, — jest identyczną z dzisiejszą chemią; usuwamy ją z rzędu nauk tylko dlatego, że jéj miejsce w badaniu tego samego specyalnego przedmiotu wiedzy zajęła chemia. Gdyby zaś doktrynerzy w rodzaju pana G. byli w swoim czasie wykluczyli alchemią z systemu wiedzy i nią się nie pozwolili zajmować, nie mielibyśmy dzisiaj chemii. A zatém, alchemia w swoim czasie zaznaczała bardzo ważny *przedmiot* wiedzy ludzkiéj, bez względu na stan saméj téj wiedzy. Podobnie się ma z teologią. Zastąpuje ona dawną mitologią jako bezpośrednią wiarę w bogów, — i to jest bardzo ważny postęp *naukowy* na tém polu; ale pomimo to nicbym niemiał przeciwko wyrzuceniu teologii wraz z alchemią z zakresu nauk, gdyby mi pan G. wskazał inną naukę, zdolną ją zastąpić w dociekaniu tego samego *przedmiotu* wiedzy ludzkiéj. Póki zaś tego nie uczyni, nie mam powodu zamieniać choćby najwątpliwsze X na proste zero.

3. Kwestya metody. Moje traktowanie klasyfikacyi nauk w przywiedzionym § 6-ym wstępu, pan G. wybrał sobie, jak mówi (str. 196) „dla przykładu“, aby pokazać czytelnikom „Ateneum“, jak się u mnie przedstawia metoda *in motu*. Wybór, w saméj rzeczy, charakterystyczny wobec udowodnionego powyżéj faktu, że pan G. wcale niezrozumiał powodu traktowania téj kwestyi w „ogólnym wstępie“ do méj pracy. Więc uwaga przygotowawcza z zadaniem czysto informacyjném daje krytykowi materyał do ferowania sądu o metodzie samego badania przedmiotu! Czy to nie „nowe“ bardzo rażące nieporozumienie, wynikłe zapewne z téj okoliczności, że pan G. dość utartym u nas zwyczajem zapoznał się nieco bliżéj tylko z przedmową i wstępem krytykowanego dzieła. Nikt odemnie wymagać nie będzie, abym się z takiem nieporozumieniem liczył na seryo; więc też i tutaj ograniczam się prostém zestawieniem sądów pana G. o méj metodzie z rzeczywistym stanem rzeczy.

Pan G. naprzód mówi jaknajwyraźniéj: „autor nie określa swojéj metody“. Ja zaś mówię o metodzie filozofii w obszernym rozdziale méj książki na str. 290 do 359 i trzymam się naturalnie wyłożonéj tam szczegółowo metody i w tém badaniu ogólnych zasad filozofii. Sam krytyk zaprzecza zresztą powyższemu ogólnikowi, dochodząc, po rozpatrzeniu owego charakterystycznego przykładu do następującego, równie gołosłownego wniosku: „Otóż, mówi (str. 196 i nast.), metoda historyczno-krytyczna, jak ją pojmuje autor, sprowadza się do

suchego wyliczenia najrozmaitszych mniemań, dotyczących danéj kwestyi“. A że krytyk utrzymuje, że metoda ta „stanowi istotę téj nowéj nauki“, więc naturalnie łaskawy czytelnik „Ateneum“ sądzić musi, że całe dzieło moje „sprowadza się do suchego wyliczenia najrozmaitszych mniemań“. Tymczasem, po owym informacyjnym „wstępie ogólnym“ wszystkie części składowe méj pracy, od str. 57 do 404 rozpatrują zasadnicze kwestye o istocie filozofii, jéj stosunku do innych objawów życia umysłowego i jéj metodzie nie tylko historyczno-krytycznie, lecz i teoretycznie, na podstawie samodzielnego rozbioru i badania danego przedmiotu. Można się nie zgadzać z mojemi poglądami na filozofią, ale twierdzenie, że cała moja metoda polega na przytaczaniu obcych zdań, mija się z najoczywistszą prawdą i wprowadza w błąd czytelnika, niemającego sposobności zajrzeć do méj książki, aby skontrolować dokładność sprawozdawczą krytyka.

Prawda, historyczno-krytycznemu czynnikowi metody filozofii nadaję daleko większe znaczenie, aniżeli ci, którzy chwilę teraźniejszą mają za ostatni wyraz możliwéj dla człowieka doskonałości, a historyą filozofii, według słów pana G. (str. 199), uważają „za historyą niefortunnych próbek rozwiązania zagadnień bytu i myśli“. Wykazuję też szczegółowo na str. 325 do 330 i 349 do 359 analityczne i syntetyczne znaczenie krytycznéj historyi filozofii dla pomyślnego rozwiązania jéj zadań. Pan G. ani jednego z mych argumentów nie przytacza, ani nie zbija, pomimo, że metodę historyczno-krytyczną uważa, jak widzieliśmy, za „istotę“ mojéj „nowéj“ nauki. Zresztą, sam krytyk odstępuje w swych dalszych uwagach od zdania o wyłączności czynnika historyczno-krytycznego w mym poglądzie na metodę filozofii, bo sam się przekonywa przy przerzucaniu treści méj książki, że opracowałem w niéj jeszcze i inne czynniki metodologiczne filozofii, więc też i o nich wspomina. Ale czyni to, niestety, równie powierzchownie i bez wszelkiéj dbałości o dokładne pojęcie i wierne oddanie istotnych poglądów autora. To też i te dalsze uwagi krytyka świadczą tylko o nowych nieporozumieniach.

I tak „najoryginalniejszą stronę“ mego „planu metodologicznego“ widzi pan G. (str. 199) w jego „punkcie wyjścia“, a mianowicie „w rozbiorze krytycznym i dopełnieniu syntetycznem powszedniego pojęcia o bycie i świecie“, czyli „utartych pojęć zdrowego rozsądku“, i na tém opiera krytyk zarzut, że „widocznie“ tylko „dla miléj zgody“ uważam za niezbędne „liczenie się z wynikami nauki.“ Zdaje się zatém, że według pana G. dla mnie świadectwo zdrowego rozsądku ma więcéj znaczenia, niż świadectwo nauki, i że opierając się na pierwszém, lekceważę drugie. Tymczasem, nic zgoła w méj książce nie upoważnia krytyka do takiego mniemania. Jedynie powierzchowne przeglądanie książki i przypadkowe natrafienie na odnośny nagłówek (str. 335) wytworzyło w umyśle krytyka podobne mniemanie. Gdyby nadto pan G. nie lekceważył historyi filozofii, byłby wiedział, że „powszednie pojęcia o bycie i świecie“ są „punktem wyjścia“ dla wszystkich analityków umysłu ludzkiego, począwszy od Arystotelesa, Lock'a i Kanta, że zatem pod tym względem nie mogę mieć żadnéj pretensyi do „oryginalności“. Wreszcie, nie ma nauki, któraby nie przyjmowała „powsze-

dnich pojęć zdrowego rozsądku“ za punkt wyjścia swych badań. Mówię o tém wyraźnie na wstępie do rozbioru téj kwestyi (str. 335). Krytyka filozoficzna nie może tedy skorzystać z wyników nauki, nie poddawszy poprzednio rozbiorowi tych zasadniczych pojęć, które się wyrażają w poprzednim poglądzie na świat i wchodzą w skład każdéj wogóle nauki. Wymaganie takiéj krytyki nie przesądza bynajmniéj jéj wyników. Że zaś świadectwo tak zwanego zdrowego rozsądku nie jest dla mnie wystarczającém, że według mnie, prawdziwe pojęcia o bycie i świecie zaczerpane być mogą tylko z nauki, o tém świadczy samo wymaganie „syntetycznego uzupełnienia“ poglądu zdrowego rozsądku, które to uzupełnienie, — jak wykazuję — staje się możliwém tylko przy pomocy i na podstawie nauki. Z jakiéj racyi, pytam tedy, odgrywa pan G. względem mnie rolę obrońcy nauki?

Nieporozumienie powyższe tak jest rażącém i zasadniczém, że zwalnia mnie od dalszego rozwikłania mniemań pana G. o moich poglądach na istotę krytyki filozoficznéj, która według pana G. nie różni się ani jakościowo, ani ilościowo od kryki nauk specyalnych, a która jednak, według mnie, różni się *przedmiotem* swoim, bo dotyczy ostatecznych podstaw wiedzy; daléj na stosunek téj krytyki filozoficznéj do dogmatycznych i krytycznych czynników nauk specyalnych, których to czynników pan G. nie rozróżnia wcale; na syntezę filozoficzną, która według pana G. ma być u mnie „eklektycznem powiązaniem kierunków“, chociaż ja ją opieram przedewszystkiém na krytycznem zjednoczeniu „praw nauk specyalnych“; na zadania metafizyki, którą jakoby mieszam z krytyką rozumu, chociaż ją jako krytykę pojęć o świecie, o przedmiotowości odróżniam wyraźnie od krytyki umysłu i jego funkcyj poznawczych i t. d. i t. d. Dla należytego wyjaśnienia tych kwestyj musiałbym tutaj powtórzyć to wszystko, co pan G. w méj książce przeoczył, lub czego przy powierzchownem i połowicznem odczytaniu należycie nie zrozumiał, — a to rozszerzyłoby zbytecznie ramy niniejszéj odpowiedzi. Co zaś do poglądów samego krytyka, przyznaję, że niewiem co począć np. z takiemi zdaniami, jak (str. 198): „Nauka istotnie wychodzi z pewnych założeń, których nie rozpatruje krytycznie, ale też nie przyjmuje ich dogmatycznie, t. j. nie będąc przekonaną o ich prawdziwości.“ Więc pan G. przyjmuje coś pośredniego między krytycyzmem i dogmatyzmem, o czém dotąd ani w nauce w ogóle, ani w szczególności filozofii nie mówiono; a zresztą, czy dogmatyzm nie jest przekonany o prawdziwości swych twierdzeń? Albo takie zdanie (str. 201), że są hypotezy, które „z biegiem czasu stają się faktami“. O takich hypotezach dotąd także nikt jesze nie traktował. Istnieją hypotezy, które z czasem mogą się stać *teoryami*, tłumaczącemi w zupełności odnośne fakta, ale same przez to faktami się nie stają. Można tedy domyśléć się o co chodzi autorowi takiego aforyzmu, ale ścisłości myślenia i wysłowienia nikt w nim się nie dopatrzy. Sądzę, że udowodniłem powyżéj, że ten sam brak ścisłości uwydatnia się również w przedstawieniu mych poglądów przez pana G. Przy takim zaś braku zasadniczym o umiejętnéj krytyce już wcale mowy być nie może.

Henryk Struve.



Z KRONIKI TEATRALNÉJ.

Pani Modrzejewska. Nawet ludzi dobrze znających usposobienia publiczności warszawskiéj i uwielbienie jéj dla znakomitéj artystki, która tyle dobrych po sobie zostawiła wspomnień, zadziwić mógł zapał przyjazdem pani Modrzejewskiéj w mieście wywołany. Przyjazd ten przez cały miesiąc luty, zwłaszcza w pierwszéj połowie, był dla Warszawy prawdziwym wypadkiem. Nad psychologicznemi przyczynami tego, bądź co bądź ciekawego objawu, nie będziemy się rozwodzić, nie mamy na to miejsca, zaznaczyć go jednak musimy i niektóre z niego w kronice podać szczegóły.

Pani Modrzejewska nie przyjeżdżała do nas wprost z Ameryki, gdzie, jak się zdaje, stale teraz przebywa, ale z Krakowa i Lwowa. W każdém z tych miast występowała po kilkanaście razy (w Krakowie dała piętnaście przedstawień), co wieczór porywając widzów i wywołując uniesienie, opisywane następnie w dytyrambicznym tonie przez miejscowe dzienniki. W Warszawie miała dać przedstawień dziewięć, by następnie udać się na trzy czy cztéry przedstawienia do bogatéj Łodzi a na jedno czy dwa do ubogiego Lublina. Wprawdzie do ucha sobie szeptano, że owe dziewięć przedstawień zamieni się na ośmnaście, publiczność jednak téj pogłosce nie wierzyła i gwałtem chciała zdobyć bilety na zapowiedziane urzędownie dziewięć. Te dziewięć przedstawień rozdzielono na trzy abonamenta (po trzy) i sprzedawano tylko abonamentowe bilety. Ponieważ teatr w Saskim Ogrodzie, zwany Letnim, mieści tylko 1,000 osób, a z dodatkiem niewygodnych krzeseł w okiestrze 1090, zatém owemi abonamentowemi biletami ledwo 3,270 osób można było uszczęśliwić. Zgłosiło się jednak z żądaniami przeszło 11,000 osób, nie zważając na tak podwyższone ceny, że dla niektórych miejsc były więcéj niż podwojone. Teatrowi przynoszącemu przy zwyczajnych cenach niespełna

1000 rubli, gdy kasę zamykano, każde z przedstawień z panią Modrzejewskę dawało 1890 rubli. Ośm tysięcy osób, pragnących złożyć swoją daninę u stóp znakomitéj artystki odeszło z kwitkiem i z wielkiém niezadowoleniem. Ale i uszczęśliwieni biletami ucierpieli nie mało. W najlepszéj chęci powstrzymania frymarki biletami utrudniono ich wydawanie za pomocą formalności, które na ciężkie próby cierpliwość najzawołańszych, a nawet najzamożniejszych, zwolenników sceny wystawiały. Ta walka o bilety, prowadzona zapomocą najrozmaitszych środków, a nawet zapomocą uciekania się do najróżnorodniejszych protekcyi, trwała dni dziesięć i była powodem srogich lamentów w pewnych sferach towarzystwa warszawskiego. Najnamiętniéj występowały w niéj kobiety. Był to tak charakterystyczny rys usposobień naszego miasta, iż go nie można było pominąć w kronice. Był on zresztą miarą dochodzącego do fanatyzmu uwielbienia znakomitéj artystki, która zbiérała dobrze zasłużone oklaski od Warszawy i Lwowa do San Francisko i New Yorku, od Wisły do oceanów, Spokojnego i Atlantyckiego.

Widocznie pamięć i wdzięczność, przynajmniéj teatralną, mamy bardzo trwałą.

Istotnie, pani Modrzejewskiéj scena polska, a zwłaszcza scena warszawska, winna bardzo wiele. Już znakomitą artystką przybyła ona do nas w końcu lata 1869, poprzedzona wielką chwałą lwowską, a zwłaszcza krakowską. Tym wawrzynom nadpełtwiańskim i podwawelskim zwykliśmy potrochu niedowierzać, zbyt często, po lepszém się w nich rozpatrzeniu, bywają one tylko papierowe. Ale wieńce pani Modrzejewskiéj były już wówczas z rzeczywistego lauru. Przybywając do nas najprzód na gościnne występy w latach najzupełniejszego rozwoju piękności niewieściéj, artystka, oprócz talentu i wysokiego już wyrobienia scenicznego, uposażona była niezmiernie szczodrze wszystkiemi darami natury, dla aktorki potrzebnemi. Z pięknością prawie klasyczną, ale nie martwą, oblicza, łączyła wdzięk niezmierny w ruchu, giętkość wysmukłéj kibici i głos prześliczny o srebrzystém brzmieniu, nie odznaczający się siłą, ale przenikający, rzewny, równy, bardzo umiejętnie wykształcony a doskonale cieniować umiejący.

Zaangażowana w roku 1870 stale przez scenę warszawską, przez lat przeszło pięć zrobiła się gwiazdą żeńską, jak Żółkowski i Królikowski, byli gwiazdami męskiemi. System gwiazd, jeżeli jest wzięty za podstawę prowadzenia sceny, często nie wychodzi na korzyść teatrom, a nawet sztuce. Publiczność zapatrzona w gwiazdy, oślepiona ich blaskiem, dochodząc niekiedy do histryolatryi, nie ma oczu dla

całości. Wirtuozostwo rozsadza konieczną wogóle harmonię. Młodsze, czy obok pracujące siły, nie mogą się wyrabiać, zniechęcone tracą wiarę w siebie i kwaśnieją, nie mogąc dojrzewać, by módz czasem zastąpić gwiazdy, które z latami zbleknąć, albo zużyć się i zniknąć mogą. Doświadczyła tego potrochu scena warszawska, która jednak pani Modrzejewskiéj nie mało skądinąd jest winna.

Artystka ta, stawszy się moralnym kierownikiem dramatu i komedyi, wprowadziła większy ruch w repertuarze, ożywiła go, odświeżyła; ściągnęła na nowo do Wielkiego Teatru dramatem i komedyą pewną część publiczności, pierwszopiętrowo-lożową, która, podobnie jak dziś, świeciła zwykle swą nieobecnością. Trwało to lat cztery, po których siła przyciągająca zaczęła nieco słabnąć.

Czy dla tego powodu, czy dla innych, pani Modrzejewska postanowiła opuścić Warszawę i szukać szczęścia w Ameryce. Jak dla nas postanowienie to, a zwłaszcza dalsze jego następstwa, są i pozostaną przedmiotem podziwu i nową przyczyną uwielbienia dla artystki. Dotąd składała ona przed nami dowody wielkiego talentu, to postanowienie amerykańskie wykazało nietylko śmiałość jéj umysłu, ale tak silną wolę, taką energię charakteru, jakie, zwłaszcza pomiędzy nami, Polakami, rzadko są udziałem mężczyzn, uchodzących nawet za energicznych. O ile nam wiadomo, pani Modrzejewska dopiéro po trzydziestym roku życia zaczęła się uczyć angielskiego języka. Może co najwięcéj z dziewczęcych swych lat przechodziła jakieś gramatykalne początki, ale te z pewnością nie zaszły zbyt daleko. W przeciągu lat dwóch tu w Warszawie doprowadziła naukę tak daleko, iż mogła nietylko czytać, ale biegle rozmowę angielską prowadzić, chociaż akcent był jeszcze nieco wadliwy. Ile godzin dziennie na tę naukę poświęcała, nie wiemy; ale z pewnością nie było ich mało, a praca nie była przerywana tylko ściśle prowadzona. Bez téj ścisłości nie widzielibyśmy tak wielkich i tak szybkich postępów. Oprócz woli silnéj i postanowienia koniecznèm tu było rozumne i systematyczne, prawie pedantyczne, gospodarstwo czasem. Młoda, piękna, uwielbiana artystka musiała wówczas pracować ciężko, chociaż nikt znużenia nie widział, ani na scenie, ani w towarzystwie. Oprócz ciągłych prób, nauki często świéżych ról, przedstawień, czas jeszcze zabierały bardzo rozległe stosunki światowe i spełnianie połączonych z niemi obowiązków.

Pod koniec roku 1875-go, o ile sobie przypominamy, po raz ostatni widzieliśmy panią Modrzejewską. W tym jeszcze roku, czy w następnym na początku, była już w Stanach Zjednoczonych. Pierwsze kroki w Ameryce były podobno trudne, nie w teatrze, ale w ogóle,

artystka bowiem nie od razu występowała na scenie, dopiéro w rok może, lub więcéj, po przybyciu do Ameryki. Ta zwłoka posłużyła jéj do wydoskonalenia się w języku angielskim, do nabycia akcentu właściwego, a przytém do rozejrzenia się w stosunkach, tak od naszych odmiennych, które zresztą z bystrością niewieścim umysłom właściwą szybko pojęła. Pierwsze jéj wystąpienie na scenie amerykańskiéj miało miejsce w San-Francisco, w dramacie „Adryanna Lecouvreur“, a było tak szczęśliwe, że wkrótce pani Modrzejewska z brzegów oceanu Spokojnego przeniosła się na scenę wielkich miast nadatlantyckich jako gwiazda (*star*) i jako *greatest atraction.* W szczegóły téj Odysei zapuszczać się nie będziemy, mało je zresztą znając, a mogą i muszą być bardzo zajmujące i rozmaite. Pani Modrzejewska pisze swe pamiętniki. Niech tylko nie będą zbyt idealistyczne, ale niech po amerykańsku trzymają się więcéj realizmu faktów, a poznamy lepiéj jeszcze tę niepospolitą jéj osobistość, która z pracą doprawdy niepomierną, z energią niewyczerpaną, z dzielnością postanowienia i wolą iście męską, łączyć umié tyle wdzięku, tyle słodyczy w obejściu, a zwłaszcza tyle miękkiéj prawdziwie niewieściéj dobroci serca. O tym ostatnim, po ludzku może najwyższym, moglibyśmy więcéj powiedziéć, chociażby z powodu jéj ostatniego benefisowego przedstawienia. Tylko kobiéta wielkiego serca umié być tak subtelnie, tak wykwintnie dobrą. Ponieważ jednak wchodzą tu osoby trzecie, więc musimy milczéć, lękając się przytém zrobić przykrości artysce wyjaśnianiem naszego twierdzenia. Na teraz niech wystarczy długi szereg przedstawień i deklamacyi koncertowych na rozmaite cele dobroczynne. Poświęcając tym celom u nas swój czas, swe godziny wypoczynku, swą pracę, swój talent i artyzm, pani Modrzejewska składa dla nich nieraz książęce, a zawsze prawie większe aniżeli bankierskie, datki, o sobie nie pamiętając.

Przed laty sześciu, wróciwszy czasowo do Europy, gościła w Warszawie i występowała na naszéj scenie. Widzieliśmy ją wówczas w kilku sztukach dawniejszych i w dwóch nowych: w dramacie towarzyskim p. Sardou „Odetta“ i w „Kleopatrze“ Szekspira. Z tych nowych sztuk, bo dawne grała po dawnemu, wynieśliśmy przekonanie, że talent jéj zmężniał jeszcze, pokrzepiony wysoce artystycznym realizmem, że postaci przez nią stworzone mniéj się rozpływają w swych konturach, że rysunek ich jest silniejszy, pewniejszy, plastyczność zupełniejsza, pomysły śmielsze i oryginalniejsze. Szczególniéj w „Kleopatrze“ uderzyło nas to spotężnienie jéj artyzmu, który dawniéj zdawał się nam niekiedy zanadto hołdować słodyczom pięknego, ale mglistego idealizmu.

Czas dłuższy następnie pani Modrzejewska bawiła w Londynie, występując na scenie *Court Theatre*, oklaskiwana przez najwykwintniejsze i najwyższe sfery towarzystwa téj stolicy. Jeden z naszych znajomych przywiózł nam wówczas londyńską pogłoskę, że „wielki starzec", Gladstone, miał powiedzieć, iż gdy patrzy na panią Modrzejewską w Szekspirze, zdaje mu się widzieć wracającą ową wielką epokę sceny angielskiéj, kiedy podziwiano Kembta lub Keana i otoczenie ich, których dziś już nikt nie przypomina.

Anglię pani Modrzejewska porzuciła znowu dla Ameryki, by po latach kilku znowu do nas na chwilę wrócić. Mówiliśmy wyżéj, jak ją publiczność warszawska przyjęła. Tym razem wybrała na owe dziewięć, a właściwie jedenaście występów (jeden na kasę pożyczkową artystów teatru, drugi benefisowy), sześć sztuk dawnych i jedną nową, a właściwie taką, w któréj dotąd u nas nie występowała. Dawnemi sztukami były: „Marya Stuart" Szyllera, w przeróbce Lebruna, „Dama Kameliowa" Aleksandra Dumasa, „Dalila" Feuillet'a, „Walka Kobiét" Scribe'go, „Odetta" Sardou, „Hamlet" Szekspira, nową był „Makbet" Szekspira. W dawniejszych widzieliśmy toż samo, co niegdyś wykończenie, wdzięk, subtelność i, oprócz „Odetty", ten sam popęd do idealizowania i szlachetnego zabarwiania postaci, nawet takich, które, jak np. „Dalila", wymagają bardziéj realistycznego, w pewnych przynajmniéj scenach traktowania, by prawdzie scenicznéj stało się zadość. Są to zresztą tylko wymagania krytyki, bo publiczność była wszystkiém oczarowana. Po dawnemu,—mogła sobie powiedzieć artystka. I krytycy byli także pod tym samym wpływem, ale jak dawniéj także, niektórzy z nich robili tu i owdzie uwagi, które im się słusznemi wydawały, a za które publiczność na nich się gniewała, że chcą jéj psuć te dobre chwile. Ale w „Makbecie" pod względem artyzmu, a nawet siły, spotkaliśmy się z taką potęgą, że zdawała się nam jeszcze wyższą od owéj przed sześciu laty w „Kleopatrze" dostrzeżonéj. Dwa razy dawano „Makbeta", dwa razy wysłuchaliśmy z wytężoną uwagą, dwa razy wynieśliśmy najwyższe, chociaż za każdym razem nieco odmienne wrażenia, zawsze podziwiając tę grę niezmiernie rozumną, a tak pełną prawdy, że zdawała się natchnioną. Ani Ristori, którą pamiętamy bardzo dokładnie, ani wielka wiedeńska Wolter, którą znamy, nie zdołały nas w téj roli, niezmiernie trudnéj, ani na chwilę porwać. Ristori nawet chwilami była dla nas wstrętną, taką z owéj lady robiła megerę. W pani Modrzejewskiéj widzieliśmy wszędzie kobiétę, zbrodniarkę wprawdzie, ale kobiétę, któréj męczarnie, mściwém sumieniem zadawane w wielkiéj scenie ostatniego aktu, rzeczywistym dreszczem nas przejmowały. Nic wyższego nie widzieliśmy

na deskach teatralnych od téj sceny na pierwszém przedstawieniu. Na drugiém była równie pięknie, równie zajmująco grana, ale nieco inaczéj (w szczegóły zapuszczać się nie możemy), wrażenie zrobiła silne, ale już nie takie. Za to akt pierwszy na drugiém przedstawieniu był z większą siłą, z większém mistrzostwem grany aniżeli na pierwszém.

My w wspomnieniach naszych łączyć będziemy w jedno te dwa przedstawienia, a chociażbyśmy ich nawet nie łączyli, to jeszcze bylibyśmy po „Makbecie" zmuszeni powiedzieć, że tylko bardzo rzadko grę tak zbliżoną do zupełnéj doskonałości spotkać można. Na pożegnanie musimy schylić czoło przed kobiétą, przed artystką, która nietylko pracuje ciągle, pracuje wiele, pracuje ciężko, ale widocznie, bez przerwy posuwa się naprzód w swéj sztuce, o któréj myśl, tak dobrze jak myśl o jéj kraju, nigdy jéj nie opuszcza.

J. Kenig.



NEKROLOGIA.

† **Franciszek Ksawery Liske** urodzony w Szląskowie w W. Ks. Poznańskiém 18 października 1838 r., przeszedłszy szkoły w Lesznie, studyował filologię i historyę najprzód w uniwersytecie wrocławskim, potém w berlińskim, w końcu w lipskim, gdzie otrzymawszy stopień doktora filozofii w r. 1867 po napisaniu rozprawy: „*Polnische Diplomatie im Jahre 1526, ein Beitrag zur Geschichte des ungarisch-österreichischen Tronstreites nach der Schlacht bei Mohács*", oddawał się daléj badaniom paleograficznym pod kierunkiem prof. Jaffégo. W tym samym roku ogłosił pierwszą swą książkę po polsku: „Studya z dziejów wieku XVI-go" (Poznań, str. 324), a w Berlinie wydał broszurę polemiczną: „*Graf Bismarck's Rede gehalten am 18 März 1867 in der Sitzung des norddeutschen Reichstags, vom Standpunkte der Geschichte beleuchtet.*" W r. 1869 habilitował się w uniwersytecie lwowskim na docenta historyi powszechnéj i wydał tegoż roku „Przyczynek do historyi wojny... z lat 1633—1634, wraz z planem oblężenia Smoleńska." W r. 1871 został profesorem nadzwyczajnym, a wkrótce potém—zwyczajnym w tymże uniwersytecie i prowadził seminaryum historyczne, zaprawiając młodzież do metodycznych, gruntownych i ścisłych badań dziejowych. Z pod jego kierunku wyszedł cały szereg historyków, rozjaśniających mało znane lub fałszywie przedstawiane strony życia dawnéj Rzpltéj. Obok atoli téj pracy pedagogicznéj, która tak obfity plon wydała, profesor nie przestawał działać sam na polu wydawni-

czém i autorskiém. Przejąwszy od r. 1872 po Lucyanie Tatomirze wydawnictwo „Aktów grodzkich i ziemskich“ z t. zw. archiwum bernardyńskiego we Lwowie, włożył niezmiernie dużo czasu i sił na sumienne jego prowadzenie; w przeciągu lat 18-tu ogłosił dużych tomów 13-cie. Nadto wydał „Dwa dyaryusze kongresu wiedeńskiego z roku 1515-go“ (Kraków, 1877), opracował kilka monografii w języku polskim, niemieckim, szwedzkim i hiszpańskim: „Cudzoziemcy w Polsce“ (Lwów, 1876), „Zjazd w Poznaniu w r. 1510“ (Kraków, 1875), „*Der Wiener Congress von 1515 und die Politik Maximilian's I gegenüber Preussen und Polen*“ (Getynga, 1878), „*Zur Geschichte des Augsburger Reichstages 1518*“ (t. t. r.), „*Af fyrst Albrecht Stanislaus Radziwills Memoirer*“ (Kopenhaga, 1877), „*Viajes de extranieros por España y Portugal*“ (Madryt, 1879), oraz pisywał stale sprawozdania z historycznéj literatury polskiéj do Sybel'a: „*Historische Zeitschrift*“ od roku 1877, a po szwedzku również od tego roku do „*Historiskt Bibliotek*“. W r. 1886 powstało we Lwowie za jego inicyatywą Towarzystwo historyczne, które wydaje „Kwartalnik historyczny,“ urządziło zjazd historyków w 1890 r. Od wielu lat złożony niemocą, przez cztery ostatnie nie powstawał już z łoża, a mimo to pracy nie przerywał. Umarł we Lwowie 27 lutego r. b. Cześć jego pracy i wytrwaniu.

† **Ogonowski Aleksander**, urodzony 1849 r., odbywszy studya uniwersyteckie i uzyskawszy stopień dra filoz., wydawał we Lwowie od 1868—75 miesięcznik (potém dwutygodnik) literacko-polityczny p. n. „Prawda“, habilitował się następnie na docenta wydziału prawnego w uniwersytecie lwowskim, wydał w r. 1877: „*Die Geschäftsführung ohne Auftrag nach österreichischem Rechte*“, i z biegiem czasu został zwyczajnym profesorem prawa cywilnego, dwukrotnie był radnym m. Lwowa, wreszcie pierwszym prezesem rusińskiego towarzystwa politycznego „Narodna rada“. W 1880 zaczął wydawać po niemiecku systematyczny podręcznik „*Oesterreichisches Ehegüterrecht*“. Umarł na paraliż serca 10 lutego we Lwowie.

† **Szlezygier Józef**, ur. 1817 r., uczył się u księży Pijarów, odbył następnie studya filologiczne w uniwersytecie petersburskim; zostawszy nauczycielem, wykładał od r. 1840 historyę, geografię i łacinę, najpierw w Łęczycy, potém w Warszawie, Łowiczu, gdzie był rektorem szkoły, w Lublinie i znowuż w Warszawie, gdzie w 1876 doczekał się emerytury. Następnie aż do zgonu pracował jako urzędnik drogi żel. warszawsko-wiedeńskiéj. Prócz artykułów pomieszczanych w „Kuryerze Codziennym“ i „Opiekunie zwierząt“, ogłosił osobno: „Polowanie z wyżłem“ (Warsz. 1856), „Uwagi nad dziełami, używanemi do wykładu historyi powszechnéj“ (1862), „Podręczny pol-

sko-ruski słownik z zastosowaniem do potrzeby urzędników“ (1867), „Myśliwy ze strzelbą; zasady, uwagi i wskazówki dotyczące polowania... z dodaniem myśliwskiéj terminologii“ (1880). Zmarł w Warszawie 18 lutego r. b.

† **Żychliński Ludwik**, ur. około 1823 r. w Poznańskiém, otrzymawszy średnie wykształcenie w szkołach, służył w wojsku pruskiém, potém amerykańskiém, poczém w 1863 wrócił do kraju. Był głównie historykiem-publicystą. Pozpoczął swą literacką działalność w r. 1849 od wydanéj w Lipsku broszury: „*Polen und seine Idee*“; poszły potém: „Jezuici i ich dążności“ (Poznań, 1853), „Machiawel, jego życie i pewne wybitne strony zawarte w jego dwóch pismach historyczno-politycznych“ (t. 1861), „Rzut oka na kwestyę narodowości“ (t. 1862), „Pamiętniki z wojny amerykańskiéj“ (1863), „Obraz machinacyi mocarstw ościennych“ (t. 1864), „Historya sejmów W. Ks. Poznańskiego“ (2 tomy, t. 1867), „*Es ist Zeit, ein Memorandum an Deutschland*“ (t. 1871), „Ile naszéj gleby? Stosunek polskiéj a niemieckiéj większéj własności w W. Ks. Poznańskiém“ (t. 1878). Zmarł w Poznaniu 16 lutego r. b.

† **Jaroszewski Zygmunt**, autor kilku prac agronomicznych: „Wapno, margiel i gips, jako dźwignia rolnictwa“ (Warsz. 1870), „Zasady płodozmianu, oraz wskazówki organizacyi gospodarstwa rolnego“ (t. t. r.), „Współki przedsiębiorstw rolniczych“ (t. 1874), „Gospodarstwo wzorowe: uprawa roślin zbożowych i pastewnych, groszkowych, koniczynnych i traw“. Z ilustracyami (Kraków, 1877, 2-ie wyd. t. 1880, str. 455), „Wczesne sorgo cukrowe amerykańskie“, w Warszawie (1883), Wraz z Ludwikiem Dąbrowskim wydał w Krakowie 1874: „Przegląd wystawy powszechnéj wiedeńskiéj z 1873 r. w zakresie przedmiotów rolnictwa i przemysłu rolniczego, z 200 drzeworytami w tekście“. Redagował czasopismo „Gospodyni miejska i wiejska“ w r. 1881—83, zasilał artykułami swemi pisma rolnicze, mianowicie „Dwór wiejski“. Zmarł we wsi Kalwaryi w połowie stycznia r. b.

† **Krasiński Hubert**, doktor medycyny, znany ze swych prac dotyczących hygieny publicznéj jak np. „Pogadanki naukowe o wodzie warszawskiéj“ (Warsz. 1879), zmarł w Paryżu w styczniu r. b.

† **Korotyński Wincenty**, urodzony 1831 w Sieliszczu, pow. nowogrodzkim, rozwijał z początku swój talent poetycki pod wpływem i kierunkiem Syrokomli, z którego przedmową wydał w Wilnie 1857 zbiorek poezyi swoich p. n. „Czém chata bogata tém rada“, w następnym roku tamże obrazek z życia ludu, pełen goryczy p. n. „Tomiło“, a w 1859 publicystyczną rozprawkę wierszowaną: „Wypił Kuba do Jakóba, urodziny, powołanie i suchoty gorzałki“. W 1857 wszedł

do redakcyi „Teki Wileńskiéj“ i „Słownika języka polskiego“, a w r. 1860 do zreformowanego przez Kirkora „Kuryera Wileńskiego“, gdzie pomieścił między innemi „Kilka szczegółów o rodzinie, miejscu urodzin i młodości Adama Mickiewicza“ (osobno 1861), oraz studyum literackie „Salomon Rysiński“ (1863). W r. 1866 przeniósł się do Warszawy i objął dział literacki w „Encyklopedyi powszechnéj“ Orgelbranda i w „Gazecie Warszawskiéj“. Potém był redaktorem bardzo dobrego „Kalendarza“ Jaworskiego (1872—1877), „Wieńca“ (1872), „Tygodnika powszechnego“ (1877—1883), „Tyg. ilustrowanego“, pisywał piękne wstępy do wydań zbiorowych Poezyi Kondratowicza, Dzieł Z. Kaczkowskiego, Listów z podróży Odyńca. Odznaczał się gruntowną znajomością dziejów piśmiennictwa naszego, pisał czystą i piękną polszczyzną. Po za literackiemi pracami, których mnóstwo rozsiał w czasopismach, zajmował się kwestyą spirytyzmu, i osobo ogłosił rozprawkę p. n. „Duchownicy i tajemnice ich nauki, wyczerpnięte z procesu d-ra Horsta“ (Warsz. 1866). Zmarł w Warszawie po krótkiéj, tygodniowéj chorobie, 7 lutego.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*.—Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Февраля 1891 г. — Druk Jana Cotty.

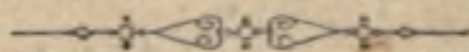
NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w kwartale IV-tym 1890 i w kwartale I-szym 1891 r.

1. **Historya filozofii greckiej** od Talesa do śmierci Arystotelesa przez X. D-ra *Stefana Pawlickiego,* C. R. prof. uniw. Jagiel. Tom I. Dzieło wydane z pomocą Akad. umiej. w Krakowie. Kraków, 1890, 8-o, str. XI, 431 i kart nlb. 2.
2. **Jedna z kwestji spornych** pisowni polskiej. Napisał *J. Boudouin de Courtenay.* Warszawa, nakł. autora, 1890, 8-o, str. 13 (cena kop. 15).
3. **Niezałatwiona Kwest.a Kwestya Kwestyja Kwestja** ortograficzna. Napisał *Jan Karłowicz.* Warszawa, nakł. autora, 1890, 8-o, str. 8 (cena kop. 10).
4. **Tajemnice przyrody.** Wiadomości ogólne o świecie. Kurs zawierający wskazówki do systematycznego wykładu nauk przyrodniczych. Napisał. *M. Heilpern.* Wydanie ozdobione 25-ma drzew. w tekście. Warszawa, nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1890, 8-o, str. IV i 320.
5. *Klemens Junosza.* **Z zapadłych kątów.** Obrazki. (Stracone szczęście. Z pamiętników roznosiciela. Młynarz z Zarudzia). Warszawa, nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1891, 8-o, str. 328.
6. **Materyały** do historyi drukarstwa i księgarstwa w Polsce wydał, d-r *Artur Benis.* Kraków, 1890, wielkie 8-o, str. 71.
7. *Eliza Orzeszkowa.* **Jędza.** Powieść. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1891, 8-o, str. 208.
8. **Wykopalisko Mianowskie** monet średniowiecznych polskich, opisał *Wiktor Wittyg.* (W 200 egzempiarzach). Warszawa, 1890, 8-o, str. 35 z rysunkami.
9. **Die Geschichte** von den sieben Weisen bei den Slaven. Von d-r *M. Murko.* (Odbitka z „Sitzungsberichte d. kais. Akademie d. Wiss. in Wien", tomu CXXII). Wiedeń, 1890. 8-o, str. 138.
10. **Výročni zpráva** o činnosti literárniho a řečnického spolku „Slavia" v Praze (1889/1890). Praga, 8-o, str. 23.
11. *Alfred de Musset.* **Poezye.** Z ostatnich wydań wybrał i przełożył *B. L.* Warszawa, nakł. „Biblioteki romansów i powieści", 1890, 8-o, str. 154 i II.
12. *Paweł Bert.* **Pierwszy rok** kształcenia naukowego. Książka dla młodzieży. (Nauki przyrodnicze). Przełożyli *J. J. Boguski* i *Adolf Dygasiński.* Z 426 drzewor. w tekście. Warszawa, nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1891, 8-o, str. 358 i VI.
13. *Ferdynand Nicolay.* **Dzieci źle wychowane,** opracował *Edward Lubowski.* Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1891, 8-o, str. 490 i IV.
14. **Sprawozdanie** Dyrekcyi Towarzystwa Kredytowego miasta Warszawy za dwudziesty rok istnienia Towarzystwa. Warszawa, 1890, 4-o, str. 67 i kart nlb. 44.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.



zakreślonych z góry rozmiarów obrazu, jął w barwny kalejdoskop układać notatki swoje i szkice. Tak powstała opowieść - nieopowieść, pamiętnik-niepamiętnik, przewodnik-nieprzewodnik, tak powstało malowidło przypominające owe malarskie „palety“, na których z wyciśniętéj tu i owdzie grudki farby wyłania się pejzaż lub główka, zlewa się z ociekłą od strony przeciwnéj inną farbą, układa się znów w jakiś obrazek, aby rozpłynąć się tuż opodal w jeszcze innéj przypadkowéj kolorów kombinacyi. Jądro książki stanowi wycieczka z kilku osób złożonego towarzystwa zapalonych „taterników“ z Zakopanego na skałę przeszło 7,000 stóp wysoką, zwaną „Przełęcz“, zwieszającą się stromo nad Morskiém okiem. Opis atoli owéj wycieczki, rozpoczyna się od połowy książki, a powrót z niéj, nieco niespodzianie, zamyka ją. Czy atoli wysunięcie na pierwszy plan wycieczki takiéj, ulubionego sportu tatrzańskiego, ma na celu zachęcanie gości zakopiańskich do „ujarzmienia śmiałą stopą olbrzymów skalnych“? Zaiste, nie. „Doznaję uczucia jakbym wchodził do dentysty“ — powiada autor, patrząc na nowy etap „wesołéj“ i „miłéj“ wycieczki, na prostopadłą ścianę góry, na którą wdrapać się przychodzi; a na innéin miejscu: „schodząc—powiada—podróżnik woli wpatrywać się w guzik na pasie przewodnika i nie uświadamiać swego położenia, niż zachwycać się takiemi cudami natury, z których patrzą oczy śmierci“. Maluje téż znakomicie, z wielką spostrzegawczością i prawdą różnorodne uczucia i usposobienia, opadające na wycieczkach takich, turystów nie otrzaskanych dostatecznie z obawą, zawrotami głowy, piekielném zmęczeniem; sumiennie notuje wszelkie objawy panicznego strachu, rozdraźnienia, niecierpliwości, apatyi. Są to spostrzeżenia i szczegóły ochładzające chyba animusz tatemicki. Sama zatém wycieczka na Przełęcz daje jedynie autorowi sposobność fotografowania w notatniku i albumie to krajobrazów tatrzańskich, admirowanych z różnéj wysokości *à vol d'oiseau*, z drugiéj strony obyczajów, zwyczajów i gawęd górali towarzyszących, jako przewodnicy, wędrownemu towarzystwu. Książki całéj jedynym celem jest odtwarzać i odtwarzać z najdokładniejszą ścisłością wszystko to, co oko dojrzało a ucho zasłyszało. Wobec przyrody przewagę nad pisarzem-poetą bierze malarz; nie zapamiętaliśmy z całego dzieła ani jednego zanotowania uczuć lub myśli, które bądźcobądź przyroda tatrzańska w autorze „Na przełęczy“ budzić musiała, od pierwszéj do ostatniéj karty mamy tylko utrwalane wrażenia barw, świateł, brył i linii. Tylko w opisach zwyczajów i obyczajów górali, przebłyska tu i owdzie żal do t. zw. cywilizacyi, która cechy charakterystyczne ludu tego zaciéra powoli. „C. k. szkoła fachowa dla drzewnego przemy-